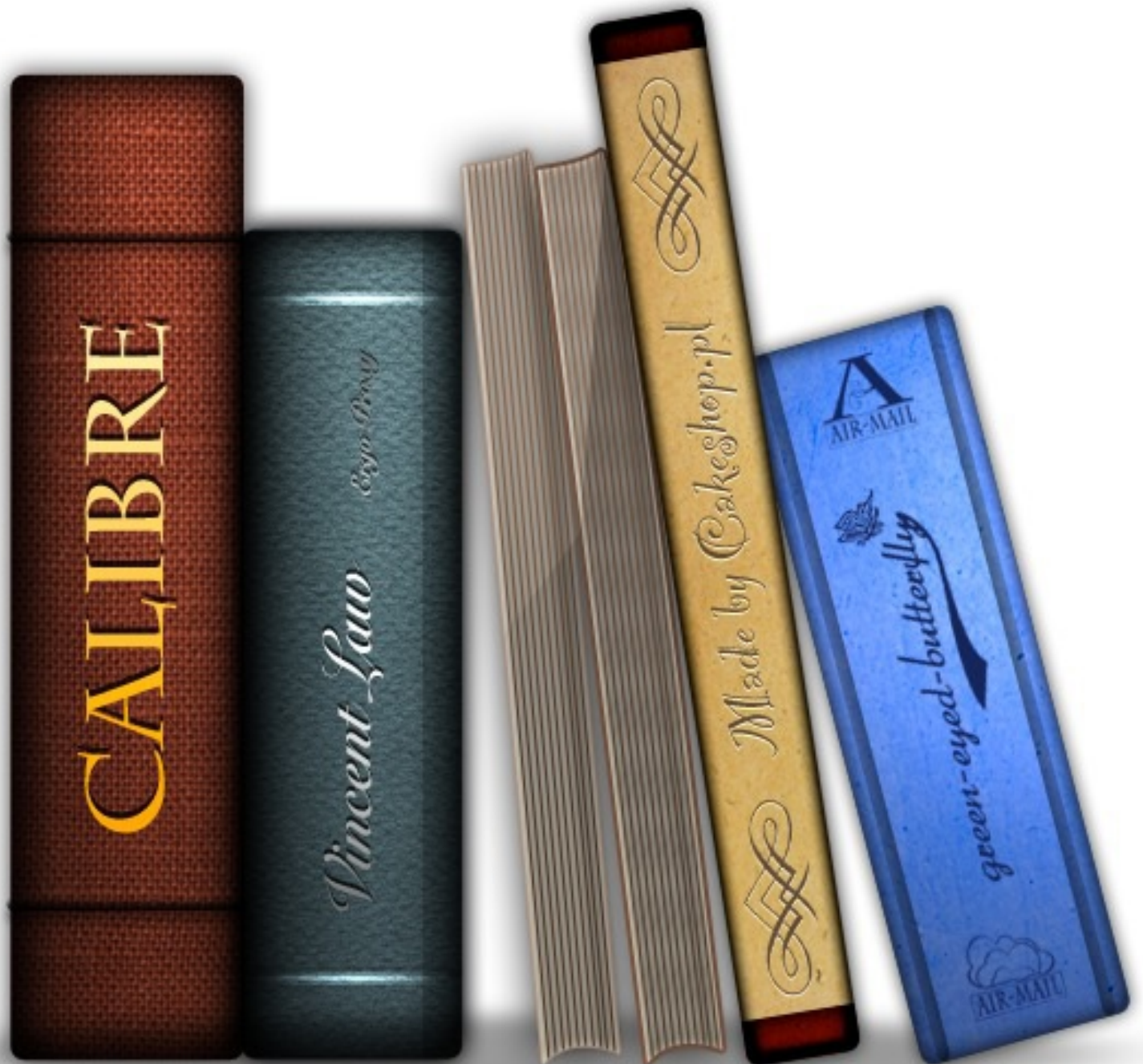


Misja do Moulokinu

ALAN DEAN FOSTER



calibre 0.7.3

ALAN DEAN FOSTER

MISJA DO MOULOKINU

Tytuł oryginału: Mission to Moulokin

Trylogia: Tran-ky-ky tom 2

Przełożyła: Anna Wojtaszczyk

Data wydania polskiego: 1998

Data wydania oryginalnego: 1979

TMN

PROLOG

Wszystko zaczęło się od całkowicie skopanej próby porwania. Dwaj mężczyźni, którzy usiłowali uprowadzić zamożnego Hellesponta du Kane'a i jego córkę Colette z liniowca o napędzie KK, krążącego wokół lodowej planety Tran-ky-ky, zmuszeni byli zabrać ze sobą dwóch świadków: drobnej postury nauczyciela szkolnego Millikena Williamsa i komiwojażera Ethana Fortune. Nie liczyli się jednak z dodatkową obecnością białowłosego olbrzyma, odsypiającego akurat pijatykę na tyłach szalupy ratunkowej, którą zamierzali uciec. September niezbyt uprzejmie zareagował na to, że go uprowadzono. W wyniku podjętej przez niego akcji szalupa roztrzaskała się na zamarznętej planecie, wokół której liniowiec krążył, a oni znaleźli się o tysiące wietrznych kilometrów od jedynej placówki ludzkiej. Również na skutek jego działalności śmierć poniósł jeden z porywaczy, a drugi został unieruchomiony.

Wydawało się, że nie mają żadnych szans na przeprawienie się przez wiecznie zamarznęte oceany Tran-ky-ky, przy temperaturach stale poniżej zera i nieustannym wietrze, dopóki nie dotarła do nich grupa zaciekawionych tubylców z miejscowego państwa-miasta Wannome. Ludzie i tranowie, z początku ostrożni i podejrzliwi, szybko się ze sobą zaprzyjaźnili, w czym wydatnie pomogła im działalność pewnego wybitnego, młodego trana, rycerza Hunnara Rudobrodego.

Przybycie ludzi i ich szalupy zbudowanej z niezwykłego metalu na ubogą w te surowce Tran-ky-ky dobrze się przysłużyło Rudobrodemu. Wykorzystał to jako znak, że Wannome i wyspa Sofold, na której miasto leżało, powinny stawić opór naciągającym łupieżcom, Sagyanak Nagłej Śmierci i jej Hordzie. Takie wędrowne plemiona koczowniczych barbarzyńców, dosłownie ruchome miasta na tratwach lodowych, nawiedzały stałe miasta i miasta-państwa na Tran-ky-ky, żądając daniny i zadając gwałt wszystkim, którzy odmawiali zapłaty.

Dzięki kuszom i jeszcze jednemu niezwykle ważnemu wynalazkowi nauczyciela Williamsa i miejscowego czarodzieja nadwornego, Malmeevyna Eer-Meesacha, Horda została pobita na głowę. A wtedy Torsk Kurdagh-Vlata, Landgraf i władca Wannome, zgodził się, choć niechętnie, dotrzymać danej rozbitkom obietnicy i pomóc im dotrzeć do Dętej Małpy, placówki Wspólnoty.

Ludzie i tranowie wykorzystali duramiks, metal z rozbitej szalupy, żeby sporządzić niezawodne płozy lodowe, posłużyli się też przystosowanym odpowiednio schematem budowy kliprów, starożytnych statków z mórz Ziemi, i skonstruowali olbrzymią tratwę z ozaglowaniem przystosowanym do jazdy na lodzie. Nazwali ją *Slanderscree*.

Razem z Hunnarem i załogą trańskich marynarzy ocaleli ludzie wyruszyli w niebezpieczną, długą podróż. Uporali się z zagrożeniem, jakie stanowiły niedobitki Hordy, z niebezpieczną lokalną fauną w rodzaju guttorbynów i rozszalałych stawanerów, które niekiedy osiągały wielkość małych statków

kosmicznych, z klasztorem religijnych fanatyków i wybuchem gigantycznego wulkanu.

Więcej kłopotów sprawiały Ethanowi stosunki z Elfą Kurdagh-Vlą, córką Landgrafa, która znalazła się na pokładzie *Slanderscree* jako pasażerka na gapę, oraz z czułą, choć sarkastyczną i despotyczną Colette du Kane.

Ale ani zagrożenia, ani te kłopoty nie przeszkodziły *Slanderscree* dotrzeć do wyspy Asurdun, gdzie była Dęta Małpa, placówka ludzi i port wahadłowców, z którego mieli nadzieję bezzwłocznie odlecieć z piekielnie zimnej, wietrznej planety Tran-ky-ky...

ROZDZIAŁ 1

Ethan Frome Fortune przechylał się przez drewnianą poręcz i wrzeszczał co sił. Wiatr zniekształcał jego słowa. W dole maleńka, dwuosobowa łódź usiłowała podjechać jak najbliżej burty pędzącego klipra lodowego. Jeden z mężczyzn wychylił się z jej wnętrza przez okno i płaczącym głosem zawołał coś do Ethana, który w odpowiedzi przytknął obie dłonie do membrany swojego kombinezonu ochronnego i na nowo podjął próby porozumienia się.

– Mówiłem, że jesteśmy z Sofoldu, Sofoldu!

Mężczyzna na łódce rozłożył ręce i potrząsnął głową na znak, że nadal nic nie rozumie. A potem musiał użyć obu rąk i złapać za skraj okna, kiedy mała łódka ostro skręciła, żeby umknąć spod jednej z olbrzymich, duramiksowych płóz *Slanderscree*.

Wielki statek lodowy sunął na wspaniałych, metalowych łyżwach; dwie znajdowały się na samym przodzie, dwie w tyle, gdzie pokładnica statku mającego kształt grotu strzały była najszersza, ostatnia zaś przy spiczastej rufie. Każda z nich wznosiła się niemal na cztery metry w górę i była tak wielka, że mogłaby przeciąć łódź patrolową na pół, gdyby jej kierowcy zabrakło ostrożności lub refleksu, żeby zejść z drogi dwustumetrowemu statkowi.

Ethan odsunął do tyłu wbudowaną w kombinezon ochronny maskę, nie ruszając antyodblaskowych gogli, które nosił pod spodem, i zastanowił się nad tym, co właśnie wrzasnął. Z Sofoldu? On? On przecież jest nieźle prosperującym komiwojazerem z Domu Malaiki. Sofold był domem dla Hunnara Rudobrodęgo, Balavere'a Longaxa i innych tranów, mieszkańców tego zamrożonego, surowego, lodowego świata Tran-ky-ky. Z Sofoldu? Czyżby przez te półtora roku, na które on i jego towarzysze tu utknęli, do tego stopnia zaaklimatyzował się na tej bezlitosnej planecie?

Mieciony wiatrem śnieg szorował po jego wypolerowanym do połysku naskórku jak pumeks i Ethan odwrócił się, żeby ochronić odsłoniętą skórę. Zerknął na termometr osadzony na wierzchu rękawicy; wskazywał balsamiczne minus 18 stopni. Nic dziwnego, znajdowali się przecież w pobliżu równika Tran-ky-ky i należało się spodziewać takich tropikalnych warunków.

Na jego ramieniu spoczęła futrzasta łapa. Ethan obejrzał się i ujrzał lwią twarz Sir Hunnara Rudobrodęgo. Przyjrzał się badawczo lekko ubranemu rycerzowi i pozazdrościł mu tego przystosowania do klimatu, który przeciętnego, nie chronionego niczym człowieka zabiłby w godzinę. Przy gorszej pogodzie tranowie także opatulali się ciepło, ale tutaj panowały bardziej umiarkowane warunki, więc Sir Hunnar i jego towarzysze mogli zrzucić z siebie ciężkie futra z hessavara i przywdziać lżejszy strój, taki jak skórzana kamizela i spódniczka, które obecnie miał na sobie rycerz. Chociaż tran był wyższy od Ethana o kilkanaście centymetrów, w barach był niemal dwa razy szerszy

od niego, a mimo to ważył niewiele więcej niż przeciętny człowiek, ponieważ jego na wpół puste kości zmniejszały ciężar ciała.

Szparki czarnych źrenic odbijały rażąco od żółtych, kocich oczu, jak odpryski obsydianu osadzone w kaboszonach jaskrawego topazu. Rozdzielał je szeroki, krótki pysk, który kończył się nad szerokimi ustami. Zaciśnięte wargi i postawione, trójkątne uszy były oznaką zaciekawienia. Prawy dan Hunnara, mocna membrana rozciągająca się od nadgarstka do biodra, był częściowo otwarty i wyduęty od wiatru, ale rycerz z łatwością utrzymywał równowagę na szifach, wydłużonych pazurach, które pozwalały tranom ślizgać się po lodzie zgrabniej niż najbardziej utalentowanemu łyżwiarzowi.

Chociaż na oko Hunnar wyróżniał się z tłumu swoich stalowoszarych towarzyszy jedynie rudawą brodą i rdzawym odcieniem futra, zdaniem Ethana górował nad nimi także swoją dociekliwą osobowością i wrodzoną ciekawością.

– Chcą wiedzieć – powiedział Ethan po trańsku, gestem wskazując na małą łódkę patrolu, muskającą lód poniżej – skąd przybyliśmy. Powiedziałem im, ale nie sądzę, żeby mnie usłyszeli.

– A może i słyszeli cię dobrze, Sir Ethanie, ale po prostu nic nie wiedzą o Sofoldzie.

– Powiedziałem ci, żebyś do mnie przestał mówić sir, Hunnarze. – Tytuły, jakimi tranowie z miasta Wannome obdarzyli ludzi po pokonaniu Hordy Sagyanak wciąż jeszcze wprawiały go w zażenowanie.

– Pamiętaj – ciągnął dalej beztrąsko Hunnar – że zanim ty i twoi towarzysze wylądowaliście w pobliżu Sofoldu w swojej metalowej, latającej łodzi, nigdy nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy o twojej rasie. Ignorancja jest mieczem o dwu ostrzach. – Pomachał masywną ręką w kierunku łódki patrolowej. – Byłoby to w rzeczy samej zaskakujące, gdyby twoi pobratymcy w tej placówce, którą nazywasz Dętą Małpą, jedynej w swoim rodzaju na moim świecie, słyszeli kiedyś o tak dalekim kraju jak Sofold.

Przerwał im okrzyk dochodzący z góry, z klatki obserwatora osadzonej na wiekowym drzewie, które teraz służyło za główny maszt *Slanderscree*. Wiele miesięcy spędzonych wśród tranów dały Ethanowi zdolność szybkiego tłumaczenia słów obserwatora. Po trwającej pół dnia ostrożnej podróży wzdłuż zamrożonego fiordu, ciągnącego się od przeogromnego oceanu, wjeżdżali wreszcie do portu Asurdunu, trańskiego miasta-państwa, w którym znajdowała się rozdygotana z zimna placówka ludzkości na tym świecie.

Ethan i Hunnar stali na pokładzie sterowym. Nie licząc trzech masztów, było to najwyższe miejsce na statku. Za ich plecami kapitan Ta-hoding miotał szybkostrzelnymi poleceniami w dwóch tranów, którzy borykali się z ogromnym kołem połączonym z duramiksową płożą, za pomocą której sterowano *Slanderscree*. Inni tranowie zgodnie z rozkazami kapitana manipulowali dwoma gigantycznymi płatami powietrznymi na dziobie i rufie, żeby jeszcze bardziej wyhamować kliper lodowy. W tym samym czasie reszta załogi szybko przeprowadzała skomplikowany i niebezpieczny manewr refowania żagli. Ethan zdumiewał się, jak wspaniale opanowali oni umiejętność poruszania się po olinowaniu przeogromnego statku lodowego. Gdyby nie pazury i grube szify, nie utrzymaliby się w górze na oblodzonych rejach.

Chociaż Hunnar z łatwością sunął po lodowej ścieżce biegnącej wzdłuż poręczy statku, Ethan musiał wyęczać siły, żeby się utrzymać w pionie, kiedy ruszyli do przodu, chcąc lepiej widzieć. Pokład sterowy ciągnął się w tył aż do szerokiego końca przypominającej grot strzały *Slanderscree*. Kiedy stanęli tuż nad odzywającą się stłumionym skrzekiem tylną lewą płożą, mogli patrzeć wprost na port.

Port Asurdunu miał kształt bańki i usadowił się na samym końcu długiej, wąskiej zatoki, prowadzącej od lodowego oceanu w głąb lądu. Podobnie jak ocean, zatoka i wszystkie inne otwarte wody na Tran-ky-ky także port był zamrożony na kość. Była to po prostu płaska tafla o wielu odcieniach bieli, pokryta cieniutką warstwą śniegu i lodowych kryształków. W miejscach, w których wiatr odwiał śnieg, koleiny znały szlak, jakim wcześniej przejechały inne statki lodowe.

Ethan przybywał tu z opóźnieniem osiemnastu standardowych miesięcy, mierzonych według czasu Wspólnoty. Dęta Małpa była tylko jednym z wielu przystanków na nowym terytorium, którym miał za zadanie się zająć. Ale fakt, że został wplątany w nieudaną próbę porwania na pokładzie międzygwiazdowego liniowca *Antares*, a następnie wraz z innymi rozbitkami znalazł się w pobliżu Wannome, rodzinnego miasta Hunnara, znacznie przedłużył jego pobyt na tej planecie.

Asurdun był wyspą większą niż Sofold, choć prawdopodobnie mniejszą niż wiele innych. O ile Ethan się orientował, Tran-ky-ky była światem wysp poutykanych w zlepku zamrożonych oceanów. Gdzieś w pobliżu znajdowała się thranxludzka placówka, Dęta Małpa, razem ze swoim portem dla wahadłowców i nadzieją na odlot z tego świata, który przypominał postawione na głowie piekło. Ciepło – Asurdun... jedno szło ręką w rękę z drugim. Cóż to będzie za radość przestać się bawić w odkrywcę i zająć się znowu zwykłymi, szanowanymi sprawami, takimi jak dostarczanie różnych wyrobów z jednego ciepłego świata na drugi ciepły świat!

To sprawiło, że pomyślał o swoich towarzyszach nieplanowanej wyprawy. Przeprosił Hunnara i poszedł ich odszukać; najpierw rozejrzał się po pokładzie, a potem wszedł do dwóch dwupoziomowych kabin, usytuowanych przed sterem.

Porywacze, którzy ich uprowadzili, należeli już do przeszłości, a osobnik, w zasadzie odpowiedzialny za ich śmierć, stał właśnie na dziobie i wyglądał ponad bukszprytem. Odległość sprawiała, że nawet jego imponująca osoba wyglądała jak niewielka plamka brązu na tle pokładu i białego lodu przed nimi.

Dziwne, ale z nich wszystkich to Skua September zdawał się najlepiej pasować do tego świata. Ze swoim ponad dwumetrowym wzrostem, wagą niemal dwustu kilogramów, ze swoją twarzą biblijnego proroka i falującymi, białymi włosami, od których ostro odbijał złoty kolczyk w prawym uchu, robił wrażenie bryły, która oderwała się od czoła lodowca. Na szalupie ratunkowej nie było wystarczająco wielkiego kombinezonu, przerzucił się więc na strój miejscowy. W płaszczu z futra hessavara, opończy i spodniach, pomimo swoich antyodblaskowych gogli sprawiał wrażenie jednego z tubylców.

Z kolei pod osłoną przedniej kabiny stał Milliken Williams gawędzący ze swoim duchowym i intelektualnym bratem, trańskim czarodziejem, Malmeevynem Eer-Meesachem. September mógł pasować do Tran-ky-ky pod względem fizycznym, ale Williams wtapiał się w nią pod względem

intelektualnym. Ten skromny nauczyciel więcej wiedzy mógł przekazać tutaj niż w jakiegokolwiek szkole Wspólnoty, więcej też informacji zdobył o tym świecie, niż zawierały jakiegokolwiek infotaśmy. Williams miał duszę milczka. Aura mogła mu nie odpowiadać, ale pogodny spokój intelektualnej przygody z pewnością tak.

Gdzieś w jednej z dwóch kabin spali Hellespont du Kane i jego córka Colette, którzy byli faktycznymi obiektami porwania. Colette była również przyczyną osobistej rozterki Ethana. Pewnego dnia, tak bez ogródek, zaproponowała mu małżeństwo. Chociaż była bardzo otyła, Ethan poważnie zastanawiał się nad propozycją. Zalety ożenku z jedną z najbogatszych młodych kobiet w tym Ramieniu Galaktyki były wystarczające, by przeważać takie nieistotne drobiazgi jak brak cielesnej urody oblubienicy. Colette była też niesłychanie kompetentną osobą. Ethan wiedział, że to ona kierowała finansowym imperium du Kane'a podczas okresowych ataków starczego dzieciennienia swojego ojca. Ale trzeba było też liczyć się z jej zjadliwym językiem, zdolnym dosłownie poszatkować ego człowieka na drobne kawałeczki. Do tego miała niezwykle silną osobowość, nawykła też do manipulowania dyrektorami korporacji i wydawania rozkazów przedstawicielom Wspólnoty. Musi się dobrze zastanowić nad perspektywą spędzenia reszty życia z tak potężną indywidualnością.

Gdzieś na dole spała też narkotycznym snem Elfa Kurdagh-Vlata, córka Landgraфа Sofoldu, który był władcą/wodzem/królem Hunnara. Ta pasażerka na gapę przechrapała dużą część niebezpiecznej i obfitującej w wydarzenia podróży z Sofoldu, ale kiedy się zbudzi, Ethan z pewnością będzie musiał uporać się z jeszcze jednym problemem. Pomimo oczywistych różnic fizjologicznych ludzie i tranowie byli wystarczająco do siebie podobni i Elfa, ku wielkiemu zażenowaniu Ethana, zapalała do niego afektem. Jej zainteresowanie wyraźnie sprawiało ból Hunnarowi, chociaż nic na ten temat nie mówił. Zarówno jemu, jak i Ethanowi udało się opanować emocje i zachowywali się, jak na przyjaciół przystało, ale problem z pewnością pojawi się znowu, kiedy się królewska latorośl obudzi.

Ethan nie ukrywał swojego braku uczuć przed Elfą, ale nie przeszkadzało jej to w usilnych staraniach, żeby zmienić swoje zdanie. Gdyby tylko spała o kilka dni dłużej, już by go nie było na tej planecie; pozwoliłoby to im uniknąć osobistych kontaktów. I tak byłoby najlepiej. Chociaż głośno oświadczał, jakie są jego uczucia w stosunku do Elfy, nie mógł jednak zaprzeczyć, że jest w niej jakiś taki koci urok, który...

* * *

Opierając się na informacjach przekazywanych przez obserwatorów siedzących na szczycie masztu i bukszprycie, Ta-hoding umiejętnie kierował *Slanderscree* w kierunku otwartego doku, sterczącego z linii brzegowej portu. Dok był po prostu drewnianym pomostem wysuwającym się w lód. Pale, na których się wspierał, były niezbędne, żeby podnieść go do poziomu pokładu statku, a nie żeby wynieść go nad zamarznąłą wodę.

Wokół *Slanderscree* zaczęły gromadzić się mniejsze łodzie lodowe, które utrudniały manewrowanie kolosalnym statkiem.

Na szczęście Asurdun posiadał rozległy port, dużo szerszy niż rodzimy port *Slanderscree* w

Wannome, a Ta-hoding lawirował po mistrzowsku, objeżdżając i wymijając ciekawskich.

Załoga klipra lodowego ostrzegła kilku przejętych nabożną czią gapiów, żeby się odsunęli. Ich ogłupiałe zdumienie było usprawiedliwione, Ethan to rozumiał. Całkiem prawdopodobne, że *Slanderscree* była ze dwa razy większa niż jakikolwiek statek lodowy, jaki zdarzyło im się kiedykolwiek widzieć. Nie było wątpliwości, że w tłumie gromadzącym się na brzegu znajdowali się i pełni podziwu skutnicy, i zazdrośni kupcy. Trudno ich będzie utrzymać z dala od statku, kiedy ten już przybije do doku. Wrodzona ciekawość popchnie ich do prób zapoznania się z nieznanym układem olinowania, będącego modyfikacją olinowania ziemskich kliprów, zaadaptowanym przez Williama dla potrzeb lodowych oceanów Tran-ky-ky. Na pewno będą wdrapywać się na wszystkie pięć masywnych, duramiksowych płóz, na których jeździł lodowy kliper. Metal był rzadkim towarem na Tran-ky-ky. Inne, mniejsze lodowe statki, jakie Ethan dotąd widywał, wyposażone były w płozy z drewna lub rzadziej z kości czy kamienia.

Niektórzy z marynarzy na statku zaczęli kląć, bowiem obsługa doku nie pospieszyła im na pomoc. Wyraźnie ich również oszołomiły rozmiary *Slanderscree*. W tej sytuacji oficerowie musieli rozkazać swoim podwładnym przeskoczyć przez poręcze na dół i obsadzić cumy i brasy, ale kiedy manewr cumowania się rozpoczął, załoga naziemna przyłączyła się do roboty. A cumowanie *Slanderscree* wymagało dużej zręczności. Statek miał długość niemal trzy razy taką jak dok, ale w polu widzenia nie było żadnych dłuższych doków. Nigdy dotąd nikomu nie były potrzebne; statki o rozmiarach *Slanderscree* po prostu na Tran-ky-ky nie istniały.

Ta-hoding był jednak przygotowany na te trudności. Jak tylko zabezpieczono dziób jego statku, rozkazał zarzucić rufowe kotwice lodowe, które miały chronić olbrzymi statek przed obróceniem go rufą do przodu przez wiejący stale od tyłu wiatr.

Wiatr, wiatr i mróz. Ethan nasunął znowu przez gogle ochronną maskę, żeby zabezpieczyć swoje delikatne ludzkie ciało. Na Tran-ky-ky wiatr nie wiał wyłącznie wtedy, kiedy człowiek znalazł się pod osłoną jakiejś wyspy albo wewnątrz budynku. Tutaj był tak oczywisty, jak słońce na rajskiej Nowej Riwierze czy na jednym z thranxowskich światów, na Amropolous czy Hivehomie. Wiał wytrwale, zmienny wprawdzie, ale nigdy całkowicie nie ustający, dał poprzez pustkowia i zamrożone morza. Uderzał ich teraz wytrwale prosto w plecy, wsysany przez wznoszące się do góry, nieco cieplejsze powietrze nad wyspą. Po kobaltowe niebieskim niebie przepłynęło z wiatrem kilka nabrzmiałych chmur. Ethan odwrócił wzrok i ruszył do przodu. Obramowana siwizną i ukryta za goglami pobrużdżona twarz Septembra obróciła się w jego kierunku. Skua spojrział na niego i uśmiechnął się, pokazując zęby białe jak odpryski lodu z otaczającego ich portu.

– Słowo daję, mój chłopcze, wzięliśmy i dojechaliśmy cało! – Skua z zadowolenia potarł sobie ogromny nos, potem odwrócił się, bacznie przyglądając się miastu, wijącym się ścieżkom lodowym, które tworzyły lśniące wstęgi pomiędzy budynkami, krzątającym się tranom, którzy po nich chodzili, czy szifowali. Ci z tubylców, którzy nie zatrzymywali się, żeby gapić się na kliper lodowy, rozpościerali ramiona równoległe do ulicy, a wiatr wypełniał błoniaste dany i pędził ich bez wysiłku do przodu.

Z tysiąca kominów unosiły się w górę kręte pasma dymu. Na łagodnym stoku wyspy wyrastały to tu, to tam wielopiętrowe budowle o dwuspadowych dachach i spiętrzały się pod nagim, szarym

masywem okazałego zamku. Wyglądało na to, że w Asurdunie jest znacznie więcej mieszkańców niż w Wannome i Ethana zaskoczyło, że zamek jest tak niewielki. To mogło świadczyć albo o stosunkowym ubóstwie lokalnego rządu, albo o skromności Landgrafa. Sir Hunnar znalazł trzecie wyjaśnienie.

– Wygląda, jakby miał nie więcej jak z tuzin lat, Sir Ethanie... Ethanie. I wydaje się wyjątkowo dobrze zbudowany.

Hunnar niezgrabnie przełazi przez poręcz i zszedł po spuszczonej ze statku drabinie. Odprężył się wyraźnie, kiedy pod szifami poczuł ścieżkę lodową, pokrywającą środkową część doku. Jak wszyscy tranowie czuł się dużo swobodniej na lodzie niż na jakiegokolwiek innej powierzchni. Ethan i Skua September dołączyli do rycerza i jego dwóch giermków, Suaxusa dal Jaggera i Budjira. Ci ostatni rozmawiali o mieście i o zebranych tłumach pełnym podejrzliwości szeptem. Trzymali ręce mocno przyciśnięte do boków, żeby jakiś niespodziewany podmuch wiatru nie napełnił im danów i nie popchnął gwałtownie do przodu. Schodzącą na ląd grupę dobiegł ze statku jakiś głos. Ethan odwrócił się, odruchowo przymrużył oczy pod wiatr, chociaż pod maską nic im się nie mogło stać, i rozpoznał okrągłą, ubraną w kombinezon ochronny postać, która machała do nich z dziobu.

– Kiedy się już znajdziecie w porcie i będziecie mieli jakieś kłopoty z władzami, skorzystaj z numeru dwadzieścia dwa RR! – Głos był rzeczowy, władczy, a jednak kobiecy mimo całej trzymanej w ryzach mocy. Colette du Kane przerwała, żeby powiedzieć coś półgłosem do stojącej obok niej chwiejnej postaci, a potem troskliwie objęła ojca ramieniem. – To nasz rodzinny kod. Każdy komputer rozpozna go natychmiast, Ethanie. Od osobistego kartometru do legitymacji kościelnej. Zapewni nam pierwszeństwo przy rezerwacji na pierwszy odlatujący stąd wahadłowiec i pomoże uporać się z biurokracją.

– Dwadzieścia dwa RR, w porządku. – Ethan zawahał się, bo Colette chciała chyba jeszcze coś dodać, ale w tym momencie jej ojciec gwałtownie się pochylił i musiała się nim zająć. Z tej odległości nic nie słyszeli, ale ruchy postaci wskazywały na szarpiący, głęboki kaszel.

Odwrócili się i ruszyli w stronę miasta. Hunnar i giermkowie zredukowali szybkość jazdy niemalże do pełzania, żeby nie wyprzedzić ludzi. Jeszcze trochę, a musieliby zacząć chodzić.

– Silna kobieta – odezwał się pogodnie półgłosem September.

Hunnar zapytał o coś jakiegoś tubylca, a ten skierował ich na lewo. Poszli wzdłuż portu i skręcili w tym kierunku.

– Tak, jest silna – zgodził się Ethan. – Ale ma trochę skłonności do despotyzmu.

– No cóż, mój chłopcze, a czego spodziewałaś się po latorośli jednej z rodzin kupieckich? Oczywiście mnie nic do tego. To tobie się oświadczyła, nie mnie.

– Wiem, Skuo. Ale szanuję twoje zdanie. Jak myślisz, co powinienem zrobić?

– Prosisz o opinię człowieka, którego poszukuje policja – szeroko uśmiechnął się Skua. A potem

uśmiech zniknął i September stał się niespodziewanie, nienaturalnie poważny. – Chłopcze, możesz mnie prosić o radę, kiedy chodzi o walkę, i to obojętnie czy wręcz, statek ze statkiem, czy może pojazd z pojazdem. Możesz mnie prosić o radę, kiedy chodzi o politykę czy religię, jedzenie czy picie. Możesz mnie prosić o radę w dowolnych stu sprawach, w tysiącu sprawach, a chociaż o połowie z nich wiem tyle, co kot napłakał, mimo to zaryzykuję i ci odpowiem. Ale – i tu popatrzył na Ethana tak ostro, tak wściekle, że ten w zdenerwowaniu aż się potknął – nie prosz mnie o radę, kiedy chodzi o kobiety, bo miałem z nimi gorszego pecha niż w walce, polityce, czy tysiącu innych sprawach. Nie, mój chłopcze – ciągnął dalej, odzyskując częściowo swój niezmiennie dobry humor – tego wyboru będziesz musiał dokonać sam. Ale jedno ci powiem: nie utożsamiaj nigdy kształtów i urody ze zdolnością do odczuwania namiętności. Ten błąd popełnia zbyt wielu mężczyzn. Piękno to nie jest rzecz powierzchowna... sięga do głębi, cholernie głęboko. A teraz przyspieszmy trochę kroku. Sir Hunnar i jego chłopcy prawie już pozasypiali, próbując leżeć w naszym tempie, a mnie w równym stopniu jak tobie zależy, żeby się dostać do kapitanatu...

* * *

Weszli na szczyt niewielkiego wzniesienia. W dole tuż przed nimi leżało osiedle thraxludzkie Dęta Małpa. W tym momencie Ethan nie był w stanie oderwać wzroku od trzech wklęsłych zagłębień wykopanych w zamrożonej ziemi i schludnie wyłożonych okładziną z metalu, wolną od lodu. Lądowiska wahadłowców. Sama metalowa okładzina, te trzy idealne misy to według Irańskich kategorii istna fortuna, a przecież żadna z nich nie wyglądała na naruszoną ani przynajmniej uszkodzoną. Oczywiście, przypomniał sam sobie, przyczyną tego może być fakt, że tranowie nie posiadali wystarczająco mocnych narzędzi, żeby przeciąć duramiks czy metaloceramiczne krystaloidy.

Na jednym z lądowisk stał sobie niewielki, metalowy kształt; byłby nadzwyczaj podobny do *Slanderscree*, gdyby nie brak masztów i bardziej aerodynamiczna konstrukcja. Na widok tego niewielkiego statku Ethanowi aż coś zatrzepotało w żołądku. Może się już niedługo na nim znajdzie.

Po wschodniej stronie osiedla wzniesiono gigantyczną ścianę ze zmarzłej ziemi i bloków lodu oraz śniegu, mającą chronić przed wytrwale wiejącym od portu wiatrem. Zabudowania kapitanatu leżały niedaleko, po ich stronie przystani, ruszyli więc wszyscy w stronę dwupiętrowego gmachu o kształcie litery L. We wnękach nad wolnym od śniegu głównym wejściem świeciły dwa jarzące się znaki. Jeden z nich głosił: DĘTA MAŁPA – TRANKYKY ADMINISTRACJA. Pod nim znajdowały się napisane kanciastym, lokalnym pismem słowa, które z grubsza można być przetłumaczyć jako MIEJSCE OBCOZIEMCÓW Z NIEBA. Przez drzwi przepływał nieprzerwany strumień opatulonych ludzi, wśród nich pojawiał się od czasu do czasu jakiś tran. Okna ze szkłotopu, tak grube, że można by ich używać na statkach gwiazdnych, pozwalały mieszkańcom budynku wyglądać na zamrożony świat. Ethan zajrzał przez nie do środka. W jakiś sposób chroniono je od wewnątrz przed kondensacją pary.

– Co zrobimy teraz, Ethanie?

Głos Hunnara brzmiał niepewnie. Bez wątplenia rycerz zastanawiał się, czy ci dziwni ludzie zamieszkujący to miejsce będą mieli w obrębie swoich budowli jakieś ścieżki lodowe, czy też będzie zmuszony iść dalej na piechotę.

– Musimy zarezerwować sobie miejsca na odlot z waszego świata. Z powrotem do domu.

– Do domu – powtórzył jak echo Hunnar. – Oczywiście.

W głosie rycerza dały się słyszeć sprzeczne emocje. Ethan na tyle rozumiał już język, że zauważał takie niuanse. Hunnar wyrażał smutek z powodu ich zbliżającego się odlotu, a równocześnie dogłębną wdzięczność. A może po prostu myślał o Elfie Kurdagh-Vlata, śpiącej na pokładzie *Slanderscree*.

I znowu Ethan miał ochotę pocieszyć Hunnara, że jeśli chodzi o ich rywalizację o względy córki Landgrafa, to nie ma się czym martwić, ale uznał, że zarezerwowane miejsca na odlot powinno Hunnara pocieszyć w dostatecznym stopniu.

W stronę wejścia prowadziła lodowa rampa dla użytku ludzi, obramowana po obu stronach gładkim metalem. Metal był poźłobiony, żeby zwiększyć tarcie, chociaż chwilowo nie było na nim lodu. Drogę do środka zagrażały dwie pary drzwi. Przez pierwsze przeszli bez większych kłopotów, pomimo gwałtownego wzrostu temperatury, ale kiedy minęli drugie i weszli do wnętrza budynku, Sir Hunnar dosłownie zatoczył się, a markotny Suaxus niemal upadł. Tranowie lubili w swoich pomieszczeniach utrzymywać ciepło, tak może z pięć stopni powyżej zera, ale temperatura panująca wewnątrz budynku, ustawiona na wysokość optymalną dla ludzi, była dla nich zabójczo wysoka. W tym momencie Ethan zorientował się, że w samym budynku nie było żadnych tranów. Ci, którzy wchodzili do środka, zatrzymywali się w strefie pomiędzy dwoma parami drzwi, w niedużym westybulu z wieloma okienkami. To tam oddawali i odbierali pakunki, czy toczyli rozmowy z ludźmi przy zainstalowanych w tym celu okienkach. Pomieszczenie było wystarczająco chłodne dla nich, a znośne dla ludzi tu pracujących, a mimo to tranowie kończyli swoje interesy w pośpiechu i wypadali na zewnątrz, na krzepiąco arktyczne powietrze.

– Za... twoim pozwoleniem, przyjacielu Ethanie, przyjacielu Skuo... – Hunnar chwiejnie się wyprostował. Nie czekając na potwierdzenie Ethana, rycerz i jego dwaj towarzysze odwrócili się i potykając wyszli na zewnątrz. Przez przezroczyste drzwi Ethan widział, jak Suaxus opada do pozycji siedzącej i chwyta się obiema rękami za głowę, a Hunnar i Budjir, wciągający całe hausty lodowatego powietrza, zajmują się nim.

– Rozumiem, tu by dostali udaru cieplnego, jak nic. – September pospiesznie pozbywał się swoich futer z hessavara.

Ethan nie miał tego problemu. Po prostu zsunął maskę, gogle i kaptur. Kombinezon automatycznie dostosował się do cieplejszego powietrza wewnątrz budynku; materiał był rzecz jasna wrażliwy na ciepło.

Podeszli do kratki informacyjnej. Jakiś głos poinformował ich uprzejmie o nazwisku kapitana portu i lokalizacji jego biura. Na mapie osadzonej przy okienku wyświetlona została trasa dojścia.

W biurze powitał ich mały człowieczek o oliwkowej cerze i mocno skręconych, czarnych włosach. Kiedy weszli, uniósł nieco w górę brwi, poza tym nie wydawał się zbyt zaskoczony ich obecnością. Spoglądał najczęściej na Septembra, co nie było niczym zaskakującym; Skua musiał się

pochylić, żeby wejść do biura.

Znajdowali się na drugim piętrze budynku. Szerokie okna wychodziły na front i na tył, ukazując lądowiska i dachy Asurdunu. Kontrast pomiędzy zmrożonym średniowieczem a opływową nowoczesnością powodował, że okna wyglądały obco, sztuczne i nieprawdopodobne.

– Dzień dobry, panowie, dzień dobry. Carpen Xenaxis, kapitan portu. Doniósł nam jeden z naszych patroli, że jakiś duży statek z ludźmi na pokładzie wchodzi do portu. – Przerwał, czekając na potwierdzenie.

– Tak, byliśmy na pokładzie. – Ethan przedstawił siebie i Septembra, a potem wdał się w pospieszne wyjaśnianie ich obecności na Tran-ky-ky, nieudanego porwania du Kane’ów... w tym momencie kapitan mu przerwał.

– Chwileczkę, przepraszam. – Odwrócił się do trójwymiarowego ekranu, wbudowanego z boku w biurko, i powiedział coś zwięźle i cicho do kogoś, kogo nie było widać. Potem z miłym uśmiechem odwrócił się do nich. – Zakładano, że du Kane’owie zginęli podczas awarii szalupy ratunkowej, a wy mówicie mi, że nie była to żadna awaria. Złożyłem właśnie raport, że są zdrowi i cali. Napływało wiele pytań o nich. Cały szereg osób zainteresuje się tą wiadomością. – Nagle Xenaxis zaniepokoił się. – Ale są zdrowi i cali, prawda? – Ethan skinął głową.

– Sami porywacze nie żyją – dodał September. – Ja zabiłem jednego z nich własnymi rękami. Jeżeli jest jakaś nagroda, chciałbym jej zażądać.

– Naturalnie. Ma pan do niej prawo. – Kapitan portu przekreślił następny wyłącznik, przygotował się do następnego nagrania. – Jeżeli tylko poda mi pan nazwisko, świat, z którego pan pochodzi, adres domowy i kod finansowy, jestem pewien, że...

– No cóż, właściwie to nie byłoby sprawiedliwe. To nie moja zasługa. – September wskazał gestem na swego towarzysza. – To ten chłopak wszystkim dyrygował. Jemu należy przypisać zasługi.

Ethan zwrócił spłoszone spojrzenie na Septembra, otworzył usta, żeby skomentować jego wypowiedź, ale jako doświadczony komiwojażer był specjalistą w odczytywaniu wyrazów twarzy. A w tej właśnie chwili na twarzy potężnego mężczyzny malowało się całe mnóstwo wyrazów, które mógł interpretować.

Trzeba przyznać, że Ethan bezbłędnie rozszyfrował większość z nich.

– Jeżeli jest jakaś nagroda, to będę się o nią później martwił. – September odrobineczkę się odprężył. – Przede wszystkim zależy nam, żeby się stąd jak najszybciej wydostać.

– Mogę to sobie wyobrazić. – Xenaxis nadał swojej wypowiedzi odpowiednio współczujący ton. – Mnie samemu szczególnie odpowiada towarzystwo tych tubylców. Można z nimi robić interesy, ale stosunki towarzyskie są niemal niemożliwe. Nie dość, że każda z ras przyzwyczajona jest do innej temperatury, to są oni z natury kłótniwi i agresywni. – Ethan nic nie powiedział, zachowując obojętny wyraz twarzy.

– A więc lokalny handel jest dochodowy? – Głos Septembra brzmiał tak, jak gdyby jego pytanie oznaczało coś więcej niż tylko uprzejmą wymianę zdań.

Xenaxis wzruszył ramionami.

– Moim naczelnym zadaniem, panowie, jest dbanie o to, żeby wydział handlowy tej placówki działał sprawnie. Mamy tu w Dętej Małpie trzy magazyny, których zawartość często się zmienia. Oczywiście ja jestem tylko cywilnym pracownikiem, na gołej pensji. – Ethanowi zdawało się, że w głosie kapitana słyszy nutę zazdrości. – Ale są takie kompanie i indywidualni przedsiębiorcy, którzy bez wątplenia dobrze zarabiają na tym lodowatym pustkowiu.

– A czym handlują? – Xenaxisowi nie powinno to pytanie wydawać się podejrzane, pomyślał Ethan. Musiał je zadać, w końcu to był jego fach.

– Tak, jak się można spodziewać.

Kapitan rozparł się w fotelu. Do Ethana doszedł cichy syk kompensatorów pozycji; wyglądało na to, że Xenaxis ma kłopoty z plecami. Ale chyba zależało mu na tej rozmowie. Bez wątplenia w Dętej Małpie nieczęsto widywało się nowe twarze. – Głównie towary luksusowe: dzieła sztuki, rzeźby, futra, klejnoty, rękodzieło, niekiedy rzeźby z kości słoniowej, najwspanialsze jakie można by sobie wymarzyć. Tubylcy wyglądają na niezdarnych, ale zdolni są do wspaniałej pracy.

Ethan pomyślał o kle stavanzera i o tym, co mógłby z niego zrobić dobry lokalny artysta.

– Oczywiście wiecie, panowie, jak to jest – ciągnął dalej kapitan portu. – Kiedy cywilizacja robi się tak nowoczesna, jak cywilizacja Wspólnoty, tanieje doskonała pod względem wykonania maszynaria i przyrządy potrzebne do codziennego życia. Ludzie mają mnóstwo kredytów w nadmiarze, muszą coś z nimi zrobić. Wydają je więc na luksusy, dzieła sztuki i inne nieistotne rzeczy. – Jego krzesło wróciło do pozycji pionowej, a ton stał się znów oficjalny. – Jeśli chodzi o wasz odlot z planety, zakładam, że będą wam potrzebne miejsca na wahadłowcu dla was dwóch i dla du Kane'ów.

– I dla jeszcze jednej osoby, nauczyciela o nazwisku Williams – powiedział Ethan.

– Pięć. Powinno mi się to udać, biorąc pod uwagę te niezwykle okoliczności. Nie znam kapitana, który by wam odmówił miejsca. – Odwrócił się do swojego trójwymiarowego ekranu i zaczął naciskać guziki. – Jeżeli chcecie, żeby ktoś dowiedział się, że przeżyliście, wyślę zawiadomienia, umieszczę je na arkuszu wychodzącej poczty. Pewnie obydwaj macie przyjaciół i krewnych, którzy z radością się dowiedzą, że jeszcze jesteście z nami. Może dla władz nie jesteście tak ważni jak du Kane'owie, ale pewnie dla paru osób tak.

Chociaż było całkiem prawdopodobne, że kapitan nie lubi tranów, Ethan uznał, że ten człowieczek bardzo mu się podoba.

– Colette du Kane powiedziała mi, żeby skorzystać z kodu dwadzieścia dwa RR. Mówiła, że może to przyspieszyć załatwienie spraw.

– Jeżeli to ich finansowy kod rodzinny, to z pewnością pomoże – zgodził się Xenaxis. Sprawdził coś na niewidocznym odczycie. – Następny statek, który ma zatrzymać się na orbicie, to towarowy *Palamas*. Załatwię wam zaokrętowanie poprzez przekaźnik satelitarny, jak tylko *Palamas* znajdzie się w naszym zasięgu. – W jego głosie pojawił się przeproszający ton. – My tu nie jesteśmy ani tak wielcy, ani tak ważni, żeby kwalifikować się do posiadania pasma częstotliwościowego dalekiego zasięgu kosmicznego. *Palamas*, o ile pamiętam, jest statkiem kursującym po obrzeżu, ale w końcu wchodzi na orbitę Draxa IV, a stamtąd będziecie już mogli wszędzie dolecieć.

– Kiedy ma przylecieć? – Ethan zdumiony był brakiem entuzjazmu w swoim własnym głosie.

– O szóstej piętnaście dwudziestego czwartego. – Na dwóch twarzach odmalował się kompletny brak zrozumienia. Xenaxis przez chwilę wpatrywał się w nich, a potem się lekko uśmiechnął. – Przepraszam. Zapomniałem, że pewnie od momentu lądowania straciliście kontakt z czasem lokalnym.

– Mieliśmy chronometry – wyjaśnił Ethan – ale jedne nie przetrwały katastrofy, a te, które przetrwały, nie przetrwały tego klimatu. Mój wprowadzie przetrwał i jedno, i drugie, ale nie przetrwał... – Wyciągnął prawą rękę i pokazał kapitanowi miejsce, gdzie rozerwany rękaw został załatany od dłoni do ramienia. – Zabrał mi go stawanzer.

– Ma pan na myśli jednego z tych roślinożerców wielkości statku, z których każdy waży kilkaset ton? Nigdy sam żadnego nie widziałem, tylko trójwymiarówki, które zrobiła ekipa badawcza.

– Musieliśmy jednego z nich zawrócić z drogi.

– Tak. – Xenaxis przypatrywał się obydwu mężczyznom z szacunkiem. – *Palamas* powinien wynurzyć się z nadprzestrzeni za parę dni. Dajcie mu dwa dni, maksimum trzy, na wyhamowanie i wejście na orbitę. Przykro mi, że nie mogę wam zaproponować odlotu w krótszym terminie. Nie mamy tu stacji mieszkalnej, na którą mógłbym was przewieźć, ale jeżeli uda mi się oderwać od moich obowiązków, będę miał do was prośbę.

– Słuchamy?

Kapitan portu podniósł się, okrążył swoje biurko, podszedł do bocznego okna i wpatrzył się w coś ponad dachami Asurdunu. Płatki śniegu podskakiwały po przejrzystej, zaizolowanej szybie jak tłuste, białe pchły.

– Widzę stąd maszty tego statku, którym przyjechaliście. Jest dużo większy niż wszystko, co dotychczas zarejestrowaliśmy. Bardzo bym chciał przyjrzeć mu się dokładniej.

– Proszę porozmawiać z jego kapitanem, Ta-hodingiem – poradził mu Ethan. – Na pewno z radością pana oprowadzi. Jest dumny z tego statku.

– I ma ku temu powody. – Xenaxis niechętnie odwrócił się od okna. – Przypuszczam, że powinienem znowu zabrać się do pracy. Trzeba powypełniać formularze. – Skrzywił się. – Jeżeli panowie chcecie, możecie zatrzymać się tutaj, na naszej placówce. Znajdzie się dla was miejsce.

– Nie wiem, jak inni – September przesunął się w stronę drzwi – ale jeśli chodzi o mnie, raczej zostanę z naszymi trańskimi przyjaciółmi.

– Jak pan chce. – Xenaxis usiadł i odwrócił się do Ethana. – Jeszcze chwilę, panie Fortune. Chyba mamy tu jedną czy dwie niewielkie skrzynki, zdeponowane na pana nazwisko; czekają w magazynie numer trzy.

– Próbki moich towarów. Jedna z nich zawiera około tuzina małych grzejników na pierwiastkach obojętnych. Rok temu dałbym tysiąc kredytów za taki piecyk. Pewnie spróbuję sprzedać kilka z nich przez następne parę dni. – Dziwne, dumiał Wychodząc z biura kapitana portu, jak kompletnie zapomniał o tych swoich towarach na sprzedaż. Z jakiegoś nie dającego się wyjaśnić powodu sprawy takie jak marża zysku, akceptacja przez klientów i rozszerzanie terytorium wydawały mu się teraz dziecinadą. Czyżby Tran-ky-ky zmieniła coś więcej niż tylko jego odporność na zimno?

ROZDZIAŁ 2

Kiedy zeszli na pierwsze piętro, September zatrzymał Ethana kładąc mu rękę na ramieniu.

– Sir Hunnar i jego towarzysze nie będą nam mieli za złe, że poczekają jeszcze chwilkę dłużej, mój chłopcze. – Pokazał palcem na korytarz, w kierunku przeciwnym niż główne wejście. – Chodźmy i rzućmy okiem na twoje próbki.

– Skuo, w tej chwili w mojej głowie tyle różnych spraw usiłuje na siebie ściągnąć uwagę, że naprawdę nic mnie nie obchodzą te skrzynki.

– Wcale nie chcę, żebyś dla mnie rozkładał swój kramik, chłopcze – powiedział cicho September. – To z innego powodu chciałbym zajrzeć do tego magazynu.

Ethan przyjrzał mu się uważnie, ale Skua zdążył się już odwrócić i ruszyć korytarzem. Ethan pospieszył dotrzymać mu kroku.

– Powinien tu gdzieś być ogrzewany tunel, który zaprowadzi nas do zespołu magazynów, byle tylko znaleźć właściwą windę. Magazyny powinny znajdować się na powierzchni, jak wszystko inne.

Magazyn trzeci był typową formą użytkową, takim metalowym prostopadłościanem bez okien. September miał rację co do jego położenia. Pomimo mrozu na Tran-ky-ky taniej było budować nad ziemią; łatwiej na niej ustawić budowlę z prefabrykatów, zdolną oprzeć się wiatrom, niż rozkopywać wieczną zmarzlinę i zamarznąłą ziemię. Magazyn był szczelny, ale niezbyt dobrze ogrzany. Gdyby Ethan nie miał na sobie kombinezonu ochronnego, trzęsłyby nim dreszcze. Zerknął na ścienny termometr i zobaczył, że wewnątrz temperatura była ledwie powyżej zera. Magazynu pilnowało dwóch strażników, jednym z nich była kobieta. Kiedy Ethan i September zaczęli się dopytywać, z jakiego powodu w tak absurdalnym miejscu stoi straż, mężczyzna wyjaśnił ochoczo:

– Krążą pogłoski, jakoby tubylcy kradli wszystko, na co uda im się położyć łapę. Nie jest to ciepła posadka, ale gdzie u diabła na tym świecie można taką znaleźć?

– Czy złapaliście kiedyś jakiegoś tubylca na kradzieży? – W głosie Ethana słychać było gniew.

Strażnik wyraźnie się obruszył.

– Hej, słuchaj no pan, ani ja, ani Jolene nie jesteśmy od robienia polityki, pilnujemy tylko, żeby jej przestrzegano. – Strażniczka w poczuciu ważności położyła rękę na swoim promienniku. – Pokażcie no nam zezwolenie.

– Proszę połączyć się z kapitanem portu. – Ethan nie miał ochoty na współpracę. Może i tranowie nie byli najbardziej wylewnym ludem w galaktyce, ale odnosił wrażenie, że tu nikt nie próbuje nawet przekonać się, czy jest inaczej.

– Na Dierda! Nazwisko i numer skrzyni? – Ethan powiedział mu. – Tak, pana rzeczy są gdzieś o cztery rzędy w głąb, potem na prawo. Sekcja dwadzieścia D. – Usunął się na bok.

September miło się do niego uśmiechnął, a do strażniczki jeszcze milej. Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie rozumiem tego – burczał Ethan, kiedy torowali sobie drogę pomiędzy wysokimi regałami pełnymi skrzyń i pak. – Wszyscy tranowie, jakich dotąd spotkaliśmy, byli uczciwi; nigdy nie słyszałem, żeby Hunnar czy ktoś inny w Wannome napomknął o jakichś kradzieżach.

– Nie zetknęli się w wystarczającym stopniu z korumpującym wpływem zachłannej cywilizacji – skomentował na wpół serio September. Skręcili w prawo przy czwartym regale.

Ethan znalazł swoje trzy małe, plastikowe skrzynki. Strukturę molekularną niebieskiego materiału, z którego były zrobione, mógł rozluźnić tylko jego kod pieczętujący. Pieczęcie kontrolne domu Malaiki wyglądały na nie naruszone i nie sfalszowane.

– Mogę je zabrać w każdej chwili, Skuo. Na co chciałeś popatrzeć?

– Właśnie na to patrzę, chłopcze. – September obejmował wzrokiem wysokie po sufit stopy skrzyń. – Już zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć. Czas iść.

Wyszli z chłodnego pomieszczenia, minęli strażników, którzy obrzucili ich wrogim spojrzeniem. September milczał, dopóki nie doszli niemalże do głównego wyjścia.

– Coś nie dawało mi spokoju w wypowiedziach Xenaxisa dotyczących lokalnego handlu – wyjaśnił. – A teraz, kiedy zajrzałem do środka, jeszcze bardziej mnie to niepokoi. Jeżeli sądzić po oznakowaniu tych skrzyń, dokonywane tu transakcje są chyba okropnie jednostronne.

– Pod jakim względem jednostronne?

– Chłopcze, tamte skrzynie są zupełnie nowe, ich oznakowanie to potwierdza. Widać dużo więcej odlatuje z tego świata, niż tu przybywa. Oczywiście trudno jest oszacować, ile duramiksowych i ceramistalowych noży wychodzi na jedną rzeźbę, ale sędzę, że tranowie nie znają wartości tego, co eksportują. Jaką wartość ma sto litrów wody dla człowieka na pustyni, a ile warte jest sto litrów ziemi dla człowieka na oceanie? Ktoś tu ciągnie dużo większe zyski, niż nakazuje uczciwość, mój chłopcze. Na żadnych paczkach w tym magazynie, poza twoimi, nie widziałem herbu rodzin kupieckich. Ktoś, nie wiadomo kto, może bez licencji, wprowadził tutaj wspaniałą, śliczny monopol i do tego oszukuje tranów przy ustalaniu ceny. Oczywiście oni nie mają na tyle rozumu, żeby zorientować się, że są oszukiwani. Ale ja to wiem i doprowadza mnie to, chłopcze, do szału. To są moi przyjaciele.

– Nasi przyjaciele – powiedział spokojnie Ethan.

– Pewno, nasi przyjaciele... jeszcze przez pięć dni.

– A co możemy w tej sprawie zrobić? Nie, zaczekaj. Jestem przecież reprezentantem domu Malaiki. Nigdy się ze starym osobiście nie spotkałem, ale o ile wiem, jest uczciwszy od wielu innych szefów rodzin kupieckich. niesprawiedliwość pewnie nie ruszyłaby go do działania, ale perspektywa zysków raczej tak. Jestem pewien, że byłby gotów się włączyć i zaoferować tranom lepszy kontrakt.

– Nie o to mi chodzi, żeby rozsmarowywać zyski. Wy tłumaczę ci później. – Powiedziawszy to olbrzym zamilkł; bez słów ruszyli w stronę wyjścia.

Tuż przed drzwiami minęli dwóch thranxów. Te wysokie na metr owady, które wraz z ludzkością dominowały we Wspólnocie, były opatulone tak, że niemal nie dawało się ich poznać, miały na sobie kombinezony ochronne, zaprojektowane specjalnie dla ich mających po osiem kończyn ciał. Nawet wewnątrz budynku nosiły na pierzastych czułkach specjalnie tkane rękawy z futrzaną podszewką. Wyraźnie wolały pogodzić się z pewną utratą precyzji doznań, byle tylko nie marznąć. Pochodzący z gorących, wilgotnych światów thranxowie szczególnie kiepsko czuli się tutaj, na Tran-ky-ky. Minęli ich mamrocząc coś do siebie w języku górnothranxyjskim. Ethan zastanawiał się, co złego musieli ci dwaj zrobić, że skazano ich na podobne wygnanie. Tran-ky-ky można było uznać za istne wcielenie thranxyjskiej koncepcji piekła.

– Ciekawe, co się tam dzieje? – Septembra zainteresował widok za drzwiami. Przy rampie prowadzącej do wejścia zebrał się tłumek gapiów. Gdzieś w środku toczył się chyba jakiś spór. Mężczyźni pospiesznie wyszli przez zewnętrzne drzwi.

Ethan miał wrażenie, że prosto w oczy uderzyło go smagając fotonami z milion lumenów. Szklane drzwi były chemicznie barwione, żeby przebywających w budynku nie raził ostry blask bijący z dworu, a Ethan wychodząc na zewnątrz zapomniał naciągnąć gogle. Teraz pospiesznie je opuścił i ostrożnie otworzył oczy. Stopniowo wrócił mu wzrok i był już w stanie dostrzec coś poza bielą, chociaż wciąż jeszcze czuł się tak, jak gdyby mu się ktoś dobrał pilnikiem do nerwów ocznych. Nasunął na twarz maskę, zbyt jednak wolno i kilka łez zdążyło już zamarznąć mu na policzkach. Pod maską łzy natychmiast się stopiły.

Kiedy wszedł za Septembrem w tłum, zaczęły do niego docierać słowa sprzeczki. Niektórych nie potrafił przetłumaczyć, a te, które zrozumiał, wprawiały go w zażenowanie. Dwóch tranów dawało wyraz przeogromnej niechęci, jaką do siebie nawzajem odczuwali. Jednym z nich był Hunnar, drugiego Ethan nie znał. Stali naprzeciw siebie w pozycjach bojowych i z nie słabnącą swadą wymieniali obelgi. W pobliżu dostrzegł Suaxusa i Budjira, nerwowo przebierających palcami po rękojeściach mieczy; ich zęby były na wpół obnażone. Ci, którzy stali najbliżej nich, groźnie pomrukiwali.

– ...potomku kulawego k'nitha! – warczał obcy tran na Hunnara.

Ethan z pewnym zaskoczeniem zauważył, że przeciwnik przewyższa wzrostem rycerza, chociaż ani w przybliżeniu nie jest tak wspaniale umięśniony. Prawdę powiedziawszy, wyglądał na mięczaka

i lalusia, ale poczucie własnej ważności aż z niego tryskało. Spowijały go dziwacznie udrapowane na piersi zielone i złote szarfy z jakiegoś metalizowanego materiału, sięgające od ramienia aż do biodra pod danami. Metalizowany materiał to towar importowany, tyle Ethan wiedział. Nic dziwnego, że do lewej nogi ten bogato ubrany tran miał przypasany krótki miecz ze stelamidu; ostrze Hunnara wykonane było z kiepskiej pod względem jakościowym stali. Rękojeść tamtej broni zrobiono z plastiku uformowanego w zawile wzory.

– Nie będę z tobą walczył. – Obcy usiłował przyoblec się w półurzędową godność. – Nie zwykłem walczyć z... – Ostatnie słowo, którego użył było wieloznaczne, mogło między innymi oznaczać obcokrajowca lub najpodlejszą kastę chłopstwa.

– Noszę imię Sir Hunnar Rudobrody – odparł dosyć opryskliwie rycerz. – Zwyciężyłem Sagyanak Nagłą Śmierć, zrównałem z ziemią jej Horde, jestem rycerzem z Wannome na Sofoldzie.

– Nigdy nie słyszałem ani o jednym, ani o drugim – parsknął ktoś w tłumie.

Naokoło rozległy się ponizające chichoty. Suaxus i Budjir usiłowali wypatrzeć żartownisia, nie udało im się.

– Już niedługo o nich usłyszysz – zamruczał Suaxus. – To będzie wspaniała inskrypcja na twój czas wędrówki.

– A skoro mowa o nawozach – ciągnął dalej Hunnar – to bez wątpienia tym właśnie handluje twoja rodzina, żeby otrzymać błyskotki, którymi się obwiesiłeś, i ten lśniący, nowy miecz. Prawdę mówiąc, taki jest nowy, że chyba nigdy nikt go nie używał. No, ale do czego mógłby potrzebny być miecz komuś, kto się grzebie w gównach?

Stojący naprzeciw niego tran zesztwytniał. Ethan wiedział, że, przynajmniej na Sofoldzie, naturalne odchody zamarzały natychmiast, jak tylko wystawiono je na powietrze. A wtedy zbierali je tranowie należący do najniższej kasty i odsprzedawali rozmaitym farmerom, którzy podgrzewali je i rozrzucali jako nawóz. Nietrwałą ekologię na wyspach Tran-ky-ky można było utrzymać w równowadze wyłącznie przez rygorystycznie stały obieg dostępnych składników pokarmowych w glebie. To, że taka profesja była niezwykle potrzebna, nie łagodziło obraźliwości uwagi Hunnara.

Wszyscy w tłumie poznali się na tej obeldze. Parsknięcia i uwagi ustąpiły miejsca gniewnemu mamrotaniu; ręce zaczęły przesuwac się w kierunku broni. Żaden dorosły tran, a i niewiele kociąt pokazałoby się bez przynajmniej sztyletu, przymocowanego po zewnętrznej stronie uda. Chociaż Hunnar i jego giermkowie byli bardziej zaprawieni w walkach i mieli więcej doświadczenia niż miejski motłoch, ten ostatni miał po swojej stronie miazdzącą przewagę liczebną. September i Ethan weszli w krąg przeciwników.

– Jesteśmy tu gośćmi i nic życzymy sobie żadnych zadrażnień. – Ethan badawczo przyglądał się zebranym. Ci trzej to nasi przyjaciele.

Kiedy to oznajmił, w tłumie zaszła ogromna zmiana. Tran, który sprzeczał się z Hunnarem, zaczął ze skruchą gestykulować w kierunku Ethana. Jego zachowanie zmieniło się gwałtownie z

agresywnego w służalcze.

– Niech guttorbyn porwie moje kocięta, jeżeli obraziłem was, obcoziemcy z nieba! Nie wiedziałem, że ci – tu niemal znowu użył słowa określającego chłopstwo – inni to wasi osobiści przyjaciele. Gdybym to wiedział, zdarzenie nie miałoby miejsca. Błagam o wybaczenie dla mojej rodziny.

– No cóż – zaczął Ethan nieco skonsternowany szybkością, z jaką tamten zaczął go przeproszać – ja wybaczeni ci, jeżeli o to chodzi.

– Ale powiedz Hunnarowi, że jest ci przykro. – September szeroko się uśmiechnął.

Jaskrawo przyodziały tran wytrzeszczył na Septembra oczy. Przez moment w jego spojrzeniu Ethan dostrzegł błysk czegoś innego niż szacunek. Błysk jednak szybko zniknął.

– Jak sobie życzy obcoziemiec z nieba. – Odwrócił się do Hunnara. – Proszę o twoje wybaczenie, przyjacielu. – Ostatnie słowo wydusił z siebie jak krnąbrne beknięcie.

– Zakończ to, jak się należy.

Ethan rzucił Septembrowi ostrzegawcze spojrzenie. Na litość nieba, otrzymali już przeprosiny! Czego on więcej chciał?

– Mój... mój oddech jest twoim... twoim... – tran zerknął niespokojnie na Septembra, unikając patrzenia komukolwiek z tłumu w oczy.

– Powiedz – nalegał chłodno September.

Twarz tubylca przybrała wyraz nadzwyczajnego niesmaku, wyciągnął obie ręce i zbliżył się do Hunnara. Położył dłoń na każdym z ramion rycerza i szybko dmuchnął mu powietrzem w twarz.

– Mój oddech jest twoim ciepłem – powiedział szybko. Potem wycofał się w tłum.

Sympatia gapiów leżała po stronie odchodzącego, a nie Hunnara, uznał Ethan. Tymczasem rycerz zmarszczył swój szeroki pysk.

– Fuj! Śmierdzi jak łój falfy.

– Czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? – September wbił spojrzenie w tłum. Burcząc i mamrocząc zebrani zaczęli się rozchodzić. Jak okruchy odpadające z ciasta rozsypywali się na różne strony i dzielili na coraz mniejsze grupki. Pomruki obejmowały wyraźne słowa przeprosin, ale wszystkie kierowano do ludzi.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał Ethan rycerza. Hunnar się chyba zdenerwował.

– Czekaliśmy cierpliwie na ciebie i przyjaciela Septembra. Miejscowi ciągle wychodzili z budynku i wchodzili do środka. Wielu z nich rzucało w naszą stronę uwagi. Żadnej z nich nie było

miło słyszeć, Ethanie. Za niektóre z nich na ulicach Wannome zamarzłaby krew. – Zaczepnął głęboko powietrza. – Ale to nie jest Wannome i nie chcieliśmy zrobić czegoś, co mogłoby wam przyczynić kłopotów czy wstydu. Było to bardzo trudne, ale ignorowaliśmy te komentarze. A przynajmniej dopóty, dopóki ten ostatni pash nie wyraził się o mojej rodzinie tak, że nie sposób było nie zareagować. Gdybyś nie interweniował, Ethanie, udekorowałbym ulicę jego wnętrznościami.

– Szybko mu przebaczyłeś – powiedział cicho Suaxus.

Hunnar odwrócił się i spiorunował go wzrokiem, ale giermek patrzył na niego wyzywająco. Zawsze bardzo niewiele wystarczyło, by Suaxus poczuł się urażony, przypominał sobie Ethan.

– Trudno to nawet nazwać interwencją – powiedział. Usiłował udobruchać Hunnara, złagodzić jego ewentualne zażenowanie, że nie walczył ze swoim przeciwnikiem. – Byliśmy gotowi stanąć z bronią u waszego boku, jeżeli zaszłaby potrzeba. Dlaczego oni wszyscy przeprosili i tak się ulotnili?

September zaczął drapać się po swoim udekorowanym kolczykiem uchu.

– Sam nie jestem pewien, chłopcze. Żaden tran w Wannome tak się w stosunku do nas nie zachowywał. Byli uprzejmi, ale mieli swą godność.

Hunnar gestem wskazał na miejscowych, którzy szifowali do budynku i wyjeżdżali na zewnątrz.

– Nie wojownicy – powiedział to pogardliwie.

– Skuo, czy zwróciłeś uwagę na ubranie tamtego? – zapytał Ethan.

– Nie. Ograniczyłem się do obserwowania jego twarzy i ręki przy mieczu.

– Miał na sobie szarfy z metalizowanego materiału i inne dekoracje nie z tego świata, a miecz był ze stelamidu.

– Skłonność do przepraszania rośnie wraz z zaawansowaniem handlu. Ciekawe. – September miał pełną namysłu minę.

– Oni uważają – powiedział Suaxus z goryczą – że są lepsi od nas, ponieważ mają tu kontakty z wami.

– To śmieszne. – Ethan poczuł się nader niewyraźnie. – Czemu miałyby tak być?

– Nierzadko się to zdarzało i w naszej własnej przeszłości, chłopcze. – September kierował te słowa równocześnie do Ethana i Suaxusa. – Kiedy bogaci przybysze z daleka, gdziekolwiek to daleko w danym momencie się znajdowało, otwierali faktorię, zawsze paru miejscowych czym prędzej zastrzegało sobie monopol na handel. A potem z ogromną chęcią popisywali się swoim bogactwem przed pobratymcami, których ten monopol nie obejmował.

– I tak, chociaż na trankykijskim handlu duże pieniądze robi ktoś inny, Asurdańczycy są całkiem zadowoleni z tego niewielkiego skrawka rynku, który im przypadł w udziale. Dzięki temu uważają, że

są wielcy i ważni, dokładnie tak jak twierdzi Suaxus.

Budjir był w równym stopniu milczący, jak jego kolega gadatliwy, ale kiedy splunął na ziemię, czynność ta była zdumiewająco wymowna.

Ruszyli z powrotem w stronę statku. Tranowie trzymali się nieco bliżej siebie i szli tuż przed ludźmi.

– Powiedziałem ci, chłopcze, tam w kapitanacie, że trzeba coś zrobić, żeby otworzyć ten świat z korzyścią dla wszystkich tubylców. – Machnął głową w kierunku zespołu portowego. – Tamta drobna utarczka pomiędzy Hunnarem a jednym z obywateli stanie się symbolem stosunków międzytrańskich, jeżeli nie złamie się tego lokalnego monopolu. Obydwu monopolu. Tego, którym cieszą się Asurdańczycy, i tego większego, który się za nim kryje.

Ethan pośliznął się i z trudem złapał równowagę na zamarznętej dróżce równoległej do lodowej ścieżki.

– Powiedziałeś mi, że masz jakiś pomysł. Jeśli chodzi o mnie, to otworzyłbym jeszcze jedną faktorię z lądowiskiem dla wahadłowców, w jakimś innym miejscu, może na Sofoldzie. Stamtąd można by uprawiać handel uczciwie w stosunku do wszystkich tranów, oferować im godziwe ceny za ich towary i jeszcze ciągnąć niezłe zyski.

September potrząsnął swoją białogrzywą głową.

– Bez żadnej ujemy dla naszych przyjaciół – tu gestem wskazał na Hunnara i giermków – ale żebyśmy ich nie wiem jak osobiście lubili, tak naprawdę nie różnią się od innych tranów. Bardzo szybko Sofold zaczęłby przypominać Asurdun i zazdrośnie strzegłby swojego monopolu. No, może Hunnar by na to nie poszedł, ale w Wannome nie brak kupców, którzy biliby się o to, żeby ten monopol zachować. Nie, tu trzeba czegoś innego. Czegoś, co nie dopuściłoby do powstawania zasklepienia finansowego. I czegoś, co przy sposobności rozerwałoby obecny niesprawiedliwy układ na strzępy o rozmiarach wiórów, jakie *Slanderscree* wycina płozami z lodu. Mój chłopcze, tranom potrzebne jest przedstawicielstwo we Wspólnocie.

Ethan przystanął.

– To niemożliwe, Skuo! Już by to zrobiono, gdyby ekspedycja badawcza sądziła, że to wykonalne. Pewnie, że status planety stowarzyszonej byłby dla nich cudowny. Mogliby utrzymywać stosunki z kupcami na skalę ogólnoswiatową, zyskaliby dostęp do bogactwa i zaawansowanych technologii i mogliby je równomiernie rozprowadzać na całą planetę. Ale to po prostu jest niewykonalne.

– Lepiej spróbować, niż pozwolić, żeby ich tak wykorzystywano jak teraz, chłopcze. Sądzę, że da się to zrobić Najpierw musimy porozmawiać z lokalnym komisarzem. No tak, ale przecież ty wyjeżdżasz za kilka dni. Daj sobie spokój z czymś, co uznałeś za niemożliwe.

– Jak sam mówisz, mam jeszcze kilka dni. – Ethan znowu ruszył do przodu. – Przecież nic nie stracę, jeżeli przyczępię się do ciebie i razem odwiedzimy komisarza.

Biuro Stałego Komisarza Planetarnego znajdowało się w głównym budynku administracyjnym, na północny zachód od zespołu portowego. Osobiście Ethan uważał, że jak na świat, na którym populacja thranxludzka i jej interesy są stosunkowo niewielkie, jest on zbyt okazały i przesadnie zdobiony. Od centralnego gmachu, trzypiętrowej piramidy z białego i czarnego kamienia ułożonego w szachownicę przerywaną tylko oknami rozchodziło się jak szprychy koła pięć jednopiętrowych budynków. Mieściły się w nich kwatery mieszkalne personelu administracyjnego. Główne wejście do piramidy miało taki sam układ podwójnych drzwi, pomiędzy którymi utrzymywano pośrednią temperaturę, żeby mogli spotykać się tam ludzie i tranowie. Pomieszczenie to było jednak mniejsze od tego, które wcześniej widzieli. I było to logiczne. Rzadko się zdarzało, żeby jakiś tran musiał tu przychodzić, jako że wszystkie transakcje handlowe przeprowadzano w kapitanacie portu. W kolistym głównym holu wisiała niewielka tablica informacyjna. Biuro komisarza znajdowało się na drugim piętrze. Musieli poczekać w kolejce do małej windy.

Na górze przekonali się, że całe trzecie piętro było biurem komisarza. Z windy wyszli wprost do sal, gdzie panował duży ruch; pracowało tam wiele potężnych maszyn i dwoje karzełkowatych ludzi, jeden mężczyzna i jedna kobieta. Nikogo więcej nie było widać.

Pierwsze wrażenie Ethana, dotyczące zbyt okazałego budynku, jeszcze się nasiliło, kiedy popatrzył na dywan. Obrzucił go doświadczonego spojrzeniem i natychmiast się zorientował, że jest to czysto luksusowy przedmiot, importowany – prawdopodobnie z Mantis, a może z Długiego Tunelu. Za pomocą genetycznych manipulacji wyprodukowano naturalną substancję, która zewnątrz i w dotyku przypominała trawę, była odporna jak guma, a wytrzymała jak dilyonit. W rezultacie powstała miła pachnąca i wspaniale elastyczna wykładzina podłogowa. Była bardzo droga. A chociaż Ethan nie orientował się w wytycznych dotyczących zakupów dla placówek dyplomatycznych, jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, żeby verdidion miał należeć do standardowego wyposażenia pomniejszych obcoplanetarnych biur, nawet jeżeli były to biura Stałego Komisarza.

Przy biurku, które stało najbliżej windy, siedział miody, wychudzony człowiek; sprawiał wrażenie, że przydałoby mu się z tuzin porządných posiłków. Jego palce ostrym, precyzyjnym ruchem tańczyły na wszystkie strony po maszynie i konsolach.

Ethan podniósł oczy na sufit i tak jak się spodziewał zobaczył mozaikę. Cztery równej wielkości koła stykały się ze sobą, w przybliżeniu tworząc kwadrat. Na kołach bliżej niego przedstawiono stylizowane kontynenty obu półkul Ziemi, na pozostałych widniały podobne mapy. Przedstawiały one obie półkule Hivehomu, rodzinnego świata partnerów ludzkości we Wspólnocie, insektoidów thranxów.

W samym środku między czterema kręgami widniało jedno mniejsze kółko. Pionową klepsydrę jaskrawego błękitu, będącego symbolem Ziemi, przecinała pozioma klepsydra w kolorze jaskrawej zieleni, oznaczająca Hivehom. Tworzyły razem kształt starożytnego krzyża maltańskiego, a tam gdzie się na siebie nakładały, kolory zlewały się w akwamarynę, będącą znakiem zjednoczonego Kościoła. Ponieważ była to placówka Wspólnoty a nie Kościoła, krzyż otaczało pole szkarłatu, barwy Wspólnoty.

Wyglądało na to, że patykowaty człowieczek ich zauważył. Odwrócił się, powitał ich obojętnie. Jego ręce wciąż urywanym ruchem pomykały to tu, to tam, jak gdyby w poszukiwaniu odpoczynku,

który nie był im pisany.

– W czym mogę panom pomóc? – W tym momencie oczy mu się trochę zwęziły i zwrócił na nich odrobinę baczniejszą uwagę. – Nie wydaje mi się, żebym któregoś z panów znał. – Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiej dezaprobaty. – A byłem pewien, że znam wszystkich na tej placówce.

– My przybyliśmy tu inną drogą niż wszyscy – powiedział September.

– Chcielibyśmy zobaczyć się ze Stałym Komisarzem. – Ethan usiłował mówić z wielką godnością.

Na człowieczku nie zrobiło to większego wrażenia.

– W jakiej sprawie? – Mówił do Ethana, ale nie odrywał wzroku od Septembra.

Ethan zastanawiał się przez chwilę.

– Prawdopodobnie krytycznego obrotu spraw związanych z miejscową ludnością.

– Jakich spraw? Czy jesteście związani z ekipą tutejszych ksenologów? – Odgarnął dłonią proste blond włosy, potarł bok niewielkiego, ostrego nosa, jego dłoń zsunęła się, pociągnęła za rąbek koszuli i wróciła drugą stroną, żeby znowu odgarnąć niesforne włosy.

Tak naprawdę to nie swędziały go ani włosy, ani nos, ani koszula. Gdzieś w jego mózgu zagnieździła się potrzeba stałego drapania się, a ponieważ nie bardzo mógł się drapać po samym mózgu, pogodził się, jak wielu innych, z pocieraniem tych części swojego organizmu, które nie miały nic wspólnego z jego stanem.

– Wolelibyśmy o tym porozmawiać z komisarzem – powiedział Ethan, starając się ze wszystkich sił, żeby nie wyglądało na to, że robi trudności.

– Czy jesteście panowie umówieni? Nie przypominam sobie, żeby na dzisiejsze popołudnie były wyznaczone jakieś spotkania.

– A niech to! – Kobieta przy sąsiednim biurku odezwała się po raz pierwszy. Była to tęga dama, chyba nieco starsza od Septembra, po głosie było słychać, że zirytowała się na swojego kolegę. – Jeżeli są tu obcy, to musieli przyjechać na tej wielkiej tratwie tubylców. – Patykowaty nie zareagował. – Czy nie słyszałeś o tym?

– Siedzę przy biurku od kilku dni, Eulali. Wieszczę nie mam zwyczaju przysłuchiwać się plotkom biurowym.

– Nic dziwnego, że nigdy niczego nie wiesz – westchnęła. – Wszystko, co mają do powiedzenia, może być istotne. Nieważne, że przyjechali na tym statku. Ważne, że są obcy.

– W porządku – odparł mężczyzna z powątpiewaniem. – Sądzę, że mogą się zobaczyć z Trellem. Ale nie mam zamiaru naruszać procedury.

– Ty i ta twoja przeklęta procedura. – Eulali odwróciła się ponownie do swoich skomplikowanych instrumentów i podjęła pracę.

– Zgodnie z procedurą musicie być umówieni – upierał się człowieczek, pocierając z drugiej strony swój nos.

– Och, dobrze – Ethan nie potrafił powstrzymać niecierpliwości w głosie. – Umówimy się na spotkanie.

Mężczyzna odwrócił się znowu do konsoli, którą miał przed sobą i nacisnął guzik. Na ekranie pojawiły się jakieś nabazgrane słowa.

– Niech się pan nie irytuje. Powiedziałem, że nie mam zamiaru naruszać procedury i tak jest. Mogę was umówić za... pięć minut od teraz, w porządku? – Uśmiechnął się. Uśmiech kompletnie zmienił jego twarz.

– To nam odpowiada – przyznał Ethan.

– Sprawy, o których chcecie mówić, związane są z kwestią ludności miejscowej, prawda? – Ethan przytaknął. – Nazwiska, proszę?

– Ethan Frome Fortune.

– Z jakiego świata czy planety pan pochodzi?

– Z Ziemi.

– Zawód?

– Komiwojażer, wyroby gotowe, niespecyficzne, reprezentuję Dom Malaiki.

– Dziękuję. – Rzucił pobieżne spojrzenie na Septembra.

– Nazwisko?

– Skua September. – Potężny mężczyzna odpowiedział mrukliwie, niechętnie.

– Świat, z którego pan pochodzi lub na którym się pan narodził?

– Nie wiem.

– Słuchaj no pan...

– Uczciwie ci synu mówię, że nie wiem.

– A co napisano na pańskim kartometrze?

– W kartometrze stwierdza się, że jestem obywatelem Wspólnoty. To wszystko.

– Nigdy jeszcze nie widziałem takiego dokumentu identyfikacyjnego. – Chudy urzędnik przygryzł dolną wargę, zrobił ruch, jakby chciał szarpnąć za obrąbek koszuli, powstrzymał się. – Zawód?

– Fehdreyer, wolny strzelec.

I znowu młodzieniec zawahał się.

– To nie jest słowo terangielskie, prawda?

– Nie, to nie jest słowo terangielskie – zapewnił go Se ptember.

– Jak to jest w symbomowie?

– Nie ma w symbomowie bezpośredniego odpowiednika. Jest to fonetyczna transkrypcja staroziemskiego słowa z języka o nazwie jidysz.

– Och, dobrze, w końcu to i tak nie ma znaczenia.

– Kiedy będziemy mogli wejść?

Ethan nerwowo wpatrywał się w obszerne, drewniane drzwi. Było całkiem prawdopodobne, że jeszcze kilka odpowiedzi Septembra, a ten płochliwy urzędnik się zdenerwuje.

– Sprawdź. – Dotknął innego kontaktu. – Proszę pana?

– Monitorowałem rozmowę od momentu, kiedy mnie wywołałeś, Avenge – rozległ się głęboki baryton. – Mogą wejść. Niech pan uważa, panie September. Może będzie pan się musiał schylić. Nasze sufity zaprojektowano dla przeciętnych istot rodzaju ludzkiego i thranxów, a nie dla atlety czy obieżyświata.

Ethan spłoszył się, ale September tylko się uśmiechnął i pokazał palcem fragment sufitu pomiędzy symbolami Wspólnoty, a górną framugą drewnianych drzwi.

– Proszę się nie martwić. Przyzwyczajony jestem do schylania. I nie jestem ani atletą, ani obieżyświatem.

Podnieśli się i poszli w kierunku wejścia. September nie przestawał pokazywać palcem, dopóki Ethan nie zauważył kamery na suficie.

– Więc on przysłuchiwał się i przypatrywał przez cały czas?

– Oczywiście, mój chłopcze. A czego spodziewałeś się po dobrym polityku?

Budynek-piramida miał trzy boki, pokój, do którego weszli trzy ściany i trzy kąty. Obydwie ściany zewnętrzne były całkowicie przezroczyste; otwierał się przez nie szeroki i teraz już swojski widok na port i miasto z nierównymi, pokrytymi bielą pagórkami w tle. Domy o stromych dachach znajdujące się pomiędzy stromymi pagórkami i portem robiły wrażenie szeroko rozlanej plamy szarej farby.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Ethana w pokoju wśród mebli nie znajdowało się standardowe biurko. Naokoło trzyściennej sali porozstawiano kilka obszernych kanap o dziwnych kształtach. Każdą z nich okrywał inny rodzaj miejscowego futra. Ethan co prawda nie wiedział, na ile te futra są wytrzymałe, ale zwrócił uwagę na ich barwę i gęstość i próbował oszacować wartość, jaką mogłyby osiągnąć na wolnym rynku. Była znaczna, Jeżeli na jakimś świecie tak zimnym jak Tran-ky-ky istniało życie, musiały też pojawić się stworzenia o wyjątkowej sierści. Znajdujące się w tym pokoju wyprawione skóry świadczyły dowodnie o przepychu, jakiemu nigdy nie będą w stanie sprostać syntetyki.

– Nazywam się Jobius Trell – poinformował ich jedyny człowiek znajdujący się w pokoju i ruszył, żeby kolejno uścisnąć im dłonie. Był wysoki, nawet dość wysoki, gdzieś w pół drogi między Ethanem i Septembrem. Jego usta wydawały się w naturalny sposób układać w łagodny, jakby przyrośnięty, niemal chłopięcy uśmiech. Pozwalało mu to nie martwić się, czy w jakiejś drażliwej sytuacji powinien się uśmiechać, czy nie. Niebieskie oczy, kwadratowa twarz, niewielka broda z nieoczekiwanym dołkiem, gęste, siwe włosy odczesane prosto do tyłu. Ethan oszacował jego wagę na mniej więcej sto kilogramów, dość równomiernie rozłożonych. Nie był to atleta, chociaż takie sprawiał wrażenie. Powodem były większy niż przeciętny wzrost i waga, oraz zwinne ruchy.

Stojąc pomiędzy komisarzem a Septembrem Ethan poczuł się w tym pokoju jak karzełek. Trell gestem zaprosił swoich gości na kanapę, a sam zajął fotel z opuszczanym oparciem. Ethan dostrzegwał teraz liczne kontrolki i przyrządy, a nawet grube pliki taśm, wmontowane przemysłnie w meble.

Trell machnął niedbale ręką w kierunku Septembra i powiedział.

– Zauważył pan mojego podglądacza, panie September. Czyżby kiedyś zapoznał się pan z działalnością wywiadu i wyposażeniem szpiegowskim?

– Nie. Ale bywałem w biurach wielu polityków.

Komisarz nie tylko się nie obraził, ale jego śmiech brzmiał całkiem szczerze.

– A więc w tej pana olbrzymiej postaci pływa gdzieś sobie poczucie humoru. Dobrze. Zobaczmy, czy uda mu się oszczędzić nam nieco czasu. – Opadł na oparcie fotela i mówiąc odliczał tematy na palcach. – Po pierwsze, zapoznałem się już z raportem, jaki złożyliście kapitanowi portu, tak że wiem wszystko, co mu powiedzieliście. Możecie być pewni, że w pełni zgadzam się z nim, jeśli chodzi o przyspieszenie waszego odlotu z tego świata. Po tym, co przeszliście, przynajmniej tyle jako Stały Przedstawiciel Wspólnoty powinienem zrobić. Musieliście przeżyć straszne rzeczy wśród tych dzikusów.

– Nie aż tak straszne, jak wszyscy zdają się sądzić. – September mówił lekko, jakby sam prosił o zakwestionowanie swojej wypowiedzi.

Trell nie podjął wyzwania, a może nie uznał komentarza olbrzymia za zaczepkę.

– Po drugie, ten statek, na którym przybyliście. Kazałem nakręcić taśmy, uformować solidy. Niegorszy kawałek inżynierii. – Jego głos zmienił się, stał się trochę bardziej natarczywy, kiedy pytał: – Skąd tubylcy zdobyli gdzieś tam w tych śniegach duramiks na pięć płów tych rozmiarów?

Przecież chyba nie opanowali metalurgii nuklearnej?

– Nie – wyjaśnił Ethan. – Poodcinali je, najlepiej jak potrafili, z naszą pomocą z kadłuba rozbitej szalupy ratunkowej.

Wydawało się, że ta odpowiedź satysfakcjonuje Trella.

– Podejrzałem coś takiego. Chociaż tutejsi podopieczni naszej Wspólnoty nie są głupi, dużo silniejsze jednak mają mięśnie niż umysły.

– Tak, to prawda – powiedział September.

Ethan aż się zatrząsł w środku. Zamiast spodziewanego protestu na takie lekceważenie ich przyjaciół, September zareagował zgodą i anielskim uśmiechem. Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Ponieważ September nigdy niczego nie robił bez powodu, wynikało z tego, że celowo zgadza się z komisarzem. Kiedy Trell skinął w odpowiedzi głową, Ethan zrozumiał, że komisarz oczekiwał dokładnie takiej odpowiedzi, jakiej udzielił mu potężny mężczyzna. Ale jeżeli celem ich wizyty było przekonanie komisarza, że tranowie wari są uzyskania członkostwa stowarzyszonego we Wspólnocie, to nie najlepiej sprawę zaczęli. A może jednak? Jak się nad tym zastanowić, to reakcje emocjonalne zamiast zdroworozsądkowych byłyby najgorszym sposobem, żeby przeciągnąć komisarza na swoją stronę.

– Mają dużo silniejsze mięśnie niż umysły, ale nie są głupi. – Na taką ocenę tranów sam Hunnar mógłby z gotowością przystać.

– Sprawy tubylców, tak wspominaliście? – Trell popatrzył na Ethana.

– Spędziliśmy wśród nich całkiem sporo miesięcy, panie komisarzu. – Ethan podniósł się i zaczął chodzić tam i z powrotem po puszystym dywanie. Nie czuł żadnego zdenerwowania. Jak zawsze najspokojniejszy był wtedy, kiedy usiłował przekonać kogoś do kupna towaru, w który sam wierzył. A w tranów wierzył. – Przeciw tubylcom zmówiły się środowisko i ekologia. Są bardzo rozproszeni. Żeby przeżyć, muszą się kurczowo trzymać szeroko rozrzuconych, często bardzo trudno dostępnych wysp. Zaadaptowali się dobrze do tego surowego klimatu, ale wydaje się, że jest ich niewielu. Nie wiem dlaczego, ale nie są tak liczni, jak powinni być. To również działa na ich niekorzyść. A przecież – ciągnął dalej z entuzjazmem – zważywszy na to, że klimat jest tak krańcowy, oni nie tylko nie wymarli, ale osiągnęli przyzwoity nawet poziom cywilizacji. Ich technologia w niektórych dziedzinach, takich jak budowa statków lodowych i rolnictwo niskotemperaturowe, jest niezwykle zaawansowana. Zdarzało się, że nawet rasy zamieszkujące bardziej sympatyczne światy gorzej sobie radziły.

– Zgadza się z panem.

Ethan zatrzymał się zdziwiony. Najpierw Trell opisywał tranów jako istoty mające więcej mięśni niż rozumu, a teraz zgadza się z entuzjastyczną oceną ich osiągnięć przez Ethana.

– No więc?

– No więc co, panie Fortune? – Trell bacznie mu się przypatrywał.

Ethan zmuszony był odrzucić wszystkie argumenty, jakie wcześniej zgromadził w pamięci, chcąc przedstawić sprawę zdolności tranów, i przeskoczyć do przodu.

– Jeżeli zgadza się pan z moją oceną, panie komisarzu, proszę wziąć pod uwagę korzyści, jakie temu światu przyniesie status członka stowarzyszonego we Wspólnocie. Mogliby wysłać na Radę swoich delegatów jako obserwatorów. Bardzo wiele by się nauczyli, mieliby prawo ubiegać się o przeróżne rodzaje pomocy rządowej, do jakich się obecnie nie kwalifikują. Podniosłoby to standard życia na planecie, a to z kolei...

Trell podniósł dłoń i Ethan urwał.

– Chwileczkę, panie Fortune. – Spojrzenie komisarza przeskoczyło z Ethana na Septembra i z powrotem. – Czy nie przyszło panu na myśl, że sam podjąłbym takie działania? Po mimo oczywistych wad tubylców, sam szczerze ich podziwiam. – Gestem wskazał na swoje biuro. – Proszę się rozejrzeć. Pracuję tutaj, tutaj odpoczywam. Każdy drobiazg w tym pokoju poza elektroniką jest pochodzenia miejscowego. Kanapy i krzesła, na których spoczywacie, dekoracje ścian i stołów, wszystko. Najbardziej bym się ucieszył, gdybym mógł zaproponować przyznanie moim podopiecznym statusu planety stowarzyszonej. Ale – i tu pogroził Ethanowi strofująco palcem – chociaż Zgadzam się z panem, jeśli chodzi o postęp naukowy i artystyczny tubylców, rozważmy obiektywnie ich ułomności. Postęp społeczny pozostał tu daleko, daleko w tyle za wszystkim innym. – Wstał, bezwiednie wymienili się z Ethanem terytorium spacerowym i Ethan ponownie zajął miejsce siedzące. Tyle, że Trell podszedł prosto do najbliższej ściany-okna i zaczął się wpatrywać w dal nad miastem i portem.

– Wy chcielibyście, żeby tranom przyznano status członka stowarzyszonego Wspólnoty. Ja pragnąłbym, żeby go otrzymali. – Obejrzał się przez ramię. – A o których tranach pan mówi, panie Fortune?

Ethan zaczął odpowiadać, nagle zorientował się, że fakty przeszkadzają mu myśleć i przerwał. September wpatrywał się w niego milcząco i nieuczynny...

ROZDZIAŁ 3

Widzę, że trafiła do pana istota problemu. – Trell odwrócił się od okna i rozciągającego się za nim widoku. – Placówkę Wspólnoty zlokalizowano na Asurdunie, ponieważ była to jedna z większych wysp, na jaką trafiono podczas pierwszej ekspedycji badawczej i ponieważ znajduje się tu osłonięty port, który pomaga chronić nas przed silniejszymi wiatrami znad oceanu. Jestem jednak całkiem pewien, że następne ekspedycje mogłyby odkryć ze czterdzieści innych miejsc równie odpowiednich dla Dętej Małpy. Asurdun nie był pod żadnym względem lepszy, miał po prostu szczęście. Proszę mi powiedzieć... czy byłoby to w porządku w stosunku do waszych przyjaciół z...?

– Z Sofoldu – podpowiedział September.

– Z Sofoldu. Czy byłoby to w porządku w stosunku do nich, gdyby delegatów Tran-ky-ky na Radę wybierano lub nominowano wyłącznie z Asurdunu?

– Oczywiście, że nie – wtrącił bezzwłocznie Ethan. – Głosować powinni wszyscy... – Głos mu zamarł.

Trell opadł z powrotem na kanapę naprzeciw nich.

– Głosować, panie Fortune? Nie wiem, czy w trańskich dialektach znajdzie pan słowo oznaczające głosowanie.

– Wybierają od czasu do czasu landgrafa – odparował Ethan.

– Tak. Kiedy potomstwo byłego władcy jest nie do przyjęcia. Jeżeli rzeczywiście tak robią, to to jest jakiś argument. Ja sam nigdy nie odważyłem się wyprawić gdzieś dalej z Asurdunu. Ale socjologowie, którzy wyjeżdżają z grupami zwiadowczymi, przynajmniej co do jednego są zgodni, do niewzruszonej podejrzliwości tranów w stosunku do swoich sąsiadów. Tranowie są wojowniczy i szowinistyczni. – Powoli potrząsał głową. – Przykro mi, panie Fortune. Jeżeli tranowie zechcieliby domagać się prawa statusu narodu stowarzyszonego ze Wspólnotą musieliby jakoś się zjednoczyć, żeby swoją prośbę przedstawić.

A nie ma tu niczego przypominającego rząd planetarny, z którym można by pertraktować. Tak naprawdę – tu pochylił się w przód i kontynuował z pozornym podnieceniem – mógłby być nawet nie planetarny. Wystarczyłby mi dominujący rząd regionalny, do którego weszłaby grupa rozsądnie dobranych przedstawicieli miejscowej ludności i sensowna liczba miast-państw. Gdyby powstał jakiś taki rząd, podporządkowałyby mu się wiele innych drobnych państw feudalnych. Ale nie uda się panu znaleźć takiej organizacji na tym świecie. Po prostu nie uda się. Wrogość jest sposobem

życia Tran-ky-ky. Nie tylko mieszkańcy jednego państewka nie dbają o swoich sąsiadów nawet tyle, co o zad k'nitha, ale co zrobić z tymi koczowniczymi gromadami wojowników?

– Wiemy o nich – przyznał Ethan, wracając myślą do oblężenia Sofoldu przez Hordę Sagyanak Nagłej Śmierci, podczas którego on, September i reszta ludzi przyczynili się do zniszczenia tego odwiecznego wroga pobratymców Hunnara.

– Zgodnie z kartą Wspólnoty oni też mają prawo do sprawiedliwej reprezentacji. – Trell wpatrywał się wyczekująco w Ethana, jak gdyby wynik tej dyskusji był już przesądzony. – Czy potrafi pan sobie wyobrazić, żeby mieszkańcy wysp sprzymierzyli się pod względem politycznym i kulturalnym z tymi krwiożerczymi, wędrownymi bandytami? – Znowu potrząsnął głową. – Nie, obawiam się, że nie, panowie. Za kilka tysięcy, no, może za kilkaset lat, dojrzeją na tyle, żeby wymienić oddech z każdym ze swoich sąsiadów. – Wyrzucił obydwie ręce w górę w niepotrzebnie melodramatycznym geście. – W obecnym jednak stanie rzeczy mowy nie ma, żebym ja, jako Stały Komisarz, mógł poprzeć ich starania o uzyskanie statusu planety stowarzyszonej tej Wspólnotą. Czy nawet statusu podopiecznych Wspólnoty. Są zbyt niezależni i zaawansowani, żeby objąć ich akcją charytatywną. Wystarczy duży, regionalny rząd, ale nie te wojownicze, wyspowe państewka. Nie jest to ani wykonalne, ani sprawiedliwe. – Podniósł się. Ethan i September poszli w jego ślady.

– Dziękuję za wasze zaangażowanie, panowie. Sądzę, że po przemyśleniu sprawy przyznacie, że w waszym rozumowaniu pewną rolę odgrywały emocje. – Trell łagodnie ich beształ. – Spędziliście spory kawałek czasu wśród tubylców. Jest to całkowicie naturalne, że chcielibyście im pomóc. Ale jednak najpierw muszą oni pomóc sami sobie. Mam wrażenie, że wasz statek wchodzi na orbitę za dwa dni. Będę w porcie, żeby osobiście was pożegnać. Jeżeli w tym czasie mógłbym coś dla was zrobić, wyświadczyć wam jakąś przysługę, proszę, nie wahajcie się do mnie zajść.

– Dziękujemy panu, panie komisarzu, że poświęcił pan nam tyle czasu. – Ethan nie próbował ukrywać rozczarowania. Wymienili wszyscy jeszcze jeden uścisk dłoni.

Kiedy już byli we drzwiach, Trell odezwał się znowu.

– Zatrzymacie się oczywiście w kwaterach administracji. Na koszt rządu.

– To szalenie uprzejmie z pana strony – uśmiechnął się w odpowiedzi September. – Ale biorąc pod uwagę z jak daleka i narażając się na jakie niebezpieczeństwa przywieźli nas nasi gospodarze, sądzą, że byłoby to dla nich po prostu obraźliwe, gdybyśmy tych ostatnich kilku dni nie spędzili razem z nimi. Rozumie pan.

– Oczywiście. – Ethan nie potrafił powiedzieć, czy Trell jest niezadowolony z tego oświadczenia, czy zadowolony. – Jeżeli zmienicie zdanie i będziecie chcieli przerzucić się z barbarzyństwa na cywilizację, wasze kwatery będą na was w każdej chwili czekały.

– Dziękujemy panu jeszcze raz – powiedział Ethan, zamykając za sobą drzwi.

Jobius Trell przyglądał się przez chwilę drzwiom, potem ponownie usiadł na kanapie. Futro połaskotało go w kark i nieco zmienił pozycję. Miał na głowie coś innego niż wystrój pokoju. W

końcu dotknął pobliskiej kontrolki i odezwał się:

– Uwaga: omówić orientację psychowerbalną gości z plikiem kompudexu. Porównać gradient napięcia z nagraniem rozmowy z kapitanem Xenaxisem. Zarządzić obliczenie prawdopodobnego trendu działalności w oparciu o dostępne dane.

Zrobiwszy to, Trell poczuł się na tyle lepiej, że wrócił do swoich codziennych obowiązków. Był zdania, że najlepiej na bieżąco wykonywać to, co do niego należy, wtedy w pełni mógł rozkoszować się swoimi apolitycznymi machinacjami.

Wietrzyk w porcie wiał stosunkowo łagodnie, ale Ethanowi zrobiło się zimno pod sztuczną skórą kombinezonu. Kilku miejscowych tranów przemknęło po lodowej ścieżce, równoległej do drogi, którą szli. Żaden z nich nie odwrócił się i nie zaczął się gapić. Przyzwyczaili się już do widoku ludzi w Asurdunie.

– No, sądzę, Skuo, że to by było na tyle. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, wysunął silne argumenty, żeby nie przyznać Tran-ky-ky statusu.

– Nie ma co, były silne, mój chłopcze. Na przykład miał rację, kiedy mówił, że zaangażowaliśmy się emocjonalnie w tę sprawę. Ale nie dodał, że on jest równie silnie zaangażowany pod względem emocjonalnym. Więcej niż emocjonalnym, założyłbym się. Widać to było tak po jego twarzy, jak i po modunacjach.

– Modunacjach?

– Każde słowo można wymówić na wiele sposobów, chłopcze. Każdy z tych sposobów niesie ze sobą jakąś tonację emocjonalną. Potrafię kilka z nich rozpoznać. Przynajmniej na tyle, żeby się zorientować, że nasz przyjaciel Trell wcale by się nie Czuł bardzo zawiedziony, gdyby tranowie pozostali tak wojowniczy i podzieleni, jak są teraz. – September odsunął maskę. Lubił mieć swobodę przy robieniu min. Pofolgował teraz sobie.

– Powiedz mi, chłopcze. Komu obecna sytuacja, kiedy Tran-ky-ky nie przestaje być zacofana i nie ma swojej reprezentacji w Radzie, przynosi największe zyski? Kto może trzymać pod okiem, pod ślicznym, osobistym okiem każdą kruszynę pozaplanetarnego handlu i dostosowywać go tak, żeby jak najlepiej wychodziło na tym jego prywatne konto?

– Trell wcale nie zrobił na mnie takiego wrażenia, Skuo. – Ethan kopnął w lodową ścieżkę, poleciało kilka białych drzazg. – Rzucasz na Stałego Komisarza bardzo ciężkie oskarżenie.

– Istnieje takie utarte prawo, dotyczące osób mianowanych na polityczne stanowiska. Im mniejszy urząd, tym rzadziej się go Kontroluje i tym więcej okazji do szwindli w księgach. – Klepnął Ethana po plecach i niemal go przewrócił. – Nie po raz pierwszy dobre maniery stanowiłyby parawan dla złodziejskiego serca. – Zmarszczył brwi. – Oczywiście ma on rację, jeśli chodzi o ten feudalny układ. Będziemy musieli coś z tym zrobić.

Ethan zatrzymał się, śnieg wirował wokół niego i usiłował za wszelką cenę wśliznąć się do

wnętrza kombinezonu.

– Zrobić coś z tym? Nie możemy nic z tym zrobić, Co ty masz na myśli?

– Mam na myśli, mój chłopcze, że przed nami jeszcze kilka dni, żeby się nad tym zastanowić...

* * *

– Trzy są rzeczy, których się zrobić nie da. – Sir Hunnar Rudobrody mówił z przekonaniem, wpatrując się w ludzi i tranów, którzy rozsiedli się naokoło długiego stołu w kambuzie *Slanderscree*. – Nie da się zabić stavanzera. Nie da się stawić czoła zachodniemu Rifsowi. I nie da się powstrzymać tranów od toczenia między sobą wojen. – Zwrócił swoje kocie oczy na Ethana. Jego głos był równie zimny i pewny, jak niewielka burza, która wyła na zewnątrz statku i piszczała w szparach pomiędzy krokwiami i deskami.

– Tego, co proponujesz, przyjacielu Ethanie, nic można sobie nawet wyobrazić, a co dopiero wykonać. Unia wysp, konfederacja państw? Rada Langrafów? – Jego trójkątne uszy drgały nerwowo w tył i w przód. – Prędeż po morzach popłynie swobodnie woda.

– To się musi dać zrobić, Hunnarze – Ethan niemal błagał zebranych rycerzy. – Czy nie rozumiesz, jak tu wszystko zostało ustawione? Ludność Asurdunu, a co ważniejsze jego przywódcy, mają monopol na cały handel pozaplanetarny i całą informację. Ciągną z tego nieprawdopodobne zyski, nieuczciwie wielkie. Powinny one być równo rozdzielone pomiędzy wszystkich tranów.

– Tak, ten metal – wtrącił szorstki głos.

Balavere Longax był najbardziej szanowanym z żyjących wojowników Sofoldu. Był jakby starszą wersją Hunnara; kiedy z rzadka przychodziła mu ochota coś powiedzieć, natychmiast wszyscy milkli. Chociaż jego słowa były dużo spokojniejsze niż słowa jego towarzyszy, były też dużo bardziej ważne.

– Metal. Nigdy nie widziałem tyle metalu, ile posiadają nasi w Asurdunie. Nie zdaje mi się też, żeby jakoś wyjątkowo na niego zasługiwali. – Tu rozległy się poirytowane pomruki zgody kilku innych członków załogi. – Z czystego metalu jest nie tylko broń, moi przyjaciele, ale nawet sprzęty domowe, wiadra na wodę i inne rzeczy.

Ethan z entuzjazmem kiwnął głową.

– A mimo to, jak sądzę, także są oszukiwani. Stelamid jest tańszy niż duramiks.

September odepchnął krzesło w tył, aż zatrzeszczały deski.

– Hunnarze, jeżeli tranowie gotowi są przelewać krew za metal, czemu jesteś tak cholernie pewien, że nie będą ze sobą współpracować, żeby go zdobyć?

– Jesteśmy zdania, że współpraca z narodem mniej szlachetnego państwa jest poniżająca – odparł rycerz, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. – Czy pamiętacie, jak Horda Sagyanak napadła na

Wannome? Ta diablica stanowiła zagrożenie dla wszystkich państw. A jaką pomoc nam zaproponowano? Jakiej pomocy udzielili nam nasi sąsiedzi, żeby zwalczyć wspólnego wroga? – Usiadł i wymamrotał niewyraźnie: – Zyski nie stanowią wystarczającego powodu, żeby zapomnieć o dawnych nienawiściach i podejrzaniach. Ta wasza, jak jej tam, Wspólnota, nie mamy na to nawet odpowiedniego słowa w naszym języku... jedyne określenie, jakie potrafię znaleźć, to rodzina.

– I właśnie w ten sposób powinieneś zacząć myśleć o wszystkich tranach – przerwał mu Ethan z podnieceniem. – Jesteście rodziną. Żadna rasa nie jest niczym więcej, jak tylko rozszerzoną rodziną. Czy wam się to podoba, czy nie, przeznaczeniem Tran-ky-ky jest zajęcie miejsca we Wspólnocie jako jej pełnoprawny członek. Nie możecie wrócić do Wannome, spoglądać na nocne niebo i nie myśleć przy tym, że stanowicie część czegoś dużo większego i wspanialszego niż sam Sofold. Korzyści, które wam się prawnie należą, możecie równie dobrze zacząć odnosić teraz.

Ethan usiadł z powrotem, troszkę zadyszany i odrobinę zażenowany niespodziewaną mocą tej swojej argumentacji.

– Korzyści, które powinny być udziałem wszystkich tranów – dodał September ciszej, ale z naciskiem.

– Przyjaciele moi, z którymi dzielę własne ciepło, uznaję prawdę waszych słów. – Hunnar był pełen zwątpienia. – Sercem pragnąłbym móc zmienić ducha tego świata, ale tranom najlepiej udają się dyskusje za pomocą noży, nie słów.

– A więc musicie do tego samego celu dojść za pomocą noży. – Do pokoju weszła Colette du Kane. Poczłapała wdzięcznie na drugi koniec długiego, drewnianego stołu, oparła się o niego obydwojma rękami i pochyliła w przód, – Jeżeli do scementowania tej konfederacji, którą musicie utworzyć, nie wystarczy rozsądek i logika, to zróbcie to za pomocą noży. Metody działania usprawiedliwi to, co zyskacie. – Rzuciła na Ethana i Septembra raczej pogardliwe spojrzenie. – Dotychczas wspominalo tylko o zyskach, o rzeczach materialnych. Członkostwo we Wspólnocie zmusi was do osiągnięcia większej dojrzałości. Już niedługo do dyskusji nie będą wam potrzebne noże. Ale jeżeli się wam nie uda – tu przerwała, chcąc podkreślić wagę tego, co mówi – to będziecie tkwili w miejscu, razem z waszymi zamrożonymi zdolnościami, z waszą zamrożoną ewolucją i z zamrożonym życiem codziennym. Będziecie nadal ciemnymi farmerami, a z waszych kociąt wyrosną istoty równie nieudolne i upośledzone, jak wy wszyscy.

W drzwi i okienka walił uporczywie wiatr, oprócz tego w pokoju nie było słyhać żadnego innego dźwięku. Na koniec odezwał się Hunnar, starannie dobierając słowa.

– Odważyłaś się, kobieto, na tyle obelg, że warto by ci język przykrócić. A jednak wierzę, że uczyniłaś tak w nadziei przyniesienia nam dobra. Słowa twoje wygłaszasz językiem prawdy.

Kilku innych szlachciców popatrzyło spode łba na Hunnara, a potem na siebie. Rozległy się pomruki niezadowolenia, na Colette padło kilka groźnych spojrzeń.

– Słuchajcie wszyscy.

Kiedy Colette wchodziła do kabiny, Ethan miał wrażenie, że za jej plecami dostrzegł kogoś, teraz ta druga osoba również weszła do środka. Elfa Kurdagh-Vlata wyglądała jak wąsata amazonka w opończy i lekkiej sukni. W jej półprzezroczystych danach mżyło światło lampek oliwnych, a kiedy uniosła ramiona do góry, zmieniło je w wygięte, pomarańczowe płomienie.

– Za każdym razem, kiedy się odezwiecie, potwierdzacie to, co mówi ta człowiecza kobieta. Mówi, że jesteście ciemni, a wy w odpowiedzi wydajecie głupawe, groźne dźwięki, jak kocięta przyłapano na kradzieży warzyw.

– Przyznajemy, że w jej słowach jest mądrość – burczał jeden ze szlachciców przy stole. – Chodzi nam o sposób, w jaki to mówi.

Chociaż Elfa była dziedziczką tytułu landgrafa, szlachcic zwracając się do niej nie użył żadnego grzecznościowego zwrotu, co nie umknęło uwadze Ethana. Taka bezceremonialność w stosunkach pomiędzy rządzącymi i rządzonymi była jedną z cech tranów, która najbardziej mu dodawała ducha. – Ale czy Phulos-Tervo albo którykolwiek z władców przygranicznych zrobiłby tak samo? – zakończył bez ogródek szlachcic.

Naokoło stołu rozległy się przytakujące pomruki.

– Może nie. – Elfa gotowa była ustąpić w tym punkcie. – Ale kompletnie obcy tran mógłby tak zrobić. Phulos-Tervo będzie podejrzliwy w stosunku do wszystkiego, na co zgodzi się mój ojciec. Ktoś obcy nie będzie go znał. – Gestem wskazała po kolei ludzi siedzących w kabinie. – Tu oto są nasi przyjaciele nie z tego świata, stanowią dowód prawdy, do której będziemy usiłowali przekonać innych. Nikt nie może podawać w wątpliwość ich istnienia. A więc może inni przyjmą ich słowa tak, jak my je przyjęliśmy?

– To jest możliwe – powiedział buńczuczny rycerz o nazwisku Hesoidn. – Ale jeżeli pojedą razem z nami. – Patrzył wyczekująco na Ethana.

– Och, ja przecież tu zostaję. – W głosie Millikena Williamsa brzmiało zaskoczenie, że ktoś mógłby mieć co do tego wątpliwości.

Stareńki, siedzący koło niego tran powiedział przez gęstą brodę:

– Sir Williams i ja wciąż jeszcze wiele mamy ze sobą do omówienia. Nie mógłby teraz odjechać.

– Oczywiście, że nie mógłbym. – Szczery entuzjazm Williamsa, który beztrąsko rozglądał się wokół stołu, przyczynił się w znacznym stopniu do podniesienia na duchu zebranych tranów. – Jesteście dużo bardziej interesujący niż moi wszyscy dawni uczniowie i ja także więcej się tu mogę nauczyć. Po prostu nie mógłbym wyjechać.

– Musicie wszyscy zdać sobie sprawę, że właśnie w tej chwili obywatel Williams, będący wykształconym obywatelem o niemałych osiągnięciach, zagłosował. – September starał się mówić z całą powagą, na jaką było go stać. – Mogę was zapewnić, że jest to coś, czego żaden mający takie prawa mieszkaniec Wspólnoty nie bagatelizuje.

– A ty, przyjacielu September? – zapytał Hunnar.

– Och, pewnie będę się tu plątał jeszcze przez jakiś czas. – Skua dłubał w zębach trójkątnym widelcem, który został na stole po ostatnim posiłku. – Nie mogę nic dobrego powiedzieć o waszym klimacie, ale jedzenie jest dobre, trunki pierwsza klasa, a towarzystwo przyjemne. Nie można żądać dużo więcej. Poza tym nikt mi nie zadaje zbyt wielu pytań. – Odwrócił się w prawo. – A ty, mój chłopcze?

I oto wszyscy obecni skierowali swoją uwagę na Ethana, a on żałował, że nie siedzi pod stołem, zamiast przy stole. Wbił wzrok we własne kolana i jękając się szukał odpowiedzi.

– Sam nie wiem, Skuo... Hunnarze. – Miał wrażenie, że mu ktoś nagle ślinę w ustach zastąpił klejem. – Mam inne zajęcia, inne zobowiązania. Jest praca, której się podjąłem i...

– To wszystko rozumiałe, przyjacielu Ethanie. – Hunnar uśmiechnął się zwykłym, trańskim uśmiechem, nie pokazując zębów.

Z jakiegoś powodu te wypowiedziane w odpowiednim momencie, pełne zrozumienia słowa Hunnara spowodowały, że Ethan poczuł się jeszcze gorzej. Czyż nie był wyrobionym członkiem zaawansowanej cywilizacji galaktycznej? A więc dlaczego miałby się czuć jak człowiek pozbawiony wartościowszych myśli oraz znaczących uczuć?

– Nawet gdybym mogła wybrać się z wami, tylko opóźniałabym was w drodze. – Colette du Kane obejrzała się na drzwi. – Mój ojciec jest w swojej kabince, śpi. Nie mogę go puścić samopas i pozwolić mu kierować sprawami rodziny, nie teraz, kiedy podróżuje poprzez ocean starczego dzieciństwa z jednej wyspy zdrowego rozsądku na drugą. Zbyt wielu by go wykorzystywało. Ktoś ma obowiązek zająć się interesami. Ten obowiązek spoczywa na moich ramionach, a są one wystarczająco szerokie, żeby go mogła udźwignąć.

Nawet tranowie zrozumieli ten żart, chociaż Colette w barach nie była szersza niż przeciętny tubylec.

Ethan nie podniósł oczu, ale wiedział dokładnie, gdzie Colette patrzy, mówiąc te słowa.

– Tyle wam powiem. Jeżeli starczy wam rozumu i zdolności, żeby zorganizować taki rząd, który pozwoli wam zakwalifikować się do Wspólnoty jako świat z nią stowarzyszony, wtedy Dom du Kane'ów natychmiast zainstaluje się na Tran-ky-ky i będzie uczciwie handlował ze wszystkimi, którzy uczciwie będą handlowali z nim.

Elfa wykonała gest mający wyrażać zgodę i pochwałę. Obu kobietom zdarzały się utarczki, już wcześniej w Wannome i potem na statku, ale obydwie potrafiły odłożyć na bok osobiste animozje i uczucia, kiedy tego wymagała logika. Ethan zastanawiał się, czy mężczyznom obecnym w pokoju udałoby się to w równym stopniu.

– A więc załatwione. – Hunnar stanął w pozycji wyrażającej determinację i wyzwanie. – Podejmiemy tę próbę – powiedział Ethanowi – ponieważ wierzymy w ciebie i w to, co mówisz,

przyjacielu Ethanie. Nigdy nas nie okłamałeś. Wiem, że nie zrobiłbyś tego i teraz.

Rozległ się grzmot jak gdyby podziemnego pociągu; odsuwano od stołu krzesła. Rozmaici rycerze, szlachcice i giermkowie zaczęli się dzielić na niewielkie grupki rozmawiających. Niektórzy mówili głośno i ze znacznym ożywieniem, podczas gdy inni wypowiadali się przyciszonym tonem. Coraz to jeden czy dwóch dyskutantów opuszczało kabiny i wpuszczało wieczystego na tej planecie uczestnika wszelkich dyskusji – wiatr.

Ethan wyszedł jako jeden z pierwszych, tęskniąc za samotnością w swojej własnej kabince. Za kilka dni będzie mógł zamienić to słabo ogrzewane pudełko, które dzielił z Septembrem, na cyklogrzaną atmosferę kabiny międzygwiazdowego statku. Dziwne, że ta perspektywa już go tak nie podniecała, jak wtedy, kiedy *Slanderscree* wchodziła do portu Asurdunu.

Coś jakby gorący powiew lata dotknęło jego ramienia i niemal wytrąciło go z równowagi, takie to dotknięcie było ciepłe i lekkie w chłodnym powietrzu na korytarzu statku. Gwałtownie się odwrócił i oto patrzył w twarz Colette du Kane. Gdzieś za nim głosy dyskutujących tranów przerywane porykiwaniem Septembra i łagodnym, ale przekonującym szmerem głosu Williama zblakły i zły się w odległe tło pomruków. W jego oczy wpatrywały się bez drgnienia kryształowe szmaragdów, pełne zieleni kraterzy na księżycowej twarzy. Pomimo maski kombinezonu na jej różowe ciało padało od czasu do czasu surowe, arktyczne słońce Tran-ky-ky i Colette opaliła się na kolor bursztynowy.

Przez moment zdawało się, że dostrzega wężową piękność, złapaną w pułapkę gruczołów, która wije się, usiłując się wyrwać z tej trumny tłuszczu. Tylko poprzez oczy mogła ta porywająca uroda dać się zauważyć światu.

– Zostajesz, czy jedziesz? – Ani śladu kokieterii, żadnego niby to pełnego zażenowania opuszczania rzęs. Była aż do bólu szczerą i otwartą. Chociaż drzwi na pokład były zamknięte, mimo to poczuł, jak coś się dookoła niego owija, spowalnia krążenie, do szpiku przejmuje go chłodem. – No? Nie najgorzej nam razem szło przez te ostatnie kilka tygodni.

– To prawda, Colette. – Ethan wiedział, jak spostrzegawcza była, nic więcej nie musiała mówić. A jednak ciągnęła dalej, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa, jakby chciała się ich jak najszybciej pozbyć.

– Prosiłam, żebyś się ze mną ożenił. Masz zamiar to zrobić, czy zostajesz tutaj?

– Ja... sam nie wiem. Przypuszczam, że muszę się jeszcze zastanowić. Nie próbuję dawać wymijających odpowiedzi, Colette, mówię prawdę.

Colette parsknęła pogardliwie.

– Wszyscy mężczyźni, jakich kiedykolwiek znałam, każdą niedobrą rozmowę kończyli takimi właśnie zapewnieniami.

– Odpowiem ci, nim wystartuje wahadłowiec, obiecuję.

Chwytał ją za ramiona, trzymał najdłużej, jak śmiał. Była ciepła.

– Jeżeli tak musi być.

Puścił ją.

– Tak musi być.

Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Pewnie to lepsze niż odmowa wprost. Do zobaczenia.

Odwróciła się i gwałtownie wypadła za drzwi. Podmuch wiatru wdmuchnął do środka kilka wirujących płatków śniegu, które zginęły w pierwszym zetknięciu z jego twarzą. Za nią wyszło dwóch trańskich rycerzy, swobodnie rozmawiając i ignorując przenikliwie zimno. Według tubylców stali właśnie w osłoniętym porcie, gdzie można było przechadzać się niemal nago. Tylko Ethan i inni ludzie musieli spieszyć do swoich kabin, zanim nie chroniona skóra zamarznie im na kość i stanie się krucha jak plaster miodu.

* * *

To, że tubylcy wcale nie podnosili z nabożną czcią oczu w górę, kiedy odpaliły hamujące silniki wahadłowca i kiedy siadał on wygodnie, wpasowując się w lądowisko szczelnie jak ślimak, który wciąga się we własną skorupę, było wyraźnym dowodem, że zaakceptowali thranludzkość i sposoby przejawiania się jej zaawansowanej technologii. Kiedy wygaszono silniki, do robotyabrały się wewnętrzne, superchłodzące elementy wbudowane w powłokę statku o deltoidalnych skrzydłach, przystosowanego do lotów w atmosferze. Po krótkim czasie kadłub i same silniki ochłodziły się na tyle, że można ich było dotknąć. Spod czekających w gotowości przeseł wysunęły się podwieszane przenośniki. Dygocący z zimna pilot i załoga naziemna wymienili ze sobą praktyczne uwagi. W kierunku wahadłowca zaczęły płynąć z ukrytych pomieszczeń magazynowych paki i skrzynie, a w odpowiedzi stateczek wydzielił z siebie mnóstwo mniejszych, zapieczętowanych pakunków.

Wytwory lokalnego rzemiosła wymieniano na noże, lampy, broń stelamidową. Za odłamki ozmidinu, marnej jakości, ale wciąż niesłychanie wartościowe, można było nabyć radia, i trójwymiarówki, i ręczne komunikatory. Ethan wrócił myślą do nieprawdopodobnie wielkiego wulkanu, znanego tranom jako Miejsce-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie i do wypełnionej ozmidinem jaskini, którą wewnątrz tego wulkanu odkryli. Ciekaw był, co by pomyślał ten, kto tu nadzorował lokalny handel, o takim dech w piersi zapierającym złożu tego arcycennego, zielonego klejnotu.

Niedaleko nich Hellespont du Kane zaczął wesoło gwarzyć z lekarzem, którego kapitan statku gwiazdowego wysłał na dół wahadłowcem, żeby troskliwie zajął się niespodziewanym, sławnym pacjentem. Colette stała przyglądając mu się. Ledwie odpowiedziała na szorstkie i nieco sprośne pożegnanie Septembra i na bardziej uprzejme, pełne szacunku pożegnanie Williamsa. A potem nie pozostało już nic do zrobienia, nie było już z kim rozmawiać i oto Ethan podchodził do niej. Wysłała mu na spotkanie.

Upłynęło kilka chwil w milczeniu. Może fakt, że wreszcie podjął decyzję, pozwolił mu bez obaw odpowiadać na jej spojrzenie.

– Jak się czuje twój ojciec? – zapytał niezręcznie.

– Na tyle dobrze, na ile można się było spodziewać. – Musiała się przemóc, żeby złagodzić wrodzoną ostrość odpowiedzi. – Ciągłe próbuję go namówić, żeby zgodził się na wymianę ciała... nie zgadza się na dodatkową rewiwikację. Nie i już. Nie sądzę, żeby to miało być pragnienie śmierci. Przynajmniej tak twierdzą psycholodzy. Ale nie chce się zgodzić na to nawet w okresach zdziecinnienia, nie mówiąc już o sporadycznych momentach pełnej jasności umysłu. Nie przestaje mi powtarzać, że czas, bym to ja przejęła ster rządów, że on ten ster już wystarczająco długo trzymał w swoich rękach.

– To prawda, że jesteś gotowa go przejąć, Colette. – Ethan mówił cicho, ale z entuzjazmem. Wyjątkowo trudno było zyskać u Colette aprobatę dla niej samej. – Wiem, jak działają rodziny kupieckie. Muszę to wiedzieć. W końcu sam dla jednej z nich pracuję.

– Gotowa czy nie, muszę to zrobić. – Jej głos był tak miękki, że trudno było uwierzyć, iż wyszedł z jej ust. – A co ty musisz zrobić, Ethanie?

Ethan uśmiechnął się. Nie było to łatwe.

– Przykro mi, Colette. Naprawdę mi przykro.

– Najpierw twierdzą, że mówią prawdę, a potem zawsze mówią, że jest im przykro.

– Colette... – Ethan borykał się ze słowami. – Należę do tych, którzy wykonują, a nie do tych, którzy rozkazują. Ciebie wychowano, wyćwiczono w wydawaniu rozkazów. Ja dojrzewałem ucząc się, jak je przyjmować. Mogę służyć radą, ale nigdy rozkazywać. Nie sądzę, żebym był w tym dobry. Spartaczyłbym każdą posadę kierowniczą, którą byś mi dała, a wtedy zmuszona byłabyś tuszować moje błędy. Musiałabyś tłumaczyć mnie przed moimi kolegami, prawdziwymi fachowcami od kierowania i kompusymbów. – Potrząsnął z żalnością głową. – Nie zniósłbym kpinek na mój temat, ale nie zaakceptuję też życia nieudolnego pasożyta.

– Dziwną masz koncepcję tego, co znaczy łączenie się w parę. – W głosie jej słyhać było rozpacz, chociaż nie błaganie. – Mógłbyś mieć, co tylko zechcesz, wszystko. Podróże, hobby... to nawet nie musiałyby być ze mną. – Opuściła wzrok. – Mógłbyś... mieć nawet inne kobiety na boku, gdybyś tego pragnął. Tak bym to załatwiła, że stać by cię było na to, co najlepsze. – Podniosła znowu oczy. – Jesteś dobrym człowiekiem. Mógłbyś robić, co tylko dusza zapragnie, dopóki... – tu zawahała się – ...dopóki byś do mnie wracał.

– Nie, Colette. Jest coś, co muszę tu doprowadzić do końca.

Na moment w jej oczach rozpałił się jakiś płomyk.

– To ta muskularna niedźwiedzica, prawda?

– Nie. – Przeczenie Ethana zyskiwało na sile przez jego uczciwe, bijące w oczy zaskoczenie. – Elfa się nie liczy. Nie wiem, co ona we mnie widzi, ale należy do innej rasy.

– Niektórym to nie przeszkadza – odparowała oskarżycielsko Colette.

– Ale mnie tak. Jeśli chodzi o Elfę Kurdagh-Vlata, całe zainteresowanie, poza antropologicznym, leży po jednej stronie. Po jej. Podałem ci prawdziwy powód. Nigdy bym nie potrafił być zawodowym studentem, zawodowym podróżnikiem, zawodowym hobbystą. A tym bardziej zawodowym mężem.

Wyglądało na to, że Colette gotowa jest już odejść, gdy nagle chwyciła go za rękę tak silnie, że ledwo utrzymał równowagę. Przysunęła się bardzo blisko i mówiła tak cicho, że nikt Oprócz Ethana nie zdołałby jej usłyszeć. Na moment poczuł się zahipnotyzowany przez te zielone, metalicznie błyszczące oczy.

– Jesteś pierwszym mężczyzną, jakiego spotkałam, który potraktował mnie jak istotę ludzką. Byłeś dla mnie dobry, byłeś ze mną uczciwy. Wiem, że jestem brzydka.

– Wszystko tylko nie to, Colette.

Jej uśmiech był pełen bólu.

– Przez całe miesiące byłam jedyną kobietą w okolicy. Cieszyła mnie ta izolacja. Jestem obeznana z psychofizjonomiką, mogłam czytać w twoich oczach, że z każdym miesiącem tej izolacji traciłam po pięć kilo. Gdybyśmy tylko dojechali do jakiejkolwiek placówki cywilizacji ludzkiej, zobaczyłbyś mnie znowu taką, jaką jestem, jakiej żaden doktor nie jest w stanie poprawić. Już się to stało, odkąd przybyliśmy tu, na tę placówkę. Jestem otyła, sarkastyczna i zabójczo zgorzkniała.

– Te ostatnie dwie cechy będą ci potrzebne, żeby utrzymać się na pozycji, którą masz objąć – powiedział jej Ethan. – Co do tej pierwszej, w taki sposób sama siebie postrzegasz. – Przypomniał sobie słowa Septembra. – Kształty cielesne i atrakcyjność niewiele mają ze sobą wspólnego. W ciemnościach cała ludzkość wygląda tak samo. Nie, powody, dla których nie mogę się z tobą ożenić, wiążą się z naszą konstrukcją psychiczną, a nie fizyczną.

Puściła go. Będzie miał czerwone ślady na rękach w miejscach, gdzie go trzymała.

– Dom du Kane'ów prowadzi interesy i ma swoje gałęzie na większości zaludnionych światów i w wielu koloniach. Gdybyś kiedyś zmienił zdanie, Ethanie Frome Fortune, możesz się ze mną skontaktować. – Uśmiechnęła się sztywno. – Dwadzieścia dwa RR, Ethanie. To ci pozwoli nadać odpowiednie tempo każdej sprawie.

– Znajdziesz kogoś innego.

– Przy mojej urodzie? Do zaoferowania mam saldo kartometru i stanowisko. Za nie nie kupię tego, co chcę. Prosiłam i błagałam, Ethanie. Żebrać nie będę.

– Wiem. Żebranie nie leży w twoim charakterze, Colette.

Jakiś steward gestykułował, stojąc przy samobieżnej kanapie, do której przypinano pasami jej ojca. Słaby głos nawoływał ją po imieniu. Wydobywał się z gardła potężnego ludzkiego reliktu.

– Czas iść. Do widzenia, Ethanie. Pamiętaj o mnie, gdybyś zmienił zdanie. Pamiętaj o mnie i wtedy, gdy go nie zmienisz.

Oszczędziła mu rozterki, czy ma ją pocałować, czy nie, odwracając się i ruszając zdecydowanym krokiem w kierunku ojca, w kierunku ludzi i maszyn, które pomagały utrzymywać go przy życiu. Ethan przyglądał się, jak samobieżna kanapa kieruje się w górę rampy prowadzącej do rękawa wiodącego do wahadłowca. Śnieg zakleił okno, przez które patrzył.

Minęło piętnaście minut, a potem zakończono wymianę kartonów i opakowań. Poprzez grube okno ze szkłotopu dobiegło stłumione, chemiczne bulgotanie. Z rufy wahadłowca wypłynęły czerwono-pomarańczowe pasma, jakby rozlana farba. Wahadłowiec wznosił się bardzo szybko, aż skurczył się do rozmiarów nie większych niż jeden z tysięcy innych jasnych płatków, wirujących w zimnym, zimnym powietrzu Tran-ky-ky.

Ethan potarł lewe ramię w miejscu, gdzie trzymała go Colette i zamyślił się.

ROZDZIAŁ 4

September pozwolił mu tak stać przez godzinę, potem dołączył do niego.

– Nielatwo, co chłopcze?

– Nie, Skuo. Nielatwo.

– Ale lepiej, że tak się stało – powiedział olbrzym pocieszająco. – Pieniądze to nie wszystko. Lata będą płynąć, a ona zanim złagodnieje, to zrobi się jeszcze twardsza. Cały wszechświat pełen jest podlotków, które tylko czekają, żeby wypróbować skrzydełka, a do tego są dużo ponętniejsze.

– Skuo.

– Co tam, chłopcze?

– Zamknij się. – I Ethan ruszył gwałtownie korytarzem z rękami głęboko wbitymi w kieszenie.

September wzruszył ramionami i poszedł za nim, utrzymując stałą odległość. Dookoła młodego komiwojażera wyrósł mroczny mur, a zwalić go można było tylko od wewnątrz. Sir Hunnar i jego dwaj giermkowie czekali cierpliwie na zewnątrz kapitanatu portu. September próbował przekonać ich, żeby weszli do środka i przyglądali się startowi wahadłowca z mniejszej odległości, ale tranowie postanowili wyrzec się tej przyjemności, ponieważ musieliby wytrzymać panujący wewnątrz nieznośny gorąc.

– Widzieliśmy stąd, jak się wznosił, przyjacielu Ethanie – powiedział trański rycerz. – Był większy niż podniebna łódź, w której do nas przybyliście. – W jego ton wkradła się nuta dziecinnego zadziwienia. – Czy on naprawdę poszifuje do jeszcze większego statku?

– Dużo większego, Hunnarze. – Pełne zaciekawienia, otwarte spojrzenie trana przypomniało Ethanowi powód, dla którego tu został. A przynajmniej jeden z powodów. – Znajdźmy sobie w tym mieście jakiś lokal i wypijmy czareczkę ridilu. – Ten nadzwyczajny nibymiód podziała jak balsam przynajmniej na jego gardło, jeżeli nawet nie ukoji niejasnych wyrzutów sumienia.

Tawerna, na którą trafili, znalazła się chyba psim śwędem na tej wąskiej uliczce szacownie wyglądających jedno i dwupiętrowych budynków. Nie podawano w niej ridilu, ale znajdowała się tam obfitość nietoksycznych napojów wysokowych. Większość z nich była pochodną różnych odmian wszechobecnej pika-piny czy pika-pedanu, kilka pędzono na innych gatunkach roślin. Najważniejsze, że po każdej po wnętrzu Ethana rozpełzało się ciepło.

– Ale jak mamy postępować, żeby utworzyć tę konieczną konfederację, przyjacielu Ethanie? – W głosie Suaxusa dal Jaggera brzmiało krańcowe zniechęcenie, przecież wyprawa nawet się jeszcze nie zaczęła. – Nic nie wiemy o tym kraju. Nikt z Wannome ani z Sofoldu jeszcze nigdy nie był tak daleko od domu.

– Tak wiele saczów – zamruczał jego kolega, Budjir.

– Może to się okazać dla nas korzystne. – September zgarbił się nad stołem. – Te inne państwa, które odwiedzimy, pewnie nic nie wiedzą o Sofoldzie, ale mogły do nich dotrzeć pogłoski o Asurdunie, a stąd o tutejszej placówce thranxludzkiej. Zorientowaliśmy się już, że z tej planety odlatują zbyt wielkie ilości towarów, żeby miały pochodzić z samego Asurdunu. Oznacza to, że Asurduńczycy handlują z okolicznymi państwami. A jak mogliby skuteczniej przydać sobie powagi i znaczenia, niż twierdząc, że pozatrańscy czarodzieje... czyli my... to ich sojusznicy? Jakiej więc reakcji możemy się po nich spodziewać, kiedy pokażemy się tam i powiemy, żeby lepiej dla swojego własnego dobra utworzyli tę konfederację?

Ethan odstawił wysoki puchar trunku i za pomocą olbrzymiej łyżki zaczerpnął następną porcję przyprawionej na ostro, stojącej przed nim zupy. Ostrożnie ją wessał, ponieważ czubek łyżki był za szeroki dla jego małych, ludzkich ust. Zupy nigdy nie należały do jego ulubionych dań, wołał coś bardziej konkretnego, ale klimat Tran-ky-ky potrafiłby pewnie u każdego rozbudzić zamiłowanie do gorących potraw w dowolnej postaci.

– Wolałbym – odparł Hunnar rozdrażniony, rozważywszy logikę wypowiedzi Septembra – zacząć gdzieś w sąsiedztwie Sofoldu.

Odepchnął krzesło do tyłu i huśtał się na jego tylnych nogach. Ethan był pewien, że rycerz nie spadnie. Nigdy jeszcze nie widział istot o tak doskonałym, wrodzonym poczuciu równowagi.

– Nie, Hunnarze, sądzę, że będziemy mieli większe szansę tutaj, gdzie nie zna nas żaden z mieszkańców, których będziemy próbowali przekonać i gdzie być może poprzedzi nas wątpliwa reputacja ludzkości.

– Ta-hoding również powinien się na ten temat wypowiedzieć. – Budjir wstawił się za kapitanem *Slanderscree*. – To właśnie na niego spadnie odpowiedzialność za bezpieczne przewiezienie nas przez lodowe bezdroża i wyprowadzenie na bezpieczne tereny, gdy zaistnieje jakieś zagrożenie.

– To nie takie ważne – odparował energicznie September. – Nie odbierzemy pocziwemu Ta-hodingowi głosu, ale dużo ważniejszą sprawą jest to, żeby...

– Czuję tu jakiś dziwny zapach, Baftemie.

Rozmowa przy stole urwała się.

Powiedział to jakiś bogato ubrany tran, który stał bardzo blisko ich stolika. Żebrowanie na danach pociągnięte miał chromowo-srebrnym i różowym lakierem i niemalże tonął w fałdach nieprawdopodobnie gęstego, gładkiego futra z jakiegoś zwierzęcia w białe paski i czarne cętki. Obok

niego stał jeden z najpotężniej zbudowanych tranów, jakiego Ethanowi zdarzyło się dotychczas widzieć. Miał dobrze ponad dwa metry wzrostu i jak zwykle u tranów proporcjonalne do tego bary. Ten ostatni opierał jedną łapę na kolbie jakiejś broni przyczepionej do lewej nogi. Broń była matowobiała i szara i wyglądała na kość udową jakiegoś zwierzęcia-piechura, nie wykluczone że trana. Maczugę pokrywały zawiłe płaskorzeźby. Na jej ukształtowanym jak gałka dolnym końcu uformowano wystające ostrza.

– Co za ohydny odór... ja też go czuję – powiedział olbrzym, zjadliwie się uśmiechając.

Ethan zauważył, że rozmowy w tawernie przycichły do nieprzerwanego, niskiego szmeru. Większość spojrzeń skierowana była na nich.

Bogaty tubylec wykonał w powietrzu przed swoim nosem jakiś zawiły gest, któremu towarzyszyły liczne, wyraziste grymasy twarzy. Nie przestając osłaniać sobie pyska przed wyimaginowanym smrodem drażniącym jego zmysł powonienia, ostentacyjnie przeszukiwał okolicę stolika, zaglądał pod krzesła, obwąchiwał stół, sprawdzał podłogę. Na czworakach przybliżył się do krzesła Hunnara, przestał węszyć i wstał. Demonstracyjnie pociągnął jeszcze raz nosem, wystarczająco głośno, żeby usłyszeli go wszyscy gapie.

– Chyba znalazłem źródło, Baftemie – powiedział swemu towarzyszowi. – Ktoś był tak źle wychowany, że wprowadził na salę wykastrowanego bourfa.

Ciszy nie mącił najłżejszy dźwięk. Kiedy nikt przy stoliku nie zareagował, olbrzym wyraźnie zmarszczył pysk, spojrzał spod przymrużonych powiek na Hunnara i wydał pełen niesmaku odgłos.

– Sam wiesz, jak z tych enoglidów cieknie, kiedy się je wykastruje. Co za okropny odór! – Popatrzył naokoło stołu i wykrzyknął niby to ze zdumieniem. – Ale wydaje się, że jest tu więcej niż jedno źródło tej woni.

– Spokojnie, Baftemie. Obywatelowi wypada zachowywać się uprzejmie, nawet w stosunku do wytrzebionego bourfa. – Nachylił się nad Ethanem i Hunnarem. – Czy zechcielibyście wyjść?

Ethan pełen był podziwu dla opanowania Hunnara; rycerz obejrzał się przez ramię i zawołał:

– Oberżysto, do kogo należy ta tawerna; do ciebie, czy do niego?

Z podziwu godną zdolnością przewidywania oberżysta zdążył już wycofać się w okolice drzwi kuchennych. W odpowiedzi na pytanie Hunnara wydał z siebie jakiś niezrozumiały, bełkotliwy dźwięk i dał nura do środka, zanim ktoś zdążyłby poprosić go o dalsze wyjaśnienia.

– Może ty i jesteś oberżystą, mimo wszystko – Hunnar popatrzył lekceważąco na intruza – chociaż mnie bardziej przypominasz skalnego robaka. – Jego wzrok opadł ku stopom tamtego. – Ale ten obślizgły ślad, który się za tobą ciągnie, prowadzi od drzwi, a nie od pomieszczeń na tyłach.

Obrażony obywatel zrobił krok w tył wyciągając równocześnie miecz i ciął w dół. Hunnar wciąż jeszcze kołysał się na tylnych nogach krzesła. Kiedy ostrze opadało, odepchnął się od podłogi. Potężne oparcie krzesła uderzyło w brzuch napastnika, który potykając się poleciał do tyłu.

Ethanowi udało się wysunąć zza stołu i wyciągnąć własną broń. Ważyła więcej niż kartometr, ale w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy musiał nauczyć się posługiwać nowymi metodami perswazji. Nie zwrócił uwagi na trana, który prześliznął się za ich plecy, ale dał Jagger go widział. Niedoszły morderca wpadł na Hunnara, na oślepie szarpiąc pazurami sztylet giermka, który mu sterczał między oczami. Hunnar się zachwiał.

W tym momencie chyba wszyscy obecni w tawernie rzucili się na nich. Lodowe miecze i topory z kości i metalu waliły jak cepy w nowo przybyłych. Ethan znalazł się na podłodze, usiłując uchylić się przed lancą, którą dźgał w jego kierunku jakiś krzepki klient. Przeturlał się i żeleźce lancy wykrzesало iskry z brukowanej podłogi. Trzymający lancę napastnik usiłował właśnie unieść broń do następnego uderzenia, kiedy w twarz trafił go stół.

Rzuciwszy stołem September zaczął mocować się z olbrzymim tranem, towarzyszem tego, który obsypał ich zniewagami. Przeogromna, kościana maczuga zawarczała w powietrzu, September zwinnie uskoczył jej z drogi. Maczuga wyrwała z drewniane go przepierzenia kawałek wielkości głowy. Teraz przyszła kolej na Septembra, który potężnie zdzielił swojego przeciwnika-kocura w brzuch. Olbrzym stęknął zaskoczony, ale nie upadł. Podniósł maczugę nad głowę, a wyraz jego twarzy zmienił się z rozjuszonego na mocno ogłupiały. September podniósł kolosa o lekkich kościach w powietrze i przerzucił przez pół tawerny.

Milliken Williams, który aż nadto orientował się, jak wielką wykazuje nieudolność przy walce wręcz, przycupnął przy przepierzeniu i robił, co mógł, żeby na siebie nie zwracać uwagi.

Ethan uchylił się przed ciosem miecza, złapał atakującego go trana za kark i oderwał od podłogi. Tran mocno uderzył w ścianę i bezwładnie osunął się na ziemię. Niezorganizowana grupa atakujących, napotykając z jednej strony na niespodziewanie silnych ludzi o ciężkich ciałach, a z drugiej na fachowe umiejętności Hunnara i jego giermków, popadła w tarapaty. Odór krwi zaczynał zbijać z nóg.

Ethan zablokował ręką uderzenie szerokiej szabli, poczuł jak drgania przenoszą się aż do mięśni w jego ramieniu. Starając się włożyć w cios całą swoją masę, zamachnął się mieczem nad głową i w dół. Jego przeciwnik odparował, ale siła uderzenia wytrąciła mu ostrze z ręki. Ukląkł i złapał broń, zanim Ethan zdążył uderzyć po raz drugi. Ale zamiast podjąć przerwany atak, wycofał się i zaczął szukać pomocy. Ze wszystkich jednak walczących najbardziej skuteczny okazał się nie September, nie Sir Hunnar, czy którykolwiek z rozjuszonych obywateli, tylko oberżysta z tawerny.

Z krokwi zwiślał krąg czarnego, kutego żelaza, który podtrzymywał osiem dużych lamp olejnych. Kiedy September wyrwał go z sufitu i zaczął wymachiwać nim jak bronią, właściciel zdecydował, że dość tego finansowego szaleństwa. Kandelabr był z metalu, stanowił więc najcenniejszą część wyposażenia tawerny. Nie mógł pozwolić, żeby go połamano czy pogięto. Ryzykując życiem, rzucił się w wir walki i wynurzył się bez jednego zadraśnięcia po drugiej stronie.

Walka trwała jeszcze tylko kilka minut, dopóki z godnym podziwu pośpiechem oberżysta nie zlokalizował grupy konstabli. Jeden z walczących, który znalazł się w pobliżu drzwi, poinformował pozostałych, że zbliża się to niebezpieczeństwo i wtedy splątani zapaśnicy w jednej chwili

porozdzielali się i zaczęli szukać bezpiecznych sposobów opuszczenia gospody.

– Kuchnia! – krzyknął Hunnar.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Ethan. – Przecież to nie my zaczęliśmy.

Jakaś ręka popchnęła go do drzwi.

– Policja jest zwykle wszędzie taka sama, mój chłopcze. Najlepiej jej unikać, jeżeli tylko się da.

Popędzili przez cuchnącą kuchnię i znaleźli się w alejce z lekka przyprószonej śniegiem. Idąc za przykładem Hunnara przebiegli kawałek na lewo, potem zwolnili.

– Dlaczego zwalniamy? – Ethan obejrzał się wyczekująco, ale w wąskim pasażu nie było widać śladu pogoni. – Jesteśmy wciąż stosunkowo blisko tawerny.

– Na tej drodze z pewnością nie będą nas szukali, przyjacielu Ethanie. – Hunnar dyszał miarowo, był bardziej zasapany niż ludzie.

– A czemu nie?

Hunnar wskazał na powierzchnię, po której szli. Szponiastą łapą odsunął na bok białą, białą warstewkę śniegu, spod której ukazały się kamienne bloki. – Nie ma tu ścieżki lodowej. Żaden spieszący się tran nie zszedłby z szybkiej ścieżki lodowej. Ten pomysł ty mi nasunąłeś. Nie zwykliśmy myśleć o „uciekaniu” w sposób, który dla was jest czymś naturalnym – dodał. – Tranowie nie chodzą ani nie biegają tam, gdzie mogą szifować. Lokalne władze nie pomyślą o tym i będą ścigały tych, którzy wybrali lodowe ścieżki.

Szli dalej wzdłuż brukowanej alejki, aż doszli do szerszej drogi. Tam wmieszali się w zwykły ruch uliczny. Od tranów, którzy krzątali się dookoła, odróżniały ich tylko dręczące myśli, a te myśli ukrywali równie starannie, jak swoją splamioną broń.

Kiedy znaleźli się z powrotem na pokładzie *Slanderscree*, marynarze i żołnierze stłoczyli się pospiesznie naokoło dal Jaggera i Budjira, krytycznie przyglądając się ich lekkim ranom i przez cały czas wypytyjąc o walkę. Hunnar i trójka ludzi odsunęli się od nich w stronę poręczy i wpatrzyli się znowu w niewinny krajobraz portowy.

– Zaatakowali nas.

– To dosyć oczywiste, Millikenie.

Nauczyciel potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową.

– Nie, nie... nie stwierdzam jeszcze raz tego, co oczywiste. Mam na myśli, że zaatakowali nas... ludzi.

– A cóż w tym... – Ethan urwał i zamyślił się. – Rozumiem. Od chwili kiedy tu przybyliśmy,

tubylcy traktowali nas z wielką uprzejmością, a nawet szacunkiem. – Popatrzył z podnieceniem na Skuę. – Skuo, czy pamiętasz ten incydent sprzed kilku dni, kiedy pierwszy raz poszliśmy odwiedzić kapitana portu? Ten tłum, który zaczepiał Hunnara na zewnątrz, a wycofał się, jak tylko byliśmy gotowi interweniować? Co się dzisiaj stało z tym, co nas wtedy chronił?

– Przychodzi mi do głowy tylko jedno, chłopcze. – September nie przestawał wpatrywać się w miasto i skubał odzianą w nowy kombinezon ręką łód na poręczy. – Był to z góry zaplanowany atak. Naumyślnie zostaliśmy sprowokowani. A raczej sprowokowani zostali Hunnar i jego chłopcy; ktoś liczył na to, że ty i ja, i Milliken zostaniemy wciągnięci do walki... i nie zawiedliśmy. Tak mi się zdawało, że niektórzy z tych klientów walczą zbyt dobrze, jak na przypadkowy tłum poirytowanych mieszczuchów.

– Ale dlaczego? – Myśli Ethana płynęły równie spokojnie jak wiatr, to znaczy wcale.

– Czy jeszcze nie domyślasz się prawdy, przyjacielu Ethanie? – Hunnar patrzył na miasto spode łba, jego ton był sardoniczny. – Prawdopodobnie takie przyjęcie czeka nas wszędzie, gdzie tylko udamy się z tym planem konfederacji. Wszystkich tranów cechuje wrodzona podejrzliwość w stosunku do obcokrajowców. Może ją mitygować tylko wasza obecność, a jeżeli nie dzieje się tak tu, w Asurdunie, gdzie wasi pobratymcy znani są tranom jako dobroczyńcy, z pewnością nic nam ona nie pomoże gdzie indziej.

– Przepraszam, Hunnarze. – September oderwał rękę od poręczy i przytrzymał się jednej z want z pika-piny. – Masz rację, że twoich pobratymców cechuje wrodzona podejrzliwość w stosunku do obcych, ale wątpię, żeby zaatakowano nas z tego powodu. Po prostu ktoś sądzi, że jesteśmy niebezpieczni: Ethan, Milliken i ja. Chcieliby usunąć nas z drogi. Dlaczego? To dosyć oczywiste, nieprawdaż? Są tu tacy... może Asurduńczycy, a najpewniej i jedni, i drudzy... którzy mają miluchny, dochodowy monopol na pozaplanetarny handel. Oświadczyliśmy, że mamy zamiar złamać ten monopol. Musieli coś rozgadać marynarze. – Przyciszył głos. – Nie sądziłem jednak, że może to być na tyle ważne, żeby ktoś ryzykował zabiciem nas. Aż do tego popołudnia nie sądziłem.

– Więc czemu nie złożymy raportu o tym, Skuo?

– Mój chłopcze – powiedział Skua łagodnie – nie bądź naiwny. Jakież to ma znaczenie, że kilku ludzi zginie w jakiejś miejscowej burdzie? Oczywiście, ty i ja dobrze wiemy, że nie była to przypadkowa utarczka, ale jak mamy tego dowieść przed thranxyjskim sędzią? – Potrząsnął głową. – Niewiele możemy zrobić, chyba tylko cieszyć się, że nie władali mieczami lepiej i przyspieszyć przygotowania do wyruszenia w drogę.

– O tej walce można tylko dobrze mówić. – Oczy Hunnara lśniły. – Pięciu przeciw dwudziestu pięciu.

Ethan popatrzył z odrazą na skrwawiony miecz, który mu wisiał u pasa. Próbował wytrzeć go do czysta o śnieg, ale zamrożone czerwone kryształki przywierały oskarżycielsko do ostrza.

– Jesteś za bardzo dumny z zabijania, Hunnarze.

Trański rycerz przekrzywił głowę na bok, kropka w kropkę przypominał zaciekawionego czymś kocura.

– To i prawda, Ethanie. Nie jestem jednak rodem z waszej zaawansowanej cywilizacji. Musisz w głębi swojego serca znaleźć dla nas cierpliwość. – Wiatr przybrał na sile i pojękiwał wokół nich, kiedy tran gestem wskazywał na przesmyk prowadzący w kierunku oceanu. – Może mój świat nie sprzyja tak bardzo łagodności i zrozumieniu, jak twój. My tutaj walczymy najlepiej za pomocą rąk, a nie ust.

– Nie chciałem cię obrazić – odparował Ethan gniewnie.

– Dość już. – September z dezaprobatą przeniósł wzrok z człowieka na trana. – Powinniśmy tu, na tym świecie, wykuwać wielkie przymierze, a nie wystawiać na próbę to słabiutkie, które już zawarliśmy. – Oстрыm gestem pokazał na port. Z tysiąca kominów unosił się dym. – Im szybciej stąd wyjedziemy, tym mniej się nas będą czepiać, mam nadzieję. – Wbił wzrok w Hunnara. – Kiedy ruszamy?

W odpowiedzi Hunnar zaczął burczeć.

– Ponieważ do Sofoldu jest stąd tyle saczów i ponieważ zaparliście się, żeby to wielkie przedsięwzięcie rozpocząć tutaj, i ponieważ nie jest to mój pomysł tylko wasz, a już szczególnie ponieważ jestem pewien, że nie powiedzie nam się ani trochę lepiej tutaj niż w pobliżu domu, to przypuszczam, że możemy równie dobrze naszych pierwszych sprzymierzeńców poszukać sobie w tej części świata. Poza tym, jeżeli z taką dziwną koncepcją wrócimy do domu, będziemy mieli trudności z utrzymaniem załogi. Nie pozostaną lojalni, jeżeli każesz im wybierać pomiędzy dążeniem do chwalebego szaleństwa, a zachowaniem swojego domu. – Okręcił się gniewnie na pięcie i gdzieś poszifował.

– Nie powinieneś być go doprowadzać do wściekłości – zbeształ September swojego przyjaciela.

– Wiem. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do wbijania różnych ostrych rzeczy w kogokolwiek i trudno mi bardzo sympatyzować z kimś, kto to robi. – Uśmiechnął się krzywo. Aż dziw, ale to, czego się człowiek najmniej spodziewa, wdziera się zupełnie nieoczekiwanie w myśli. – Colette lepiej by sobie z tym poradziła niż ja.

– Jeżeli jesteś aż taki czuły na tym punkcie, mój chłopcze, to dlaczego zostałeś tu, żeby w tej sprawie pomagać, kiedy mogłeś teraz jechać w bardziej ucywilizowane strony, gdzie żaden człowiek nie wbija w drugiego nic poza, jak to mówi Hunnar, ostrymi słowami?

Ethan zastanawiał się przez chwilę.

– By przyszedł taki dzień, kiedy wnuki Hunnara nie będą uważały za konieczne chwytać za nóż, żeby rozstrzygnąć różnicę zdań. – Z tyłu nad nimi, na pokładzie sterowym Ta-hoding rozmawiał z kilkoma swoimi oficerami. – Chodźmy zdecydować się na jakiś kurs. Poniesiemy temu światu dojrzałość i wiedzę, nawet gdyby nas to miało kosztować życie.

– A bardzo jest prawdopodobne, że taka będzie tego cena, mój chłopcze. – Ruszyli w stronę rufy.
– Hunnar ma pewnie rację, że będziemy mieli problemy z przekonaniem do tej konfederacji mieszkańców co bardziej odosobnionych państw-miast.

Ethan z większą pewnością siebie przyspieszył kroku.

– Tym to już ja się zajmę...

* * *

Ubrany w kombinezon ochronny Jobius Trell lekko rozchylił usta, posłuchał, jak śmieje się cukierek i z uśmiechem ssał dalej. W tym momencie cukierek miał smak śliwy daktylowej, a śmiech był nęcąco kobiecy. Smukły, dorosły tran, który stał na zboczach pagórka obok niego, rzucił mu pytające spojrzenie; najwyraźniej zaintrygowała go zdolność tego bez wątpienia męskiego osobnika do wydawania takiego śpiwnego chichotu. Trell przestał na chwilę badawczo przyglądać się prowadzonym w dolince u ich stóp pracom, odsunął maskę kombinezonu i odwrócił twarz od przenikliwego wiatru. Ręką okrytą rękawicą wyjął resztkę cukierka z ust i pokazał go swojemu zaciekawionemu towarzyszowi.

– Chichops. Słodkość – wyjaśnił.

– Icho...s. – tranowi język zaplątał się na obcej fonetyce, a Stały Komisarz ponownie wetknął cukierek do ust i zaczął go ssać. – Ale ten dźwięk, który słyszałem?

– Takie cukierki produkuje się w warstwach – powiedział mu Trell z westchnieniem. To było takie nudne, ta ciągła konieczność tłumaczenia podstawowych przejawów cywilizacji Wspólnoty tym barbarzyńcom, nawet tak żądnym wiedzy i pojętym, jak jego dzisiejszy towarzysz. Skupił się znowu na pracach prowadzonych w dolince.

Trzęsienie ziemi wywołane przez eksplozję wulkanu znanego pod nazwą Miejsce-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie spowodowało trochę szkód, głównie w miasteczku tubylców, ale również w Dętej Małpie. Jako komisarz miał obowiązek osobiście nadzorować konieczne przy odbudowie prace. Poza tym w ten sposób zyskiwał sobie lepszą opinię w oczach tubylców. To, że zawałony magazyn miejscowej żywności w zagłębieniu terenu poniżej, jako jedyny uległ poważniejszemu uszkodzeniu, świadczyło o wspaniałych umiejętnościach miejscowych budowniczych. Ale, zastanawiał się Trell, przy panującej tutaj na co dzień pogodzie, nawet w obrębie stosunkowo osłoniętego portu Asurdunu zwykłe trańskie budynki musiały być solidnie budowane.

– W jaki sposób jedzenie może mówić?

– Co? Och. Kiedy w ustach rozpuszczają się kolejne warstwy tego czegoś twardego, z czego jest cukierek, z każdej z nich uwalnia się inny smak i inny śmiech. – Odwrócił się twarzą do stojącego obok niego trana.

Ten tran był szczuplejszy niż większość jego współplemieńców. Miejscami jego stalowoszare futro przechodziło w długich, pasiastych łatach i cętkach w niemal smolistą czerń. Ciemne smugi

barwiły jeszcze jego lewe ucho, pysk i lewy policzek i spływały jak kleks miękkiej smoły po boku, by zniknąć pod Jaskrawo pofarbowaną niebieską opończą i kamizelką. Przy swojej stosunkowo szczupłej budowie bardzo przypominał komisarza. Jednak łączyło ich coś więcej niż sam wygląd zewnętrzny. Trell kończył swoje wyjaśnienia.

– Nagrywa się śmiech prawdziwych ludzi – widziałeś chyba wszędzie w porcie nasze przyrządy do nagrywania? – Tran skinął głową na znak, że widział. – Potem skomputeryzowane... takie sprytnie myślące... urządzenie przy zestalaniu tego cukierkowego jedzenia wbudowuje zapis dźwiękowy głosu w małe banieczki powietrza, które są czymś więcej niż tylko zwykłymi banieczkami powietrza. Kiedy warstwa zakodowanego śmiechu zostaje wystawiona na działanie powietrza, dźwięk uwalnia się w ustach. – Uśmiechnął się pod maską szeroko na wyrazne zakłopotanie, jakie wywołały jego wyjaśnienia. – Powiedz mi, czemu jedzenie nie miałoby brzmieć równie dobrze jak smakuje?

– Nie wiem – odpowiedział szorstko tran – ale to dla mnie dziwaczny i nie całkiem przyjemny pomysł.

– Może, ale sprowadziliśmy już do was wiele dziwacznych rzeczy, a nawet najdziwniejsze z nich okazały się dochodowe. Mamy takie starożytne powiedzonko – podobnie jak moje cukierki, pieniądze też potrafią mówić.

Twarz trana rozjaśniła się.

– To jest coś, na co zgadzają się oba nasze narody, przyjacielu Trell. Kiedy „pieniądze przemawiają” – w porządku, ale nadal wolę, żeby moje jedzenie siedziało przyzwoicie cicho.

Każdy kto by popatrzył na tego trana, zorientowałby się po jego bogatym ubiorze, obficie przystrojonym cenną metalową nicią, po zdobionej folią kamizeli i paskach metalu osadzonych na danach w taki sposób, że błyskały, kiedy podnosił ręce do góry, że jest on wyjątkowo dobrze sytuowany, nawet jak na standardy Asurdunu. Mógłby natomiast nie domyślać się, jak ważny jest pasek metalu okrążający jego szyję.

Od czasu do czasu jakiś człowiek pomagający tubylcom na dole przy odbudowie magazynu wspinał się po łagodnym zboczu, żeby poprosić Trella o instrukcje lub rady. Niekiedy pytającym był jakiś tran. Pytania kierowano niezależnie od rasy. Zdarzało się, że człowiek prosił o radę trana, a tubylec zwracał się do komisarza.

Magazyn zbudowano na opadającym w kierunku cieśniny zboczu, blisko brzegu, gdzie zatrzęsło nim silniej niż podobnymi budowlami w mieście. Także w pobliżu kilka innych budynków przekrzywiło się nieco albo popękało i powypadały z nich okna, ale zupełnie zniszczeniu uległ tylko ten magazyn.

Trell wiedział, że stało się tak, ponieważ większość budynków trańskich zbudowana była z kamienia, a tranowie nie opanowali jeszcze sztuki konstruowania kopuł. Tak więc każda budowla z dużą, wolną przestrzenią w środku, taka jak ten magazyn, była dużo mniej stabilna niż budowle podzielone na mniejsze pokoiki i sale, w których ściany wewnętrzne służyły do podtrzymywania dachu. Tranowie nie mieli odpowiednich materiałów do zadaszania obszernych powierzchni. Do

tego konieczne były konstrukcyjne metale i plastyki. Tranowie o plastikach nie wiedzieli nic, a nigdy nie przyszłoby im na myśl, żeby marnować cenny metal na budowanie, no, chyba że od czasu do czasu na jakiś bolec czy gwóźdź.

Istotnie, jedynym kawałkiem metalu o większym znaczeniu we wszystkich budynkach na Asurdunie, a może i na całej Tran-ky-ky – poza stacją thranxludzką – były podwójne, lite, mosiężne drzwi, które stanowiły teraz wejście do zbudowanego na tyłach miasta zamku Landgrafa. Kiedy słońce świeciło pod odpowiednim kątem, można było ich odbicie zobaczyć w dole w porcie.

To był wyjątkowo dobry pomysł, darowanie Landgrafowi tych drzwi. Z wdzięczności bowiem Landgraf Asurdunu, Callonin Ro-Vijar, z nawiązką spłacał skromne koszty podarunku w mniej widoczny, ale dużo opłacalniejszy sposób. I ten stan rzeczy należało zachować. Trell odwrócił się do stojącego przy nim trana.

– Rozumiem, przyjacielu Ro-Vijar, że kilka osób mojej rasy, ci nowo przybyli, którzy tu przyjechali na wielkim statku lodowym, wzięło udział w bardzo niesympatycznej burdzie w miejskiej tawernie. – Pokazał na port, gdzie maszty *Slanderscree* górowały wysoko nad wszystkimi innymi.

– Doszły do mnie takie doniesienia. – Landgraf Asurdunu wykonał trański gest równoznaczny z bezradnym wzruszeniem ramion. – Obcy nie są tu popularni. Czy te wiadomości cię niepokoją?

– Tak, niepokoją mnie – odparł Trell. – Niepokoją mnie, mój przyjacielu, ponieważ stało się to właśnie tutaj, gdzie wieści o tym wydarzeniu mogą dojść do uszu innych ludzi, łącznie z członkami mojego własnego personelu. Gdyby coś złego stało się jakiemuś człowiekowi tak blisko placówki, mogłyby pojawić się problemy. Mógłbym zostać skompromitowany w oczach moich przełożonych. A w efekcie mój rząd mógłby zacząć się w niemiły sposób wtrącać w to zdrowe, handlowe przymierze, które tu zawarliśmy.

– Tego należy unikać. – Ro-Vijar kopnął lekki śnieg. Spod ostrych szifów poleciały błyszczące płatki. – Chodzą pogłoski, że ci nowo przybyli mówią o zorganizowaniu dużej ilości niezależnych państw w taki sposób, by mogły zwrócić się z prośbą o przyznanie im wyższego statusu w twoim rządzie, w waszej Wspólnocie.

– Tak, chodzą takie plotki. – Trell uśmiechnął się pod maską. Oczywiście to on sam poinformował Ro-Vijara o planach obcych, ale obydwaj mężczyźni rozkoszowali się taką subtelną grą słów. To był dobry zwyczaj, na wypadek gdyby komuś przypadkiem udało się ich podsłuchać.

– Gdyby miało im się powieść takie przedsięwzięcie – ciągnął dalej Landgraf – czy nie oznaczałoby to, że każdy mógłby przyjechać z najdalszych nawet regionów i swobodnie handlować z wieloma różnymi przedstawicielami twoich własnych miast-państw?

– Rodzin kupieckich – poprawił go Trell – nie miast-państw. Ale wynik byłby taki sam. Ja osobiście nie sądzę, żeby to było konieczne. Obecna organizacja handlu jest zadowolająca dla wszystkich zainteresowanych. Chyba że uważasz, że ktoś inny niż ja nadzorowałby lepiej nasze transakcje handlowe.

– Mnie również istniejące porozumienia odpowiadają.

Zamilkli obydwaj, każdy z nich pogrążył się w gorączkowych rozmyślaniach, pozornie skupiony na nieustających pracach budowlanych w dole. Hałaśliwe ekipy postawiły pierwszą nową ścianę, umacniały nieznany im, hartowany plastik, żeby nie zwałił go wiatr. Kiedy już ściana zostanie wprasowana na swoje miejsce, praca będzie mogła postępować szybciej, ponieważ spełni ona rolę wiatrochronu.

– A więc co trzeba nam robić, przyjacielu Trelle? Czy ty sam nic nie możesz zrobić?

– Obawiam się, że nie, mój przyjacielu. Mogę ukrywać kredyty i skrzynie, i zmieniać listy przewozowe, i wykazy towarów. Ale próba dematerializacji trupów trzech obywateli mogłaby okazać się niebezpieczna. A przecież coś musimy zrobić... i tym razem nie tak niezdarnie, nie tak jawnie. Ci trzej ludzie mogą nie znać Asurdunu, ale znają twoją planetę, Landgrafie. Żyli wśród tranów przez wiele miesięcy. Są inteligentni. Ich znajomość języka i jego subtelności jest większa niż moich własnych specjalistów. Chociaż poinformowano mnie, że taka unia, jaką oni mają na myśli, jest w najwyższym stopniu mało prawdopodobna, nie należy dawać im okazji, żeby dowiedli, że moi ksenologowie się mylą. Powinno ich się zniechęcić.

– Zniechęcić – zawtórował Landgraf, naśladując człowiecze głoski najlepiej, jak potrafił. – Ale nie tu. Rozumiem. Jak tylko znajdą się w drodze, zgromadzę najlepsze dostępne mi argumenty.

– Jestem pewien, że będą skuteczne.

Obydwaj znowu przyglądali się, jak staje druga ściana magazynu, a inżynierowie-ludzie zaczynają na gorąco zgrzewać róg, gdzie się ściany stykały. Nie wspomniano więcej o *Slanderscree* ani jej mającej prowadzić kampanię załodze. O niczym więcej nie było trzeba wspominać. Chociaż należeli do różnych ras, jeden drugiego doskonale rozumiał...

* * *

– Co wiesz na temat tego Poyolavomaaru? – Ethan trzymał się wanty i rozmawiał z Ta-hodingiem. Z mozołem odjeżdżali na południe od portu Asurdunu, halsując pod silny wiatr.

– Tylko tyle, ile mówili mi inni kapitanowie na wybrzeżu, przyjacielu Ethanie. Cztery rumby na prawo!

Dwaj krzepcy sternicy zareagowali na rozkaz kapitana i zaczęli borykać się z obracaniem olbrzymiego koła sterowego. Od rufy gigantycznego klipra lodowego doszedł nieco wyższy niż zwykle pisk, kiedy piąta duramiksowa płoza stosowana do sterowania statkiem wciąła się ukosem w lód. Powoli statek obrócił się i wyszedł na nowy kurs.

Już od kilku dni mknęli równolegle do wyspy Asurdun. Według szacunków Williamsa przebyli już ponad sto kilometrów. Nie budziło wątpliwości, że Asurdun jest wiele, wiele razy większy od Sofoldu, rodzinnej wyspy Hunnara i Ta-hodinga. Niziny naokoło miasta i portu dawno już ustąpiły miejsca skałom, które wyrastały prosto z lodu na wysokość trzydziestu i więcej metrów. U góry

drzewa i krzaki porastały klif aż do skraju urwiska, tworząc na jego szczycie nierówne frędzle, powodując, że kręty skraj klifu przypominał grzbiet podenerwowanego kota.

– Powiedziałeś mi – ciągnął dalej Ta-hoding – że powinniśmy zacząć naszą misję od jakiegoś pobliskiego, a ważnego państwa. Wszyscy kapitanowie i kupcy, z którymi rozmawiałem, zgadzali się, że w tym regionie poza Asurdunem najpotężniejszy jest Poyolavomaar. Z opisu sądząc ciekawie będzie odwiedzić to miasto.

Wyplątawszy się spomiędzy innych statków Ta-hoding zrobił się rozmowny.

– Według Zho Migan-Gee’go, kapitana, który okazał mi najwięcej przychylności, Poyolavomaar to grupka dziesięciu czy więcej leżących blisko siebie bardzo stromych wysp. Mówił, że odległości między nimi są tak niewielkie, że wszyscy poza najmłodszymi kociętami mogą bezpiecznie szifować z jednej wyspy na drugą. Sam dwa razy odbył tę podróż w zeszłym roku i najlepiej zapamiętał to, że wyspy połączone są murami, bardzo podobnymi do tych, które ochraniają nasz własny port w Wannome, i razem z nimi tworzą wielki krąg.

– Z opisu wygląda to na miejsce, które z łatwością można by przekształcić w centrum handlowe – przyznał Ethan.

Ta-hoding przytaknął.

– Handel jest tam najważniejszy, tak powiedział mi Migan-Gee. Jeżeli w każdym takim murze znajduje się brama, kapitan mógłby wyjechać z zamkniętego portu w dowolną stronę, nie martwiąc się, gdzie złapie w żagle pełny wiatr.

– Ale nie możemy ani na chwilę zapominać, że wielu z tych kapitanów rzuca puste słowa na wiatr – ciągnął dalej Ta-hoding złowieszczo, bez wahania wykluczając siebie z tego towarzystwa pływających po lodzie krętaczy. – Lubią chełpić się swoimi umiejętnościami i znawstwem. Ten Poyolavomaar może nie być niczym więcej, jak skupiskiem ubogich w metal wiosek. Chociaż Migan-Gee robił na mnie wrażenie raczej uczciwego kapitana i skłonny jestem mu ufać.

– Komuś musimy zaufać – przypomniał mu Ethan. Ta-hoding badawczo wpatrywał się w zachodzące słońce. Ta termonuklearna świeca znajdowała się niemal na wprost przed nimi, jej rozplamiona górna krzywizna zaczynała właśnie opadać pod dziób statku. Zerknął w dół na coś, co osadzone było tuż pod ogromnym kołem.

– Zgodnie z kompasem, Ethanie, przez ostatnie dwie godziny zmienialiśmy kurs z południowego na południowo-zachodni. – Pokazał na masyw lądowy Asurdunu, który wciąż jeszcze mieli po lewej burcie, tylko że teraz za lewą burtą była północ, a nie za zachód.

– Objechaliśmy najbardziej na południe wysuniętą część wyspy – ciągnął dalej Ta-hoding. – Ponieważ na otwartym lodzie wiatr będzie się nasilał, a dzień się niemal skończył, za waszym pozwoleniem zaproponowałbym zarzucenie kotwicy na noc.

– To ty jesteś kapitanem, Ta-hodingu. Ten statek jest pod twoją opieką. Zrobisz, co uznasz za

stosowne.

– Dziękuję ci, Sir Ethanie. – Korpulentny tran wyszedł przed koło, przychylił się przez poręcz biegnącą wokół pokładu sterowego i coś krzyknął. Marynarze natychmiast odwrócili się, żeby go słuchać. Ta-hoding był uległy i potulny w rozmowach prywatnych, ale kiedy wydawał rozkazy załodze, mówił tak, żeby mieć gwarancję, że jego słowa przebijają się przez wycie wiatru.

– Kilpit, Monslawic! – Dwaj oficerowie potwierdzili. – Refować wszystkie żagle i przygotować się do rzucenia kotwicy!

Rozkazy przekazywano głosem wzdłuż statku aż do ostatniego marynarza przy bukszprycie. I znowu Ethan z podziwem patrzył na umiejętności trańskich marynarzy, którzy nieustająco musieli stawiać, regulować i zwijać żagle, poruszając się przy tym po wąskich rejach w wieczystej wichurze.

Kiedy wszystkie płótna zwinięto i kliper lodowy niemalże się Utrzymał, zarzucili przednią i tylną kotwicę. Składały się one z pęków metalowych kolców i ostrzy, osadzonych zwykle w kuli z lanego żelaza. Kotwice *Slanderscree* zyskiwały na przyczepności dzięki wykorzystanym odłamkom i odpryskom duramixsu, zebranych z resztek potraktowanej jak złom szalupy ratunkowej, w której rozbili się Ethan i jego przyjaciele.

Kiedy kotwice głęboko rozdzierały lód, od przodu i od tyłu pobiały szarpiące nerwy piski i zgrzyty. Statek ześlizgiwał się powoli na zachód, bo tam pchał go uparty wiatr, aż naprężyły się kable z pika-piny, trzymając kotwice. Trzaski i pojękiwania skończyły się. *Slanderscree* stanęła bez ruchu. Bezwzględnie przez burtę przeszły drużyny blokujące. Zabezpieczyły statek, umieszczając kamienne płyty przed i za każdą z pięciu płóz. Teraz statek nie miał prawa się ruszyć, chyba żeby uderzył w niego jakiś anormalny wiatr. Straże na dziobie i rufie ustawiono bardziej po to, żeby ostrzegały przed zbliżającym się frontem atmosferycznym niż przed jakimś zagrożeniem z krwi i kości. Ethan pozostał na pokładzie i przyglądał się, jak gasnąca poświata słoneczna przechodzi miarowo od żółci przez czerwień do fioletu.

– Nie jesteś głodny, przyjacielu Ethanie? Zaskoczony odwrócił gwałtownie głowę. Przed nim jarzyły się odbitym światłem zachodzącego słońca oprawione w bursztyn czarne szczeliny, osadzone w futrzastej twarzy.

– Jeszcze nie w tej chwili, Hunnarze.

Odwrócił się, oparł o poręcz i wpatrzył w lodową dal. Wzeszły dwa księżycy Tran-ky-ky. W powietrzu tej nocy niewiele było śniegu czy lodu i tylko tyle chmur warstwowych, żeby zaznaczyć granicę między atmosferą a kosmosem. Światło księżyców strącało podwójne cienie z drzew nieustępliwie czepiających się pobliskiego skraju urwiska. Sam lodowy ocean utracił swoją dzienną surowość, leżał twardy i nieruchomy, jarząc się w eterycznym niebiesko-białym księżycowym świetle.

Ethan zerknął na swój ręczny termometr. Ten przepiękny, cichy krajobraz drżał na dwudziestoośmiostopniowym mrozie. W środku nocy, na kilka godzin przed wschodem słońca

temperatura opadnie do minus sześćdziesięciu trzech lub czterech stopni – a do tego trzeba dodać przejmujący wiatr. Mógłby zdjąć ze siebie kombinezon i bez reszty wtopić się w krajobraz. Jego ciało zamarzłoby w kilka minut.

Hunnar wybrał akurat ten moment, żeby zadać mu jak najbardziej niewłaściwe pytanie. Pokazując na niebo zapytał Ethana:

– Która z nich to twój dom?

Minęło kilka minut, zanim komiwojażer zdołał odpowiedzieć, a nie wszystkie te minuty poświęcił na badawcze wpatrywanie się w nieznane konstelacje nad głową.

– Nie wiem. Jest daleko, niewyobrażalnie daleko stąd, Hunnarze.

– Ile saczów? – zapytał prostodusznie rycerz, a jego własny wzrok przemierzał niebo.

– Zbyt wiele, by je policzyć – powiedział Ethan tłumiąc uśmiech i zastanawiając się, dlaczego obydwaj szepczą. – Słońce, wokół którego krąży, nie jest zbyt wielkie. – Pokazał w górę. – Ogólnie biorąc leży gdzieś tam, w tamtym kierunku, zbyt dalekie i zbyt słabe, żebyśmy mogli je zobaczyć gołym okiem. A pomiędzy twoim słońcem a moim są jeszcze inne gwiazdy, a wokół niektórych z nich krążą światy, które zamieszkują moi pobratymcy i nasi przyjaciele, thranxowie.

Pokazał na słabą, czerwoną plamkę światła.

– Daleko od tej gwiazdy krąży planeta, na której woda nigdy nie zamarza w żadnym miejscu, jedynie w maszynach, które moi pobratymcy muszą specjalnie budować w tym celu.

Hunnar z zadziwieniem potrząsnął głową.

– Taka ciepła. To musi być straszne miejsce.

– Moim pobratymcom też się ono nie bardzo podoba, Hunnarze. Ale nasi zacni towarzysze, thranxowie, wspaniale tam się czują. Nazywa się ona Drax IV, a ziemia usiłuje tam jeść ludzi. To dziwne miejsce. Opowiem ci o nim innym razem. – Skierował znowu uwagę na milczące, wyszlifowane wiatrem, lodowe morze. Cząsteczki śniegu i lodu pomykały to tu, to tam, maleńkie wiry powietrzne skręcały je w świetle księżyców. Ethan patrzył na niewidzialnych tancerzy w usianych klejnotami sukniach, harujących pod bliźniaczymi księżycami.

– Myślę, że zaczynam się robić trochę głodny. – Uderzył obiema dłońmi w poręcz. – Idę z tobą na kolację.

Zeszli do mieszczącej się w centralnej kabinie jadalni dla oficerów i rycerzy. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, na pokład poza światłem księżyców padało już tylko światło zza kilku grubych bulajów. Panował kompletny bezruch, jedynie na dwóch krańcach statku tam i z powrotem chodzili cierpliwie wypatrujący zmian pogody strażnicy, z twarzami zakutanymi w futra. Kiedy zniknęło słońce, robiło się w czasie trankyjskiej nocy tak zimno, że marzli nawet tubylcy.

Wpatrywali ciemnych chmur. Nie zauważyli ciemnych łap, które w połowie długości statku uchwyciły za poręcz...

ROZDZIAŁ 5

Czujne, nerwowe spojrzenia błyskawicznie omiotły pokład w poszukiwaniu czegokolwiek żywego i niczego nie znalazły. Jedna ręka na moment oderwała się od poręczy i skinęła na postacie poniżej. Potem właściciel ręki podciągnął się na pokład. Za nim wyroiły się towarzyszące mu sylwetki, niewyraźnie widoczne w ciemnościach. Przeszli na środek pokładu, pomiędzy dwie główne kabiny. Spotkali się tam z innymi sylwetkami, które wspięły się na górę po przeciwległej stronie. Wymieniono ciche słowa, podjęto stanowcze decyzje. Kilka postaci oddzieliło się od rosnącej grupki i ruszyło do przodu, inne poszifowały na tył. Na pokładzie przez kilka chwil panowała cisza. Nagle od strony pokładu sterowego dobiegł zduszony krzyk. Gdzieś w środku dużej, zgromadzonej w połowie pokładu grupy zaklął jakiś przywódca.

Drzwi do kabiny centralnej otworzyły się i wychynęła z nich jakaś postać, rysująca się ostrym konturem na tle światła. Postać rozejrzała i niczego nie zauważywszy już odwracała się, żeby wrócić do środka, kiedy powstrzymał ją jakiś dźwięczny odgłos. Wyciągając miecz marynarz ostrożnie wysunął się na pokład, żeby zbadać sprawę. A potem zobaczył coś, co spowodowało, że zaczął krzyczeć:

– Napad! Dostali się na statek! Na pokład, ludzie Sofoldu... ukk! – Jego wrzaski uciszyło metalowe ostrze, które przebiło go od mostka do pleców.

Ale na statku już wszczął się alarm. W kilka sekund pokład i kabiny wypełniły się postaciami, które kotłowały się, przeklinały, krzyczały. Zza burty na pokład ciągle napływały nowe sylwetki. Sytuacja załogi i pasażerów wyglądała niewesoło. Trzy ubrane na brązowo postacie wspięły się na piętro w głównej kabinie i przyglądały się rzezi na dole.

– Za bardzo zwarte starcie, żeby dało się odróżnić przyjaciela od wroga – oznajmił September, przekrzykując potworne odgłosy mordy – ale jeżeli uda nam się powstrzymać resztę z nich od wejścia na pokład... Ty i Williams zajmijcie się prawą burtą, mój chłopcze, ja zajmę się lewą.

– Nie podoba mi się to – burknął Williams, odczepiając swój niewielki promiennik. Te trzy sztuki broni ręcznej nabyli w Dętej Małpie z nielegalnych źródeł nie dlatego, żeby prawo zabraniało ludziom na Tran-ky-ky nosić nowoczesną broń, ale dlatego, że September upierał się, że wyjdzie im to na zdrowie, jeżeli nie będą ujawniać swoich możliwości, dopóki nie dowiedzą się, kto po czyjej stronie stoi.

Od dachu kabiny oderwały się trzy strumyki jaskrawoniebieskiego światła, uderzyły w poręcze statku i przesunęły się wzdłuż nich. Strumienie spójnego światła o wysokim natężeniu po prostu zmiotły niedoszłych napastników z burt *Slanderscree*, przebijając ich po kolei na wylot. Napastnicy

niemal nie zdążyli krzyknąć, za to zdecydowanie nie zdążyli włączyć się do walki. To niewielkie zwycięstwo wywołało przypływ świeżej odwagi u załogi, a desperacji u jej przeciwników. Marynarze zdwoili swoje wysiłki. September przeniósł promień lasera ze zwęglonego szczytu poręczy na lód i ostrzelał go przerywanym ogniem. Podczas jednego ze strzałów na moment pokazały się, czekające w pobliżu trzy stateczki lodowe osadzone na kościanych płozach. September zmienił nastawienie natężenia na swoim promienniku i ostrzelał pokład i żagle jednego z nich. Noc rozświetliły płomienie, rzuciły światło na dwa pozostałe stateczki i ich spanikowane teraz załogi. Ci z napastników, którzy wdarli się na pokład i jeszcze żyli, musieli siłą torować sobie drogę do poręczy. Niektórzy schodzili po drabinach, które ze sobą przynieśli inni zeskakiwali w dół, wierząc, że ich potężnie umięśnione nogi zamortyzują wstrząs przy lądowaniu na twardym lodzie. Ethan przestał strzelać, przeszedł przez dach i chwycił Septembra za ramię.

– Przestań, Skuo, oni już się wycofują. September wycelował starannie i znowu strzelił.

– Jeszcze tylko parę razy puknę, chłopcze. – Ciemności przeszył daleki wrzask. – Jeszcze paru z nich mogę dopaść.

– Skuo, przestań. – Za pomocą obu rąk Ethanowi udało się ściągnąć w dół rękę Septembra z bronią. Olbrzym skierował wzrok na niego. Przez jedną króciutką chwilę z jego głęboko osadzonych oczu wyglądał ktoś zupełnie obcy i Ethan przestraszony i niepewny cofnął się kilka kroków. Z oczu Skuy zniknął ten niesamowity wyraz i olbrzym znowu stał się sobą.

– Przepraszam, mój chłopcze. Tyle razy brałem już udział w podobnych starciach, że łatwo tracę panowanie nad sobą, przynajmniej czasami. – Ethan zastanawiał się, czy olbrzym rozumie to dosłownie. – Jeżeli pozwolimy im uciec, może będą nas próbowali zabić innego dnia. Jednak – przyjaźnie wzruszył ramionami – będę miał wzgląd na twoje wyższe uczucia.

– Dziękuję. – Obydwaj mężczyźni popatrzyli teraz na Williamsa, który zde gustowany przypiął swoją własną broń i pospiesznie zszedł pod pokład.

Ethan i September zeszli po zewnętrznym podejściu na dół. Tu natknęli się na trańskiego czarodzieja Eer-Meesacha i Hunnara pogrążonych w pełnej napięcia rozmowie.

– Te ich kupieckie insygnia z niczym w ogóle mi się nie kojarzą – mówił stary tran.

Hunnar chrząknął, trącił trupa nogą.

– Nic w tym dziwnego, tak daleko od domu. Emblematy i insygnia w naturalny sposób muszą się różnić i mieć inne znaczenie. – I odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Kiedy Ethan i September podchodzili do poręczy, Hunnar przyłączył się do nich. September nastawił swój promiennik na niską moc i omiół lód szerokim promieniem, wydobywając z mroku nieregularną ścieżkę z leżących na nim, powalonych, włochatych postaci. Wiatr lekko nimi poruszał, tworzyły groteskowy szlak prowadzący w kierunku urwiska.

– Taki cypel świetnie nadaje się na kryjówkę zbójców czy piratów – oznajmił Hunnar. – Mogliby

tu czatować na tratwy handlowe, ciągnące z terenów na zachód od Asurdunu i krain tam leżących, wyprawiające się do miasta Asurdun. Ale dałbym głowę, że nie będą mieli śmiałości zaatakować czegoś o rozmiarach *Slanderscree*.

– Ja również, Hunnarze. – September podrapał się w potylicę, próbował palcami przeczesać włosy, nagle przypomniał sobie, że ubrany jest w kombinezon ochronny. – Może pokusa była dla nich zbyt silna. I poradziliby sobie z nami, gdybyśmy walczyli samymi mieczami.

Jakiś oficer zbliżył się do Hunnara, pogawędził z nim przez chwilę, a potem poszedł dalej, podtrzymując zabandażowaną rękę.

– Nie ponieśliśmy poważnych strat – poinformował ich Hunnar. – Może nas czekać więcej takich napadów, przyjaciele. Mam nadzieję, że te ofiary nie idą na marne.

– Ja również mam taką nadzieję, przyjacielu Hunnarze, – Ethan cieszył się, że jest noc. Nie musiał przyglądać się, jak marynarze za pomocą wytopionej wody i szmat na kijach usuwają z pokładów krew.

Podczas sprzątanía pokładów znaleziono trzy ciała potomków Sofoldu. Zgodnie z tradycją zmarłych przeniesiono do wnętrza statku. Będą leżeć w nieogrzewanej części podpokładzia aż do powrotu *Slanderscree* do domu; na mrozie nie ulegną rozkładowi. Po obrządkach związanych z ich odejściem, w których udział wezmą ich rodziny, trupy zostaną rozmrożone, przerobione na miąkką mączkę i w tej postaci rozsypane po polach uprawnych wewnętrznego Sofoldu. W ten sposób zmarli wzbogacą ziemię swojej ojczyzny, która za życia dostarczała im jedzenia. Była to i konieczność życiowa, i tradycja duchowa. Wyspowe miasta Tran-ky-ky nie obfitowały w naturalne nawozy. Ale tradycja nakazywała również uznać ciała padłych wrogów za niezdrowe. Ponieważ wierzono, że prawdopodobnie zatrąłyby duchowo pola, zwalono bezceremonialnie te podmarznięte zwłoki na burtę. Tymczasem szaman okrętowy zabrał się do leczenia cielesnych obrażeń, a cieśla do naprawiania poręczy w miejscach, gdzie przepaliły je świetlne noże obcoziemców z nieba. Wystawiono też dużo liczniejszą i dużo bardziej czujną wartę, a reszta załogi powróciła do swoich hamaków albo do wieczerzy, w zależności od tego, co robili, nim im przerwano.

Kiedy zajęli się pochłanianiem wystygłego jedzenia, zauważyli, że na sali jest jedno puste miejsce. Miejsce to znajdowało się pomiędzy Hunnarem a Ethanem.

– Kto z was ostatni widział córkę Landgrafa? – Wzrok Hunnara napotkał zaciekawione spojrzenia rycerzy, giermków i oficerów. Pojedyncze zaprzeczenia zlały się w jedno i w kabine zapanowała atmosfera niepokoju. Wyglądało na to, że nikt nie potrafi sobie przypomnieć, żeby widział Elfę od momentu, kiedy zasiedli do jedzenia pierwszy raz. Jeden z marynarzy zaryzykował twierdzenie, że widział ją walczącą razem z innymi na pokładzie, ale ponieważ uwagę jego w pełni pochłaniało ratowanie własnego życia, nie miał czasu jej się przyglądać. Hunnar podniósł się.

– Przeszukać statek. Zaczniście od trzech kabin, potem pojemniki magazynowe między pokładami, na koniec olinowanie.

Po raz drugi porzucono posiłek, a obecni na sali rozsypali się po statku. Zbadano każdy centymetr,

przeczesało wszystkie schowki na reje i żagle. Szansę, żeby ktoś chował się w tych ostatnich były bardzo niewielkie, ale aż z naddatkiem zrekompensowała to jednomyślność reakcji po ich przeszukaniu.

Elfy Kurdagh-Vlaty nie było już na statku.

Ktoś zasugerował, że może spadła albo zrzuciono ją za burtę. Załoga pospiesznie wygramoliła się po linach i drabinach na lód naokoło klipra i pod jego kadłub. September, Ethan i Hunnar szybko dołączyli do poszukiwań. Lampy oliwne, które nieśli szifujący marynarze, przywodziły na myśl jakiś zjazd robaczek świętojańskich, pomykających po lodzie i kreślących nieregularne wzory przy penetrowaniu terenu. Kilka z nich ruszyło wzdłuż szeregu nieruchomych postaci, ciągnącego się nierówną linią w kierunku pobliskiego urwiska.

I znowu wszystkie raporty były negatywne. Elfy nie było ani żywej na statku, ani martwej na lodzie.

– Oni by nie... – Hunnar przerwał, opanował się. – Nie zabieraliby jej trupa. – Pokazał zęby i to nie w uśmiechu. – Nikomu by się na nic nie przydała... w żadnym charakterze... gdyby nie żyła. Musimy przyjąć, że została pojmana przez tych, którzy uciekli.

Najstarszy wojownik wśród zebranych tranów, Balavere Longax, posłał w kierunku ciemnej wyspy krzywy uśmiech.

– No, to należy im współczuć.

– Suaxusie, Budjirze, wybierzcie dwudziestu ludzi z załogi, samych ochotników, uderzymy na nich. – Hunnar rzucił okiem na nieruchomy kliper. – Można się obejść bez tych dwudziestu, statek wciąż będzie bezpiecznie strzeżony, nawet gdyby to uprowadzenie miało być dywersją dla osłabienia naszej obrony.

– Zdajesz sobie sprawę – warknął September podnosząc głos, żeby go było słychać poprzez wycie wiatru – że jeżeli oni zapadli gdzieś w jakimś ufortyfikowanym obozie, będziemy mieli cholerne trudności, żeby ją stamtąd wydłubać?

– Czy mógłbyś choćby pomyśleć, żeby nie podjąć tej próby? – Hunnar mówił spokojnie, ale Ethan widział, że rycerz z ogromnym wysiłkiem się opanowuje.

– Oczywiście, że nie. – Ethan nie potrafił powiedzieć, czy potężny mężczyzna mówi z sarkazmem, czy bez, a nie widział, jaki ma wyraz jego twarz pod maską ochronną. Postukał w niewielką rozmiarem broń przymocowaną do pasa. – Jeżeli macie mieć jakieś szansę, będzie wam potrzebna siła naszego ognia. – Hunnar skupił teraz uwagę na Ethanie.

– To nie twoja walka, przyjacielu Ethanie.

– Hunnarze, znam cię od osiemnastu miesięcy i jest to najgłupsza rzecz, jaką dotąd ci się zdarzyło powiedzieć.

Wyraz twarzy Hunnara świadczył o jego wdzięczności, wcale nie mniej wymownej przez to, że niemej.

– Musimy jeszcze zabrać ze sobą pewne rzeczy, które zabraliśmy z Dętej Małpy – ciągnął dalej Ethan. – Za momencik będziemy gotowi.

– Zebranie grupy zajmie trochę czasu – powiedział Balavere.

Dwóch mężczyzn wspięło się z powrotem na statek. Kiedy wrócili na lód, usiedli i zaczęli robić jakieś dziwne rzeczy ze swoimi stopami. Hunnar tak się zaciekawiał, że na moment przestał myśleć o Elfie.

– Williams zostanie na pokładzie – powiedział mu Ethan sapiąc z wysiłku nad tym czymś. – Powinniśmy na statku zostawić przynajmniej jeden promiennik, na wszelki wypadek, gdyby mieli jeszcze raz próbować.

– Nie sądzę, żeby się na to zdecydowali – powiedział Hunnar wytrzeszczając oczy na stopy Ethana. – Ale mądry jest człowiek, który idąc na polowanie zastawia przynajmniej jedną pułapkę przy swoich drzwiach. – Nie mogąc się dłużej powstrzymać pokazał na Septembra.

– Co wy właściwie robicie ze swoimi stopami?

Ethan wstał, zachwiał się niezgrabnie, ale udało mu się utrzymać w pionie.

– To się nazywa łyżwy, Hunnarze. – Schylił się i wyregulował pasek. – Takie sztuczne szify, które pasują do naszych pozbawionych szifów stóp. Te tutaj są dosyć niezwykłe. Dowiedzieliśmy się, że niektórzy z pracowników w Dętej Małpie kazali sobie takie zrobić w lokalnej formiarni metalu. Maja wbudowane w podeszwy żyroskopowe kompensatory.

– Nie wiem, co to są te żyroskopy. Ale co one kompensują?

– Naszą niezdarność. – Potknął się, niemalże upadł, ale nagle jego stopy same płynnie przesunęły się i pomogły mu odzyskać równowagę.

Hunnar zastanawiał się, czy tego kompensowania nie jest trochę za mało. Może przydałoby się wbudować więcej tych żyroskopów.

Wszystkie twarze członków załogi były posępne, co do jednej.

– Sądzę, że ta nasza ekspedycja pójdzie bardziej gładko – powiedział September – jeżeli Ethan i ja będziemy skupiali całą naszą uwagę na utrzymaniu się w pionie.

– Rozumiem. – Hunnar zawołał do kogoś, kto opierał się o poręcz. Przez burtę przerzucono kilka długich lin z pika-piny.

Jeden koniec obu lin spleciono razem. Hunnar podał gruby, złączony koniec Ethanowi. Dwaj marynarze podnieśli pozostałe dwa końce i rozłożyli ręce. Ich dany wypełniły się wiatrem i Ethan

ruszył do przodu. September jechał obok niego, jego również holowano.

I nagle mknęli w stronę urwiska z szybkością niemal sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ethan pod maską zaciął zęby. Gdyby stracił równowagę albo gdyby lina wymknęła mu się z rąk, to przy tej szybkości jakaś nierówność na lodowym oceanie mogłaby rozedrzeć nawet silny materiał kombinezonu i wpuścić powietrze tak zimne, że skóra w zetknięciu z nim natychmiast zamrzłaby. Jakoś sobie radził, chociaż bolały go ugięte kolana, a w dłoniach pulsowało. Szifujący gdzieś w pobliżu Suaxus ryknął w jego kierunku:

– Gotuj się, przyjacielu Ethanie! Będziemy skręcać. Chciał chwycić linę silniej, ale ręce zdrętwiały mu z wysiłku i nie potrafił się zorientować, czy trzyma mocniej, czy nie. Na rozkaz każdy tran w grupie opuścił lewą rękę, pochylił się na prawo i ostro skręcił w tymże kierunku. Zataczając ostry łuk, jak kamień na sznurku, Ethan martwił się czy obciążenie liny nie będzie za duże. Ale lina wytrzymała, wytrzymały też jego przeguby. Szerokim łukiem zbliżali się do urwiska. Zerknął pomiędzy stopy i zobaczył, że jadą szlakiem, jaki w lodzie wyorali wycofujący się napastnicy, ci którzy przeżyli atak na statek.

Zbliżała się północ, nieprawdopodobny chłód trańskiej nocy zaczął przenikać przez szalenie wydajny termotropowy materiał jego kombinezonu. Raz uchylił odrobinę maskę i cienki strumień powietrza uderzył w niego jak dziesięciokilowy gład. Natychmiast opuścił maskę i zadygotał, ale nie z zimna. Jakże szybko krew w żyłach zamrzłaby mu tutaj na kość.

Od przodu grupy dobiegły jakieś krzyki. Suaxus, zauważywszy, że Ethan z zaciekawieniem spogląda zza maski, pokazał w górę. Znaleźli się już niemal pod urwiskiem. Dwadzieścia pięć metrów nad nimi nieregularne sylwety rosnących na skraju drzew wbijały się czarnymi kolcami w rozświetlone księżycami niebo. Znad strzelistej skały wystawała niewielka forteca. Od głównej wyspy oddzielała ją pięciometrowa rozpadlina, spięta drewnianym mostem zwodzonym. Grupka wjechała w cień.

– Spróbujmy wspiąć się od nie strzeżonej strony – mówił Hunnar. – W skale powinno być wycięte tylko jedno przejście, przy którym bez wątplenia stoi straż.

Takie przejście na pewno zostało wycięte w strzelistej skale od wschodu, po osłoniętej, zawietrznej stronie. Grupka uzbrojonych tranów i ludzi zwolniła u stóp jej ciemnego, wietrznego, zachodniego stoku.

Ethan wypuścił linę, przechylił głowę w tył i borykał się z własnymi stopami, które wykazywały ogromną ochotę do rozjeżdżania się na boki. Mur niewielkiej fortecy nad ich głowami zbudowany był z masywnych, kamiennych bloków. Nie widzieli żadnych wieżyczek ani spiczastych dachów, za które mógłby szarpać wiatr.

– Wydaje się to niemożliwe – oznajmił w końcu jeden z giermków. – Jest zbyt stromo.

– Wcale nie.

Giermek wytrzeszczył oczy na Septembra.

– Czy mamy wzbić się w górę jak guttorbyny, obcoziemcze z nieba?

September podszedł – a właściwie podjechał – do podstawy kamiennego filaru. Skała zwężała się u szczytu.

– To tylko ze dwadzieścia metrów. Możemy się na nią wspiąć.

– Masz na myśli, zejść z lodu? – Oczy Hunnara rozszerzyły się.

Ethanowi przyszło na myśl, że tranów, którzy z taką łatwością i wdziękiem poruszali się po lodzie, ale dla których zwykłe chodzenie na piechotę było uciążliwe, ma prawo ogarniać groza na samą myśl o wspinaczce, na nieobludzoną powierzchnię. Ostre szify, które pozwalały im się tak dobrze utrzymywać na drewnianych rejach i masztach, będą się tylko ślizgały na gładkiej skale. Były stosunkowo sztywne, co nie pozwoli im po omacku szukać oparcia dla stopy w taki sposób, jak robi to człowiek swoją odziedziczoną po małpach stopą.

– W porządku więc. Pójdziemy we dwóch, Ethan i ja.

– Chwileczkę, Skuo.

– Oczekuję propozycji, mój chłopcze.

W końcu Ethan musiał przyznać, że nie jest w stanie wymyślić nic lepszego.

– Element zaskoczenia będzie po naszej stronie, chłopcze. Pamiętaj o tym.

– Obaj zwariowaliście. – Hunnar wymienił uścisk ramion i oddech po kolei z każdym z nich. – Ale zaufamy waszemu szaleństwu, ponieważ nie mamy wyboru. Niech was wiatr prowadzi.

– Dzięki, Hunnarze. Ale nie tym razem.

Ethan odwrócił się i zdjął łyżwy. A potem poszedł za Septembrem w górę pierwszej półki skalnej, myśląc tylko o tym, gdzie stawia stopy i kładzie ręce, i żeby nie spojrzeć w dół. Ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął pełzając do góry po tej ścianie jak jakaś mucha, był silny wiatr, który miotałby nim na prawo i lewo. Ale tym razem wiatr okazał się ich sojusznikiem. Wiał im miarowo prosto w plecy i przyciskał do urwiska. A sama iglica okazała się nie aż taka stroma i gładka, jak to się wydawało w ciemnościach. Było na niej mnóstwo szczelin i półek, które stawały się naturalną podporą dla dłoni lub stopy. Tak więc posuwali się wytrwale w górę.

Dotarli do połowy granitowej ściany i Ethan czekał, aż September znajdzie wyżej jakiś niewidoczny chwyt dla ręki. Odzyskiwał oddech, wgapiał się w skupieniu w tyłek olbrzyma i zastanawiał się, co właściwie robi na tym zamarzniętym i niegościnnym świecie taki niezły radzący sobie komiwojażer jak on, wisząc niczym jakaś torba mięsa przylepiona do zimnej skały i usiłując uwolnić kłótniwą księżniczkę, która bardziej przypomina żbika niż człowieka. Niewykluczone, że kiedy Hunnar ocenił ich plan jako szaleństwo, miał więcej racji, niż Ethan był mu gotów wtedy

przyznać.

September znowu ruszył w górę. Sapiąc jak stara lokomotywa Ethan podążył za nim. Wydawało mu się, że urwisko się rozciąga, robi się coraz wyższe zamiast skracać się z każdym bolesnym krokiem. Jeden jedyny raz popatrzył w dół. Ciemne plamy na lodzie świadczyły o obecności tranów. Zaparło mu dech w piersi, musiał się przemóc, żeby znowu wzrok skierować w górę.

Podciągnął się na następną półkę i leżał tam dłuższy moment, zanim dotarło do niego, że leży obok rozciągniętego na płask Septembra i że olbrzym sygnalizuje konieczność zachowania ciszy.

Przed sobą zobaczył przycięte w kostkę, starannie dopasowane do siebie kamienie.

Półka miała dwa metry szerokości; mur fortecy zbudowano w takiej właśnie odległości od skraju iglicy skalnej. Popatrzył w górę i zobaczył, że nie jest on szczególnie wysoki, co było naturalne w związku ze skromnym rozmiarem fortecy. Po prostu nie było powodu budować wyższych murów. Żadnemu tranowi nie przyszłoby nawet na myśl, że ktoś mógłby się pokusić o przypuszczenie ataku od strony tej stromizny.

Wczepiając się silnie w kamienistą i zwirowatą ziemię, Ethan podpełzł do krawędzi i znowu spojrzał na dół. Dostrzegł tylko nagi lód, co znaczyło, że tranowie przesunęli się w kierunku ichodów po zawietrznej. Zgodnie z planem mieli tam czekać, dopóki Ethan i September nie przetrą im drogi. Dwaj mężczyźni przesunęli się do stóp muru i trzymając się w jego pobliżu zaczęli pełznąć naokoło szczytu. Mur miał pięć metrów wysokości, spadek za skrajem urwiska znacznie więcej.

Ethan zastanawiał się, jakie są ich szanse. Napastnicy wciąż jeszcze będą opatrywać rany, nie powinni się więc spodziewać tak szybko zorganizowanego napadu na fortecę. W końcu, patrząc na to z ich punktu widzenia, wzięli tylko jednego więźnia, a to raczej nie było warte samobójczego ataku, prawda? Powinni być zmęczeni po szifowaniu z powrotem z najwyższą szybkością i po wspinaniu się schodami do swojej bazy. A musieli wchodzić po schodach, tego Ethan był pewien. Nie istniała żadna możliwość poprowadzenia nawet najbardziej krętej ścieżki lodowej po takiej stromiznie. Na schody wchodzili na pewno powoli i z mozołem; strome schody służyły również do odstraszenia napastników. Nie robiły jednak wrażenia na zwinniejszych ludziach.

– Będziemy używać noży, gdzie tylko się da, chłopcze, a promienników tylko jeżeli będziemy musieli.

Kiedy załatwią wartowników strzegących drogi prowadzącej w dół na lód, dadzą sygnał Hunnarowi i grupie atakującej, a potem będą bronili otwartego przejścia przed wszystkimi, którzy by je usiłowali odbić.

Przynajmniej w teorii.

Czołgali się przez pięć minut i za zakrętem dotarli do osłoniętej części fortecy. Okazało się, że przed oczami mają najwyższą część schodów. Po tej stronie szczyt był o kilka metrów niższy. Ethan odsunął się nieco od muru i zobaczył stopnie wycięte wielkim nakładem pracy w nagiej skale tego kamiennego filaru i wiodące w ciemność. Podczołgał się na skraj urwiska i wyjrzał na zewnątrz. Nie

było śladu po Hunnarze i pozostałych tranach. W porządku. Był pewien, że czekają w milczeniu na dole, jakby wtopili się w cienie i zagłębienia, i wypatrują sygnału od ludzi.

Po każdej stronie górnego podestu stał jeden uzbrojony tran. Uwaga ich skierowana była na dół i na zewnątrz, lance wycelowali groźnie w kierunku schodów. Ethan leżał tuż przy brzegu i miał wspaniały widok na okap bezpośrednio nad wejściem.

– U góry nie ma wartowników – szepnął do czekającego Septembra.

– A po co mieliby tam być, mój chłopcze? – Olbrzym przypominał ciemnobrązową grudę, jeszcze jedną skałą podpierającą zewnętrzny mur. – Wartownicy przy schodach i może przy zwodzonym moście to zupełnie wystarczająca straż.

Ethan znowu zadumał się nad niezdolnością tranów do wspinania się na gładkie powierzchnie. Na całej długości odkrytych schodów schodzących spiralą w dół nie było żadnego miejsca, gdzie można by się ukryć. Wystarczył jeden strażnik, żeby zauważyć grupę napastników, podnieść alarm, zjeść śniadanie i wrócić, zanim się zacznie walka. Kilku żołnierzy z łukami, strzałami i włóczniami zdołałoby powstrzymać całą atakującą armię.

September znowu do niego coś szeptał.

– Ja zajmę się tym tłustym po lewej stronie, ty tym drugim. – Gmerał przy pasie, chcąc wyciągnąć swój mały toporek. Ethan miał użyć sztyletu. Liczył na to, że nie będą musieli posłużyć się promiennikami. Nie żeby miały one narobić więcej hałasu niż topór czy nóż, ale ktoś we wnętrzu fortecy mógłby zauważyć błysk światła o wysokim natężeniu.

Podczołgał się z powrotem do olbrzyma. Razem ruszyli w kierunku strażników, szorując brzuchami po ziemi, trzymając się zacienionego terenu w pobliżu murów. Wiatr pomagał zagłuszać odgłosy; tranowie mieli wspaniały słuch.

Trójkątne, futrzaste uszy skręciły się w ich kierunku i jeden ze strażników odwrócił się, przymrużył oczy. Dwaj mężczyźni wtopili się w krajobraz.

– Czy to ty, Smigere? – Podwójne powieki strażnika zamrugały na wietrze. – Twoja warta przypada dopiero za trzy vate. – Ethan wstrzymał oddech. Zaciekawiony strażnik zrobił kilka kroków w ich kierunku. – Smigere, co ty, chory jesteś?

Chociaż strażnik wpatrywał się wprost w Ethana, wyraźnie wciąż nawet nie zaświtała mu w głowie myśl, że wróg mógł się znaleźć za jego plecami. Drugi strażnik z zaciekawieniem przyglądał się towarzyszowi.

To nie był odpowiedni moment na broń antyczną. Z takiej odległości promienniki nie mogły chybić. Obydwu tranów przebiła cienka smuga lazurowego światła. Przyjaciel Smigerego zwałił się z wyrazem zaskoczenia i bólu na twarzy, jak gdyby nie całkiem był w stanie uwierzyć w to, co mu się przydarzyło. Spojrzał w dół na dziurkę, która pojawiła się w jego piersi, upuścił swoją lancę i wlepił zaciekawione spojrzenie w cienie. W tej samej chwili oczy mu się zamknęły i zwałił się na

bok. Jego przestrzelony kolega chwycił się cofnąć i przeleciał za skraj urwiska.

September rzucił jeszcze jedno spojrzenie na oświetlone księżycem wały obronne nad nimi, podniósł się i podszedł do ciała, które zostało na górze. Przez chwilę przyglądał mu się badawczo, potem podniósł je za rękę i nogę. Zamachnął się raz i oddał je w opiekę nocy i lodowi. Wiatr i odległość sprawiły, że nie usłyszeli, jak ciało uderza o lód na dole. Ethan nie miał nic przeciwko temu, zastanawiał się tylko z roztargnieniem, czy te spadające ciała nie uderzyły przypadkiem kogoś z oczekującej na nich grupki. Ale teraz nie mieli czasu, żeby się o to martwić. Podbiegli do drzwi. Dostępu do fortecy broniły jedne otwierane na zewnątrz drzwi z grubego drewna, których szerokość i wysokość pozwalała przechodzić do środka tylko gęsiego. Gdyby jacyś napastnicy przeżyli wspinaczkę po schodach i chcieli się wdrzeć do wnętrza warowni, obrońcy mogli ich odstrzelić po jednym.

Ethan wiedział, że swoje zadanie wykonali dopiero w połowie. Wielce prawdopodobne było, że za drzwiami stoi na posterunku odzwierny, a może nawet następna para strażników. Ale nie pojawił się nikt z pytaniem o błysk niebieskiego światła na nocnym niebie. Wartownicy zginęli bez świadków.

September umieścił promiennik za pasem i ponownie wyciągnął toporek.

– Na pewno nie będziemy używali promienników wewnątrz – zamruczał. – Dotąd mieliśmy szczęście, ale w obrębie murów ktoś by na pewno zobaczył światło.

Ethan już trzymał nóż w pogotowiu.

– Co teraz? Czy po prostu wejdziemy tam i sprawdzimy, czy nie ma strażników?

– Może i tak właśnie zrobimy, chłopcze. Nie ma powodów, żeby mieli zamykać drzwi na klucz. Mają na to mnóstwo czasu po otrzymaniu ostrzeżenia od wartowników na schodach.

Ethan przesunął się i stanął przyciśnięty plecami do muru przylegającego do drzwi. September położył rękę w rękawicy na poziomej sztabie zamykającej drzwi i powoli wysunął ją z gniazda w murze. Ethanowi wydawało się, że wydała ona w ciemnościach nienaturalnie głośny, zgrzytliwy odgłos. Jak tylko sztaba wyszła całkiem z gniazda, September chwycił za klamkę i pociągnął. Kiedy nic się nie stało, pociągnął jeszcze raz, mocniej. Zawiasy zaskrzypiały, ale drzwi ani drgnęły.

– A jednak zamknięte od wewnątrz. Do diabła! – Dyszał po wysiłku z jakim przyłożył się do klamki.

Podał Ethanowi swój topór. Zaparł się nogami o mur, położył obie ręce na klamce i równocześnie ciągnął i pchał. Metalowe zawiasy znowu zajęczały. Drzwi uchyliły się na zewnątrz na kilka centymetrów. Coś po drugiej stronie brzęknęło. Drzwi Uchyliły się na pół metra, potem na cały metr... w kipieli księżycowego światła zalśnił metal.

– Uwważaj!

September puścił klamkę i padł na bruk, Ethan usunął się i po omacku szukał promiennika. Nie pora na nóż, ponieważ nie potrafi powiedzieć, ile mieczy czeka za bramą. Olbrzym już podniósł się na kolana, gotów stawić czoło każdemu, kto by zaatakował spoza wyłamanych drzwi.

– Przepraszam... źle widać w tym świetle. – Elfa Kurdagh-Vlata schowała miecz i wbiła wzrok w dwóch zaskoczonych mężczyzn.

– Ty?! – wykrztusił Ethan.

Odwróciła się, popatrzyła przelotnie na coś, co kryło się w ciemnościach, a potem niespokojnie przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

– Nie widzę nikogo na zewnątrz. Gdzie są ci dwaj wartownicy? – Kiedy żaden z ludzi nie udzielił odpowiedzi, wykonała szorstki gest. – Dobrze. Siedziałam tam w środku przez dziesięć vate i zastanawiałam się, co mam zrobić. Wiedziałam, że oni tu stoją i nie miałam pojęcia, jak obydwu poderznąć gardło w tym samym momencie, żeby nie podnieśli alarmu. Niedługo będzie zmiana warty, ale teraz nie musimy się spieszyć. – Nagle uderzyła ją jakaś myśl. – Wybacz mi moje zaabsorbowanie, Sir Ethanie. Zanedbuję dobre maniery. Składam wam dzięki za uratowanie mnie.

– Za nic nie pozwolę przypisywać sobie zasług za coś, czego praktycznie dokonałaś sama – odparł September. – Słowo daję, zaradna z ciebie dziewczucha.

– Staram się, jak mogę, Sir Skuo. – Ale mówiąc to patrzyła na Ethana. Jej żółte oczy połyskiwały w przyćmionym świetle.

Ethan pospiesznie odwrócił się.

– Lepiej chodźmy stąd. Nie ma co kusić losu.

– Chwileczkę.

Ethan i September wymienili pytające spojrzenia, a Elfa zniknęła na niewidocznym dziedzińcu. Ku niezmiernej uldze Ethana powróciła niemal natychmiast. Na prawe ramię zarzuciła sobie coś masywnego i niewyraźnego. Z tego czegoś zwisały bezwładnie dwie wypustki. Ręce.

– Co... co to jest? – zapytał.

– Nadarzyła mi się okazja, żeby wziąć jeńca. – Jeżeli waga jego ciała sprawiała jej jakiś kłopot, nic okazywała tego. – Sądzę, że to jest giermek albo nawet ktoś wyżej. Czy nic pragnąłbyś dowiedzieć się, kto nas zaatakował i dlaczego?

– A więc ty też nie myślisz, że to było zwykłe piractwo? – September uśmiechnął się do niej, chociaż ani pod maską, ani w tym nikłym świetle nie mogła tego uśmiechu zobaczyć.

– Nie mam pewności, ale chciałabym ją mieć.

– To tak jak ja. – September ruszył w jej stronę. – Pozwól, że go wezmę.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Czy sądzisz, że nie poradzę sobie z tak drobnym obciążeniem?

– Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyś była w stanie poradzić sobie ze wszystkim, z czym tylko zechcesz, moja pani kocico, ale nie zostałeś stworzona do chodzenia po schodach. A przecież żeby dostać się na dół, musimy zejść po cholernej ilości stopni, i to w ciemnościach. Gdybyśmy byli na otwartym lodzie, ani bym nie pisnął. Czy nie sądzisz – zakończył przedrzeźniając ją – że tak dojdziemy prędzej do celu?

Elfa wahała się tylko przez sekundę, zanim przekazała mu bezwładną postać.

– Prawda jest w twoich słowach, rycerzu. – Skierowała uwagę znowu na Ethana. – Jakże odważnie z waszej strony, że zaatakowaliście fortecę we dwóch.

– Mieliliśmy z nas wszystkich najbardziej odpowiednią budowę do tego – powiedział Ethan niespokojnie. – Chodźmy już.

To Elfa była na tyle przewidująca, że zamknęła za nimi i zaryglowała uszkodzone drzwi.

ROZDZIAŁ 6

– Cicho. – Hunnar gestem uciszył zebranych za nim marynarzy. Wyjrzał zza krzywizny iglicy u podstawy schodów. – Ktoś idzie.

Odgłos stóp na kamiennych schodach dochodził do nich jeszcze przez kilka minut, niedosłyszalny może dla ludzkich uszu, ale wyraźny dla czekających tranów.

– Poznają Sir Ethana! – powiedział jeden z giermków i wszyscy wypadli z ukrycia witać córkę Landgraфа i jej wybawców. Kiedy stłoczyli się wokół niej rozmawiając i żartując, Ethan zadumał się ponownie nad tą bezceremonialnością stosunków, tak powszechną wśród tranów. Właściwie, pomyślał, to nawet niektóre z radosnych uścisków Elfy i marynarzy były nadmiernie poufałe. Ale skoro Hunnar nie czuł się tym dotknięty, Ethan zachował spostrzeżenie dla siebie.

– A więc to na was spada cała płynąca z tej przygody chwała – powiedział rudobrody rycerz do Ethana. Kiedy mówił, w jego głosie nie słychać było jednak zawiści, tylko szczęście.

– Nie przypisuj nam żadnych zasług poza tym, że przetarliśmy drogę. – Ethan pokazał na Elfę. – Czekala na nas przy drzwiach.

– Z tym. – September zwałił nieprzytomnego jeńca na lód. Na widok jednego z porywaczy wśród zebranych rozeszły się gniewne pomruki. W kierunku nieruchomej postaci ruszyła miękka, niebezpieczna fala. Hunnar gestem kazał im się odsunąć.

– Jeżeli taką będziemy mieli chęć, możemy zabić go później. – Popatrzył w dół na nieszczęsnego wojownika. – I tak sobie myślę, że będziemy mieli na to chęć. Mądry człowiek jest w stanie nauczyć się czegoś nawet ze stojącej w ogniu księgi.

Liną z pika-piny związano jeńcowi kostki u nóg, drugą liną przywiązano mu nadgarstki w okolicy pachwin. Dwaj tranowie chwycili za liny przymocowane do jego stóp, rozpostarli dany i ruszyli w drogę powrotną do odległej *Slanderscree*.

Kiedy nabierali szybkości, Ethan zadumał się nad siłą i wytrzymałością trańskiej skóry; plecom więźnia musi się dawać we znaki to tarcie ciała o lód. Wypowiedział się na ten niepokojący go temat do Budjira, który szifował obok niego, ale giermek odpowiedział poważnie swoim łagodnym głosem, że skóra na plecach więźnia nikogo nie interesuje, jak długo jego usta pozostają czynne.

Biorąc pod uwagę panujący w całej grupie nastrój Ethan zdecydował, że nie pora na naleganie, żeby zaczęli traktować jeńca w cywilizowany sposób. Dość miał roboty z utrzymaniem się na nogach, kiedy dwaj tranowie ciągnęli go po lodzie. Zerknął na swój nadgarstek. Sześćdziesiąt stopni mrozu.

Kiedy dojechali do statku, uściski wymieniano hurtem, a powitanie stało się w dwójnasób gorące na wieść, że nie ponieśli ani jednej ofiary. Przez ostatnie dziesięć minut Ethan czekał, że gdzieś za nimi rozlegną się wściekłe wołania i krzyki. Najwyraźniej w niczego nie podejrzewającej fortecy nie nastąpiła jeszcze zmiana warty. Albo jeżeli nastąpiła i odkryto ucieczkę Elfy, mieszkańcy wciąż debatuje, co by tu zrobić. Zanim zdecydują się ponowić atak, jeżeli w ogóle się na to zdecydują, *Slanderscree* powinna się znaleźć daleko poza ich zasięgiem.

Ta-hoding już nakazał podnoszenie kotwic. I chociaż kapitanowi wcale nie podobał się pomysł manewrowania wielkim statkiem po nocy i nie przestawał na to narzekać, przynajmniej tym razem sztuka żeglarska musiała ustąpić przed koniecznością.

* * *

Przesłuchanie jeńca rozpoczęło się następnego dnia rano, kiedy kliper lodowy był już daleko od Wyspy Asurdun, a za nimi w jaskrawym świetle słońca nie widać było nic, oprócz czystego, nagiego lodu. Chociaż Ethana interesowała większość aspektów trańskiej kultury, wybrał sobie miejsce z daleka od dziobu, gdzie się przesłuchanie odbywało. Wiatr pochłaniał większość krzyków, których nie przytłumiła długość pokładu. Kiedy z całych sił starał się zignorować te słabe, zawodzące dźwięki, nie był w stanie nie myśleć o przepaści, jaka dzieliła go od przyjaciół tranów. Ta przepaść nie chciała zniknąć, chociaż oddałby życie za Hunnara, a Hunnar za niego.

Zapewne praszczurowi Ethana, starszemu od niego o wiele pokoleń, łatwiej byłoby wczuć się w tę sytuację i brałby on udział w przesłuchaniu z tą samą okrutną obojętnością jak Elfa, Balavere i inni. Także w historii ludzkości takie barbarzyństwo było czymś codziennym, jeszcze nawet w dwudziestym pierwszym wieku starego kalendarza. Kiedy jednak przemyślał sprawę, musiał przyznać, że różnice pomiędzy nowoczesną cywilizacją Wspólnoty a feudalną metodologią stosowaną przez tranów nie były znowu takie wielkie. Wszystko, co odróżniało je od siebie, to kilka nieformalnych wzajemnych umów, znanych pod nazwą moralności i kilka zapisanych w postaci praw. W jego społeczeństwie także nie brakowało obywateli, którzy ignorowali te pierwsze, a te drugie usiłowali łamać. Nie powinien sam siebie stawiać zbyt wysoko, żeby hipokryzja panująca w obecnej cywilizacji nie zmusiła go do zbyt bolesnego upadku. Metody postępowania tranów miały przynajmniej tę zaletę, że były bezpośrednie i proste, jeżeli nawet bardziej się można było przy ich stosowaniu pobrudzić. Z drugiego końca pokładu doszedł do niego jakiś szczególnie przeciągły, rozedrgany jęk i Ethan nie zdołał powstrzymać się od drgnięcia. Udręczony wszedł na górę po schodach równoległych do lodowej ścieżki wiodącej na pokład sterowy. Ta-hoding stał jak zawsze w pobliżu wielkiej krzywizny koła, jakby był częścią swojego ukochanego statku i patrzył przed siebie. Od czasu do czasu rzucał szorstki rozkaz swoim sternikom i wtedy koło poruszało się, albo wykrzykiwał do najbliższego oficera jakieś instrukcje, które przekazywano w górę w olinowanie do pracujących tam marynarzy. Był najgrubszym tranem, jakiego Ethan dotąd spotkał, wyrozumiałym, pokojowo nastawionym, mniej krwiożerczym w zachowaniu niż zwykli żeglarze czy profesjonalni rycerze i giermkowie.

– Co oni z nim robią?

– Z jeńcem? – Ta-hoding nie spuszczał oczu z lodu, który prześlizgiwał się pod bukszprytem. – Przesłuchają go, przyjacielu Ethanie.

Pięć olbrzymich, rozcinających lód duramiksowych płóz wydawało odgłos, który wybijał się ponad wiatr słabym sykiem, jak gdyby ktoś smażył bekon.

– Wiem to, ale... jak?

Ta-hoding zdawało się poważnie rozważyć to pytanie, zanim w końcu udzielił odpowiedzi.

– Nie wiem, jak to wygląda u twoich pobratymców czy u ludzi tutaj, ale w Wannome i miastach w jej pobliżu procedura przesłuchiwania jeńca wojennego to całkiem standardowy rytuał. Chcąc okazać odwagę, siłę i broniąc honoru swojej rodziny, jeniec albo będzie kłamał, albo w ogóle odmawiał odpowiedzi. Tym samym rzuci wyzwanie tym, którzy go pojmali, okazując że jest bardziej pomysłowy i śmiały niż oni. Wtedy zastosują coraz większy nacisk, aż jeniec nie będzie się już w stanie opierać. I udzieli właściwych odpowiedzi. Czas i wysiłek, jaki ci, którzy go pojmali, muszą włożyć, żeby w końcu wymusić z niego te prawidłowe, uczciwe odpowiedzi, będzie miarą zyskanych przez więźnia zasług. Będzie je mógł wykorzystać on w życiu pozagrobowym.

– A co dzieje się, kiedy nie ma już więcej pytań? Ta-hoding miał zaskoczony wyraz twarzy.

– Oczywiście więźnia się zabija.

– Ależ to nieludzkie! – Kryształki lodu szorowały mu po masce.

Ta-hoding chwilowo oderwał wzrok od rozciągającego się przed nimi oceanu.

– My nie przypisujemy sobie cnoty bycia ludźmi, przyjacielu Ethanie. Jesteśmy tranami. Na własne oczy widziałem, jak poczerwieniał twój miecz w bitwie o Wannome. Powiedz mi, jak w twojej własnej kulturze otrzymujecie odpowiedzi od kogoś, kto nie życzy sobie współpracować z tymi, którzy go pojmali, lub z władzami?

– Podłącza się go do analizatora stresu – odparł Ethan. – To taka maszyna. Monitoruje jego odpowiedzi bezboleśnie i potrafi zawsze stwierdzić, czy ktoś taki mówi prawdę.

– A przypuśćmy – powiedział Ta-hoding z namysłem – że więzień w ogóle odmówi odpowiedzi?

– Wtedy ogranicza mu się swobodę ruchu... zamyka się go, dopóki z własnej woli nie zdecyduje się odpowiedzieć.

– A jeżeli postanowi, że nigdy nie odpowie?

– Przypuszczam, że wtedy zostaje w więzieniu.

– A ty nigdy nie otrzymasz potrzebnych ci odpowiedzi. Bardzo to nieudolne. Nasz sposób jest lepszy.

– Sekundkę – powiedział Ethan. – A skąd wiecie, czy te końcowe odpowiedzi to nie kłamstwa? Że on nie udaje tylko, że mówi prawdę po tych tortu... po tym przesłuchaniu?

Ta-hoding był nawet bardziej zaskoczony niż uprzednio. Po jego minie i głosie poznać było, że jest do głębi wstrząśnięty.

– Jeniec utraciłby wszystkie zasługi, które zdobył przez swój opór. Umarłby, nie mając zasług, które przeprowadziłyby go przez życie pozagrobowe!

Ethan szybko zweryfikował swoje dalsze pytania.

– A jak już odpowie na wszystkie postawione mu pytania, uczciwie i prawdziwie, jeżeli rzeczywiście jest tak jak twierdzisz, to po co go wtedy zabijać?

– Nie wszystkich się zabija.

– No to dlaczego zabijać tego?

– Ponieważ on na to zasługuje.

Czy mu się zdawało, czy też w głosie kapitana zabrzmiała nutka politowania? Ethan wciąż jeszcze miał problemy z subtelnościami trańskiej mowy. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zmienił zdanie. Lepiej przerwać tę rozmowę, kiedy jej przedmiot wciąż jeszcze przechodzi ciężką próbę. Ale czy rzeczywiście ją jeszcze przechodzi? Ethan wysilił słuch i usłyszał tylko pęd wiatru i tarcie płóz o lód.

September i Hunnar weszli na górę na pokład. Ethan zastanawiał się, czy jego nadnaturalnej wielkości towarzysz rzeczywiście przyglądał się całej procedurze. Ogromnie lubił tego olbrzyma za jego pogodny dobry humor, za kompletne lekceważenie niebezpieczeństwa i gotowość ryzykowania samym sobą dla przyjaciela, ale czasami... Skua September, stwierdził po namyśle, pokrewny był tranom pod względami innymi niż tylko rozmiary fizyczne. A kiedy do głosu dochodziły te właśnie aspekty jego charakteru i Ethan, i Milliken Williams czuli się nieco niewyraźnie. Jemu samemu osobowość Septembra przypominała jabłko: skórka cywilizacji była jasna i lśniąca, ale bardzo, bardzo cienutka.

– No, chłopcze, dowiedzieliśmy się, czego się trzeba było dowiedzieć.

– Nie mam co do tego wątpliwości – odparł Ethan, starając się mówić obojętnie. Ale nie mógł powstrzymać się od zadania pytania. – Kto go ostatecznie zabił? Ty, Sir Hunnarze?

Wyglądało na to, że uraził trańskiego rycerza.

– Ja, przyjacielu Ethanie? Nie popełniłbym takiej nieuprzejmości! Nie mnie należał się zaszczyt wyprawienia na tamten świat tego, który zdobył sobie wielkie zasługi. Pozostawiono to – dodał niedbale – tej, która najciężej została obrażona.

Nie pozwalając Ethanowi zignorować tego, co oczywiste, September zakończył ze wspianą, obojętną brutalnością.

– Zrobiła to dziewczyna. Któż by inny? Chciała zrobić to powoli – kontynuował ze swadą – ale

Hunnar i Balavere ją przegłosowali. Ponieważ jeniec okazał wielką wytrzymałość i odwagę, musiała zadowolić się obcięciem mu...

Ethan wsunął ręce pod kombinezon, zatkał sobie uszy i odetkał je dopiero wtedy, kiedy usta Septembra przestały się poruszać. Było mu niedobrze.

– Nie wiesz – powiedział olbrzym łagodnie – jak oni ją tam potraktowali.

– A jakież informacje o olbrzymiej wartości udało wam się z niego wydusić?

September przesunął się do poręczy, popatrzył na lekko przyprószony śniegiem lód, który przemykał pod statkiem.

– Ten atak na nas był w takim samym stopniu przypadkowy i nie zaplanowany, jak tamten w tawernie w Asurdunie. – Nasz więzień miał rangę gdzieś pomiędzy rycerzem a giermkim. Dowódca tej fortecy nie jest pełnym rycerzem. Otrzymali rozkazy, więzień nie wiedział dokładnie kiedy, żeby napaść na *Slanderscree*, kiedy będzie objeżdżała południowy cypel wyspy i zająć ją, jeżeli się da.

– Nie wiedział też – wtrącił się Hunnar – kto wydał te rozkazy. Jego dowódca nigdy mu tego nie powiedział. Ale kiedy wspomniano, że na pokładzie znajdujesz się ty i przyjaciel September, prości żołnierze zaczęli kwestionować cały plan. Nauczono ich, że ludziom nie należy robić krzywdy.

September odwrócił się od poręczy i ciągnął dalej.

– Wydaje się, że wyjątkowo ten nakaz miał zostać zignorowany tylko w tym wypadku. Takie instrukcje nasunęły naszemu więźniowi i nam myśl, że rozkaz ataku przyszedł od kogoś bardzo ważnego i mającego ogromne wpływy, może nawet od samego Landgrafa Asurdunu. Więzień wzbraniał się w to uwierzyć. Podejrzewam coś jeszcze, mój chłopcze. – Poręcz aż jęknęła pod jego ciężarem. – *Slanderscree* byłaby cennym łupem dla każdego tubylca, ale żeby Landgraf miał sankcjonować zamordowanie nas, niefrasobliwych gołoskórców... to znaczy, że musi być bardzo pewny własnej pozycji. A skoro o tym mowa, musi mieć niemal pewność, że gdyby atak się nie powiódł, a wiadomość o tym dotarła do Dętej Małpy, nie narazi się na odwet lokalnych władz Wspólnoty. Co nasuwa mi myśl, że istnieje jakaś zmowa pomiędzy tym Landgrafem, a kimś na bardzo wysokiej pozycji w hierarchii władz placówki.

– Trell?

September rozważał sugestię Ethana niepewnie.

– Nie wiem. Dosyć był dla nas miły. Powiedziałbym, że ktoś bezpośrednio pod nim, może nawet ten kapitan portu, Xenaxis. On nadzoruje każdy kilogram towaru. Może to być każdy, kto zaangażowany jest w zachowanie obecnego monopolu na trański handel.

Ale ważne jest to, że w takim razie od chwili, kiedy znaleźliśmy się poza obrębem stacji, nie możemy od nikogo w Dętej Małpie spodziewać się pomocy. Zaczął się sezon polowań i będzie trwał, dopóki na orbitę nie wejdzie następny statek Wspólnoty. A to stanie się za dwa miesiące. Jeżeli teraz byśmy wrócili i złożyli raport, spędzilibyśmy następne dwa miesiące chroniąc się przed

takimi czy innymi próbami morderstwa. Teraz, kiedy zaatakowano nas już w otwarty sposób, ten ktoś, kto osłania Landgrafa czy innego wysokiego miejscowego urzędnika, podejmie kroki, żeby się zabezpieczyć. – Zerknął na dół, w kierunku centralnej kabiny, gdzie Eer-Meesach i Williams pogrążeni byli w gorączkowej rozmowie. – Chciałbym to jednak przedyskutować, zanim podejmiemy decyzję.

Ethan musiał oddać Septembrowi sprawiedliwość. Nie wstydził się on prosić innych o opinię i zmieniać własnego zdania, jeżeli ich argumenty okazały się bardziej ważne.

– Sądzę, że najbardziej wyjdzie nam to na zdrowie, jeżeli będziemy trzymać się początkowego planu i spróbujemy jakoś zawiązać tę konfederację wysp-państw. Jeżeli wrócimy do Dętej Małpy i postawimy Trella przed faktem dokonany, nie sądzą, żeby on czy ktokolwiek kryjący się za tym, zechciał coś kombinować. Po co nas zabijać, skoro monopol został skutecznie złamany. A przynajmniej mam nadzieję, że wykaże tyle rozsądku. Oczywiście wszystko to mogą być kompletne bzdury; mógł to przecież po prostu być atak tubylców, tylko i wyłącznie. – Popatrzył za rufę, gdzie południowe skały wyspy Asurdun skurczyły się do rozmiarów skromnego guzka na horyzoncie.

* * *

– Bylibyśmy zajęli ten statek – obstawał przy swoim na wpół gniewny, na wpół przestraszony głos – gdyby nie interwencja obcoziemców z nieba. Mieli ze sobą krótkie noże, które walczą kawałkami słońca. – Teraz jego głos zabarwiał niesmak. – Do czego przydać się może miecz i strzała przeciw broni, która potrafi przebijać tarcze i podpalać tratwy?

Calonnin Ro-Vijar opadł na oparcie masywnego, wykładanego drewnem fotela i wpatrzył się w dal za oknem swojego dwupiętrowego zamku. Ponad nieregularnymi dachami miasta, za portem, otwierał się widok na cieśninę, niemal aż do samego otwartego morza. Przechodząc do sąsiedniego okna mógł zobaczyć dziwne, gładkie budynki ludzi i trzy szkliste misy w miejscu, gdzie ich statki lądowały przylatując z nieba, i za każdym razem, kiedy któryś przyleciał, przynosiły ze sobą nie dające się ogarnąć umysłem bogactwo.

Bogactwo, które teraz było zagrożone.

Zauważył, że rozmówca wyczekująco na niego patrzy, odwrócił się twarzą do zmartwionego szlachcica, który mu dotrzymywał towarzystwa. Znajdowali się w prywatnych apartamentach Landgrafa i tylko we dwóch. Było to konieczne. Słowa, które teraz ze sobą wymieniali, były zbyt niebezpieczne, żeby mógł je podsłuchać nawet najbardziej zaufany członek jego dworu, dlatego zdecydował się przyjąć Obela Kasina tutaj, a nie w sali oficjalnych audiencji. Zdawał sobie sprawę, że jego przedłużające się milczenie wzmaga podenerwowanie Kasina, a jednak wciąż milczał, przyglądając się smukłemu szlachcicowi. Do strzegł bandaży na boku jego szyi, poszarpane rozdarcie źle opatrzonej membrany lewego dana, nagie placki na ciele w miejscach gdzie wycięto futro.

– Uspokój się, szlachetny Kasinie. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy.

– Czy nie powinienem zostać ukarany – zapytał szlachcic niepewnie – za moje niepowodzenie?

– Nie obawiaj się. – Ro-Vijar podparł się oboma rękami, wstał i przeszedł do okna.

Rozciągająca się od podłogi do sufitu szyba z szklotopu mimochodem utworzyła coś w rodzaju ramy wokół jego postaci. Była to największa ze wszystkich tafli szkła, jakie wyprodukowano czy sprowadzono do Asurdunu. Była większa niż każda inna tafla, o jakiej Calonin kiedykolwiek słyszał, jaką potrafił sobie wyobrazić. A przecież znajdowała się tutaj, w jego zamku, przybyła do niego z niebios w jednym w podniebnych statków ludzi. I powiedziano mu, i już w to uwierzył, że chociaż nie grubsza niż jego najmniejszy pazur, była mocniejsza niż mury, które ją otaczały.

– Jak powiedziałeś – podjął w końcu – nie możemy walczyć za pomocą mieczy i tarcz przeciw świetlnym nożom podniebnych ludzi. – Obejrzał się przez ramię. – Ale mimo wszystko zdobędziemy ten statek, Obelu Kasinie z Asurdunu. Któregoś dnia nasza bandera będzie powiewała na jego rufie i masztach i stanie on na czele asurduńskiej floty. – Nie dodał, że przyjdzie też taki dzień, kiedy będą się mogli obejść bez *Slanderscree*. Były to marzenia, których nie mógł jeszcze z nikim dzielić. – Będziemy musieli działać rozważnie i wybrać lepszy moment na następną próbę. Sam teraz przejmę kierowanie tym przedsięwzięciem, szlachetny Kasinie. Powiedz po drodze mojemu ministrowi spotkań – trzecie drzwi na lewo, drugi poziom – żeby przygotował *Rinstastera*. To nasz najlepszy statek. Sam dobiorę załogę. Będziemy siedzieć na ogniu temu monstrualnemu statkowi aż nadejdzie odpowiednia okazja, a wtedy zajmę go na chwałę Asurdunu!

– Tak, Wasza Wysokość. Niech cię wiatr prowadzi. – Przykląkł, jak trzeba na jedno kolano i wyszedł z pokoju.

Pod nieobecność szlachcica Calonin popadł w zadumę. Kasin dołożył wszelkich starań. Jego rany świadczyły, że był lojalny.

Niczego się nie zyska karając go. Nikt tak jak on nie był świadom przewagi technologicznej ludzi. Gdyby wiedział, że tych trzech na wielkim kliprze lodowym posiada broń energetyczną, nie zarządziłby ataku.

Kasin, usprawiedliwiony i pochwalony, będzie teraz w dwójnasób godzien zaufania. Ro-Vijar sam weźmie na siebie zadanie zdobycia klipra lodowego, sam zabije jego załogę, a razem z nią sprzymierzonych ludzi, ponieważ na nikim innym w tej sprawie nie może polegać. Nikt inny nie ma ani tych powodów co on, ani tego zapału. Aż do tej chwili pozostawał w cieniu, jak chodzi o tę sprawę, ale już dłużej nie było to możliwe.

Rozmarzył się, zobaczył w wyobraźni tę olbrzymią lodową łódź, zobaczył znowu jej płozy z metalu, który się nie zużywał ani nie pękał na lodzie jak kamień, czy kość, czy drewno, zobaczył jeszcze raz starannie wykonane żagle z pika-piny i olinowanie. Wyobraził ją sobie tak, jak niedawno opisał Kasinowi, z żaglami wydętymi wiatrem, z banderą i insygniami Asurdunu powiewającymi na wysokościach. A jeżeli jego plany się powiodą, któregoś dnia ten statek stanie się zabawką godną kpiny. Ale dobrze byłoby tymczasem go mieć na własność. Chociaż nie mógł mieć nadziei, że prześcignie kliper, musi się on gdzieś w końcu zatrzymać. I wtedy przyjdzie moment, żeby nim zawładnąć.

Chociaż może to być przykre, zanim wyruszy, musi wpierw porozmawiać z ludzkim Landgrafem.

Jobius Trell przyjął Landgrafa Asurdunu w swoim biurze. Ponieważ temperatura we wnętrzach przystosowana była do normy ludzkiej, niemalże nagi Landgraf cierpiał od brutalnie wysokiej temperatury. Trell poprzesuwał swój południowy rozkład zajęć tak, by móc przyjąć Ro-Vijara. Miał na sobie jasnopomarańczową tunikę roboczą, otwartą na piersi, z lekką plecionką w pasie, przy rękawach i kostkach. Powitał Ro-Vijara sam. Również i Landgraf pozostawił swojego osobistego ochroniarza na zewnątrz budynku. Obydwaj czuli się w ten sposób mniej skrępowani. Mogli rozmawiać prywatnie i otwarcie, ponieważ każdy z nich miał poczucie, że może tego drugiego zapędzić w kozi róg.

Ro-Vijar wolał usadowić się na kanapie niż na jednym z tych wąskich, przeznaczonych dla ludzi krzeseł. Usiadł prosto, pomimo zachęcającej krzywizny oparcia i obserwując swojego człowieczego odpowiednika ignorował straszliwy żar, jaki zalewał biuro. To była taka ich zabawa. Z kolei kiedy Trell przychodził odwiedzić Ro-Vijara w jego zamku, Landgraf ze szczególną rozkoszą otwierał wszystkie okiennice burzowe i okna, żeby mroźne wiatry Tran-ky-ky mogły hulać po każdym pokoju, w którym się znaleźli. Ponieważ we wnętrzu budynku Trell musiał podnieść maskę kombinezonu ochronnego, żeby nie uchybić zwyczajowi nakazującemu ukazywać twarz gospodarzowi, Ro-Vijar mógł radować się złym samopoczuciem człowieka, którego skóra czerwieniała od zimna – chociaż Trell udawał, że czuje się dobrze i swobodnie, podobnie jak to teraz robił Ro-Vijar.

To była sprawiedliwa wymiana uprzejmości. Pod jednym względem Trellewi łatwiej było stwierdzić, kiedy gość jest już solidnie wykończony temperaturą. Ponieważ tranowie nie mają gruczołów potowych, więc się nie pocą, tak więc Trell mógł się zorientować, że Landgraf szczególnie kiepsko się czuje za każdym razem, kiedy ten zakrywał łapą usta, usiłując zasłonić wywieszony język i ukryć to, że ziaje, chcąc pozbyć się nadmiaru ciepła. Gdyby spróbował przetrzymać całą wizytę bez ziajania, z przegrzania mógłby stracić przytomność. Uchybiałoby to jego godności.

– A więc umknęli nam – mówił Trell przechodząc do sedna sprawy, kiedy zakończyli wymianę uprzejmości. – To niefortunne.

– Nie martw się, przyjacielu Jobiusie – powiedział Calonnin pocieszająco. – Nie osiągnęli niczego, ani nie osiągną. Sam pojedę ich śladem z załogą moich najlepszych i najwierniejszych żołnierzy. Będą musieli gdzieś przycumować ten niezdarny, wielki statek, żeby szerzyć swoje występne plany. A kiedy to zrobią, pozwolę, by okoliczności podyktowały mój sposób postępowania. Czego bym wtedy nie wybrał, będzie to ostateczne i skuteczne.

– Dobrze, dobrze – przytakiwał Trell.

– Szlachcic, którego postawiłem na czele tej pierwszej próby, zrobił wszystko, co mógł. Pokonany został przez ręczną broń trzech ludzi na statku. – Zapadł głębiej w to obrzydliwe, miękkie oparcie kanapy i oczekując, jak Trell odpowie na jego następne pytanie, silił się przybrać pomnikowo obojętną minę. – Gdybyś mógł mnie zaopatrzyć w przynajmniej parę podobnych przyrządów i poinstruować mnie i moich rycerzy, jak ich używać, sukces tej podróży byłby zagwarantowany. Trell potrząsnął głową i po ojcowsku się uśmiechnął.

– Przyjacielu Calonnie, wiesz, że tego nic mogę zrobić. Deklaracje Wspólnoty i Kościoła surowo zabraniają rozprowadzania nowoczesnej broni wśród narodów nie należących do Wspólnoty. Nawet te rasy, które osiągnęły status narodów stowarzyszonych, nie mogą otrzymać broni energetycznej, chyba że w wyjątkowych okolicznościach. Prawo własności ogranicza się do pełnych członków Wspólnoty. Nie ja wydałem to zarządzenie, ale też nie ja będę ryzykował, żeby je złamać.

Trell miał nadzieję, że jego odmowa została dobrze pojęta.

– Jeszcze przez jakiś czas będzie musiała wystarczyć wam broń waszej własnej cywilizacji. Jestem pewien, że w waszych zręcznych dłoniach spełni ona swoje zadanie aż za dobrze.

– Nie miałem zamiaru dawać do zrozumienia, że nie spełni – zapewnił go Landgraf. – Ale wasze noże świetlne uprościłyby i przyspieszyły rozwiązanie całej sprawy.

Trell pogroził mu palcem.

– Cierpliwość to jeszcze jedna współczesna broń, którą sami dla siebie możecie zdobyć, Ro-Vijarze. Ale kiedy zostanie usunięta ta przeszkoda na drodze naszych przyszłych planów, kto wie, jakich układów możemy się dopracować? Układów, przy których nawet ostateczne edykty jakoś będzie można obejść. Ale nie tym razem, nie dzisiaj.

– Rozumiem, przyjacielu Trellu. – Ro-Vijar wstał dysząc jak przepracowany hessavar. – Na stanowisku władcy Asurdunu zostawiam na czas mojej nieobecności mojego kuzyna, Sir Dasa Kooliatina. Okazuj mu tyle szczerości, ile uznasz za stosowne. Nie ma on wybujałej wyobraźni ani nie żywi złudzeń, że zastąpi mnie na tronie... to wierny krewniak. – Wspomniał o tym nie po to, żeby pochwalić nieobecnego Kooliatina, ale tak na wszelki wypadek, gdyby człowieczemu komisarzowi przemknął choćby cień myśli, że mógłby załatwiać sprawy z kimś innym, a nie z Calonnie.

– A więc nie opóźniajmy już dłużej twojego pościgu. – Trell podniósł się i podszedł do Landgrafa. Okrągłe i pionowe źrenice wymieniły spojrzenia. – Im szybciej zakończymy tę niefortunną sprawę, tym spokojniej spocznę.

– I ja także, przyjacielu Trell. – Wyciągnął przed siebie olbrzymią łapę i ujął dłoń komisarza. Potem Trell pochylił się do przodu, położył obie dłonie na ramionach Landgrafa i dmuchnął mu w twarz.

– Mój oddech jest twoim ciepłem. Niech cię wiatr prowadzi, przyjacielu Calonnie.

Ro-Vijar wyszedł, wkładając ogromny wysiłek w to, żeby opanować się i nie wypaść pędem z tej piekielnej cieplarni Trelowego biura na chłodny wiaterek na dworze.

Komisarz czekał, aż Landgraf opuści zewnętrzne biura, potem znowu usiadł. Dotknął kilku przełączników i pojawiły się taśmy i reszta materiałów przewidzianych do załatwienia dziś. Jak zawsze pozwolił sobie na przyjemność sprawdzenia kilku osobistych plików molekularnych i obdarzenie uśmiechem ukrytych tam rachunków bankowych. Zapisane były na różne nazwiska i kompanie, ale saldo należało w całości do niego. Kiedy zakończył to rozkoszne zajęcie, przeszedł do

bardziej prozaicznej pracy Stałego Komisarza.

Calonnin odniesie sukces w tej swojej misji. Landgraf był pomysłowym i oddanym osobnikiem, co najmniej tak chciwym, jak on sam. Trell pokładał ogromne zaufanie w tym miejscowym przywódcy, w jego wyobraźni i przedsiębiorczości. Ale Calonnin Ro-Vijar miał tej wyobraźni i przedsiębiorczości trochę za wiele, żeby powierzyć mu coś tak groźnego, jak nowoczesna broń energetyczna. Nic tak jak iglak nie rozbudzało w prymitywnym umyśle mrzonek o własnej wspaniałości. Nie, Ro-Vijarem dużo łatwiej będzie nadal kierować, chociaż nigdy nie będzie on potulny, jeżeli dostępne mu metody rozstrzygnięcia gwałtownych scysji ograniczone będą do lancy, strzały i miecza. Miało to wielkie znaczenie dla planów Trella dotyczących przyszłego rozwoju Tran-ky-ky. Jeżeli nie dopuści, by kusząca broń znalazła się w pobliżu rąk Ro-Vijara, mniejsza będzie szansa, że temu ostatniemu do głowy przyjdą niepożądane myśli. Dotknął kontrolki, która automatycznie nanosiła podpis zatwierdzający prośbę o pewne materiały dla oddziału kwatermistrzowskiego i przeszedł do następnej taśmy.

Trell miał absolutną rację, jeśli chodziło o ogólną ocenę charakteru Calonnina Ro-Vijara, ale mylił się pod jednym zasadniczym względem: Landgraf nie potrzebował nowoczesnej broni, żeby zacząć snuć złudne marzenia o nieograniczonej potędze. Już snuł ich całe mnóstwo.

Ro-Vijar szifując w kierunku portu i czekającego na niego statku zastanawiał się szczegółowo nad swoją ostatnią rozmową z człowieczym komisarzem. Jeżeli Trell nie chce zaopatrzyć go w świetlne noże, zdobędzie je w inny sposób. Czyż ci trzej ludzie, których miał zamiar zabić, nie mieli tej niezwycięzonej broni? Kiedy już ich zabije, z łatwością wymyśli jakąś sprytną historyjkę, żeby wytłumaczyć Trellovi zniknięcie ich uzbrojenia. Trell może coś i będzie podejrzewać, ale nie zdoła niczego udowodnić. Jeżeli kocię potrafi pośliznąć się na pełzającym megorfie, to czy człowiekowi nie może w przyszłości powinąć się noga? Ci podniebni dostarczyciele dóbr mogą być bogaci i mądrzy, ale nie są wszechmocni.

ROZDZIAŁ 7

Tymczasem obiekt pożądań Ro-Vijara zbliżał się właśnie do równika Tran-ky-ky. Było już prawie południe. Ethan bacznie wpatrywał się w przesuwający się pod nimi lód. Gdzie by nie jeździli, światło zawsze zdawało się wydobywać jakieś ukryte w powierzchni lodowego oceanu wzory, ale teraz Ethan zauważył coś, co zaskoczyło go silniej niż wszelkie zmyślane twarze czy na wpół ukryte potwory utworzone z gry światła na podpowierzchniowych szczelinach i odbarwieniach. Lód pokrywała miejscami cieniutka warstewka wody. Szeroko porozrzucane kałuże tworzyły niespodziewane lustra. A raz nawet *Slanderscree* przemknęła przez zagłębienie wypełnione taką ilością wody, że rozbryzgi doleciały aż do poręczy. Wprawdzie kilka godzin później temperatura opadła i sporadyczne sadzawki znowu pozamarzały na kość, ale sam widok płynnej wody na otwartych terenach Tran-ky-ky wstrząsnął nim do głębi.

Dużo jednak szkodliwszy był to widok dla morale załogi. Przyzwyczajeni byli, że wodę bieżącą mogą zobaczyć tylko we własnych domach, kiedy stopią śnieg albo lód do picia. Ich reakcję można by porównać do reakcji człowieka, który zobaczyłby, że pod nogami zaczyna mu się roztopiać ziemia. To przygnębiające, kiedy człowiek się przekonuje, że jego świat nie jest niezniszczalny.

Williams i Eer-Meesach chodzili pomiędzy spanikowanymi marynarzami, zapewniali ich, że spekulacje na temat grożących im kataklizmów pozbawione są podstaw, że nie muszą się obawiać, bo nawet w tym wyjątkowo ciepłym miejscu na powierzchni planety ocean nie stopi się głębiej, jak na kilka centy metrów. Nie mówiąc już o tym, poinformował ich Williams, że *Slanderscree* z pewnością utrzymałaby się na powierzchni. Sporą chwilę zajęło mu wyjaśnienie samej koncepcji utrzymywania się na powierzchni wody.

Na szczęście kiedy tylko słońce obniżyło się o kilka stopni, a powierzchniowa woda z powrotem zamarzała, nawet najbardziej przesądny z marynarzy przekonał się, że nie ma się czego obawiać.

Tego popołudnia z koszy obserwacyjnych przymocowanych na szczycie każdego masztu rozległo się kilka ostrzegawczych okrzyków. Ethan rzucił się na pokład sterowy, będący ośrodkiem nerwowym wielkiego klipra, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Zobaczył Ta-hodinga wykrzykującego co tchu w piersiach rozkazy do swoich oficerów, zarządzającego refowanie kilku żagli. W lesie olinowania i rei płaty z pika-piny zaczęły się kurczyć. Kapitan wyraźnie był bardzo zajęty, więc Ethan powstrzymywał się od zadawania pytań i wkrótce sam już potrafił rozpoznać powód, dla którego zwalniali.

Leżąca na horyzoncie przed nimi zielona nitka rosła, aż stała się wstęgą, a potem bujnym, zielonym pasmem. Ciągnęła się, jak okiem sięgnąć z lewa na prawo w poprzek morza lodu. Pasma zaczęło przypominać szeroki pokos i wkrótce ślizgali się już po oceanie zieleń, a nie biel.

Masywne, duramiksowe płozy *Slanderscree* pozostawiały za sobą w szmaragdowo-rdzawym kobiercu równoległe bruzdy. Sir Hunnar podszedł i stanął obok Ethana.

– To jedno z największych pól pika-piny, jakie kiedykolwiek widziałem, przyjacielu Ethanie. Dobrze byłoby tu mieszkać, gdyby w okolicy znalazł się jakiś wysoki łąd.

Ethan wiedział, że ta łatwo przystosowująca się do otoczenia, płodna roślina mogła żyć dosłownie wszędzie, jeżeli udało jej się zapuścić wędrowne korzenie w bogatą w składniki odżywcze glebę. W tej okolicy wyspy mogły wystawać nie więcej niż centymetr czy dwa nad powierzchnię lodu. A może palowe korzenie tego pola pogrążyły się w lód i sięgały aż do szczytów podpowierzchniowych gór.

W niektórych miejscach grube, trójkątne łądy przybierały kolor głębokiej, bujnej zieleni, w innych robiły się niemal czerwone czy brązowe. Hunnar nie przestawał mówić o obfitości produktów rolniczych znajdujących się na tej nie wykorzystanej, ograniczonej lodami prerii.

Ze względu na ubogie słownictwo ludzi nie używał skomplikowanych zlepków spółgłosek, tylko nazywał rośliny najprostszą, najbardziej potoczną z nazw. Od czasu do czasu przejazd klipra wypłasał całe chmury stworzeń przypominających motyle o skrzydłach nietoperzy, takie małe kulki czarnego, fioletowego i szarego futra, unoszące się na skrzydłach na pozór zbyt delikatnych, by sprostać dzikim wiatrom Tran-ky-ky. Natychmiast w pościg za nimi ruszały jakieś duże stworzenia nadrzewne. Miały one długie, cienkie pyski, długości niemal połowy własnego ciała, które aż do przesady pełne były zakrzywionych, cieniutkich jak szpilki zębów. Trzepocząc błoniastymi skrzydłami nurkowały między nietoperzo-motyle, ich pyski poruszały się jak kosy i zatrzaśkiwały na zwinnych, ale ciasno stłoczonych ofiarach. Kiedy przypominające poduszeczki do szpilek szczęki wynurzały się z barwnych, ruchomych chmur, niemal zawsze na szpileczki nadziana była jedna, a nawet dwie ofiary.

Uwagę Ethana przyciągały bardziej uczone tłumaczenia, jakie Eer-Meesach kierował do nauczyciela szkolnego, Williamsa. Chociaż podstarzały miejscowy czarodziej był maleńki i zasuszony, co rzucało się w oczy, gdy stanął obok niego jakiś dorosły tran, wciąż jeszcze górował nad swoim ludzkim odpowiednikiem, a jego białoszare futro kontrastowało jaskrawie z jedwabistą czernią, widoczną spod maski Williamsa.

– Tak więc widzimy, że pika-pina ma tak wielkie zdolności regeneracyjne, że jeżeli zetniemy ją dziś, jutro o tej porze już cały ten pas za nami odrośnie. – Czarodziej wskazał drżącą łapą na ślady na trasie przejazdu statku.

– leżeli potrafi się regenerować tak szybko – zapytał Williams – dlaczego nie rozprzestrzeni się i nie zajmie każdego metra kwadratowego lodu na planecie?

– Nie jest to takie proste, przyjacielu Williamsie. – I Eer-Meesach jeszcze raz wyjaśnił, w jaki sposób rośnie pika-pina; Ethan już kiedyś o tym słyszał i sposób ten go zadziwił.

Drugie korzenie pika-piny ryły w lodzie, mozolnie wytapiając go albo przeciskając się tuż pod powierzchnią, dopóki nie natrafiły na jakąś dziurę, zwykle bańkę powietrza uwięzioną podczas

zamarzania. Wtedy korzeń rozszerzał się i tworzył grubą bulwę. W takich bulwach gromadziły się składniki odżywcze

– to ich właśnie łapczywie szukali tranowie – ale bulwy trudno było znaleźć i niełatwo wykopać. Kiedy bulwa dostatecznie wzbogaciła się i urosła, wypuszczała cztery, pięć lub więcej nowych korzeni w poszukiwaniu nowych dziur, a zapasy składników odżywczych były stale odnawiane z innych bulw lub ostatecznie z odległego lądu.

– I w ten sposób – kontynuował czarodziej – mając liczne bulwy w pobliżu pika-pina potrafi szybko wrócić do zdrowia po naszym przejeździe, ponieważ ma już tu pod lodem powycinane drogi dla korzeni. Ale żeby rozszerzyć się na nowe terytorium, musi wydrążyć nowe kanały w stawiającym opór lodzie. I to dlatego...

Wykład został przerwany przez nagły wrzask z głównego masztu. Ethan popatrzył w przód, tam gdzie pole zieleni stawało się ścianą zieleni.

– Pika-pedan – zamruczał sam do siebie.

Ta-hoding już studiował las przez prymitywny, ale praktyczny trański teleskop.

– Wydaje się, że rozciąga się równie daleko na wschód i na zachód, jak jej drobniutka kuzynka. – Odłożył teleskop, miał zmartwioną minę.

Pika-pedan był krewniakiem olbrzymem pika-piny i wyrastał na wysokość nawet do dziesięciu metrów.

Na pokładzie pojawił się Hunnar, złożył dany, wyhamował.

– Pogoda i lód to twoja domena, kapitanie. Rób, co uważasz za najlepsze.

– Poyolavomaar leży gdzieś za tym – zwrócił im uwagę Ta-hoding. – Nie wiemy, jak daleko na wschód i na zachód ciągnie się to pole. Wskazówki, których mi udzielano, nie obejmowały objazdów. Jeżeli będziemy próbowali to objechać dookoła, możemy się beznadziejnie zgubić i nigdy nie dojechać do celu. A więc musimy spróbować przez to się przedrzeć. – Ruszył do przodu, w stronę przedniej poręczy pokładu sterowego.

– Hej, tam na pokładzie! – Od oficerów doszło natychmiastowe potwierdzenie.

Ta-hoding rozkazał postawić dodatkowy żagiel. Marynarze na rejach zaczęli dobrodusznie burczeć, kiedy płótna, które dopiero co refowali, zaczęły znowu opadać w dół i wydymać się sztywno na silnym wietrze. I znowu *Slanderscree* jechała pod pełnymi żaglami. Nabierała szybkości miarowo, statecznie.

– Co ty byś rozkazał, przyjacielu Ethanie?

Zaskoczony Ethan odwrócił się i zobaczył wpatrzony w siebie oczy Elfy. Nie zauważył, jak wchodziła na górę, na pokład sterowy. Wielkie źrenice błyszczały jak reflektory, rywalizując ze

słońcem.

– Musimy się przedostać na drugą stronę, to oczywiste. – Usiłował mówić z taką pewnością, jak przedtem Ta-hoding.

– Niezwykle zuchwała decyzja, ale typowa dla ciebie. – Obdarzyła go trańskim, przenikającym do głębi uśmiechem i odeszła zadać Eer-Meesachowi jakieś pytanie, zanim Ethan zdążył wyjaśnić, że tylko zgadza się z decyzją Ta-hodinga.

Ethan odwrócił się i zobaczył, że Hunnar patrzy na niego posępnie. Kiedy tylko rycerz zorientował się, że jego spojrzenie zostało przechwycone, bez słowa poszifował rampą w dół na główny pokład. Ethan zastanawiał się, czy nie pójść za nim, ale zdecydował się tego nie robić. Wyglądało na to, że wielokrotnie powtarzane protesty nie zdołały w najmniejszym stopniu uśmierzyć absurdałnej zazdrości Hunnara. Powtarzanie, że jest niewinny, będzie równie bezskuteczne, jak dotąd było.

Przez statek przeszedł delikatny wstrząs i Ethan musiał się czegoś ucześcić. Miał wrażenie, że *Slanderscree* wbiła się w gigantyczną gąbkę. Szeroką panoramę zielonych pól i niebieskiego nieba zasłoniła szmaragdowa kolumnada, która przesuwawała się teraz po obu stronach statku. Sunąc z szybkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę kliper uderzył w las pika-pedanu i gładko jechał na przelaj. Ethan rzucił okiem za rufę i zobaczył wydłużający się gościniec, rozwijający się za nimi jak wstęga; tworzyły go łodygi pika-pedanu, poobcinane cztery metry nad lodem przez pędzącą masę statku. Zielone bale o płaskich bokach leżały rozsypane na pniakach, jak fragmenty miotły z jakiegoś chlorofilowego kolosa.

Nie było żadnych punktów orientacyjnych, trudno więc było oszacować szybkość. Ethan domyślał się, że od chwili zderzenia statek zwolnił, ale wciąż jeszcze posuwał się do przodu z godną szacunku prędkością. Woda i miazga roślinna poplamiały mu kombinezon ochronny i musiał się odwrócić, żeby nie zachlapało mu gogli. Był pewien, że na bukszprycie sytuacja musi być dużo gorsza..

Wydawało się to wprost niewiarygodne, że gęsta roślinność ustępuje z taką łatwością przed statkiem, ale chociaż pika-pedan wyglądał na dużo solidniejszy i dużo bardziej przypominał drzewa niż jego miniaturowa krewniaczka, w środku był podobnie gąbczasty i składał się głównie z miękkich, nasyconych wodą włókien, które uderzone pękały natychmiast.

Od lewej strony dobiegł szorstki, ochrypy krzyk. Ethan popatrzył w tamtym kierunku i zdążył zauważyć, jak wzbija się w powietrze para spłoszonych gutorrbynów – skrzydlatych, przypominających smoki drapieźników. Przez kilka minut leciały równolegle do statku, sycząc i wrzaskliwie miotając na załogę obelgi, a potem skrzyły na południowy zachód. Gdyby to było całe stado, z pewnością by zaatakowały. Ponieważ jednak natknęli się tylko na dwa, i to z zaskoczenia, smoki zdecydowały się wycofać, a nie atakować.

Puchatych nibymotyli było mnóstwo w wysokiej roślinności, a raz Ethanowi zdawało się, że dostrzeżga coś długiego i świetlistego, jak wijący się promień słońca, co z niewiarygodną prędkością odpęzło z drogi statku. Zamiast wrzeszczeć, wyśpiewało w jego stronę niesamowite, przypominające ton fletu dźwięki i zniknęło w gęstych, wiecznorostłych zaroślach, a Ethan nigdy nie

dowiedział się, że to nie samo stworzenie widział, tylko jego promienny cień.

Wiatr przenikał kapryśnie pomiędzy pnie pika-pedanu. Na pokładzie panowała niezwykła cisza, nie tylko z powodu nieobecności swojskiej już wichury, ale dlatego że każdy z członków załogi zajęty był tak wspólnym żeglowaniem, jak i własnymi, osobistymi myślami. Ethan wiedział że tranowie nie zwykli wchodzić do rozkołysanych lasów pika-pedanu, ani ich badać. Nie robili tego, ponieważ lasy były zwykle niedostępne i ponieważ istniały takie stworzenia, które się w nich pasły. A jednak tym razem tranowie byli w lepszej sytuacji; maszty *Slanderscree* górowały nad wierzchołkami lasu, podobnie jak grzbiety zwierząt, których się obawiali. Z kilku koszy obserwacyjnych można będzie te falujące grzbiety zauważyć na tyle wcześnie, żeby statek miał szansę im umknąć.

Może obserwatorzy zbyt byli jednak zajęci wypatrywaniem tego szczególnego zagrożenia. A może i tak nie udało im się wypatrzeć niebezpieczeństwa. Kto wie. Przez statek przeszedł nagle gwałtowny dreszcz; kliper utracił rozpęd. Ethana i wszystkich innych, którzy się czegoś nie trzymali, rzuciło na pokład. Brzuchata osoba Ta-hodinga poturlała się za koło sterowe, nie przestając wykrzykiwać rozkazów.

Faktem jest, że marynarze w olinowaniu, przyzwyczajeni do nagłych, porywistych podmuchów wiatru, wyszli z opresji lepiej niż ludzie na pokładzie. Żaden z nich nie spadł, chociaż przez kilka chwil chyba dwóch z nich zwisało z najwyższej rei na jednej czy dwóch łapach, zanim stanęli znowu na nogi. Z przechyłem około dwudziestu stopni na lewą burtę, z dziobem po pijacku pochylonym w stronę lodu, *Slanderscree* chwiejnie posuwała się nadal do przodu.

Ta-hoding pozbierał się na nogi, wparł szify w lód i ryknął w stronę pokładu, wydając rozkazy. Zarzucono rufowe kotwice lodowe. Bezwzględnie zaryły się one w lód i w pieńki pika-pedanu za rufą. Po kilku sekundach zgrzytliwego pisku, od którego świdrowało w zębach, kliper zwolnił i teraz ledwo pełził do przodu. Kiedy w końcu zwinięto ostatni żagiel, zatrzymał się na dobre.

Ethan, September, Hunnar, Elfa i Ta-hoding przeszli przez burtę i zeszli na dół po drabinie z pika-piny. Szczegółowe oględziny nie były potrzebne. Coś paskudnie wykręciło lewą rufową płożę. Nie oderwała się całkiem, ale duramiksowe pręty, które mocowały ją do kadłuba statku, niemal zostały wyszarpane z gniazd. Brakowało płyt i sworzni, które poodrywały się, zostawiając za sobą poszarpane i pełne szerokich dziur drewno.

Ta-hoding zaczął kierować naprawą, a Ethan i inni ruszyli z powrotem śladem *Slanderscree*. Szli po ścieżce wyciętej przez uszkodzoną płożę, zmuszeni podążać gęsiego pomiędzy ścianami czterometrowej wysokości pni pika-pedanu, a nogi nieustannie ślizgały im się i rozjeżdżały na galaretowatych kulkach zamarznętej, wodnistej żywicy.

Musieli przejść prawie dwieście metrów, zanim doszli do przyczyny wypadku. Z lodu wystawały niewielkie, skaliste wieżyczki, noszące na sobie ślady złamanej płoży. Nic dziwnego, że obserwatorzy ich nie zauważyli, tak były pogrążone w gęstej roślinności. Miały co najwyżej dwa metry wysokości, były zbyt niskie, żeby rozerwać kadłub statku, ale wystarczająco wysokie i solidne, żeby uszkodzić płożę, która na nie wjechała. Mieli szczęście, że innych płóz nie spotkał podobny los.

Hunnar pochylił się, pokazał na białawy ślad na jednej z brył zmarzłego granitu.

– Widzicie... to tutaj uderzył statek. Jakże fortunna okoliczność, że ta wysepka nie była większa.

– Wysepka! – burknął September. – Przecież stoimy na szczycie góry, przyjacielu Hunnarze. Te iglice sięgają aż do dna zamrożonego oceanu, po którym żeglujemy.

– Nie mamy co do tego pewności, Skuo. – Ethan z mozołem usiłował uzmysłowić sobie, że pod stopami mają powiedzmy ze sześć czy siedem tysięcy metrów lodowej masy. – Mogą to być tylko bardzo duże głązy wmarzniete w lód, naniesione tu przez lodowiec albo ruchy lodu. A może ocean ma tutaj tylko kilka metrów głębokości. Może podróżujemy po płytkim morzu, które zalało jakąś starą pustynię. To mogą być skałki na równinie.

September miał zawiedzioną minę.

– Szczyty gór to brzmi lepiej. Ależ ty potrafisz odrzeć wszystko z całego romantyzmu, mój chłopcze.

Ethan rzucił Septembrowi spojrzenie, które wyraźnie mówiło: a myśl sobie, co chcesz. Odwrócił się, żeby wrócić na statek i po kilku krokach rozciągnął się jak długi.

Nikomu nie wydało się to śmieszne. Na taką krótką przechadzkę żaden z dwóch mężczyzn nie zawracał sobie głowy zakładaniem łyżew, ale to nie z tego powodu Ethan się wywrócił.

Trzy... nie, cztery maleńkie, kremowobiałe witki wystrzeliły z lodu i oplotły jego prawą kostkę. Potem naprężyły się i zaczęły go ściągać w dół. Lód zaczął pękać całymi płatami naokoło jego leżącej plackiem osoby. Ethan usilnie starał się uchwycić czegoś na śliskiej powierzchni. Jego biodra znikają już pod powierzchnią, kiedy udało mu się objąć obydwoma rękami pień pika-pedanu. Pień rozpadł mu się w ramionach jak kawałek próchna.

W tej chwili podbiegli do niego Hunnar i September. Hunnar wyciągnął miecz, ale September gestem kazał mu się odsunąć.

– Na miłość boską, Skuo, pospiesz się! – Ethan uparcie przywierał do szczątka pika-pedanu, choć nic lepiej nie trzymało się lodu niż on sam.

September starannie wycelował w punkt tuż za Ethanem, nieco na lewo od niego i nacisnął guzik promiennika. Rozległ się wężowy syk kipiącej pary. Następnie doszedł ich smród, jak gdyby gnijącej wieprzowiny. Witki oplatanie naokoło nogi Ethana nie zwolniły uchwytu, ale przestały go ciągnąć. W tym samym momencie Hunnar złapał Ethana za przeguby rąk, zarył się bokiem szifów, wbił przysadkowy pazur-hamulec na pięcie w lód i powoli zaczął się cofać. Ethan wysunął się z dziury w lodzie, a za nim, przyczepione witkami do jego nogi wysunęło się to, co go niemal pokonało. Krzyki, syk i błyski promiennika zwróciły uwagę pozostałych. W ich stronę skierował się tłumek zatroskanych tranów. Znajdował się wśród nich Eer-Meesach, któremu pomagał Williams.

Sapiąc ciężko pod maską kombinezonu, Ethan odwrócił się na plecy, usiadł i z obrzydzeniem i lękiem patrzył na uczipione jego kostki stworzenie.

– Co to jest?

Hunnar zdążył już wyciągnąć nóż i przecinał czepliwe witki. Ethanowi wyrwało się pełne ulgi westchnienie, kiedy zobaczył, że ten potężny chwyt nie uszkodził jego kombinezonu.

To „coś” było wyblakłego, białego koloru w szare plamy i cętki i miało niemal trzy metry długości, nie licząc witek. Miało też czworo szeroko rozstawionych oczu, wielkich jak talerze, dwa po stronie grzbietowej, a dwa po brzusznej. Cztery witki były równo rozmieszczone naokoło tępego końca głowy. Pomiędzy nimi znajdował się trójkątny pysk, zwiotczały teraz i otwarty, z rzędami stożkowatych, piłowatych zębów. Szczęki wystawały przed wargi, połyskując wilgotną i szokującą różowością na tle bieli naskórka. Ethan wyobraził sobie, co te zęby zrobiłyby z jego nogą, gdyby zsunął się choć odrobinę dalej pod lód.

– To kossief – odparł z namysłem Hunnar, przyglądając się bacznie widmowemu trupowi. Z grubsza można by to przełożyć na terangielszczyznę jako lodowij. – Ryją korytarze tuż pod powierzchnią i czekają, żeby jakieś nieszczęsne stworzenie zabłąkało się na ich teren; lód wydrążają tak, żeby nad nimi pozostała tylko cienka warstwa. – Rycerz wymierzył kopniaka w gumowate ciało. – Uderzają do góry, przerywają cienką taflę i wciągają swoją ofiarę w dół, do jamy. Potem wydzielają wodę tędy – pokazał na organ wystający w pobliżu zadu stworzenia i odbudowują skorupę lodową nad sobą.

Ethan z niesmakiem przyglądał się zębataemu lodowijowi i masował lewą nogę w miejscu, gdzie bestia ją trzymała.

– Potrafię zrozumieć, jak one za pomocą tych zębów radzą sobie z wycinaniem drogi przez lód.

– I jak porządnie to robią – powiedział pełen podziwu September. Stał w łukowato wygiętym zagłębieniu, które było domem stworzenia. Głową ledwie że sięgał powierzchni.

– Czy są jakieś inne stworzenia, które także żyją pod powierzchnią lodu? – Williams przyglądał się nieżywemu lodowijowi przejawiając tyleż zainteresowania, co wcześniej Ethan obrzydzenia.

– Wiele i różnych, mój przyjacielu – rozprawiał Eer-Meesach. – Rzadko widzimy je w okolicach Wannome, za to częściej można je spotkać po drugiej stronie wyspy Sofold, gdzie rosną pola pika-piny. Z zainteresowaniem dowiaduję się, że świetnie im się wiedzie także tutaj, pośród pól pika-pedanu.

– Czy możemy zabrać go ze sobą na pokład? – Williams pełen był nadziei.

– Ależ oczywiście, nawet musimy – powiedział trański czarodziej.

Ethan nie odezwał się. W pewnej mierze satysfakcję przyniosła mu obserwacja, że nie jest osamotniony w swoim pełnym obrzydzenia nastawieniu do tego stworzenia. Uczni mężowie mieli wiele trudności, żeby nakłonić dwóch marynarzy do zabrania gumowatego ciała na pokład. Tymczasem September ukończył badanie domu kossiefa. Ethan pomógł mu wyjść, a potem serdecznie

podziękował.

– Lepiej bym się czuł przyjmując twoje podziękowania, chłopcze, gdyby nie to, że tak niewiele brakowało. Chybiłem za pierwszym strzałem. Lód jest tu dosyć przejrzysty, ale widziałem tam w dole tylko niewyraźny zarys kształtu i zapomniałem zrobić poprawkę na dyfrakcję. – Rzucił za siebie spojrzenie na groźną dziurę. – Wracajmy na pokład... i odtąd patrzmy pod nogi...

* * *

Cztery dni minęły, zanim jak trzeba naprawili olbrzymią płożę. Musieli robić to na wyścigi z pościganym pika-pedanem, który za kliprem odrósł już na wysokość sześciu czy siedmiu metrów i uparcie naciskał na dno tratwy.

Williams przechadzał się niespokojnie, usiłując organizować botaniczne i zoologiczne ekspedycje, żeby przeszukać ten jednorodny las, ale nawet Eer-Meesach miał takie poczucie zagrożenia, że złożył veto przeciw tym propozycjom. Nikt nie potrafił powiedzieć, jakie niebezpieczeństwo może czaić się w takiej gęstwinie, a znane już potwory, takie jak kossief, wystarczały w zupełności, żeby przezornego człowieka zatrzymać na pokładzie jego statku. Po co mieliby szukać sobie nowych, podniecających sposobów na umieranie.

Na szczęście w najbliższej okolicy wciąż jeszcze było tyle zwierząt, że rozczarowanemu nauczycielowi nie brakowało zajęcia. Zachowywał się zupełnie jak dziecko, które dostało nową zabawkę; przyglądał się zafascynowany jak inny kossief, który żył w pobliżu tego pierwszego, złapał jakiegoś sześcionogiego roślinożercę, pasącego się wśród wyschniętych łądyg za statkiem. Roślinożerca przewracał ze zgrozą swoimi bezbarwnymi, podobnymi do oczu kraba ślepiami i bezskutecznie kłapał tępyimi zębami przeżuwacza na twarde jak rzemień witki ciągnące go w dół. Ethan przyglądał się temu również, chociaż z fascynacją całkiem innego rodzaju. Krzyk roślinożercy był obcy, ale nie był przez to mniej żałosny. Miał okazję zobaczyć, jaki jego samego czekałby los, gdyby go nie wyratował September. Jak tylko kossief wyssał ze swojej nieszczęsnej ofiary dość krwi, żeby ją unieruchomić, zaczął wytwarzać ciepło. Lód topił się pod nimi, a zamarzał ponownie nad nimi, kształtowała go i wypełniała woda z tej odbytowej dyszy, którą im wcześniej pokazywał Hunnar. Kiedy kossiefa chroniła już bezpiecznie przed padlinożercami i nie ryjącymi drapieżnikami półtorametrowa warstwa twardego jak skała lodu, zaczął się raczyć posiłkiem. Ethana przeszedł dreszcz. Nie była to przyjemna śmierć. Złożył sobie obietnicę, że nigdy nie będzie sam się zapuszczał tam, gdzie rośnie któraś odmiana tej trójgraniastej, zielonej rośliny.

Ostatniego dnia marynarze zaczęli się spieszyć z naprawą na wieść, że jeden z obserwatorów usłyszał daleki, donośny krzyk drooma. Na szczęście potwór nie przybliżył się na tyle, żeby go można było zobaczyć, a wiatr wiał przeważnie od tamtej właśnie strony, skąd usłyszeli zwierzę.

W pobliżu po łądygach dorosłego pika-pedanu wędrowały w górę i w dół małe, czworonożne quny wielkości dłoni Ethana i wygryzały na wylot korytarze w grubych pniach, jak myszy wpuszczone do jakiegoś ogromnego sera. Zaczynały od góry łądygi i wyjadały sobie drogę na dół, niczego po drodze nie marnując. Wybierały uszkodzone albo chore rośliny i w ten sposób stawały się dobroczyńcami tego lasu.

Ulubieńcem Ethana był jednak zwierzak, którego Eer-Meesach nazwał meworlfem. Ciało miało ukształtowane jak serdelek, zwisały z niego cienkie, wieloprzegubowe, dwumetrowej długości nogi. Wzdłuż całego cylindrycznego grzbietu biegło coś w rodzaju worka. Kiedy stworzenie worek ten nadmuchało, puchł on do rozmiarów balonu. Meworlf lawirował w przycichłym pomiędzy łądygami pika-pedanu wietrze, unosił się w powietrzu od jednej rośliny do drugiej, zakotwiczał przy wybranym pniu czterema ze swoich dziesięciu przypominających druty kończyn, a pozostałymi sześcioma wrywał kawałki rośliny i wsuwał je do swojej małej mordki. Kiedy skończył się pożywiać, podskakiwał leniwie na wietrze albo puszczał pień i pozwalał, żeby powiewy niosły go po lesie, odbijając jak piłkę od jednej łądygi do drugiej.

Chociaż fauna w pika-pedanowym lesie tak fascynowała Williamsa, dla Ethana wkrótce jej urok zaczął blednąć, a kiedy nadszedł czwarty dzień, z równą gotowością jak każdy prosty marynarz czekał, żeby wreszcie ruszyli. Kiedy jednak *Slanderscree* stanęła pod pełnymi żaglami, sprawdziły się obawy najbardziej doświadczonych lodowych żeglarzy.

– Tkwimy w miejscu – zauważył zaniepokojony Ethan. – Co się dzieje?

– Wiele się tym martwiłem, przyjacielu Ethanie. – Mina kapitana Ta-hodinga była jeszcze bardziej ponura niż zwykle. – Ale nie mieliśmy wyboru. Płozą musiała zostać naprawiona.

– Oczywiście, że tak. – Ethan pokazał na łagodnie falujące najniższe żagle, na napięte od porywistego wiatru żagle powyżej, nad sklepieniem lasu. – Chcesz powiedzieć, że nie starcza nam mocy, żeby ruszyć?

Zrozumiał, na czym polega problem. Kiedy *Slanderscree* po ruszała się z odpowiednią prędkością, miała wystarczająco duży rozpęd, by staranować miękki pika-pedan. Ale kiedy się zatrzymała, a te grube zielone pseudopodia praktycznie porosły jej poręcze, nie mogła już ruszyć z miejsca.

– No i co możemy z tym zrobić?

– Nie możemy się cofnąć – powiedział Ta-hoding poważnie, pokazując za rufę. – Pika-pedan wyrósł zbyt wysoki i zbyt gęsty za nami w czasie naszego postoju.

– A może wysłalibyśmy do przodu kilka osób z załogi z siekierami i mieczami, żeby nam oczyścili drogę?

– Być może właśnie to będziemy musieli zrobić, przyjacielu Ethanie. Ale żałuję, że nie potrafię wymyślić innego sposobu. Zanim nasi ludzie wytną przed nami wystarczająco szeroką dla statku ścieżkę na jaką taką odległość, te pnie, które pościnają na początku, zdążą im za plecami odrosnąć. Jednakże – tu wykonał trański gest oznaczający brak nadziei pomieszany z rezygnacją – wyznaję, że nie widzę żadnego innego wyjścia. – I począł wydać Hunnarowi instrukcje.

Wszyscy ci, którzy nie byli bezpośrednio zajęci obsługą klipra, zostali wysłani za burtę i wkrótce jak wściekli rąbali las przed statkiem siekierami, kuchennymi tasakami i wszystkim, czym tylko można było ciąć. Olbrzymie łądygi waliły się z łatwością, tryskając wodą i sokami na grupę

rozgorączkowanych drwali, którzy dobrze wiedzieli, że jest to wyścig z czasem; nie mogą pozwolić odrosnąć pniom, które zostawili za sobą.

Nawet Ethan potrafił za pomocą miecza ściąć dziesięciometrową kolumnę pika-pedanu w jakieś dziesięć minut, chociaż od ciągłego wymachiwania omdlewały mu mięśnie, nie przyzwyczajone do takiej pracy. Żeby przygotować odpowiednio obszerną drogę dla statku rozmiarów *Slanderscree* trzeba było zwalić olbrzymią ilość pika-pedanów. Nie mogli sobie pozwalać na przerwy. Kiedy pika-pedany, które zostały za nimi, wyrosną na wysokość podpokładzia, to jest na cztery metry w górę, będą musieli się wycofać i próbować w miarę możliwości wyrwać się na wolność. Jak się okazało, musieli skończyć wcześniej, niż mieli zamiar.

Wszyscy, tak na pokładzie, jak w grupie roboczej skierowali wzrok na kosz obserwacyjny na głównym maszcie, skąd wrzeszczał zamknięty w koszu obserwator i gorączkowo pokazywał coś na wschodzie.

– Stavanzer!

– Jak daleko? – ryknął Ta-hoding, przykładając grube łapy do warg.

– Dwadzieścia, może trzydzieści kijatów – doszła odpowiedź obserwatora.

– Kieruje się w tę stronę?

– Na tę odległość trudno to ocenić.

– Ile?

– I to trudno powiedzieć. Na pewno jeden. – Chwila przerwy, a potem: – Ciągle tylko jeden.

Nikt nie potrzebował wydawać rozkazu, żeby porzucili porębę i wrócili na statek. Na wieść o tym, że w pobliżu znajduje się stavanzer, o wycofaniu się na statek decydował instynkt, a nie debata. Wszyscy poszifowali lub popędzili przez labirynt powalonych łodyg pika-pedanu, nikt nie musiał im tego nakazywać.

– Co teraz, kapitanie? – zapytał Ethan Ta-hodinga, kiedy bez tchu dostał się już na pokład sterowy.

Eer-Meesach, który stał przy poręczy i wbijał w dal swoje starcze oczy, rzekł:

– Dla większości ma to posmak zbliżającej się śmierci, przyjacielu Ethanie, ale dla nas może oznaczać również ocalenie.

– Jakże to możliwe?

– Zastanów się, gdyby tak grzmotożerca przeszedł w pobliżu nas, Ethanie. Wiesz, jak stavanzer podróżuje, odpychając się od lodu. Po drodze wygładza wszystko na płask, jak kowal wyklepujący w kuźni kawałek metalu.

– Rozumiem. Moglibyśmy wydostać się stąd tą drogą, którą on przyjdzie?

– Więcej jeszcze, przyjacielu Ethanie. – Ta-hoding, który usłyszał słowa czarodzieja wyjaśnił problem szerzej. – Kiedy rozwiniemy wystarczającą szybkość sunąc tropem grzmotożercy, będziemy mogli skrócić i podążyć w dowolnie wybranym kierunku.

– Sprawą krytyczną jest rozwinięcie wystarczającej szybkości – zakończył Eer-Meesach.

– Energia kinetyczna – zamruczał Ethan, a potem musiał podjąć próby wyjaśnienia tego obco brzmiącego terangielskiego terminu po trańsku.

– Nie będzie to łatwe. – Ta-hoding mówił tyleż sam do siebie, co do swoich słuchaczy. – Nawet gdyby udało nam się szczęśliwie wjechać na jego trasę, trzeba liczyć się z innymi zagrożeniami.

Ethan przezornie nie domagał się wyjaśnień.

– Musimy podjąć decyzję. To fakt, że mamy wybór. – Wskazał na dziób, a jego dan przez moment łopotał na wietrze. – Wycięliśmy ścieżkę na kijak czy dwa przed dziobem. Możemy więc zmienić ustawienie żagli i staranować ścianę lasu. Ale jeżeli to zawiedzie, nie będzie już wtedy miejsca na jakiegokolwiek manewry i raczej nie zdołamy się cofnąć, żeby jeszcze raz nabrać rozpędu. Wolałbym również, żebyśmy zostawili to sobie na wypadek, gdyby grzmotożerca skręcił i runął na nas.

– Wydaje mi się dosyć oczywiste, co zrobimy – powiedział jakiś nowy głos. September wspiął się na pokład sterowy. – Zaczekamy, a potem spróbujemy się prześlizgnąć za nim.

Wzrok Ta-hodinga przesunął się po małej grupce tych, którzy mieli zadecydować. Cała jego zwyczajna wesołość zniknęła.

– A więc ustalone. – I podszedł do poręczy, żeby wydać polecenia.

Ukończono przygotowania i nastąpiło dwadzieścia minut oczekiwania. Wszyscy marynarze znajdowali się na swoich stanowiskach, rycerze i giermkowie stali w pogotowiu, żeby pomóc, kiedy i gdzie będzie trzeba. Quny poznikały w swoich dziurach, ostatni meworlf objął się jak rozregulowana zabawka mechaniczna o łądygi, usiłując wydostać się spomiędzy pni.

I oto ponad wielogłosowy śpiew wiatru wzniosł się jakiś głębszy dźwięk, systematycznie, sapliwe mruczenie, przypominające napęd KK przy ślizgu w prędkość nadświatlną. Ethan już raz wcześniej spotkał się ze stavanzerem i wiedział, że przyczyną tego hałasu jest jego sposób poruszania się; wydmuchiwał on powietrze przez parę skierowanych w dół dysz osadzonych w tylnej części grzbietu, ale mógł też pełznąć powoli po lodzie na pokrytym specjalną wydzieliną brzuchu, podciągając się za pomocą dwóch kłów wystających do dołu z górnej szczęki – chociaż z trudem tylko można było ten gąbczasty twór nazwać szczęką.

Odgłos grzmotu robił się coraz bardziej niski i głęboki. *Slanderscree* dygotała miarowo, kiedy lód pod nią trząsł się w rytm oddechu tego monstrualnego stwora. Ethana ogarnęła nieoczekiwana chęć, żeby wspiąć się na olinowanie, wydostać ponad falujące czuby pika-pedanu i cokolwiek zobaczyć, ale został, gdzie był, nie wchodząc w drogę żeglarzom.

Tymczasem marynarze na najwyższych rejach zaczęli coś pomrukiwać, wzrok skupili na czymś, czego z dołu nie było widać. Towarzysze uciszyli ich. Ethan popatrzył do przodu.

Nagle na drugim końcu tej prymitywnej drogi, którą z takim mazołem wyrąbywali z rdzawego lasu, w pole widzenia wsunęła się gigantyczna bryła, wznosząca się może ze dwadzieścia metrów nad lód. Czarna otchłań pochłaniała powalony pika-pedan powoli ale miarowo, a zrogowaciała dolna wargoszczęka ścinała bogate w składniki odżywcze łodygi równo z lodem.

Raz górna szczęka uniosła się w górę i olbrzymie kły opadły na lód z takim impetem, że odległa o całe kilometry *Slanderscree* niepewnie się zakołysała. Lód, korzenie, bogate w białko bulwy, wszystko to zostało na oślep wessane do bezdennego wnętrza, gdzie rośliny miały zostać przetworzone na energię i komórki, a lód miał ulec stopnieniu i wydaleni. Po chwili wżerający się obojętnie w ścianę świeżego pika-pedanu masywny łeb zniknął im z oczu. Jak starodawny pociąg w zaspach śnieżnych, ciemnoszara masa przesuwiała się w poprzek ich drogi. Pasożyty i inne narośle całkiem szacownej wielkości porastały jakby fantastycznym listowiem boki i grzbiet tego Lewiatana, tworząc prywatną dżunglę, której nikt nie ośmieliłby się badać. Zmienne natężenie wycia, wywoływanego wdychaniem i wydalaniem powietrza, było teraz ogłuszające.

Na szczęście grzmotożerca miały słaby wzrok i źle słyszały. Nie były im potrzebne te zmysły, ponieważ niczego nie musiały się wystrzeżać. Bestia przesunęła się więc przed nimi, nie zwracając najmniejszej uwagi na *Slanderscree* i wciąż niespokojnie milczącą załogę, a tępy koniuszek jej ogona zniknął w poszukiwaniu reszty ciała i łba. Grzmotożerca zniknął, ale wciąż jeszcze słyszeli, jak je swój nie kończący się posiłek, kierując się wytrwale na zachód.

Trudno było zdobyć się na obiektywizm w obliczu takiej różnorodności natury na tak druzgocąco wielką skalę, ale Ethan oszacował jego długość na coś około siedemdziesięciu do osiemdziesięciu metrów. Dojrzała sztuka, chociaż nie jakoś wyjątkowo wielka. Na własne oczy widział większą. Wątpił, żeby ten stawaner mógł ważyć więcej jak jakieś dwieście pięćdziesiąt ton.

Dla bezpieczeństwa powinni byli odczekać jeszcze z pół godziny, zanim ruszą, ale marynarze zaczęli się denerwować. Obawa, że grzmotożerca zmieni swoją trasę (powszechnie było wiadomo, jak nieprzewidywalne jest ich zachowanie) i zaatakuje, mroziła im krew w żyłach. Na koniec nawet cierpliwy Ta-hoding nie mógł znieść dłuższego oczekiwania.

– Żagle staw do wiatru!

Kotwice lodowe wciągnięto już dawno. Ociężale, ale z dużo większą gracją niż grzmotożerca, *Slanderscree* zaczęła posuwać się do przodu. Wiązania statku pojękiwały, kiedy pięć duramiksowych płóz rozłamywało niewielkie bryły śniegu i lodu, które się na nich osadziły albo zostały nawiane przez wiatr.

Kiedy olbrzymi statek zaczął nabierać szybkości, zgrzyt płóz przeszedł w gładki odgłos tarcia. Dwa, cztery, dziesięć, piętnaście kilometrów na godzinę. Dwadzieścia. Trzydzieści i z miejsca gdzie duramiksowe płozy rozcinały lód zaczęło nieść się swojskie, syczące brzęczenie. Zbliżali się do końca polany, jaką załoga wydarła lasowi.

– Cała na lewo, wybierać żagle!

Obydwaj sternicy napięli mięśnie przy masywnym, drewnianym kole. Z wysiłkiem mozolili się nad pracą, z którą hydraulika uporałaby się bez trudu. Kiedy piąta płoza, płoza sterująca, zaczęła się powoli obracać, dał się słyszeć szarpiący nerwy chrzęst. Marynarze w omasztowaniu borykali się z regulacją żagli i wybieraniem linek.

I spokojnie, acz nieoczekiwanie ostro, *Slanderscree* położyła się na lewą burłę.

Obydwaj sternicy walczyli zawzięcie, żeby koło się nie ruszyło, kiedy ich stopy odrywały się od pokładu. September rzucił się całym ciężarem na lewą stronę koła, a Ta-hoding dodał swój ciężar. We czterech borykali się ze sterem, płoza utrzymywała się w pozycji ukośnej, statek nadal zakręcał, a jego szybkość rosła. Wreszcie Ta-hoding i September mogli już puścić koło. Stopy sternika po prawej stronie znowu dotknęły drewna. Mknęli teraz szeroką aleją czystego lodu, wyciętą przez stawanera.

Na rozkaz obaj sternicy puścili koło, by statek sam ustabilizował się w fordewindzie. Zachodni wiatr wiał im teraz wprost w plecy, nie musieli się więc martwić, że grozi im gwałtowne wypadnięcie z trasy. Koło obróciło się samo na pozycję ster zero, wirując przy tym z taką szybkością, że człowiekowi mogłoby roztrzaskać głowę. Sternicy zajęli znowu swoje miejsca, sprawdzili koło i przekonali się, że swobodnie można nim teraz manewrować.

Pędzili przez to grzędawisko z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Miazga pika-pedanu plamiła lód pod płozami, a nie naruszona roślinność po obu stronach statku zmieniała się w zieloną, rozmazaną plamę. Mieli za sobą wiatr, przytłumiony przez otaczający ich las i wydawało się, że raczej mkną gdzieś pod powierzchnią, zatopieni w szmaragdowej ciszy. Ta cisza właśnie pozwoliła odprężającej się załodze usłyszeć pełen grozy okrzyk obserwatora z przedniego masztu.

Ethan patrzył do przodu, nie zdając sobie sprawy z upływu cennych sekund. W ich kierunku sunęła jedna, nie, dwie gigantyczne, czarne dziury, przypominające wejścia do jaskiń, kompletnie blokując trasę przejazdu. Kiedy pędząc zbliżyli się do nich, tajemniczy szept zmienił się w przerażające mamrotanie, potem w tornado ryków, od których aż mu zęby w ustach dzwoniły. Ta-hoding rozpaczliwie wykrzykiwał polecenia do oficerów i ludzi w olinowaniu, usiłując w tym samym czasie kierować sternikami.

I znowu płoza sterowa skręciła, groza przydała tranom sił, jakich ich umysły i ciała nigdy nie posiadały. I znowu płoza wrzynała się i wgryzała w lód. *Slanderscree* skręciła na południe, uderzyła gwałtownie w las, aż na pokład posypał się deszcz rozbitych łodyg i popłynęły strugi soków. Ale teraz statek już poruszał się tak szybko, że las nie stanowił właściwie żadnej przeszkody. Pnie pika-pedanu znikły ze wszystkich stron, kiedy taranowała je masywna bryła klipra lodowego.

Zjechali z zajętej trasy.

I w tej chwili nad wierzchołkami lasu pokazało się kilka szarych kształtów, jak wyspy nad groszkowo zielonym morzem.

– Skręcać! – Ethan sam nie wiedział, że wali w poręcz i wrzeszczy aż do bólu gardła. – Skręcać!

Padaly rozkazy, ale doświadczeni marynarze znali ryzyko, jakie muszą podjąć i wiedzieli, co zrobić, żeby tego dokonać. Wszyscy na pokładzie i w olinowaniu popędzili jak najszybciej mogli na prawą burtę statku.

Płozą sterowa skręcona była tak silnie, aż sworznie trzeszczały, żagle zostały prawidłowo wybrane, a cała ruchoma masa przesunięta na jedną burtę; lewe płozy *Slanderscree* nieskończenie powoli oderwały się od powierzchni lodowego oceanu. Kilka centymetrów, pół metra, dwa metry. Kilku marynarzy mozolnie przedostało się na lewą stronę pokładu. Statek wytrzymał, kładąc się niebezpiecznie głęboko na prawą burtę. Duramiks wytrzyma, ale co z żelaznymi i stalowymi bolcami i drewnianymi sponami, mocującymi płozy do statku? Każdy marynarz w olinowaniu trzymał się ze wszystkich sił. Wiedzieli, że jeżeli któryś wypadnie za burtę, nie może spodziewać się żadnej pomocy.

Ethan popatrzył w kierunku lewej burty statku i zobaczył drewno i niebo. Nad poręcz groźnie wzniosła się olbrzymich rozmiarów gardziel, jakby ziała tam próżnia kosmiczna. Rozległ się dźwięk bliskiego grzmotu, szarpnęło nim ssanie, potem zniknęło. Dwa kły, każdy grubszy od głównego masztu *Slanderscree*, odbiły słońce i rzuciły mu blask w maskę, na chwilę oślepiając go.

– Na Sługi Złego, połozы się na bok! – zawył ktoś.

Kły opadły w dół, czternaście metrów litej kości słoniowej, całe tony piękna w paszczy demona. Ale w tym momencie rozpędzony statek już go minął. Ethan przechylił się przez poręcz, żeby popatrzeć w tył, zobaczył, jak kły uderzają w lód, jak rozpryskują się dziesięciokilowe drzazgi. Maleńkie oko osadzone za tym monstrualnym pyskiem tępo spojrzało na niego dzikim wzrokiem i Ethan miał wrażenie, że może przez nie zajrzeć do śmiesznie małego mózgu.

Niejasno uświadamiał sobie, że oficerowie wykrzykują jakieś rozkazy. Ustawiono znowu równo reje, wybrano żagle. Powoli statek wrócił na równy kil. Kiedy lewe płozy grzmotnęły ponownie o lód, rozległo się matowe stęknienie, jakby beknięcie jakiegoś tytana. Jakaś drewniana spona gdzieś w dole głośno zatrzeszczała, ale obydwie płozy wytrzymały. Wszyscy spodziewali się tego wstrząsu, dlatego utrzymali się podczas gwałtownego uderzenia. Nikogo nie wyrzuciło za burtę.

– O włos – mrucał Hunnar wchodząc na pokład sterowy.

Ethan dostrzegł, że rycerz miarowo dyszy. Co do niego samego to złany był potem pomimo kompensatorów w kombinezonie. Istnieją granice szybkości, z jaką może się przystosowywać materiał termotropowy. Ostrożnie ruszył w kierunku głównej kabiny. Jeżeli znajdzie się w kambuzie coś, co się nie rozbiło i co da się odgrzać, zje to z wielkim smakiem. W drzwiach napotkał Eer-Meesacha. Weszli do środka razem.

– Ten, którego spotkaliśmy na początku, to był przewodnik stada, a nie samotnik. – Przynajmniej tym razem czarodziej nie wydawał się podniecony tym interesującym spotkaniem. – W stadzie stawanery posuwają się i jedzą w linii prostej. Pojechaliśmy po tropie ich przewodnika, wpadliśmy prosto na szereg i ledwo że ominęliśmy tylną straż.

Ethan do przesady wyraźnie widział oczami wyobraźni tę ostatnią, bezdenną gardziel, w którą niemalże wpadli. To pewnie tylko jego rozgorączkowana fantazja, zniekształcona w pamięci przez lęk i grozę, ale ten ostatni stawanzer wyglądał na olbrzymia, który mógłby połknąć cały statek, a głównego masztu używać jako wykałaczki.

Wprawdzie niewiele w ostatnich godzinach pracował, ale jego ciało spaliło mnóstwo kalorii. A w każdym razie w jedzeniu było coś normalnego i pocieszającego.

Na dłuższy czas miał już dość niezwykłych wydarzeń.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy ponownie obserwatorzy zaczęli krzyczeć, ich głosy były bardziej normalne i dało się w nich słyszeć takie podniecenie, jakby ich coś ucieszyło. W kilka minut potem, bez uprzedzenia, zielony las zniknął i zaczął się kurczyć za nimi. Wychynęli z pika-pedanu i jechali znowu przez pika-pinę. Po krótkim czasie Ethan patrząc w tył nie potrafił już dostrzec szczeliny, z której się wynurzyli. Jeszcze trzy dni i zostawili za sobą puchate motyle i zielony meszek na lodzie i znowu szifowali po otwartym oceanie. Ta-hodingowi kamień spadł z serca z niemal słyszalnym łoskotem, a załoga przyjęła otwarty lód z niemal bolesną ulgą. Kiedy po jakimś czasie wyprzedzali niewielką tratwę handlową, na której pojedynczym pokładzie wysoko piętrzyły się poprzywiązywane towary, załoga klipra zaczęła tak wiwatować, że postronny obserwator mógł dojść do wniosku, iż dojechali do trańskiego nieba. Nie było to wprawdzie niebo, ale z pewnością nawet najlichszemu członkowi załogi nie marzyło się nic więcej niż ten normalny świat otwartych lodów i innych statków.

Załoga tratwy handlowej stłoczyła się przy poręczy, żeby gapić się z nabożną czcią na przeolbrzymi kliper lodowy. Wyraźnie było widać, że nigdy o nim nie słyszeli, co tylko świadczyło, jak daleko od Asurdunu *Slanderscree* zajęchała. Obie załogi zdążyły zaledwie wymienić ze sobą kilka krótkich okrzyków i pytań i już rozdzielił ich niecierpliwy wiatr.

– Dokąd oni się udają? – zapytał Ethan Hunnara.

– Nie do Poyolavomaaru – powiedział rozczarowany Hunnar. – Postaramy się dać sobie więcej czasu na zadawanie pytań, kiedy będziemy wyprzedzali następny statek.

Okazało się, że następny statek był też statkiem handlowym, dwa razy większym od wcześniej napotkanej tratwy i miał niemalże trzydzieści metrów długości. Był nawet dumnym posiadaczem kabiny centralnej. Jednak zdumienie jego załogi na widok *Slanderscree* było nie mniejsze niż załogi tej pierwszej tratwy. Chociaż ten szedł kursem zbliżonym do kursu klipra, nie udawał się do Poyolavomaaru, ale jego załoga ochoczo potwierdziła, że kliper jedzie we właściwym kierunku. Potem spotykali jeszcze inne statki. Nasilenie ruchu handlowego nie było tutaj duże, ale równomierne. Wkrótce pojawiły się nieliczne skalne wysepki, ale tylko im mignęły. Na paru zdążyli dostrzec oznaki zamieszkania. W końcu wysepki stały się tak liczne, że Ta-hoding rozkazał zwinąć część żagli.

Jechali teraz przez obszar usiany małymi wysepkami. Dym unosił się spiralą z kominów na stromych dachach domów, które czepiały się jak brązowe pąkle miniaturowych portów lub rozpełzały jak mrówki po usianych piargami stokach. Schludnie rozplanowane i starannie utrzymane poletka pika-piny kulily się po zawietrznej stronie chroniących je wysepek. Zaskoczeni tranowie podnosili wzrok, kiedy *Slanderscree* przelatywała obok nich i pewnie półgłosem rozprawiali o

cudownym statku, który może widzieli, a może i nie.

Po dwóch tygodniach lawirowania pomiędzy falistymi archipelagami i groźnymi, niskimi wysepkami, porozrzucanymi po lodzie jak rafy, dojechali do Poyolavomaaru.

Na lodzie spiętrzyły się ostro zakończone urwiska i iglice; wznosiły się na imponującą wysokość; na Tran-ky-ky niewiele wyższych Ethan widział. Kilka z nich wzbijało się w niebieskie, czyste niebo na wysokość trzech tysięcy metrów. Ostre, aroganckie krawędzie skał były dowodem, że to region geologicznie młody; nie zdołałyby długo pysznić się swoją wspaniałością wobec nieustających ataków powodującego erozję wiatru.

Wyniosłe wyspy, tworzące niemalże regularny krąg, o którym opowiadał Ta-hodingowi jego przyjaciel-kapitan, prawie dotykały boków *Slanderscree*; wyglądały jak gigantyczni tancerze zastygli na zawsze o jedno bicie serca ziemi od siebie. Opływający te skalne iglice wiatr zachowywał się dziwnie, jak gdyby świadom niezwykłej scenerii, w której przyszło mu się bawić. Wyglądało na to, że Ta-hoding ma przed sobą trudne zadanie, dopóki nie zorientował się, że może po prostu pojechać za jedną z licznych tratw, które ze wszystkich stron zjeżdżały się do tego naszyjnika wysp, i za jej śladem wjechać do środka.

W miejscach, gdzie urwiska pogrążały się w lodzie, ich stromiznę łagodziły zbocza, jak gdyby dodane po namyśle. Tłoczyły się na nich domy i inne budowle, łącznie z wałami obronnymi. Te wyspy, które widzieli, i prawdopodobnie wszystkie inne też, jeżeli gadatliwy kupiec w Asurdunie miał rację, połączone były wysokimi, kamiennymi, wbudowanymi w lód murami. W każdym z nich znajdowała się szeroka brama, pozwalająca wjechać do środka i wyjechać. Na szczęście tej, do której się zbliżali, nie przykrywał żaden łuk, bo ucierpiałby i maszt, i mur. A i tak ledwo starczyło miejsca, żeby się kliper precyzyjnie. Straże na bocznych wieżach wytrzeszczały na niego oczy i wykrzykiwały rozkazy.

Wjechali w krąg niebotycznych wysp. W pobliżu środka tej zamrożonej enklawy leżała siódma wyspa, równie niepodobna do reszty, jak pozostałe były niepodobne do Asurdunu czy Sofoldu. Była nieomal płaska, jej szczyt w najwyższym punkcie wznosił się ledwie na pięćdziesiąt metrów. Wszędzie dookoła od jej brzegów wysuwały się daleko w lód pomosty doków. Przy okalających ją wyspach Ethan również zauważył doki; sądząc z olbrzymiej ilości przycumowanych tutaj tratw, było to chyba centrum handlowe. Najwyższy punkt na wyspie wieńczył trójpoziomowy zamek, równie imponujący jak zamek Wannome. Pasma unoszącego się z kominów dymu dryfowały na zachód.

– Cóż za wspaniałe miejsce – powiedział półgłosem Ethan. Szukał lepszych słów, ale umykały mu. Niekiedy żałował, że nie mówi językiem poety tylko kramarza.

– A tak, mój chłopcze. Trudno byłoby sobie wyobrazić lepsze miejsce na port. Wystarczy, że będą bronić tych łączących wyspy murów. Żaden wróg nie podoła wspinaczce przez te góry.

Williams bacznie przyglądał się gęsto zalesionym zboczom.

– Zasobni są też w drewno. I do tego nie mają problemów z transportem. Wystarczy, że zetną drzewo, a ono samo ześlizgnie się na lód.

– Zaprawdę kapitan Migan-Gee nie oszukał nas. – Ta-hoding już rozglądał się za wolnym miejscem, do którego mógłby przybić. – To zamożne, potężne państwo.

– Dobre miejsce na rozpoczęcie naszej konfederacji – dodał Ethan.

Hunnar parsknął sceptycznie i sztywno odszedł od nich. Żywił bardzo wątpliwą nadzieję, żeby udało się zrealizować ten dziwaczny pomysł ludzi, że tranowie mogą być zgodni co do czegoś, poza swoją dziedziczną obawą, podejrzliwością i nienawiścią wobec obcych. Nagle Williams klasnął w ręce, zaskoczony jak mały chłopiec, który właśnie znalazł na ulicy monetę. Ethan zobaczył tylko jego ruch, bo kombinezon ochronny stłumił odgłos klaśnięcia, a to, co nie zostało zduszone przez materiał, porwał nie dając niczego usłyszeć wiatr.

– Widzisz coś ciekawego Millikenie?

– To nie to, nie to, Ethanie. Właśnie zdałem sobie sprawę, czym jest to miejsce! – To dość niejasne stwierdzenie ponownie rozbudziło zainteresowanie Hunnara. – Poyolavomaar to kaldera.

– Co? – Hunnar naturalnie nie znał tego terangielskiego terminu, ale nie znał go i Ethan.

Małutki nauczyciel usiłował tłumaczyć.

– Kiedyś, w przeszłości, Sir Hunnarze, te szczyty, które widzimy, wznosiły się na jeszcze większą wysokość, a ten kolisty port, po którym jedziemy, był litą skałą, wysoką na wiele saczów. To jest wulkan, taki jak ta dymiąca góra, którą znałeś pod nazwą Miejsca-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie. I podobnie jak tamten wulkan, ten też rozerwała katastrofalna eksplozja i pozostały tylko fragmenty jego zewnętrznych ścian. W środku, w zagłębieniu pozostałym po poprzedniej górze, zaczęła wyrastać góra popiołów, ale dopiero wtedy, kiedy ustał wypływ lawy, stopionej skały. Miękkie popioły szybko uległy erozji i na środku została ta wyspa, w kierunku której teraz jedziemy. Pierwotnie wulkan miał wysokość prawdopodobnie ponad dwa razy większą niż otaczające go szczyty wysp.

Poczuł się trochę niewyraźnie, kiedy zdali sobie sprawę, że podróżują przez gardziel widmowej góry i że gdzieś daleko w dole, może nawet w tej chwili, narastają niewyobrażalne ciśnienia, gromadząc tyle energii, że wystarczy jej na niespodziewany wybuch. Ethan ucieszył się, kiedy zrównała się z nimi niewielka, opływowa tratwa lodowa. Pozwoliło mu się to skupić na czymś innym.

Jeden z oficerów *Slanderscree* wymieniał uwagi z obsługą stateczku, a potem złożył raport Ta-hodingowi.

– Pilot portowy – powiedział kapitan z wyraźnym podziwem. – To doświadczeni i bywali ludzie, chociaż pomost, który nam wyznaczili, ma ledwie połowę tej długości, co nasz kliper. Ale nie szkodzi. To problem, z którym się pewnie będziemy spotykać wszędzie, gdzie pojedziemy.

Zwinięto wszystkie żagle, wielki kliper lodowy sunął za tratwą pilota w kierunku północno-wschodniego skraju centralnej wyspy. Inne statki ochoczo ustępowały im z drogi, a ich załogi

śloczyły się przy poręczach i gapiły na kolosa szifującego obok nich. I znowu zarzucono kotwice i sprawnie powtórzono procedurę dokowania zastosowaną w Asurdunie. Wiatr odepchnął *Slanderscree* lekko na zachód, zanim kotwice ją ostatecznie zatrzymały.

Ethan, September, Williams, Elfa i żołnierz o nazwisku Tersund zebrali się, żeby powitać kapitana portu, który pojawił się po krótkiej chwili. Był niski jak na trana, niemal wzrostu Ethana i miał na sobie dziwny płaszcz we wzory z fioletowych i srebrzystych rombów, przy czym romby miały rozmaite rozmiary. Jak u wszystkich tranów górna część jego ubioru rozcięta była na bokach, żeby mógł swobodnie poruszać danami, i zamocowana srebrną plecionką na ramionach i u góry ud. Pasy z jakiejś materii podobnej do węzowej skóry tworzyły wielkie X na jego piersi. Z roztargnieniem skubał swój lewy łokieć.

– Noszę imię Valsht – powiedział cienkim, piskliwym głosem, w którym jednak słyhać było stanowcze nuty – i zarządzam poyolavomaarskim handlem. Przynoszę wam ciepło i powitanie. – Tu wykonał łapami jakieś zawiłe gesty, których Ethan nie rozpoznał.

Hunnar zajął się przedstawianiem ich i wyjaśnieniami. Kiedy rudobrody rycerz skończył, Valsht zachowywał się tak, jak gdyby chciał się ich co prędzej pozbyć, chociaż przyczyną tego mogła być jego wrodzona nerwowość i zapewne reagował normalnie.

– Ta konfederacja, o której mówicie, i powody jej zawiązania, to nie są sprawy, które powinien rozważać taki prosty sługa jak ja. To sprawa, o której musi zdecydować Tonx Ghin Rakossa, Landgraf Poyolavomaaru, Ten-Który-Sprowadza-Sprzyjające-Wiatry-i-Pociechę-na-Sześć-Szczytów. Nakazano mi bezzwłocznie zaprowadzić was przed jego wspaniałe oblicze.

Chociaż Valsht robił, co mógł, żeby jego krótkie przemówienie brzmiało spontanicznie, zrobiło ono wrażenie wyuczonego na pamięć i w myśli Ethana rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Otrząsnął się z tego. Atmosfera na Tran-ky-ky zaczynała doprowadzać do tego, że nabierał podejrzeń w stosunku do każdego obcego, którego spotkali. Gdyby Hunnar wiedział, jakie myśli lęgną się w głowie Ethana, na pewno by się uśmiechał.

Kapitan portu odrobinę się odprężył, usiłował teraz zajrzeć w każdy kąt klipra.

– Wygląda na to, że macie za sobą długą podróż.

– Nie najkrótszą – przyznał Hunnar.

– Jesteśmy państwem prowadzącym ożywiony handel – rzucił Valsht jakby mimochodem, bez przechwałek. – Statki przybywają do nas z dalekich miejsc, położonych o wiele saczów stąd, żeby handlować i wymieniać swoje towary. Mamy tu – przewrócił jaskrawożółtymi oczami w sposób, w którym Ethan nauczył się rozpoznawać trański odpowiednik porozumiewawczego mrugnięcia – wiele udogodnień dla znużonych podróżnych. I to z ich powodu nasze miasto stało się tak popularnym ośrodkiem handlu, bo czyż handlowanie nie jest nużącym zajęciem, a odpoczynek po ciężkim dniu raczej koniecznością niż luksusem? Jestem pewien, że wasza załoga z radością skorzysta z okazji, żeby obejrzeć nasze miasto i zabawić się w nim.

– Wasza gościnność jest najmiej widziana. Przyjmujemy. – Hunnar odwrócił się i zawołał w górę, w stronę pokładu sterowego. – Kapitanie, otrzymaliśmy zaproszenie! Daj trzem czwartym załogi pozwolenie na odwiedzenie miasta. Zapracowali sobie na to. Pozostała część może pójść, kiedy wróci z przepustki ich zmiana.

Ta-hoding zasygnalizował, że się zgadza. Rozkaz przekazano oficerom, którzy z kolei przekazali go swoim podwładnym. Przeciągłe wołania i okrzyki zachwytu dochodziły do nich z różnych części statku, w miarę jak kolejne grupki marynarzy dowiadywały się, że mają pozwolenie zejścia na ląd i zabawienia się.

Kiedy już podjęto decyzję o wypuszczeniu ludzi na przepustki, grupa powitalna zeszła za kapitanem portu na pomost i udała się do miasta, przy czym tranowie posuwali się po lodowych ścieżkach, a ludzie zrezygnowali z łyżew i szli na piechotę.

Mroźne powietrze wokół nich pełne było okrzyków i obelg, pozdrowień i przekleństw, obietnic i kłamstw. Dochodziły one z kramów, budek, od stolików i osłoniętych bram, od grupek opatulonych tranów i pojedynczych rzemieślników oraz dzieci. Nawet żebracy robili wrażenie dobrze odżywionych. Współistniały tu bogactwo i ubóstwo, a przeciętna twarz nosiła wyraz dobrodusznej chciwości.

– Coś mi tu nie gra – burknął September.

Ethan wiedział już, że pesymizm był pierwszą reakcją olbrzyma na wszystko, z czym nie był obeznany. Nie wspominał jednak o swoich własnych podejrzeniach, jakie powziął wysłuchawszy jak gdyby przygotowanego z góry powitania Valshta, ponieważ już odsunął tę myśl od siebie, jako coś nieistotnego.

– Co cię gryzie, Skuo?

Wdepnął na lodową ścieżkę, pośliznął się i odzyskał równowagę popatrując spode łba na grupę kociąt, które były świadkami jego niezdarności.

– Nie jestem pewien, mój chłopcze. To właśnie najbardziej mnie gryzie.

Nie wdawał się w szczegóły, a Ethan nie podtrzymywał rozmowy, podniecony perspektywą zaproponowania w końcu konfederacji tym, którzy ewentualnie by nią współrzadzili.

Zbocze, po którym się wspinali, w żadnym miejscu nie robiło się strome, a główną drogę do zamku umiejscowiono po zachodniej stronie wyspy, tak że wiatr zawsze wiał w plecy temu, kto szedł do zamku. Tak więc tranowie nie musieli halsować pod górę, ale wiatr sam niósł ich po zboczu, podczas gdy Ethan i September mozolili się, żeby dotrzymać im kroku. Główna, okuta spizem brama z ciemnego drewna przepuściła ich na rozległy dziedziniec. Straże gapily się na ludzi i pokazywały ich palcami, przez cały ten czas nie przestając gawędzić między sobą. Goście minęli zbrojownię, która Ethanowi wydawała się niezwykle wielka, potem weszli do głównego budynku. Długa, lodowa rampa prowadziła na parter, przez korytarz i w końcu do okrągłej, nakrytej kopułą komnaty.

Różniła się ona znacznie od sali tronowej zamku w Wannome, gdzie udzielał posłuchania ojciec Elfy. Trzy fotele o imponujących oparciach zostały ustawione na wysokim podium osadzonym na olbrzymim, rzeźbionym, kamiennym dysku, który uniesiony był o centymetr czy dwa nad podłogę. Ethan doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej może on się obracać. Krzywiznę ścian między oknami wychodzącymi na wyspę i port wypełniały dekoracyjne mozaiki i płaskorzeźby. Przedstawiały one sześć wznoszących się naokoło, uwieńczonych turniami wysp.

Nie było wątpliwości, że tran, który wspierał się o oparcie środkowego fotela i wpatrywał się w nich, to był Rakossa, Pociecha Sześciu Szczytów i tak dalej. W porównaniu z jedynym irańskim władcą, którego Ethan spotkał wcześniej, wydawał się bardzo młody. Na jego szarym futrze nie było śladu siwizny, a pod futrem nie dostrzegł najmniejszych nawet zmarszczek. Domyślał się, że w przeliczeniu na wiek ludzi, Landgraf był młodszy od niego samego.

Jeden z pozostałych dwóch tranów siedzących po obu jego stronach był starszym osobnikiem rodzaju męskiego, a drugi młodą kobietą. Doradcy, pomyślał sobie, może królowa i ojciec. Ponownie przyjrzał się zdobnemu w maszkarony dyskowi, zastanawiając się, jaki mechanizm go napędza. Ze swojej strony cała trójka przyglądała się swoim pięciu gościom z oczywistym zainteresowaniem, chociaż z różnymi wyrazami twarzy.

Valsht zbliżył się do tronu i zatrzymał w odpowiedniej odległości od niego.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, ale mam obowiązki, do których muszę powrócić.

Młody Landgraf krótkim gestem ręki odprawił kapitana portu. Valsht odwrócił się i pospiesznie przeszedł obok gości. Mijając ich obdarzył Ethana krótkim, dziwnie nieodgadnionym spojrzeniem.

Nikt się nie poruszał, ani nie odzywał. W końcu Hunnar dał krok do przodu.

– Mój oddech jest waszym ciepłem, panowie i pani. Przybywamy do was z dalekiego, odległego kraju, zwanego Sofold. Przybywamy, aby powołać do życia coś, co jak mamy nadzieję, stanie się unią, konfederacją wielu wysp-państw, stawiającą sobie za cel zawieranie transakcji na sprawiedliwych i równorzędnych dla stron warunkach, z nowymi, osobliwymi przyjaciółmi spoza tego świata. Tymi przyjaciółmi. – Tu wskazał na Ethana i Septembra. – Tym, którzy okażą zdolność przewidywania, a z pewnością wasza wysokość taką zdolność okaże, i zechcą przyłączyć się do planu zjednoczenia, przynoszą oni bogactwa i wspaniałe nadzieje na przyszłość. Zdaję sobie sprawę, że myśl ta jest...

Bez żadnego uprzedzenia Landgraf podniósł się i wskazał na nich drżącym, szponiastym palcem.

– Kłamcy! Potomkowie gutorrbynów! Przynosicie nadzieję na zniewolenie i biedę, nic więcej!

Ze wszystkich gości jedynie September nie był na tyle zaszokowany, żeby nie zamruczeć:

– To by było na tyle.

Ethan gwałtownie odwrócił się i oniemiały wpatrywał się w olbrzyma.

– Wiedziałem, że coś mi tu śmierdzi, chłopcze. Kiedy kapitan portu prowadził nas tutaj, przechodziliśmy przez samo centrum miasta. I starannie nas unikano. Nikt poza kociętami nie rzucił na nas nawet jednego zaciekawionego spojrzenia, tylko żołnierze na zamku, ale nawet oni zachowywali się z bardzo umiarkowanym podnieceniem. Porównaj to sobie z pytaniami i pełnymi zdumienia spojrzeniami, jakimi obdarzały nas załogi innych tratw. Oznacza to, że bywali tu już inni ludzie, poza tobą i mną. Albo – tu zerknął na trzecią postać usadowioną na podium, na dystyngowanie wyglądającego, starszego trana, który jak sądził Ethan, był doradcą albo królewskim ojcem – doszły tu wieści o nas.

– To pierwsze słowo prawdy, jakie wyrzekłeś – powiedział gniewnie młody Landgraf. Pokazał na lekko uśmiechniętego trana po prawej. – Zaiste mieliśmy szczęście, że ten oto mój dobry przyjaciel, Calonnin Ro-Vijar, Landgraf Asurdunu, przybył tu zaledwie dwa cenne dni temu. Opowiedział mi o waszych haniebnych planach, żeby wszystkie narody tego świata zniewolić i uczynić sługami, zaczynając od Poyolavomaaru.

Hunnar zbliżył się o kilka kroków do podium, jego dłoń skierowała się ku rękojeści miecza.

– Ro-Vijarze, czy to ty kazałeś napaść na nasz statek, kiedy mijaliśmy południowy cypel wyspy i pojmać Elfę Kurdagh-Vlata?

Starszy tran podniósł się i popatrzył na nich władczo, ale zachowywał się równie chłodno, jak chłodne było powietrze wpadające przez otwarte okna.

– Zaprawdę pragnąłem, zdrajco, byś znalazł się na drodze do życia pozagrobowego, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się twoich niegodziwych zamiarów.

Spotkanie nie tylko rozpoczęło się fatalnie, ale ciągle jeszcze było w stanie przyjąć gorszy obrót. Ethan przysunął się w stronę tronu.

– Wasza wysokość – zaczął rozpaczliwie – to Ro-Vijar kłamie, chcąc uchronić swój monopol na handel z moimi pobratymcami, chcąc zatruć twój umysł nienawiścią do nas. Rozmienia on prawdę na pieniądze.

– Cisza, milczeć! – Rakossa wyglądał jakby mu zaczynało być niedobrze. – Nie będziemy dawać wiary łamanej trańszczyźnie bezwłosego k'nitha, który podaje się za prawdziwą osobę. Twoje fałszywe słowa nas nie wzruszają.

Ethan popatrzył w oczy Rakossy, szalone i przerażone, niebezpieczne i przebiegłe. Były żółte, o kocich źrenicach, nieludzkie, ale w spojrzeniu szaleńca jest coś, co wykracza poza kształty, poza bariery genetyczne. Niczego nie osiągnie, dyskutując z Tonxem Ghinem Rakossą. On już podjął decyzję. Logika i rozsądek mogą w nim wyłącznie obudzić wrogość. Tylko w niemal obojętnym wyrazie twarzy jego małżonki, która nie odezwała się jednym słowem, był ślad jeszcze jakiegoś innego uczucia. Mogło to być współczucie, mógł to być sadyzm. Ethan nie potrafił powiedzieć.

Miecz Hunnara na wpół wysunął się z pochwy.

Kilka zdobionych mozaikami ścian cofnęło się w głąb, odsłaniając pomieszczenia, z których wylały się dziesiątki uzbrojonych tranów. Hunnar zatrzymał się.

– Walczcie i zgińcie tutaj – powiedział sztywno Rakossa – albo czekajcie, aż zostaniecie słusznie osądzeni.

– Wygląda mi na to, że już zostaliśmy – cicho zamruczał Tersund.

Landgraf ciągnął dalej; wyglądał na ogromnie zadowolonego z siebie.

– Wasz statek został już opanowany, marynarze na pokładzie zostali uwięzieni. Podobnie jak ci, którzy bezmyślnie rozproszyli się po moim mieście. Będziecie ich mogli znowu powitać, ale w lochach.

Tymczasem Ethan przeliczał otaczającą ich bandę. Tranowie wlewali się do okrągłej komnaty, aż stłoczyli się w niej ramię w ramię, dan w dan. Lepiej tu umrzeć, niż...

Kiedy chciał wyciągnąć promiennik, poczuł, jak powstrzymuje go jakaś ręka.

– Nie, mój chłopcze. Jest ich zbyt wielu, a pewnie jeszcze więcej na tyłach. Póki życia, póty nadziei, śmierć to utrata wszelkich szans. Nic nie stracimy czekając i mając nadzieję.

– Jakie będą nasze szansę bez promienników, Skuo? – Ale mimo to nie ruszył broni przy pasie.

Ro-Vijar zszedł z podium i podszedł do nich. Bez wahania odczepił promiennik Ethana, następnie Septembra, na końcu Williamsa. Inni strażnicy zaczęli rozbierać Hunnara i Tersunda. Wyprowadzono ich z komnaty. Naokoło nich tranowie byli tak stłoczeni, że niemal nie mogli kroku zrobić, żeby nie stanąć na czyjeś zakończone ostrymi szifami stopy.

– Ro-Vijar jest kłamcą, wasza wysokość! – krzyknął Ethan przez ramię. – Zamiast duszy ma pieniądze!

Ro-Vijar szeptał do Landgrafa, usilnie starając się nie uśmiechać:

– Nie skłaniaj ucha ku słowom tych obcoziemców z nieba, potężny władco potężnego państwa. Prawda, że są bardziej zaawansowani niż my, biedni tranowie... zwłaszcza w sprawach fałszu i oszustwa. Musisz bezustannie mieć się na baczności, kiedy wygłaszają swoje przebiegłe orędzia.

– Nie martw się, przyjacielu Calonnie. Nie mamy zamiaru zwracać nawet najlżejszej uwagi na ich poniżające słowa.

– A może by – zasugerował niedbale Landgraf Asurdunu, kiedy jeńców wyprowadzono z komnaty – zabić ich teraz i oszczędzić miejsca w twoim więzieniu?

Ze zwykłą sobie, niepokojącą porywcznością Rakossa zaatakował Ro-Vijara.

– Wysłuchaliśmy ciebie, ponieważ wierzymy w twoje dobre rady, przyjacielu i bracie-władco,

Calonnie. Nie sądz, że z powodu naszej młodości okażemy się porywczymi, zamiast metodycznymi. Damy im prawo stanąć przed sprawiedliwym sądem.

– Tego wymaga sprawiedliwość – odparł Calonnie, z trudem ukrywając rozczarowanie. Zależało mu, żeby już ruszyć w drogę powrotną do Asurdunu. To odległe miasto targowe oferowało tylko prymitywne rozkosze, a on tęsknił do bardziej wyszukanych wygód, które zapewnił mu Trell. – Nie chciałem okazać najmniejszego braku uszanowania. Tylko że ja tak bardzo gardzę tymi wyblakłymi kanciarzami.

– Bez urazy. – Rakossa popatrzył w kierunku drzwi, którymi wyprowadzano więźniów i powiedział z namysłem: – Ich sprawa zostanie zbadana i zostaną osądzeni sprawiedliwie. Dopiero wtedy zostaną zabici.

Calonnie wpadł na sympatyczny pomysł.

– Jest coś, o czym warto pomyśleć, wasza wysokość. Można się wiele dowiedzieć od tych tranów, skorumpowanych przez bezwłose diabły. Może najłatwiej mnie byłoby się tego dowiedzieć, jako że najwięcej się z nimi stykałem. Chciałbym wy badać jednego z więźniów.

– Jako sobie życzysz. Który by ci odpowiadał?

Calonnie pozwolił sobie na szpetny uśmiech. To zdumiewające, ile brudnych myśli może przekazać jeden podlec drugiemu, podobnie myślącemu, za pomocą jednego gestu czy grymasu. Dziewczyna, która nadal siedziała w milczeniu na krześle, potrafiła się domyślić zamiarów Calonnie po obleśnym uśmiechu, jakim zareagował jej Landgraf.

Ona się nie uśmiechnęła.

* * *

Hunnar na chwilę stracił panowanie nad sobą, kiedy grupka żołnierzy oddzieliła od nich Elfę i powlokła ją ze sobą. Na szczęście ich eskorta miała najwyraźniej rozkaz nie robić więźniom krzywdy, ponieważ tylko pozbawili przytomności szalejącego z wściekłości rycerza.

Ethan naliczył trzy, może cztery poziomy podziemne, kiedy schodzili w dół. Z pewnych względów położenie najniższego lochu było korzystne, chociaż żaden z ludzi o tym nie pomyślał. Ponieważ ich cele znajdowały się głęboko pod ziemią, nie miał na nie wpływu ani wiatr, ani ostre zmiany temperatury powietrza. Tak więc w lochu było cieplej niż w zamku na górze. Skutek był taki, że uwięzieni tranowie czuli się tam niewyraźnie. Dla ludzi ten ponury loch był raczej gwarancją przebywania w znośnych warunkach.

Najniższy, zbudowany z kamieni połączonych zaprawą poziom pełen był obszernych, zakratowanych cel. Kraty wykonano z wypolerowanego twardego drewna, a nie z drogiego metalu. Ethan przeprowadził na jednej z nich test za pomocą stelamidowej sprzączki kombinezonu ochronnego. Musiałby bardzo długo przecinać to obrobione, supertwarde drewno, a więzień wyposażony w kościany nóż zmarłby ze starości, zanim doprowadziłby to zajęcie do końca. Każda

sztaba miała grubość uda Septembra. Ułożono je po przekątnej, zagradzając wejście do celi. Kiedy zeszli na najniższy poziom, powitały ich okrzyki rozpacz. Cele pełne były załogi *Slanderscree*, tak jak już wcześniej powiedział Rakossa.

Jeszcze przez kilka następnych godzin przyprowadzano grupki protestujących, narzekających marynarzy. Niektórzy byli ranni, inni pijani. Bez względu na to w jakim byli stanie, strażnicy pomagając sobie kopniakami wpychali ich do kolejnych cel, żeby dołączyli do posępnych towarzyszy.

Ta-hoding znalazł się w celi wyraźnie zarezerwowanej dla oficerów, rycerzy i bezwłosych diabłów. Wyprostował się i przeliczył zebranych więźniów. Nikogo z załogi nie brakowało. Oznaczało to, że nie ma co liczyć na pomoc z zewnątrz; na pomoc ze środka też była niewielka nadzieja.

– No i gdzie ta nasza szansa, ta okazja, Skuo? – Ethan nie potrafił powstrzymać rozgoryczenia, chociaż w pełni zdawał sobie sprawę, że walka w sali tronowej oznaczałaby śmierć już kilka godzin temu.

– Wciąż jeszcze żyjemy, mój chłopcze – odparł bez urazy September. – Możesz okazać cierpliwość, jeżeli optymizm ci nie pasuje. Co do mnie, bywałem w gorszych opałach. Na przykład kiedyś z moim bratem... – przerwał na moment, potem mówił dalej: – Jesteśmy tu na dole, żywi. To lepiej, niż byśmy mieli leżeć na górze, martwi.

To Ro-Vijar stał za tym wszystkim, co nam się do tej pory przytrafiło: za bijatyką w tawernie w Asurdunie, za atakiem na tratwę, a teraz naopowiadał kłamstw temu Rakossie, by jego rękami odwalić egzekucję.

– Tak to sprytnie pomyślane, że jestem pełen podziwu – powiedział September. – Gdyby kiedyś zaczęli tu węszyć jacyś z sił pokojowych, Ro-Vijar może winę za naszą śmierć zrzucić na tego całego Rakosę, który nie robi na mnie wrażenia faceta mającego wszystkie klepki w porządku.

– Ale w jaki sposób – zapytał Ethan markotnie – udało mu się tak szybko przekonać Rakosę do swojego sposobu myślenia?

– Obawiam się, że to nie trudno sobie wyobrazić... Na siefa, moja głowa. – Hunnar, który właśnie odzyskał przytomność, oparł się ze znużeniem o zimny mur. – Ro-Vijar sam jest Landgrafem. Jeżeli potrafił tego dowieść wobec innego władcy, co jak widać mu się udało, jego wypowiedzi zyskały wiarygodność. I wzbudził szacunek dla swoich słów. Tym bardziej, że jest starszy od Rakossy. No i jest tranem. Chociaż z bólem, ale muszę przyznać, że moi pobratymcy bardziej są skłonni wierzyć jednemu spośród swoich niż jakiejś takiej dziwnej istocie jak ty, przyjacielu Ethanie, która może być przecież demonem czy sługą Złego. – Wzruszył ramionami, nagle ogarnęło go zmęczenie. – Poza tym nietrudno wyobrazić sobie, jak taka kreatura typu Ro-Vijara proponuje kreaturze typu Rakossy udział w pozaziemskim handlu. Tak więc jest chroniony z obu stron, zgodnie ze swoim sposobem myślenia. A odnoszę wrażenie, że jest i ambitny, i nieco szalony.

– Nawet nie musi mu tego proponować – powiedział September. – Rakossa już zdobył

Slanderscree. Och, Ro-Vijar będzie argumentował, że zgodnie z prawem jemu się zdobycz należy, ale w zamian za zabicie nas pozwoli się Rakossie przekonać. Nie zapominajcie, że ten Ro-Vijar gra o wielką stawkę. Nie zapominajcie, że ma trzy nowoczesne ręczne promienniki. One są od cholery więcej warte na tej planecie niż nawet dwa klipry lodowe.

Hunnar podczołgał się do krat, wstał i kopnął je. Jego ostre szify z trudem wydrapały trzy równoległe rysy w drewnie, na którym widać było wiele podobnych, potrójnych zadrapań.

– I co teraz zrobimy? – Ethan nie mógł patrzeć, jak Hunnar uparcie, beznadziejnie marnuje swoje siły na kraty.

– Mój chłopcze, nie wiem.

Olbrzym przeszedł do kąta na tyłach celi. Chociaż cela miała znaczne rozmiary, cała podłoga zasypana była kawałkami pika-piny. September rozciągnął się na nich, założył ręce pod głowę i zagapił się w sufit.

– Chwilowo idę spać.

– Jak to się dzieje – zapytał ze zdumieniem Ethan – że zawsze kiedy twoje życie wisi na włosku, potrafisz zasnąć.

September zamknął oczy, izolując się od celi i swoich towarzyszy.

– A chociażby dlatego, mój chłopcze, że gdyby akurat wtedy zdecydowali się mnie zabić, nigdy bym się nie dowiedział, że już po wszystkim.

Ethan miał nawet ochotę się posprzeczać, ale był wyczerpany i zniechęcony.

Stara wyściółka okazała się niespodziewanie wygodna.

ROZDZIAŁ 9

– Obudź się.

Ethan przeturlał się na bok i otworzył jedno oko. Leżał sam jeden w pobliżu krat. Kto mógł się do niego odezwać w środku nocy?

– Obudź się! – Głos stał się bardziej natarczywy. Sucha pika-pina potrzaskiwała jak płonące chrząszcze, kiedy niezgrabnie podnosił się na kolana i wpatrywał w przyćmione światło na korytarzu. Cele i przejście między nimi oświetlone były pochodniami. Głos nie przypominał głosu dozorca więziennego, flegmatycznego trana, który pojawiał się od czasu do czasu, żeby upewnić się, czy aby demony z obcych krajów nie przekopały się na wolność jakimś nieznanym, magicznym sposobem. Niejasno rysująca się postać przyciskała się tuż obok niego do krat. Była tranem, na co był przygotowany. Była również rodzaju żeńskiego, a na to przygotowany nie był. Żółte, kocie oczy jarzyły się w blasku pochodni.

– Proszę cię – ponaglała go niespokojnie postać; oderwała na moment spojrzenie od niego i zerknęła w głąb korytarza. – Niedługo nastąpi zmiana dozorców. Musimy wykorzystać każdą chwilę.

Zdecydowawszy, że jednak mu się to nie śni, Ethan podniósł się na nogi. Kiedy podszedł do krat, rozpoznał w końcu mówiącą.

I to był największy wstrząs, jak dotąd.

– Ależ ty jesteś królową Rakossy?...

Dziewczyna splunęła, po czym się obelżywie wyraziła.

– On nazywa mnie swoją konkubiną. Dwór mówi o mnie królewska małżonka. A tak naprawdę jestem dla niego podnóżkiem, szify sobie o mnie wyciera.

Ethan nie wyobrażał sobie, że w głosie może pomieścić się tyle nienawiści i goryczy. Każde słowo brzmiało tak, jakby je namoczyła w witriolu, każde zdanie nasączone było jadem. A przecież mówiła spokojnie i z opanowaniem.

– Noszę imię Teeliam Hoh, obcoziemcze. Kupił mnie sobie, żebym była mniej niż zwierzęciem domowym. Królowa? – Furia powstrzymała ją od wybuchnięcia śmiechem. – Jestem przedmiotem, którego używa, bawi się mną jak ulubionym mieczem, ale o miecz dba więcej i traktuje go lepiej niż mnie.

Teraz z kolei Ethan zerknął w głąb korytarza.

– Wspomniałaś coś o zmianie dozorczy. A co z tym, który teraz ma służbę? On może tu...

– Nie może – dokończyła. – I on, i ten drugi strażnik nie żyją. Poderżnęłam im gardła.

Zaczęła dłużyć przy starym, metalowym zamku. Za Ethanem rozległy się mamrotania i pytania, kiedy na hałas i ruch zaczęła się budzić reszta więźniów.

– A więc ty nam wierzysz – powiedział Ethan z podnieceniem, patrząc jak jej dłonie manipulują przy ciężkim, ozdobnym kluczu. – Wiesz, jakim kłamcą jest Ro-Vijar.

– Nie wiem o nim nic poza tym, że jest jak smród ciągnący się za gnojopelzaczem, kiedy skończy swój posiłek.

– Jeżeli nie wiesz czy on kłamie, czy nie, to dlaczego to dla nas robisz?

Błysnęła w jego kierunku obnażonymi zębami.

– Sądzisz, że ja to robię dla was? Robię to dla niej. – Gestem wskazała korytarz i znowu zajęła się zamkiem i kluczem.

Ethan spojrział we wskazanym kierunku i udało mu się rozpoznać drugą postać. Elfa. Coś szcęknięto i drzwi gładko się otworzyły. Tymczasem tranowie w pozostałych celach już się pobudzili, przyglądali się i półgłosem, w napięciu rozmawiali. Teeliam poszła ich uwolnić. Uśmiechając się radośnie Ethan ruszył w kierunku Elfy. Zatrzymał się o metr od niej i patrzył. Tylko patrzył. Jego niedowierzanie było zbyt wielkie, żeby mógł przeklinać realność tego, co widzi.

Śliczna, kocia twarz była cała posiniaczona i zeszpecona, jedno oko zapuchło tak, że niemal nie mogła go otworzyć. Miejscami brakowało dużych kawałków gładkiego futra, miejscami było ono opalone i poczerniałe jak od ognia. Elfa nie uśmiechnęła się do niego. Wyglądało na to, że nie może oderwać wzroku od podłogi, chociaż w rzeczywistości myślami była daleko. Obejmowała się ciasno oboma rękami. Miała na sobie jakiś prosty strój, nie to, co nosiła, kiedy oddzielono ją od reszty z nich.

Teeliam Hoh, która tymczasem przekazała klucze innemu tranowi, podeszła i stanęła u boku Ethana. Odwrócił się i patrzył na nią bez słowa, szeroko otwartymi oczami.

– Znam wewnętrzne przejścia w zamku – powiedziała Teeliam z nieco mniejszą goryczą. – Wiedziałam, że jedno z was wzięto na przesłuchanie. Przez szparkę widziałam, jak Ro-Vijar zadaje pytania, jak nic z tego, co mówi, czy robi, nie jest godne prawdziwego Landgrafa-opiekuna. Nie mogłam wprawdzie zorientować się, czy o was mówił prawdę, ale wiem, że wszystko inne, co twierdził, należy traktować jak kłamstwo, bo on żyje, a już to samo w sobie jest fałszem. – Odwróciła wzrok od niego, spojrziała na podłogę, a potem na Elfę. – Rakossa był razem z nim, przyglądał się i napawał tym widowiskiem. Po jakimś czasie sam raczył wziąć w nim udział. – Przeszedł ją dreszcz. – Ja od dwóch lat muszę znosić jego plugawą wyobraźnię. Żałuję, że nie potrafię oszaleć.

– Dlaczego... – Ethan przełknął, spróbował jeszcze raz. – Dlaczego tu zostałeś? Dlaczego nie próbowałaś od niego uciec?

Teraz Teeliam znalazła powód do śmiechu.

– Robię to kilka razy do roku, obcoziemcze z nieba, Ethanie. Zawsze zostaję złapana i sprowadzona z powrotem przez tych, którzy mnie odnajdą. To, co Rakossa potem ze mną robi, na długie dni wybija mi z głowy wszelkie myśli o ucieczce. Tak jak bez wątpienia stanie się i teraz. Gdybym mu nie stawiała oporu, zmęczyłby się mną i zabił, bo nikt nie może mieć kobiety, którą już miał Rakossa. A kiedy stawiam mu opór, on... wyobraża sobie różne rzeczy.

– Już się więcej tak nie stanie, kobieto – powiedział głęboki, gniewny głos. September podszedł do nich, stanął za Ethanem i ze współczuciem wpatrywał się w Teeliam. Zdążył już rzucić na Elfę fachowym okiem i wołał na nią nie patrzeć.

– To bez znaczenia. Byłabym to zrobiła chociażby po to, żeby go rozgniewać, niezależnie od tego, co możecie zrobić dla siebie czy dla mnie, niezależnie od tego, co uczyniono jej. – Pokazała na Elfę, która ani drgnęła. – Jeszcze jedna rzecz. Sądzę, że pragnęlibyście to mieć. Ukradłam je. – Zsunęła z pleców niewielki pakunek, wyjęła ich promienniki.

– Ile mamy czasu, zanim ten nowy dozorca przyjdzie na służbę? – Ethan przyczepił swoją broń z powrotem do pasa i próbował wyrzeć przez czarną jak sadza ciemność na korytarz i schody. Teeliam wspomniała o trańskich jednostkach czasu. – Może wystarczy, żeby prześliznąć się na górę po schodach i wywalczyć sobie drogę z powrotem na statek.

– Czy wy, przybysze z innego świata, naprawdę jesteście takimi głupcami, jak twierdzi Ro-Vijar? – Teeliam patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Nie możecie wracać przez zamek. Na każdym wyższym poziomie są żołnierze. Nie zdążylibyście dojść do dziedzińca, a już zebraliśmy się wszyscy wojownicy z wyspy. Nie sądzą, żeby wasza magiczna broń, o której Ro-Vijar szeptał do Rakossy, wystarczyła do odparcia tysiąca czy więcej żołnierzy podczas walki wręcz.

– Coś w tym jest, co mówi ta dziewczyna. – September pochylił w jej kierunku swoją białogrzywą głowę. – A o jakim wyjściu myślałaś?

– Wytnę mu na plecach twarz mojego ojca i będzie przeklinał swoją męskość – nagle rozległ się głos równie lodowaty, jak powietrze nad ziemią. To Elfa odezwała się nareszcie.

– Na pewno tak uczynisz – zapewnił ją Sir Hunnar. Stał w półmroku i cały czas przyglądał jej się bacznie. Teraz wyszedł na światło i wziął ją za rękę, przemawiając łagodnie. – Ale nie teraz, później. Najpierw musimy się stąd wydostać.

Elfa próbowała uwolnić się z jego uścisku. Na chwilę zielona opończa i okrycia, które miała na sobie, rozluźniły się i rozsunęły. Ethan zobaczył szramy i pręgi, i pożałował, że je widzi.

– Powyrywam mu futro włosów po włosku – ciągnęła dalej Elfa takim tonem, że Ethanowi chłód

ścisnął serce. Nawet nie próbowała się znowu okryć.

– Tak, ale później, później, przyrzekam ci. – Hunnar zapiął jej opończę. Jak udawało mu się mówić takim cichym i spokojnym tonem, tego nigdy się Ethanowi nie udało odgadnąć. Rycerz objął ją teraz za ramiona.

Teeliam przemogła się i odpowiedziała na pytanie Septembra.

– Możemy mieć pewną nadzieję, jeśli pójdziemy w tym kierunku.

Ruszyła korytarzem ku celom najdalej położonym od schodów, a Ethan i September poszli za nią. Podtrzymywana przez Hunnara Elfa o szklistych oczach potykając się szła niepewnie ich śladem. Na drugim końcu lochu natrafili na jeszcze jedne drzwi. Były niskie jak dla tranów, zamurowane i odgródzone plecionką z pika-piny.

– Powiadają, że w starożytnych czasach najgorsi przestępcy byli wypędzani za te drzwi. Za nimi ciągnie się tunel. Dokąd on prowadzi, o tym się nie mówi. Ale jest to jakieś miejsce daleko stąd.

– W tłoku ujdzie, jak chodzi o mnie – powiedział September, aprobując jej plan. – A dlaczego został zaplombowany?

– Jak mówi historia, czterech landgrafów temu zdecydowano, że taka kara jest zbyt surowa nawet dla dzieciobójców.

– Cudownie – powiedział półgłosem Ethan, przyglądając się drzwiom, jak gdyby w każdej chwili jakiś niewyobrażalny potwór mógł wypaść zza kamieni, żeby ich pożreć.

– Dokąd on prowadzi? – kapitan Ta-hoding jak zawsze był dociekliwy.

Teeliam odwróciła się.

– Prowadzi w dół, do piekła.

– Wspaniale. – September uśmiechnął się. – Więc nie musimy się obawiać, żeby nas mieli tą drogą ścigać. – W tym momencie sam trochę wyglądał na demona z zaświatów. – Odsuńcie się.

Wyregulował promiennik i wycelował w zaplombowany portal. Pod niebieskim strumieniem energii rozsypały się i kamień, i zaprawa, i lina z pika-piny. Od strony żeglarzy ze *Slanderscree* dobiegały pomruki grozy. Widzieli już wcześniej, jak ci obcoziemcy używają swoich świetlnych noży, ale nie wiedzieli, że potrafią one przepalić wytrzymałą, ognioodporną pika-pinę.

Kiedy September wypalił już w zaporze kilka poziomych linii, wyłączył promiennik, żeby oszczędzać ładunek, i kopniakiem rozwalił pozostałe kamienie. Wystarczył zdumiewająco niewielki wysiłek, żeby się rozpadły. Jak zauważył stary rycerz Balavere Longax, nie było żadnego powodu, żeby solidnie barykadować przejście, ponieważ żaden tran z własnej nieprzymuszonej woli nie przekroczyłby tych drzwi.

Ethan wyjął z uchwytu na ścianie jedną z pochodni i wetknął ją w otwór.

– Wygląda na to, że sam tunel jest wyższy. Schodzi w dół. Od strony zbitych w ciasną gromadkę członków załogi dobiegł cichy szmer. Hunnar odwrócił się od nich.

– Zostać tu, oznacza umrzeć. Wszyscy, którzy pragną pewnej śmierci, mogą zostać. Ci, którzy pragną szansy na życie i zemstę, mogą iść za nami. Nasi przyjaciele-ludzie mówią, że nie ma niebezpieczeństwa. Nie kłamali nam wcześniej. Nie wierzę, żeby kłamali teraz.

Odwrócił się, wziął drugą pochodnię i pochyliwszy się przeszedł pod nadprożem.

– Wcale nie mówiłem, że tam nie ma niebezpieczeństwa – powiedział mu Ethan.

– Nie mówili tego też przyjaciele September ani Williams – odparł Hunnar pochylając głowę tak, żeby zobaczyć, co jest dalej w tunelu. – Nie martwię się niebezpieczeństwem, które czai się przed nami. Jeżeli będzie trzeba, nasi marynarze i rycerze będą walczyli, ale niebezpiecznie byłoby pozostawić ich na pastwę własnych wyobrażeń.

Obydwaj ruszyli w dół. Za nimi szybko poszli September i Williams, Ta-hoding, Balavere i dwaj giermkowie Hunnara. Kiedy z kolei weszły do środka Teeliam i Elfa, pomruki załogi zmieniły się z lękliwych w pełne zażenowania. Po dwóch, po trzech chwyтали za pochodnie i mamrocząc coś o utraconych nadziejach, szli w ich ślady.

Tunel miał akurat taką wysokość, żeby dorosły tran mógł iść wyprostowany. Chociaż w dół prowadziła ścieżka lodowa, załoga nie skorzystała z niej. Woleli stąpać ostrożnie, niż szifować i dostosowali swoje tempo do rozważnych kroków pozbawionych szifów ludzi. Idąc rozglądali się dookoła. Ściany i sufit tunelu zbudowane były z gigantycznych kamiennych bloków. Wkrótce stracili poczucie czasu. Nie było dnia ani nocy, czas zdawał się falować – stał się zamazany, zatarty.

– Jak myślisz, jak głęboko zesliśmy? – Ethan zwrócił się do Williamsa.

– Trudno powiedzieć. – Nauczyciel potknął się, złapał równowagę i wpatrzył się znacząco w sufit. – Z sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów pod zamek. Może więcej. Ale przeszliśmy także sporą odległość w linii prostej.

Tunel nadal opadał stromo w dół, nie było żadnych oznak, żeby miał się skończyć. Potykając się szli ciągle do przodu. Żadne podziemne duchy nie zmaterializowały się, żeby ich dręczyć. W plecy wiał im stale lekki wiatr, niosąc gryzącą woń odległych teraz już lochów.

Niespodziewanie charakter tunelu uległ zmianie. Sklepienie nad ich głowami i ściany po bokach zmieniły się z ciosanego kamienia w coś koloru kremowego ceramidu. Ethan dotknął najbliższej ściany, poskrobał ją okrytym rękawicą palcem. Od ściany opornie odłupywały się jasne drzazgi: lód. Poprzez warstwę lodu widział kamienie. I znowu marynarze zaczęli między sobą wymieniać pełne zatroskania uwagi. Byli to dzielni tranowie, ale szli teraz w kierunku koszmarów swego kocięctwa, a to był szok nawet dla najmężniejszych z nich.

– Niczego nie zyskamy cofając się – powiedział September spokojnie. Wyciągnął swój

promiennik i ruszyli dalej.

Kilka razy maszerujący zatrzymywali się, żeby odpocząć. Hunnar i Balavere przekonani byli, że niczym to nie grozi. Nawet jeżeli odkryto ich ucieczkę, było mało prawdopodobne, żeby Poyowie, pewni, że mieszkańcy zaświatów załatwią ich dawnych więźniów, zorganizowali pościg. To przekonanie podzielała zresztą większość załogi *Slanderscree*. Wkrótce znowu ruszyli.

– Zupełnie nie można określić, jak głęboko jesteśmy teraz – wymamrotał Williams do siebie. – Ciśnienie wydaje się niezmiennione.

September zatrzymał się gwałtownie, głowę przechylił na bok. Maskę na twarzy miał odchyloną i wydawał się z napięciem nadśłuchiwać. Szereg za jego plecami zaczął się cofać.

– Słyszysz coś, mój chłopcze?

Ethan natężył słuch, żeby wyróżnić nieznany dźwięk spośród posapywań stojących za nimi ludzi i tranów. Dźwięk, na który się zdecydował, trudno było wyróżnić, ponieważ sam przypominał oddech. Słabe, dalekie pojękiwanie i gulgotanie.

– Nie możemy teraz się cofnąć.

Wyszedł na prowadzenie wyciągając pochodnię przed siebie. Hałas nasilał się. Chociaż rozsądek mówił, że to niemożliwe, musiał przyznać, że przywodziło to na myśl chrapanie jakiegoś potężnego demona. Doszli do zakrętu w tunelu, skręcili. Ścieżka zrobiła się płaska. Ethan przystanął. Zza jego pleców dobiegały niespokojne pytania. Włączył swój promiennik i wyregulował go na najszersze z możliwych, najbardziej rozproszone nastawienie. Snop światła ukazał niewiarygodny widok.

Olbrzymią jaskinię, na którą teraz patrzyli, musiał wytopić potworny żar w jakiejś niemożliwej do odgadnięcia przeszłości. Kolumny lodu nie tyle podtrzymywały, ile dekorowały sufit, z którego zwieszały się całe girlandy martwych sopli. Samo sklepienie znajdowało się zaledwie o pięć czy sześć metrów nad ich głowami, ale ciągnęło się na odległość, na którą nie sięgał już błękitny poblask promiennika. Ich spojrzenia nie napotkały żadnego sapiącego ifryta ani dzinna. Dźwięk wydawała mroczna woda – nie zamrznięta, ciekła, falująca woda, która ciągnęła się w dal i gdzieś w tej dali zlewała się z odległym sklepieniem w czarny horyzont. O lodowatą plażę o kilka metrów od nich uderzały łagodne, drobne fale, rozsyłając echa po całej jaskini. Ethan rozpoznał ten delikatny zapach, który wyczuwał przez ostatnie kilka minut: sól.

Williams skupił spojrzenie na zwisających u sufitu formacjach.

– Przeszliśmy przez pokrywą lodową i wyszliśmy poza samą wyspę. Musi nad nami być ze sto albo dwieście metrów litego lodu.

Kilku członków załogi zaczęło ze zgrozą, po dziecinnemu pomiaukiwać, kilku padło na kolana i zaczęło błagać wszelkich bogów, w jakich tylko wierzyli, żeby się nad nimi zmiłowali. Na kilku futrzastych twarzach Ethan dostrzegł rezygnację i oczekiwanie na śmierć. Nawet sam uczony, nieprzesądny Eer-Meesach dygotał z przerażenia. To zupełnie nie to samo bagatelizować opowieści i

legendy o wylęgłych w wyobraźni dorosłych miejscach mających zastraszać dzieci i utrzymywać je w ryzach, a zupełnie co innego stawić im w rzeczywistości czoło. Balavere Longax, największy generał Sofoldu, oznajmił spokojnie:

– Wszyscy pomrzemy.

– Pod warunkiem, że będziemy musieli pływać. – September, jak to miał w zwyczaju, z humorem reagował na niebezpieczeństwo. Im większe zagrożenie, tym bardziej lekceważące były jego komentarze. Wszedł z tunelu i ruszył spacerkiem, ostrożnie, przez lód na skraj wody. – Może wam to przypomina piekło, ale mnie ten spokój i szeroki widok wydają się atrakcyjne.

Ethan z zaskoczeniem uświadomił sobie, że sam też się trzęsie. Dopiero słowa olbrzyma przywróciły mu spokój. To była trańska koncepcja piekła, nie jego. To tylko zimne, ciemne miejsce.

Trzymając krzepko pochodnie ruszył w kierunku Septembra. Wyrzął znad zamrożonej ławy i nie zobaczył nic poza płynną ciemnością. To było tak, jak gdyby wpatrywał się w górę, w nocne niebo, a nie w dół, w trzewia jakiegoś prastarego oceanu. I podobnie jak nocne niebo, tak i ten podziemny ocean lśnił od swoich własnych gwiazd i mgławic.

Tysiące malusieńkich świecących stworzeń przemykało i drgało w atramentowych wodach. Zieleń, jaskrawy róż, ostra żółć, szkarłat, czerwień wiśniowa – każdy możliwy do wyobrażenia kolor oznaczał jakąś płonąca drobinę istnienia. W porównaniu z tą studnią przepychu, w której każde, nawet najmniejsze stworzenie okrywały klejnoty, świat tam w górze wydawał się szary i nudny.

Ethan uświadomił sobie, że ktoś jeszcze podszedł do niego, ale nie odrywał wzroku od tej rozmigotanej palety życia.

– Jak one mogą żyć tu w dole, Millikenie, pod lodem?

– Może znajduje się tam jakaś roślinność, która powoli uwalnia tlen, albo dostają się tam wytwarzane przez wulkan gazy – nauczyciel wzruszył ramionami. – Wyraźnie wystarcza tego, żeby podtrzymać wielką obfitość form.

– To jest bardzo piękne.

Ethan gwałtownie się odwrócił. Za nim stała Elfa i zaglądała niemalże nieśmiało w szklistą czerń. Uśmiechnęła się z wahaniem do Ethana. Musiał jej odpowiedzieć uśmiechem. Nie doszła jeszcze w pełni do siebie, ale wyszła już z szoku.

Ethan przeniósł wzrok na połyskujące sople, na fałszywe stalaktyty, na kolumny, w których światło pochodni wybuchało tysiącami replikami swojego źródła; nic z tego nie dorównywało różnorodności i urodzie koralikowatych mieszkańców wód.

Jakże piękny jest Hades, dumiał, kiedy nie jest to Hades własny. Przecież nie jest tu ani gorąco, ani przerażająco i wcale nie ma wiatru. W bladoniebieskim świetle jego promiennika świecące życie ekstatycznie wirowało. Skierował światło w dół, przebijając wodę na głębokość kilku metrów. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby promiennik wytwarzał próżnię i wysysał z głębiny jeszcze

więcej rozszalałych tancerzy.

Nagle woda wytrysnęła w górę. Wszyscy zatoczyli się do tyłu, niektórzy poupadali.

I wtedy Ethan zobaczył paszczę. Rubiny i szmaragdy, turmaliny i topazy, ozmidyny, kryształy ferrokremowe, wszystkie lśniące jak lustra, ozdabiały tę jaskinię w jaskini. Szczęki sadzone były szeregami stalaktyków i stalagmitów szklistych, przezrzystych zębów. Naokoło nich znajdował się pysk, szeroki i tłusty jak u ropuchy, z pojedynczym, przypominającym wściekle cynobrową latarnię okiem osadzonym nad okrytą klejnotami paszczą. Wokół oka i paszczy falowało w fałdach czarne, gładkie ciało, mięsista powłoka mająca z grubsza utrzymać organy na miejscu.

Czym by to stworzenie nie było, przyciągnęło je z głębiny jaskrawe światło Ethana. Mimo że marynarze byli dzielni, niektórzy z nich pomdleli na miejscu, inni zapomnieli o dyscyplinie i rozkazach i pędem rzucili się do ucieczki, usiłując z powrotem wcisnąć się do tunelu.

September i Williams strzelali już w widziadło promieniami bardziej skupionymi i zabójczymi niż światło Ethana, podczas gdy on sam usiłował gorączkowo przestawić regulację na swoim promienniku. Za każdym razem kiedy niebieski promień dotykał ciała tej zmaterializowanej halucynacji, wydawała ona gargantuiczne pochrząkiwanie. Ludzie strzelali wycofując się w stronę tunelu.

Paszczka i oko uniosły się wysoko nad wodę i nachyliły w ich kierunku. Jeszcze kilka piorunowych ładunków uderzyło w nie i przypominający czarną narośl kształt zwałił się na lodową plażę z trzaskiem, który echem niósł się po jaskini, potem rozległ się niski odgłos jak gdyby pęknięcia. Potwór leżał spokojny i nieruchomy, kwarcowe zęby połyskiwały w świetle pochodni, pojedyncze, okrągłe oko z absurdalnie małą, czarną źrenicą wpatrywało się w nich ślepo. Z tunelu jednak dobiegały wciąż jeszcze wrzaski, Hunnar z mieczem w ręce usiłował przedrzeć się przez spanikowany tłum.

– Tchórze sofoldzcy! Demon nie żyje, zabiły go świetlne noże naszych przyjaciół, którzy są o połowę mniejsi od was! – Pędzący w popłochu pod górę zwolnili, przystanęli. Wrzaski zmieniły się w niespokojne i zatroskane pomruki. – Kiedy skończycie skomleć, możecie znowu do nas dołączyć.

Wsunął miecz w pochwę i z rozmysłem poszifował w dół z maksymalną szybkością, ostentacyjnie okazując lekceważenie dla tego, co mogło na niego czekać w jaskini. Stopniowo żeglarze ruszyli za nim. Rozsypali się szeroko przed wyjściem z tunelu, żeby z rozkoszną zgrozą patrzeć na tę piekielną bestię, która spoczywała na lodzie. Chociaż głowa stanowiła jedną trzecią jej ciała, wyglądała bardzo przerażająco i wcale, ale to wcale nie śmiesznie.

Okazując absolutną obojętność dla pośmiertnych odruchów potwora, September wielkimi krokami podszedł do stworzenia, które Eer-Meesach zdążył już rozpoznać jako kalankathte (co można z trańskiego z grubsza przetłumaczyć na „bestię-wyłącznie-zębatą-bezogoniastą”) i wetknął głowę w otwartą paszczę, która zastygła rozdziawiona; jej górna szczeka wznosiła się na metr nad jego zakapturzoną głowę. Chociaż przezroczyście zęby średnio miały po dwa metry długości, były nie grubsze od ludzkiego palca, a znajdowały się ich w tym pysku o rozmiarach komnaty całe setki. Z grzbietu i boków wystawały krótkie, delikatne wyglądające płetwy, a krępy ogon był spłaszczony pionowo, by umożliwić pływanie i sterowanie. Stworzenie nie mogło ścigać swojej ofiary z dużą

szybkością, ale na pewno potrafiło chapnąć jednorazowo wiele hektolitrów oceanu.

Williams studiował trupa ze wspaniałym, naukowym obiektywizmem, chociaż będąc zdeklarowanym wyznawcą teorii resztkowej niezależności pewnych funkcji mięśniowych nie zdecydował się podejść tak blisko do szczęk jak September.

– Oko, paszcza i brzuch. Żadnego marnowania miejsca, żadnych zbędnych organów. – Obszedł ten koszmar dookoła i zniknął im z oczu.

Ethan i Hunnar przyłączyli się do Septembra stojącego przed rozdziawioną paszczą.

– Cóż bardziej naturalnego niż to, żeby w piekle były diamenty?

Z wahaniem rycerz wyciągnął rękę, żeby dotknąć mokrej, czarnej skóry.

– A więc wy też jesteście przekonani, że to jest demon z zaświatów?

– Skua lubi fantazjować – powiedział Ethan. – W głębinach mórz na moim własnym świecie żyją podobne, wcale nie nadnaturalne stworzenia. Niektóre są większe niż to, chociaż żadne z nich nie jest tak dziwaczne.

W miarę jak w ciele przestawały krążyć życiodajne płyny, fosforescencja naokoło paszczy i po bokach zaczęła zanikać, światło i życie przygasały równocześnie.

– Ta woda jest tylko częścią waszego ciekłego oceanu, jest to ta sama woda, z której utworzony jest lód nad nami, ten lód, po którym szifują tratwy i ten, który otacza Sofold. – Ethan dotknął pochodnię ziemi pod stopami i posmakował powstałą wodę. – Z lodu w ciecz, taką samą jaką pijecie na pokładzie statku czy w domu, w Wannome.

– A więc filozofowie mają rację – powiedział rycerz. – Wnętrze świata jest płynne.

Ethan uśmiechnął się.

– Istotnie, masz rację, tyle tylko że płynem tym jest metal, a nie woda. Williams będzie to lepiej potrafił wytłumaczyć niż ja. – Odwrócił się i zawołał. – Millikenie?

– Na tym kończy się nasze badanie tego morza. – September przypiął ponownie swój promiennik do pasa. – Następny kuzynek tej ruchomej paszczy, jakiego przywabimy z głębin, może okazać się jeszcze większy. A czego ty się tak drzesz, mój chłopcze?

– Nie możemy znaleźć Millikena. Sądziłem, że będzie badał to ciało, ale...

– Tutaj jestem!

Popatrzyli na prawo. Nauczyciel stał na drugim końcu jaskini, gdzie lód ustępował miejsca pochyłej skale. Kiedy ruszyli w jego stronę, pochylił się i zniknął im z oczu.

– Jeszcze jedna jaskinia? – zastanawiał się na głos Ethan. Inni tranowie ruszyli w ich stronę. A kiedy minęli zakręt, za którym zniknął im z oczu Milliken, nauczyciel znajdował się jeszcze dalej. Kilka metrów od żwiru i kamieni utrzymywał się lód.

– Co to jest? – September popatrzył z zaciekawieniem na pobliską ścianę lodową. – Jeszcze jeden tunel?

– Nie. – Mały nauczyciel sapiąc wrócił biegiem do nich. – Ten tunel ciągnie się chyba bez końca w kierunku północno-wschodnim. Miejscami lód przybliży się do wyspy, miejscami się oddala. Tunel może okrążyć całą wyspę. – Gestem pokazał na niewidoczną w tej chwili jaskinię. – Na tej głębokości, przynajmniej w tym szczególnym regionie, ciepło wulkaniczne z głębi wyspy wydaje się rozchodzić na zewnątrz raczej niż wznwyż. Znajdujemy się prawdopodobnie na poziomie równoległym do jakiegoś poziomego wypływu magmy.

– A więc jeżeli będziemy posuwać się wzdłuż krzywizny wyspy – zwrócił uwagę September – możemy dojść pod port, gdzie przycumowany jest statek.

– A co nam to da? – zapytał Hunnar. Ethan sprawdził swój promiennik.

– Nasza broń jest jeszcze w trzech czwartych naładowana, Hunnarze. Możemy sobie wyciąć swój własny tunel do góry. Nie udałoby nam się tego zrobić przez litą skałę, ale wystarczy nam energii i to z okładem, żeby stopić lód. – Odwrócił się do Millikena. – Czy sądzisz, że uda ci się wyliczyć, kiedy znajdziemy się w pobliżu *Slanderscree*, Millikenie?

– Ojej. No nie wiem. Kąt, pod którym schodziliśmy z zamku... Doprawdy nie wiem.

– Postaraj się. Wszystko jedno, gdzie się wynurzymy, będziemy mieli jakąś szansę.

Kiedy tę wiadomość przekazano reszcie załogi rozciągniętej długim szeregiem aż do pierwszej jaskini, podniosła ich ona znacznie na duchu. Dla tranów, którzy przekonani byli, że już jakiś czas temu oddali duszę Złemu, perspektywa stanięcia twarzą w twarz z nieprzyjacielem z krwi i kości niosła ze sobą nadzieję.

Otwarty korytarz wił się naokoło podziemnego wybrzeża. W jednym miejscu ziemia była tak ciepła, że lód w pobliżu zmienił się w czarną wodę, a żeglarze nie zgodzili się przejść przez nią w bród. Ethan i September musieli zużyć nieco bezcennej energii na wycięcie suchej ścieżki w lodzie w górę, a potem z powrotem w dół, na korytarz. Nie mogli przecież stracić kontaktu z gruntem i zacząć wycinać sobie przejście przez bezkresną tafle lodową przykrywającą ocean.

Na moment zatrzymali się na odpoczynek, bo niektórzy tranów na tyle już odzyskali pewność siebie, że wyrazili chęć zjedzenia czegokolwiek. W kilka godzin później Williams po wiedział ostrożnie.

– Tutaj. – Podniósł lewą dłoń i pokazał w górę pod niezbyt ostrym kątem. – Tnijcie tu. Jeżeli wytopimy sobie drogę w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, powinniśmy wyjść akurat pod statkiem.

– Na ile jesteś tego pewien, Millikenie?

Nauczyciel popatrzył na Ethana ponuro.

– Nie za bardzo.

– Uczciwa odpowiedź. Ja zacznę pierwszy, mój chłopcze. September wyregulował promiennik i po kilku próbach trafił na odpowiednie nastawienie, które najlepiej łączyło stosunkowo szeroki strumień promieniowania z wystarczającą mocą, żeby szybko topić biały sufit nad ich głowami. Pod stopami zaczęła im spływać woda, co było przykre tak dla tranów, jak i dla ludzi, chociaż dla każdego z odmiennych przyczyn.

Ethan, który szedł tuż za Septembrem, zorientował się, że serce mu wali za silnie, jak na taką wspinaczkę. Oddech miał przyspieszony i ciężki, jego wzrok błędził niespokojnie po kolistym tunelu. Przekonał się, że kiedy zamknął oczy, oddech uspokajał się, podobnie jak łomotanie w piersiach. Williams dotknął Jego obutej stopy i Ethan się wzdrygnął.

– Klaustrofobia? – Ethan obejrzał się nie otwierając oczu i energicznie pokiwał głową. – Próbuj o tym nie myśleć. Nie myśl w ogóle o niczym. Nuć sobie w myśli.

Ethan zastosował się do tej rady; wyłowił z okresu swego dojrzewania rytmiczną, popularną melodyjkę. Bicie serca wróciło mu niemal do normy i przekonał się, że jest w stanie oddychać bez wysiłku. Skup się, powiedział sobie. Skup się na „W Merriwillya noc już płonie, w Merriwillya tęsknią dłonie”. A nie na tych tonach, tonach, całych tonach lodu, które wznoszą się nad głową, ciągną w dół pod dłońmi i kolanami, naciskają z boków, coraz ciaśniej, coraz ciaśniej...

Kiedy przyszła jego kolej, nie był w stanie zabrać się do cięcia.

Nie zamarł w bezruchu, ani nie zemdlał, ale widok litego lodu przed twarzą w połączeniu ze świadomością, że ma za sobą kilkuset niespokojnych tranów blokujących wszelką możliwość odwrotu, to było dla niego za wiele. Nie potrafił się z tym uporać. Pokazali więc Hunnarowi, jak używać promiennika i to on zajął miejsce Ethana, nie mówiąc nic, kiedy przeczolgiwał się obok na wpół sparaliżowanego komiwojażera.

Na szczęście tunel wydłużał się równie prędko, jak byli w stanie się wspinać. Energia o wysokim natężeniu powodowała, że wokół kolan i kostek nie przestawał im płynąć strumyczek wody. Wreszcie przyszedł moment, kiedy September wyłączył swój promiennik i miał właśnie zamieniać się na miejsca z Williamsem, gdy na chwilę zatrzymał się, żeby popatrzeć w górę.

– Światło nad nami... przez lód prześwituje światło!

Radosne okrzyki dzwoniły ogłuszająco w tunelu, dopóki rycerze i oficerowie nie zaczęli uciszać swoich ludzi. September popatrzył ze współczuciem na Ethana.

– Byłoby lepiej, mój chłopcze, gdybyśmy wyszli na powierzchnię dobrze po zachodzie słońca, ale jeżeli nie dasz rady wytrzymać, to możemy...

Ethan oparł się plecami o ścianę tunelu, objął rękami kolana i wcisnął między nie głowę.

– Mogę zaczekać – powiedział lakonicznie. September tylko skinął głową.

Przekazano informację w dół tunelu. Żeglarze usadowili się, część postanowiła się zdrzemnąć, część zabrała się do niesłychanie skrupulatnego czyszczenia pazurów i szifów, jedynej broni, jaką teraz posiadali. Hunnar rozmawiał przyciszonym głosem z Elfą i z siedzącą poniżej Teeliam Hoh. Ethan, któremu raz po raz wpadało w ucho jakieś słowo, zorientował się, że rozmawiają o tym, co się wydarzyło na zamku. Przestał zwracać na nich uwagę, nie miał najmniejszej chęci na zapoznawanie się z metodologią bestialstwa. Wystarczyło mu, że widział szramy i sińce na twarzy i ciele Elfy, że słyszał, jak pokiereszowana była psychicznie królewska nałożnica. Już wystarczająco wiele koszmarnych snów go prześladowało. Kiedy byli już pewni, że nad nimi zapadła ciemność, zabrali się do budzenia śpiących. Wygaszono wszystkie pochodnie.

– Pozwól, teraz ja – Ethan popatrzył na Septembra. Ten zmierzył go spojrzeniem, a potem zamienił się z nim na miejsca.

– Używaj strumienia krótkiego i o słabej mocy, mój chłopcze.

– Wiesz, nie jestem tak całkiem do niczego.

Ethan odwrócił się w stronę lodu nad głową i zaczął wytapiać go, przy czym z soczewki promiennika wydobywała się zaledwie najlżejsza poświata. September nie odpowiedział, a to znaczyło bardzo wiele. Przed Ethanem pokazało się coś w rodzaju skamieniałej iluminacji. Wyłączył promiennik, podniósł obydwie ręce do góry i mocno pchnął. Drzazgi lodu sypały się po jego masce, kiedy przebijał się na powierzchnię. Ostrożnie wysunął głowę na zewnątrz. Wszędobylski wiatr, jak powracający z wakacji przyjaciel, przyłożył mu w tył głowy. Jakies dziesięć metrów od niego znajdowała się niska, drewniana ściana, okalająca wybrzeże Poyolavomaaru. Obrócił się i spojrzał w drugą stronę. Dwie małe tratwy lodowe stały przywiązane do siebie. Nikt się nie poruszał, światło świeciło się tylko na jednej z nich. Był ostry mróz, jakies minus trzydzieści stopni i temperatura spadała dalej, więc zarówno żeglarze, jak i kupcy chronili się w cieplejszych tawernach i kabinach. Nad drewnianą ścianą kuliły się domy, jasno błyskały światła w mieście. Od czasu do czasu ponad wiatr wybijał się jakiś okrzyk. Ethan obejrzał się, pochylił i wsunął do tunelu. Wpatrywały się w niego niespokojne twarze okryte maskami lub futrem.

– Jesteśmy w porcie, pomiędzy końcami dwóch pomostów. Ale nie jestem w stanie niczego rozpoznać i nie widzę statku.

– Przepuść mnie. – Zwijając się i skręcając ile sił Hunnar precisnął się obok Ethana. Za nim poszli Elfa, Teeliam, Tersund i jeszcze jeden marynarz. W zamkniętym korytarzu pachnieli piżmem silniej niż zwykle. Hunnar obejrzał się na Ethana.

– Wy, moi osobliwie odziani przyjaciele, musicie pozostać tutaj. Tak wy, jak i wasza cudowna broń za bardzo rzucacie się w oczy. – I Hunnar rozpostarłszy dany przygarbił się i pozwolił, żeby go wiatr porwał.

Minuty ciągnęły się jak pełne troski godziny. A jeżeli ich pojmają? Albo co jeszcze gorsze, jeżeli jakiś przechadzający się poyoski żołnierz odkryje dziurę w lodzie? W wyobraźni Ethana rozgrywały się takie sceny i jeszcze z tuzin innych, równie krew mrozących w żyłach; a potem nagle głos Hunnara wyszeptał nad nim:

– Znaleźliśmy statek. Jest o dwa pomosty od nas. Na pokładzie jest tylko kilku wartowników, i śpią snem ludzi znudzonych, jak to zwykle ci niscy stopniem. A niektórzy śpią jeszcze mocniej. Chodźcie.

Załoga *Slanderscree* wychynęła z tunelu w milczeniu, ale wyraźnie ciesząc się, że jest znowu na powierzchni. Ethan wiedział, że wartownicy, którzy „spali jeszcze mocniej” to byli ci, którzy bez swej woli zaopatrzyli Hunnara i jego towarzyszy w trzymane przez nich teraz miecze i lance.

Więźniowie zebrali się pod niskim kadłubem trzydziestopięciometrowej tratwy kupieckiej. Jej tył był na tyle szeroki, że swobodnie skryła się tam cała załoga.

– Najsensowniejsze, co możemy teraz zrobić, to poszifować jak najszybciej w kierunku statku i postawić żagle, zanim miejskie patrole zdążą zareagować. – Hunnar podniósł miecz. – Mamy dość broni.

– Tak jest! – zawarczał stojący w pobliżu marynarz, zginając futrzaste palce uzbrojone w krótkie, grube szpony.

– Czy spotyka się to z waszą aprobatą, przyjaciele? – Hunnar popatrzył na trzech ludzi.

September przytaknął.

– Ja też nie jestem zwolennikiem jakiejś wyszukanej strategii. Do roboty.

Wszyscy trzej znowu trzymali promienniki w pogotowiu, mając nadzieję, że nie będą musieli posłużyć się tą mogącą zdemaskować ich energetyczną bronią. Hunnar wjechał w światło księżycowe, a potem w grupkach po pięciu cała załoga w milczeniu pomknęła po lodzie w kierunku czekającego klipra. Trzech ludzi, których łyżwy pozamykane były w szafkach na pokładzie, wykorzystało najprostszy sposób na szybki przejazd się po śliskiej powierzchni. Każdy z nich usiadł, wyciągnął ręce nad głową. Jeden marynarz złapał za jeden nadgarstek, drugi za drugi, rozłożyli dany i wystartowali w poprzek otwartego terenu portu.

Ethan mógł tylko boleć nad swoją pozbawioną godności pozycją i modlić się, żeby mocny materiał kombinezonu ochronnego okazał się wystarczająco wytrzymały. Materiał wytrzymał, ale na skutek tarcia, nawet po tak krótkiej jeździe, pewna część jego kombinezonu rozgrzała się do tego stopnia, że kompensatory uznały jej temperaturę za przykrą.

Z burty statku wciąż jeszcze kusząco zwisały wszystkie drabiny. Załoga klipra rozsypała się pod jego rozległym kadłubem i gorączkowo zaczęła wspinać się na górę, wykorzystując każdą dostępną drabinę.

Na pokładzie nie było żywej duszy.

– Najwyraźniej doszli do wniosku – powiedział półgłosem September – że głupio byłoby zamarzać w taką noc, kiedy W pobliżu mają do wyboru tyle ponętnych tawern. Ale czy nie Zastanowi ich brak tych towarzyszy, których ty załatwiłeś, Hunnarze?

– Myślę – powiedział rycerz z wilczym uśmiechem – że opuścili statek w poszukiwaniu ciepła i trunków zakładając, że ich nieobecni towarzysze zrobili to już dawno.

– Landgraf wykazuje wielką wiarę w swoje lochy. – Ethan z wdzięcznością się odprężył. Nie będzie tu żadnej walki.

– A czemu nie? – powiedziała Teeliam rozglądając się za kimś, kogo można by zabić, wyraźnie zawiedziona, że nikogo takiego nie ma. – Nikomu, jak pamięcią sięgnąć, nie udało się z nich uciec.

– Nikt też jeszcze dotąd nie przeszedł przez piekło. – Elfa powiedziała to w sposób, który sugerował, że ma na myśli coś Więcej niż tylko ich podróż przez lody i ocean.

– Teraz szybko! – Ta-hoding wydawał pospieszne rozkazy swojej załodze. – Postawić żagle, ale w ciszy!

Perspektywa bliskiej wolności dodała marynarzom energii; jak ptaki pomknęli w olinowanie. Żagle zaczęły się rozwijać opadając bezgłośnie.

Kapitan rozpostarł dany, które przy lekkiej nocnej bryzie ledwo starczały, żeby unieść jego prosiakowatą osobę w górę rampy lodowej, i poszifował na pokład sterowy. Stamtąd wykrzykiwał przyciszonym głosem do marynarzy na rufie, żeby pospieszyli się z kotwicami lodowymi. Inni członkowie załogi pracowali na pomoście cicho i z gorączkową sprawnością, zsuwając liny z kołków i kabestanu.

Chociaż tranowie poruszali się tak cicho jak plemię mrówek W miękkich kapciach, nie było szansy, żeby takiej działalności nikt przez dłuższy czas nie zauważył. I wkrótce jakiś głos zawołał w ciemnościach.

– Kto tam jest? Kto wszedł na pokład łupu?

Marynarze na pokładzie i na brzegu rozpaczliwie usiłowali wypatrzeć wołającego. Minęła minuta, a potem to już nie miało znaczenia.

– Na pomoc! Więźniowie uciekli! – W okrzyku tym było tyleż zdumienia co wściekłości. – Warta do statków, warta do statków, uwaga na te diabelskie...

Coś brzęknęło. Jeden z marynarzy zdążył zaopatrzyć się w kuszę ze zbrojowni na statku; teraz strzelił z bezanmasztu i wzywające na alarm słowa zmieniły się w niezrozumiałe gulgotanie. Z daleka dobiegło ich słabe plaśnięcie, kiedy coś uderzyło o ziemię.

Zbyt późno. Na brzegu słychać już było inne głosy, które gderliwie wykrzykiwały coś do siebie i do nie reagujących na nic postaci poruszających się na wielkiej tratwie. Ta-hoding, porzucając

wszelkie próby wymknięcia się ukradkiem z portu, podszedł do poręczy pokładu sterowego i rykiem przekazywał załodze polecenia z obfitą domieszką obelg.

Ociężale, z poskrzypywaniem ruchomych części omasztowania, *Slanderscree* ruszyła do tyłu i zaczęła wycofywać się od pomostu. Marynarze znajdujący się wciąż jeszcze w doku dostrzegli szifujące w ich kierunku uzbrojone postacie i wskoczyli na pokład. Nie było czasu, żeby poluzować wszystkie liny. Od strony doku dobiegł chór niesamowitych odgłosów: jakieś podzwanianie, pęknięcie i trzaski, pojękiwanie i inne dźwięki. Niewiarygodne liny z pika-piny wytrzymały, ale dok nie wytrzymał. Kołki i pacholki zostały powyrywane z gniazd i pofrunęły w kierunku masywnej tratwy, a Poyowie na pomoście usiłowali uchronić się przed latającymi w powietrzu odłamkami kości i drewna.

Na pokład *Slanderscree* wciągnięto drabiny, kilku z nich wciąż czepiali się marynarze. Sternicy Ta-hodinga, wyglądając, tak, jak gdyby miały na nich uderzyć siódme poty, gdyby to tylko było możliwe, ostro przekręcili koło. Kliper lodowy nadal się cofał, a jego dziób miarowo już obracał się na północ. Jak tylko ominie najdalej wysunięty pomost, reje przemieszczą się i zachodni wiatr wypełni żagle od tyłu.

Widzieli, jak wzdłuż brzegu pojawia się coraz więcej lamp oliwnych, jak dosłownie wylewają się na lód. Panował zamęt, wybuchały krzyki oburzenia, chaotyczne i jaskrawe jak płomienie. W kierunku olbrzymiego, widmowego klipra poleciało kilka strzał i parę włączni. Większość z nich nawet nie doleciała do celu, tylko dwie wbiły się od tyłu w pokład sterowy, kiedy skierował się on w stronę lądu. W obrębie budzącego się miasta rogi buczały jak żuki-grabarze, bębny wyły bardziej natarczywie, a zdenerwowani żołnierze wypuszczali strzały prosto w księżyc.

– Skręcać reje! – ryknął Ta-hoding.

– Skręcać reje! – powtórzyli jak echo jego oficerowie. Żagle *Slanderscree* obróciły się, rozległ się trzask, jakby ktoś strzelił z bata, płótna wydeły się jak biust pewnej kobiety, którą September kiedyś znał, i kliper lodowy ruszył do przodu nabierając z każdą sekundą prędkości.

Załoga miała dużo za dużo do roboty, żeby krzyczeć z radości.

Obydwa księżycy płynęły wysoko po bezchmurnym niebie. Okrążające wyspę urwiska Poyolavomaaru rzucały poszostne łaciate cienie na port, a obserwator z przedniego masztu ostrzegł ich okrzykiem:

– Tratwa pilota przed nami!

Ta-hoding popatrzył ponuro i groźnie na Ethana.

– Ucieszyłbym się, gdyby na jej pokładzie znajdował się sam kapitan portu Valsht, ten ekskrement w trańskiej postaci.

Minęło kilka sekund, wreszcie Ethan usłyszał słaby odgłos miażdżenia. Podbiegł na skraj pokładu sterowego; odłamki pociętego drewna prześlizgiwały się pod tratwą. Po chwili tylne płozy obróciły

je w drzazgi. Jego wzrok przesunął się za rufę, gdzie widać było przewalające się kawałki drewna jakichś miękkich fragmentów, rozsypane w kilwaterze klipra.

– Brama zamknięta! – wołał znowu obserwator. Ta-hoding nawet krokiem się nie ruszył, przypomniał tylko sternikowi, jaki trzymać kurs. Uchwycili nieco silniej za koło, a na pokładzie wszyscy natężyli się ze wszystkich sił przed spodziewanym zderzeniem. Ethan oczami wyobraźni widział, jak posępne, pełne nienawiści twarze z marsem na czole spoglądają w dół z oskrzydłających bramę gór. Opadł na jedno kolano, kiedy pokład roztańczył mu się pod stopami. A potem byli już za bramą. Popędził z powrotem do poręczy, żeby spojrzeć za rufę. Wściekłe światełka tańczyły daremnie po murach łączących dwie wyspy. Na oświetlonym przez księżyc lodzie leżały wyłamane i roztrzaskane na kawałki drewniane skrzydła bramy. Cztery gigantyczne bloki kamienne podskakiwały lekko za kliprem, do każdego wciąż przymocowane były nie naruszone liny z pika-piny.

Z pokładu tymczasem nadeszły meldunki o szkodach. *Slanderscree* będzie musiała przez jakiś czas obejść się bez bukszprytu. Jej zdolność manewrowania została wprawdzie nieco nadwątlona, ale szybkość nie. Pędzili teraz po lodzie, potężny zachodni wiatr popychał ich dłonią olbrzyma od tyłu, a pierwsza próba zawiązania unii trańskich wysp-państw, która skończyła się taką przygnębiającą porażką, zostawała szybko z tyłu za rufą.

ROZDZIAŁ 10

Musisz ruszyć za nimi w pościg, wasza wysokość. Zwracając się do Rakossy z Poyolavomaaru Calonnin Ro-Vijar starał się mówić z jak największym naciskiem.

Naokoło nich tłoczyli się w osobistych apartamentach Landgraфа szlachetni rycerze i generałowie tego miasta. Większość z nich wolałaby raczej znaleźć się w dowolnym innym miejscu niż w zasięgu głosu swojego rozjuszonego, krwiożerczego władcy.

Rakossa wydawał się nie słyszeć swojego królewskiego kolegi.

– Muszą ją pojmać! Jej ciała nie ma ani w lochach, ani na lodzie, ani w tym piekielnym miejscu, ani w tunelu... tym tunelu, który wydarła z lodu ta diabelska broń, ukradziona przez nią.

Podoficer, któremu podlegała zbrojownia zamkowa, nie był obecny wśród nich, więc nie mógł potwierdzić ani zaprzeczyć temu, co do czego większość obecnych w pokoju nie miała wątpliwości. Za swoją rozwiązłość, która sprawiła, że dał się uwieść, a potem pozbawić przytomności nieobecnej nałożnicy królewskiej, został już odesłany z powrotem do swojej rodziny. A ponieważ rodzina oficera rozproszona była po pięciu z poyolavomaarskich siedmiu wysp, trzeba im go było zwrócić w odpowiedniej ilości kawałków.

– Kiedy tym razem ją złapiemy, to... – Rakossa roztoczył przed nimi długą listę wymyślnych i przejmujących dreszczem propozycji. Wymachiwał równocześnie swoim długim mieczem, zupełnie nie zwracając uwagi na to, w co może trafić, ku wielkiemu zaniepokojeniu oficjeli, którzy stali w pierwszych rzędach asystującego mu tłumu.

– Wydaje się to nie do wiary, panie, że ośmielili się powędrować tym starym przejściem – mówił główny dozorca więzienny, zastanawiając się, czemu jego nie spotkał ten sam szczęśliwy los, co wartownika ze zbrojowni.

Jeden z rycerzy ukryty bezpiecznie na tyłach grupy powiedział półgłosem:

– Nie jest rzeczą mądrą ścigać tych, którzy potrafią pozbawić życia demony w piekle.

– Pożałuje, że odważyła się im pomóc! – Rakossa zamachnął się mieczem i rozbił bezcenną rzeźbę, zdobiacą oparcie jego fotela. – Skończyliśmy się już nią bawić. – Pokazał lśniące kły. – Nie po to wróci, żeby nam sprawiać kłopoty. Stworzymy dla niej piekło, do którego nie będzie musiała schodzić w dół, każdego dnia nowe, różnorodne i podniecające!

– Czy nie byłoby prościej, o panie – zapytał ten sam rycerz, który odezwał się przed chwilą –

wziąć sobie nową i bardziej chętną małżonkę?

– Kto to powiedział? Kto mówi Rakossie, co ma robić i jak sądzić?

Rycerz nie udzielił odpowiedzi i ugiął nogi w kolanach, żeby wtopić się nieco bardziej w tłum.

– Żadna glista nie będzie się nam opierać ani zyskiwać nad nami przewagi. Nauczymy ją, co może oznaczać piekło.

Jakiś inny oficjel szepnął, że ta kobieta, która zniknęła, odsłużyła już kilka lat jako małżonka Rakossy i bez wątplenia dobrze wie, co to słowo oznacza. Na szczęście Rakossa nie dosłyszał, bo kto wie, czy nie uznałby za słuszne wymordowanie wszystkich obecnych tylko po to, by mieć pewność, że zginie ten, który go obraził.

– Sprawiedliwość wymaga, żebyś ścigał ją... i ich – powiedział kojąco zgodny Ro-Vijar.

Gniew Rakossy nieco przygasł, obłęd, który przed chwilą miał go całkowicie w swojej mocy, ustąpił nieco miejsca w jego pokręconym umyśle bardziej logicznym myślom.

– Prawdę rzekłeś, przyjacielu Ro-Vijarze. Musimy udać się śladem jej i tych, którzy jej pomogli.

Jakże on zręcznie przekręca fakty, pomyślał Ro-Vijar z niesmakiem, byle tylko pasowały do jego koncepcji. Teraz to uciekinierzy winni są udzielenia pomocy kobiecie, a nie odwrotnie. Zdenerwował się widząc, że szalenciec przypatruje mu się zimno.

– Zawierzyliśmy twemu słowu w wielu sprawach, Landgrafie Asurdunu. W sprawie zamiarów tych trzech diabłów nie z tego świata i w sprawie ich trańskich przyjaciół.

– Mówię tylko prawdę, panie, o tym, co koniecznie trzeba zrobić. Od ciebie teraz zależy nasze bezpieczeństwo. Wszyscy będą wspominać potęgę twojego imienia.

– Ciekawi jesteśmy – wymamrotał z namysłem Rakossa, podczas gdy Ro-Vijar dokładał starań, żeby nie okazać, jak działa na niego to okrutne spojrzenie – czyim właściwie interesom tak naprawdę to wszystko służy. W każdym razie – odezwał się już z większym ożywieniem, odwracając wzrok od milczącego Ro-Vijara – sprowadzimy tę czarownicę z powrotem. A ponieważ służą jej ci, których twoim zdaniem trzeba zniszczyć, to żeby schwytać kobietę, musimy chyba ruszyć w pościg za wszystkimi.

– To diabły wcielone i niszczyciele, o panie.

– Zaiste są diabłami. Ale niszczyciele pragnęliby niszczyć, a nie pierzchać przed nami. A przecież niewielu zginęło, usiłując zapobiec ich ucieczce. Ciekawe, czy... chcemy ją odzyskać!

Zwrócił się ostro do stojącego w sztywnej pozie oficera.

– Talizeirze, gotuj flotę do pościgu. Wszystkie statki, wszyscy oficerowie, wszystkie załogi w stan gotowości, ruszamy z pierwszym światłem.

– Jak mój Landgraf rozkaże – odpowiedział wysoki, pełen godności tran. Przepchnął się przez tłum w stronę drzwi.

– Rozejść się – powiedział Rakossa pozostałym – Ci, którzy mają ruszyć w pościg, niech się przygotowują.

– Odzyskamy ją – zamruczał, kiedy został sam w komnacie. – I będziemy mieli ten statek, ten wspaniały lodowy statek na własność, chociaż Landgraf Ro-Vijar sam chciałby go mieć.

A jeśli chodzi o te diabły nie z tego świata, to kiedy ich znowu złapią, nieco bardziej uważnie będzie słuchał ich słów, a nieco mniej uważnie Landgrafa Asurdunu. Ten Ro-Vijar był wprawdzie starszy, bardziej doświadczony, ale jego słowa były równie pokrętne jak cele. Rakossa miał wrażenie, że jego zamysły pozostają w niezgodzie z mową.

Kości i krew unoszące się w morzu krzyków – skupił się znowu wyłącznie na swojej małżonce, Teeliam Hoh, która śmiała się poprzez gęstą krew, bulgoczącą jej na ustach.

* * *

Wiatr przelatywał z żałobnym wyciem po pokładzie *Slanderscree*. Wyszędłszy na pokład Ethan zamrugał oczami pod maską. Elfa, Hunnar i September stali pogrążeni w rozmowie w pobliżu bezanmasztu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył wśród nich także Teeliam, którą częściowo zasłaniała masywna postać Septembra.

– Ciepła i pomyślnych wiatrów dla ciebie, przyjacielu Ethanie – zawołał Hunnar radośnie. – Zastanawiamy się, co mamy teraz począć.

– Wciąż jeszcze nie możemy wrócić do Asurdunu. – September mówił poprzez membranę swojej maski.

– Nasza pierwsza próba zawiązania konfederacji rzeczywiście nie najlepiej się powiodła. – W głosie Ethana słychać było przygnębienie.

– O jakiej konfederacji ty mówisz, przyjacielu Ethanie? – zapytała Teeliam. Wyjaśnił jej, na czym polega ten pomysł.

– Zaczynam rozumieć znaczenie kłamstw tego fałszywego Landgrafa Ro-Vijara – powiedziała dawna królewska małżonka Poyolavomaaru. – On stara się chronić tylko jednego trana, siebie samego.

– Moglibyśmy powrócić do Wannome – podsunął Hunnar. Na twarzach wszystkich, którzy na niego patrzyli, odmalowała się cała gama wyrazów konsternacji i szoku; Hunnar pospiesznie zaprotestował. – Zrozumcie, to nie ja chcę tak postąpić. Ale uważam, że sprawiedliwość wymaga, by przekazać wam pragnienia niektórych członków załogi. Co do mnie przyznaję, że na początku powątpiewałem, moi przyjaciele. A teraz, im więcej podróżujemy po moim świecie i im częściej widzę, że władcy tacy jak Ro-Vijar i Rakossa zmawiają się na swoją własną korzyść, szczując trana na trana, państwo przeciw państwu, tym bardziej jestem przekonany o słuszności waszego planu. Ta

unia, której projekt przedstawiliście, to cel wartościowy sam w sobie, dla którego warto walczyć, niezależnie od tego, przyjacielu Ethanie, jaki kiedyś przyniesie podział korzyści i handlu.

September skomentował to z aprobatą.

– Nic tak nie pomaga przekonać obywateli, że potrzeba im nowej formy rządu, jak trochę jawnej zdrady i szachrajstwa ze strony polityków.

– Wśród załogi jest jeszcze wielu dobrych tranów, którzy myślą inaczej. – Hunnar objął gestem statek naokoło nich i zaludnione olinowanie nad ich głowami. – Już dawno zaczęli tęsknić za domem i więcej rozmawiają o małżonkach, kociętach i kochankach niż konfederacjach i polityce. Przygoda zaczyna ich nużyć, a nasze niepowodzenie w Poyolavomaarze tylko sytuację pogorszyło. Chcieliby zobaczyć znane sobie twarze i ogniska domowe.

– Nie są w tym odosobnieni – powiedział Ethan, czując, jak ciągnie go do ogniska bardziej odległego, niż rycerz był w stanie sobie wyobrazić. – Czy chcesz powiedzieć, że może nam grozić bunt?

Hunnar wykonał gwałtowny trański gest, oznaczający absolutne zaprzeczenie.

– Ta-hoding jest zbyt spostrzegawczym i zbyt dobrym kapitanem, żeby coś takiego mogło się zdarzyć. Nigdy by nie dopuścił do tego, żeby niezgoda posunęła się tak daleko. Tam, gdzie inny kapitan mógłby zakuć utyskującą załogę w kajdany, on potrafi rozbroić ich śmiechem albo marynarskim żartem. Chciałem tylko powiedzieć, że jeżeli ta podróż ma nam przynieść jakieś korzyści, to musimy odnieść taki sukces, który podniesie na duchu naszych mniej dalekowzrocznych towarzyszy podróży.

Ethan wpatrywał się w równoległe bruzdy, jakie płozy wycinały w lodzie za nimi.

– Jesteśmy szybsi niż jakikolwiek pościg z Poyolavomaaru. Problem w tym, dokąd się udamy?

– Wybaczcie mi. – Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Teeliam. – Nie dbam o to, dokąd się udacie, bylebyście nie wrócili do Poyo. Ale uważnie przysłuchiwałam się waszym rozmowom i wierzę, że wszyscy chcecie jak najlepiej. Ponieważ nie udało wam się w Poyolavomaarze, a winny temu były matactwa jego władcy, a nie jego mieszkańców, więc powinniście spróbować w następnym państwie, równie bogatym i potężnym, choć może nie tak agresywnym. – Pokazała głową gdzieś w przód.

– Żaden ze mnie żeglarz, ale mam rozeznanie w kierunkach i lokalizacjach. – Wydała taki odgłos, jakby mówiąc splunęła.

– Jest to konieczne, kiedy ucieczka staje się obsesją. Niecałe dwieście saczów na (tu trański odpowiednik południowo-południowego zachodu) leży legendarny Moulokin.

– Dwieście saczów... to niezła podróż w poszukiwaniu mitu. – Hunnar roześmiał się i nawet Elfa popatrzyła z powątpiewaniem na swoją wybawicielkę. – Nie istnieje takie miejsce jak Moulokin.

– Słyszałeś o tym miejscu? – Ethan przyglądał się rycerzowi ze zdumieniem. – Nigdy nie słyszałeś o Asurdunie, a miejsce jeszcze bardziej odległe od Sofoldu jest ci znane?

– Moulokin to legendarna nazwa na Tran-ky-ky, przyjacielu Ethanie. – Rycerz wciąż jeszcze szeroko się uśmiechał. – Wiele najwspanialszych statków miało zostać zbudowanych tam, w jego stoczniach. Lecz ani ja, ani nikt, kogo znam, czy z kim rozmawiałem, nigdy nie widział Moulokinu, ani nawet Moulokińczyka.

– Jeżeli to tylko mit, to co ze statkami?

– Przyjacielu Ethanie – Hunnar przemawiał do niego jak do kocięcia. – Każdy właściciel jest dumny ze swego statku. Im wspanialszy statek, tym większa jego duma. Twierdzić, że pochodzi się z Moulokinu to równocześnie rościć sobie prawo do chluby, z którą niewielu ośmieli się równać. Moulokin może nie być niczym więcej, jak honorową nazwą nadawaną przy lodowaniu najlepszym statkom zbudowanym w wielu stoczniach.

– Moulokin istnieje naprawdę. – Teeliam nie dawała sobie tego wyperswadować.

– Czy byłaś tam? – zapytał Hunnar.

– Nie – powiedziała i nagle przycichła.

– Czy znasz kogoś, kto był tam?

– Nie osobiście. Wiem o takich, którzy twierdzą, że handlowali z tymi, którzy tam byli. – Hunnar prychnął niedowierzająco. – Wiadomo w jakim leży kierunku – upierała się Teeliam wyzywająco. – Moulokin musi być potężniejszy nawet od Poyolavomaaru, ponieważ powiadają, że nigdy nie splądrowała go Horda.

– To absurdalne, przyjacielu Ethanie – dodał łagodnie Hunnar. – Im bogatsze miasto, tym bardziej przyciąga uwagę lodowych koczowników. Połączyliby się na pewien czas i żadne miasto nie zdołałoby im się oprzeć. Ani Poyolavomaar, ani Asurdun, zanim twoi ludzie nie zaczęli go chronić, ani moje własne Wannome. Nie mogliby wiecznie opierać się coraz to potężniejszym atakom. Im więcej ataków miasto wytrzyma, tym staje się bogatsze, a im staje się bogatsze, tym bardziej i tym częściej kusi napastników. To miło z twojej strony, że starasz się nam pomóc, Teeliam, ale Moulokin nie może nam udzielić pomocy, jeżeli sam nie istnieje.

– A co ty proponujesz? – zapytała Elfa, rzucając mu wyzwanie.

Wyglądało na to, że Hunnar zapomniał języka w gębie, tak niespodziewane było jej pytanie.

– Na pewno są inne państwa, gdzie moglibyśmy ponowić próbę, w jakimś nowym miejscu.

– Zamiast tego najpotężniejszego? – Zwróciła swoje niepokojące, kocie spojrzenie na Ethana. On z kolei zwrócił się do Teeliam.

– Jesteś pewna tego Moulokinu?

– Legendy nie znają kierunków. – Podniosła okrytą futerkiem rękę i pokazała na południe od dzioba. – Tam leży Moulokin, jeżeli w ogóle gdzieś leży. Czy nie należałoby spróbować go znaleźć?

September przyglądał się, jak w pewnej odległości równo z nimi szybuje gutorrbyn, przyglądając się im pożądliwie.

– Możemy zrobić i jedno, i drugie. Jeżeli Moulokin istnieje, odnajdziemy go. Jeżeli nie istnieje, równie dobrze naszego następnego potencjalnego sprzymierzeńca możemy szukać na południu, jak i w innym kierunku.

– Zgadzam się – powiedział Ethan. Obejrzał się na Teeliam. – Ale jeszcze jedno pytanie. Dwieście saczów to spora odległość od Poyolavomaaru. Spora, ale nie niewyobrażalna. Jeżeli tak bardzo warto odwiedzić Moulokin, dlaczego nikt z waszego miasta tam się nie wybrał?

– To niebezpieczna podróż. – Teeliam przerwała i dodała ciszej. – Nie ukrywałabym tego przed wami.

– Każda podróż po lodzie jest niebezpieczna – wtrącił z całą stanowczością Hunnar. – A skądże to niebezpieczeństwo na drodze do Moulokinu jest znane?

– Powiadają, że pomiędzy Poyolavomaarem a Moulokinem grasują diabły.

– Widziałaś już diabły. – Ethan poklepał się po promienniku przypiętym do pasa. – I widziałaś, co z nimi zrobiły nasze promienniki. Możemy pozabijać wszystkie diabły.

– Możliwe, ale nie możecie zabić morza.

– Co? – Ethan zmarszczył brwi.

– To są sujoki, niewidzialne diabły. One również najczęściej mieszkają w piekle, ale pomiędzy tym miejscem a Moulokinem hulają blisko powierzchni. Tam, gdzie to robią, wygina się od tego ocean. – Wyglądała teraz na przestraszoną, pomimo całej swojej dotychczasowej brawury.

– To nie jest możliwe – powiedział Hunnar.

– Takie chodzą pogłoski.

Elfa rzuciła Hunnarowi oskarżycielskie spojrzenie.

– Jeżeli Moulokin to rzeczywistość, a nie tylko legenda, dlaczego wygięty ocean nie miałby być równie rzeczywisty?

Dedukcja logiczna nie była mocną stroną Hunnara.

– Nie wiem – odparł gniewnie – ale ocean nie może się wygiąć.

– Przekonamy się, czy może, bo jak się domyślam, udamy się dalej tą drogą – powiedział Ethan.

– Jak zawsze, Sir Ethanie, przedkładasz śmiałość nad ostrożność. – Elfa niemalże mruczała. Hunnar wyraźnie zawarczał i sztywno odszedł w kierunku rufy.

Za każdym razem, kiedy Elfa popierała decyzję Ethana wbrew jego decyzji, zacny rycerz brał to za osobisty przytyk. I może tym razem rudobrody wojownik miał racje. Ethan głowił się nad słowami Teeliam, kiedy przekazywał kurs Ta-hodingowi, obracał w myśli jej uwagi usiłując znaleźć jakiś słaby punkt w swoim tłumaczeniu.

Oczywiście, że nie istnieje nic takiego jak wygięty ocean, podobnie jak nie ma żadnych diabłów, które mogłyby go wygiąć. Ale widział „diabła” na własne oczy i walczył z nim.

A przypuścmy, że i w tej legendzie jest jakieś ziarnko prawdy?

* * *

Hunnar leżał w słońcu na nowym bukszprycie, przesuwał pazurem po słojach drewna i kontemplował szept lodu przesuwanego się pod nimi. Minęły już całe dni od momentu, kiedy zawrócili, żeby ruszyć kursem wskazanym przez tę dziewczynę Teeliam w stronę wyimaginowanego celu. Słońce niewiele jeszcze było widoczne ponad horyzontem. Wczesny chłód poranka przenikał nawet trana.

W miarę jak słońce się podnosiło, światło szarzało, a ponury lód przybierał nieco weselszy, biały kolor. Hunnar prawie nie zwracał uwagi na słońce. Nie zastanawiał się też nad osobliwą misją, do której przekonali go jego przyjaciele nie z tego świata, natomiast wszystkie jego myśli skierowane były na córkę Torska Kurdagh-Vlaty, Landgrafa i Prawego Opiekuna Wannome i Sofoldu. Na to, jak od wiatru falowało jej futro, takie gęste i gładkie, jak szlachetny był szary puszek na jej czole, sklepionym nad oczami, które zdolne były wyrazić więcej niż wargi niejednej kobiety. Gdzieś w głębi serca dobrze wiedział, że przyjaciel Ethan nie chciał stać na zawadzie jego pragnieniom i z pewnością sam nie miał żadnych zamiarów w stosunku do tej damy. To prawda, że Ethan wielokrotnie dawał temu wyraz. A przecież oni dwaj często znajdowali się po przeciwnych stronach podczas dyskusji i ten maleńki, ale nieprawdopodobnie ciężki człowieczek (lite kości, tak mówił czarodziej Eer-Meesach, nie puste w środku jak u tranów) wygrywał we wszystkich tych dyskusjach, w których Hunnar najbardziej pragnął zrobić dobre wrażenie na swojej damie. I kończyło się na tym, że Elfa gratulowała i gruchała z aprobatą do tego bezwłosego karła, zamiast do niego. Bardziej pragnął kilku słów pochwały od niej niż sławy w walce, bogactw z handlu czy pasowania na rycerzy tranów pod swoim dowództwem.

Bruzdy w drewnie pogłębiały się w miarę, jak płynęły jego myśli. Do czego ona chce doprowadzić, przedkładając tego obcego nad niego? Może i Ethan zarzekał się uczciwie, ale czy Elfę mógł w jakiś nienaturalny sposób pociągnąć osobnik innej rasy? Stworzenie, które wyrażało nienawiść do walki, kiedy tylko miało do tego okazję, które bez swoich sztucznych szifów-łyżew padłoby na lód plackiem, jak nowo narodzone kocię? Zawarczał półgłosem. Podchodził do sprawy to z tej, to z tamtej strony, przemyślał ją sobie na różne sposoby, a nie potrafił dojrzeć dziecinnie prostego wyjaśnienia.

Zamrugnął podwójnymi powiekami, i zaczął się wpatrywać z zainteresowaniem w horyzont.

Daleko, na powierzchni oceanu piętrzył się jakiś niezwykle wał. Muszą się zbliżyć do następnej wyspy. Powoli zaczął coś obliczać w pamięci. Nie mógł to być Moulokin, jeżeli oszacowanie odległości przez Teeliam na dwieście saczów było słuszne. Zostałaby im jeszcze jedna trzecia drogi. Ale to coś, cokolwiek to było, rosło mu w oczach. Jakaś inna wyspa, a światło poranka pobłyskiwało dziwnie jaskrawo na jej zboczach.

Zapomniał o Elfie, przynajmniej na tyle, żeby się skoncentrować na tym, co widział. Wyglądało to tak, jak gdyby skały i ziemia tej rosnącej wyspy zostały wypolerowane niczym lustro. Słońce rozszczepiało się w nich w nieskończoność, jak w klejnotach w paradnym berle Landgrafa. W tym okołorównikowym obszarze na powierzchni lądów na ogół nie było śniegu. Nie było go też w Poyolavomaarze, ale wydawało się, że tu jest inaczej.

Kliper lodowy pędem zbliżał się do wyspy, która zdawała się nie mieć końca. Wręcz odnosił wrażenie, że ocean całkiem gładko przechodzi w samą wyspę. W kilka minut później oczy stanęły mu w ślup, gdy dotarło do niego, co się za chwilę może stać. Ponieważ nie spodziewali się żadnego lądu, widać obserwatorzy się rozleniwili. Na szczęście jeden z nich siedzący w koszu na przednim maszcie zauważył zbliżającą się masę i ryknął ostrzeżenie w stronę statku.

– Zwolnić... zderzenie na kursie!

Hunnar już szifował ścieżką lodową wzdłuż lewej burty w kierunku pokładu sterowego, po drodze wyrzaskując polecenia. Kiedy marynarze rzucili się w olinowanie, kliper zaczął trząść się jak pajęczyna. Na ścieżce, którą teraz Hunnar pędził, spał najspokojniej w świecie jeden z marynarzy. Hunnar pochylił się, odbił, przeleciał nad leżącą płasko postacią i wylądował na ścieżce po drugiej stronie.

Ta-hoding jeszcze się nie obudził i nie wyszedł na pokład, ale drugi oficer imieniem Fassbire już się tam znalazł. Zaczął przekazywać własne polecenia, koordynując je z informacjami od Hunnara. Żagle wybrano, reje ustawiono pod kątem. *Slanderscree* zaczęła zwalniać. Hunnar rzucił pełne niepokoju spojrzenie do przodu, ale przekonał się, że zdążą wyhamować. Kotwice lodowe nie będą konieczne.

Załoga chwiejnie wysypała się na pokład, widać było ich przymglone ze snu oczy. Kiedy ci, którzy wynurzali się z przedniej kabiny, zobaczyli, co sunie w ich kierunku, rozległy się okrzyki przerażenia. Razem z marynarzami na pokładzie pojawił się Ethan, a tuż za nim September. Ludzie tak się już zdołali przystosować do pogody na Tran-ky-ky, że odrzucili kaptury i zsunęli maski, wystawiając twarze na chłodne, poranne powietrze, na dwadzieścia pięć stopni mrozu i pchający ich wiatr o szybkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ale wkrótce pozakładali kaptury i maski, niebezpieczeństwo odmrożenia było zbyt realne, żeby kusić los.

Nie umknęło uwadze Hunnara, że Ethan sapie uszczelniając maskę i musiał sobie po raz kolejny przypomnieć, że ludzie dyszą nie po to, żeby wychłodzić swój organizm, tylko dlatego, że brak im tchu. Tymczasem Ethan wypatrzył przyjaciela stojącego na stanowisku kapitana i pobiegł w kierunku pokładu sterowego.

– Co to jest, Hunnarze?

Rycerz, któremu wywietrzały już z głowy wszelkie niedorzeczne myśli o romantycznej rywalizacji, pokazał do przodu, a potem na lewo i na prawo, gdzie rozciągał się tajemniczy wał.

– Jak dotąd mit Teeliam się sprawdza, przyjacielu Ethanie. Szczęście, że nie spałem i... i byłem czujny, bo obserwator albo drzemał, albo patrzył gdzie indziej, jak sądzę.

Ethan przejechał na butach przez lodową ścieżkę i podbiegł do poręczy, żeby bliżej przypatrzeć się tej godnej uwagi przeszkodzie przed nimi oraz błyskom, które odbijał mu prosto w oczy poszarpany i udręczony lód.

– Wygięty ocean – zamruczał ze zdumieniem. Powtórzył to Hunnarowi, kiedy ten już wszedł na pokład sterowy.

– A więc ciebie to raduje, przyjacielu Ethanie? Czy nie wytrąciłoby cię z równowagi, gdybyś zobaczył, że ocean twojego własnego świata tak anormalnie wygina się i skręca?

– Ciekły ocean nie może się wygiąć, Hunnarze. A w każdym razie nie w taki sposób. Nie wiem, jak to się nazywa, ale widziałem odbit... obrazy przedstawiające coś takiego na innych światach. Może niektóre z nich zrobione były na moim własnym świecie. Nie wiem. To jest lód, taki sam lód jak ten, po którym przejechaliśmy już tyle saczów.

Nadal zwalniali podjeżdżając coraz bliżej do wału wyszczerbionych bloków i włóczni lodowych, zamrzniętych wiązarów i połyskliwych, białych głazów.

– Ale ten ocean jest wygięty – upierał się Hunnar tonem kogoś, kto opisuje kulisty świat jako płaski.

– Nie tyle, dokładnie rzecz biorąc, wygięty – wyjaśnił Milliken Williams z drugiej strony pokładu sterowego – ile sprasowany. To jest wał ciśnieniowy. Całe wieki temu musiał to być jeden z ostatnich obszarów nie zamrzniętej wody na Tran-ky-ky. Dwie zamarzające masy lodu posuwały się ku sobie i w ostatniej chwili utworzyły ten mur z połamanych kawałów kry. Kłaśnijcie w łapy lub dłonie zanurzone w misie wody, a woda wystrzeli pomiędzy nimi w górę. To właśnie przytrafiło się w tym miejscu oceanowi, Hunnarze. Ten wał utworzył się dzięki hydrofizyce, a nie diabłom czy demonom.

– A czy ja mówiłem, że utworzyły go diabły? – odezwał się Hunnar z wielką godnością. – Czy masz mnie za jakiegoś przesądnego, głupkowatego, pospolitego żeglarza?

– Przepraszam cię. Nie chciałem cię urazić – odparł nauczyciel żałośnie.

Hunnar przyjął przeprosiny burkliwie, po czym szybko zmienił temat.

– Troskać powinniśmy się nie o to, jak to coś nazwać, ale jak przez to przejechać.

Ethan przyglądał się niesamowicie równemu wałowi.

– Nie może mieć więcej niż dwadzieścia metrów wysokości. Przecież chyba jakoś uda nam się go

gdzieś przekroczyć.

Rozesłano patrole na wschód i na zachód, by poszukały w lodzie przerwy, przez którą dałaby radę przejechać *Slanderscree*. Grupki marynarzy niechętnie opuszczały statek, żeby badać wał, a i to dopiero wtedy, kiedy wręczono im chroniące przed diabłami amulety, które pośpiesznie wyrzeźbił Eer-Meesach.

Kliper lodowy stał tymczasem dziobem do wału, ze zwiniętymi żaglami. Kiedy pierwsi ze zwiadowców przysifowali z powrotem, Ethan i inni z niecierpliwością oczekiwali na ich raport. Niestety nie był on zbyt optymistyczny.

Według większości zwiadowców wał biegł nieprzerwaną linią niemal idealnie ze wschodu na zachód. Ciągnął się, jak okiem sięgnąć po odległy horyzont. W niektórych miejscach monstrualne kawały lodu wznosiły się znacznie wyżej niż dwadzieścia metrów, przed którymi teraz stali.

Ci, którzy odważyli wspiąć się na wał, nie napotkali żadnych diabłów; wrócili cali i zdrowi, ale wyraźnie zniechęceni. Chociaż wał miał zaledwie sto metrów szerokości, był równie masywny jak płozy statku.

– Nie możemy go objechać dookoła i nie możemy przejechać górą. – Ethan stał na grani wału i wpatrywał się w kuszącą przestrzeń otwartego oceanu po drugiej stronie. – Na przełaj się też nie przedostaniemy. *Slanderscree* to nie żaden termodziób.

– Co to jest termodziób? – zapytał Hunnar; wrył się głęboko szifami w lód, co pomagało mu utrzymać równowagę na wietrze.

– W arktycznych regionach innych światów istnieją statki, które w dzioby i boki kadłubów mają wbudowane elementy o wysokiej mocy grzewczej, żeby topić lód. Widziałem ich zdjęcia na trójwymiarówce. – Zerknął przez ramię na kliper lodowy. Marynarze poruszali się apatycznie po pokładzie i olinowaniu i usiłowali się czymś zająć, żeby zagłuszyć przygnębienie. – Gdybyśmy gdzieś znaleźli źródło mocy o wystarczającej wydajności, żeby ponownie naładować promienniki, moglibyśmy z ich pomocą wytopić sobie drogę.

– No, no, mój chłopcze. – September pokazał na masywne, otaczające ich bloki lodu. – Zajęłoby nam to ze sto lat, żeby tymi lilipucimi promiennikami wytopić w takim wale przejazd rozmiarów *Slanderscree*. Musielibyśmy mieć dostęp do niezgorszego palnika stocznioowego. – Rzucił okiem na zachód; cząsteczki lodu niesione wiatrem biły w jego maskę. – Albo musielibyśmy ruszyć parę bloków lodu.

– Bloków. – Ethan tupnął nogą. – Ile według ciebie może ważyć ten, na którym stoimy? Dziesięć ton... dwadzieścia?

September poprzyglądał się przez chwilę swojemu młodemu towarzyszowi, a potem obejrzał się na stojącą na kotwicy *Slanderscree*.

– A jednak może się to udać. Jeżeli wiatr się utrzyma.

– Czy jeszcze niczego nie nauczyłeś się o moim świecie? – odezwał się Hunnar krytycznie choć łagodnie. – Wiatr wieje tu zawsze, dzień i noc, latem i zimą. Jeżeli wiatr ustanie, Tran-ky-ky obróci się do góry nogami.

– Daj sobie spokój z filozofią, Hunnarze. Czy sądzisz, że nam się to uda?

– Nie mnie o tym sądzić, przyjacielu September. Najlepiej zadać to pytanie kapitanowi...

– Jeżeli Ethan, September i Williams wierzą, że jest to wykonalne, kim my jesteśmy, żeby się nie zgadzać? Poza tym sądzę, że to doskonały pomysł – powiedział Eer-Meesach. – Ta-hoding przytaknął, że zgadza się z trańskim czarodziejem, a potem zabrał się do wydawania koniecznych rozkazów.

Najniższy głąz tkwiący w wale naprzeciwko *Slanderscree* owinięto linami z pika-piny. Nim to zrobiono, szereg zawitych manewrów pozwolił obrócić wielki klipser lodowy rufą do lodowej bariery. Drugie końce lin przywiązano do elementów konstrukcyjnych kadłuba tratwy. Ethan i September obserwowali wszystko stojąc na lodzie. Przyglądali się, jak żagle i reje ustawiono tymczasem tak, żeby pochwycić maksimum wiatru. *Slanderscree* wyteżyła się, zaczęła postękiwać i trzeszczeć jak jakiś starzec. Liny grały na wietrze, zagłębiały się w pojedynczym kawale lodu, który ważył dobre piętnaście ton.

– Myślisz, że wytrzymają? – zapytał Ethan nie odwracając się; oczu nie odrywał od statku.

– Liny? – parsknął September. – Na ile zdążyłem zorientować się we własnościach pika-piny, to nie o liny się martwię. Liny wytrzymają, ale statek jest tylko z drewna.

Gdzieś w głębi klipra, który ani drgnął, drewno zaczęło pojękiwać. Taki sam byłby efekt, gdyby płozy mu wmarzły w lód. Tym bardziej zaskoczył ich odgłos jak gdyby roztrzaskującego się szklanego pucharu, kiedy lodowy blok nagle się oblużował. Ciągąc za sobą masę o rozmiarach wahadłowca, *Slanderscree* ociężale ruszyła na północ. Ci z marynarzy, którzy akurat nie musieli nic robić, zaczęli wiwatować. Żagle wytrzymały. Wytrzymały też liny i pokład, do którego zostały przywiązane.

Klipser lodowy zaczął zwalniać. Ta-hoding wyryczał jakiś rozkaz. Zmieniono ustawienie rei. Teraz statek skręcał o dziesięć, piętnaście stopni na północny wschód od swojego początkowego kursu, pod innym kątem przykładając siłę do lodowego bloku.

Z trzaskiem, który brzmiał tak, jak gdyby ktoś wyrywał kamień węgielny z korzeniami, blok uwolnił się z wału i sunął teraz za klipsem. Minęło jeszcze kilka minut, zanim Ta-hoding mógł rozkazać, żeby zwinięto żagle i zmieniono ustawienie rei, by zredukować rosnącą szybkość *Slanderscree*. Ludzie i tranowie ruszyli, chcąc przyjrzeć się tej gigantycznej, zamrożonej bryle; biała i nieregularna, wznosiła się na wysokość stępki tratwy.

Williams przypatrywał się szerokiej wyrwie w wale ciśnieniowym. Ethanowi przypominała ona szczerbę po wybitym zębie.

– Lepiej, niż mogliśmy się spodziewać – mówił nauczyciel. – Wyciągając ten blok ze spodu poruszyliśmy nieźle te leżące nad nim.

I rzeczywiście kilka innych masywnych, białych monolitów spadło na płaską powierzchnię oceanu. Można je teraz było odciągnąć na bok mniejszym nakładem sił niż ten pierwszy. Tranowie wesoło zajęli się zakładaniem pętli i mocowaniem lin naokoło następnej bryły; teraz przynajmniej byli już prawie pewni, że to wcale nie jest drogą, po której zwykł podróżować Jhojoog Kahspen, demoniczny pan otwartego oceanu, jak to niektórzy obdarzeni szczególnie bujną wyobraźnią członkowie załogi z drżeniem sugerowali na początku.

ROZDZIAŁ 11

W kilka dni później niemalże ukończono torowanie przejazdu o szerokości wystarczającej dla *Slanderscree*. Od otwartego oceanu po drugiej stronie nie odgradzało ich już nic, poza kilkoma niewielkimi blokami lodu. Ta-hoding martwił się trochę o swój statek; niepokoiło go, że konstrukcja narażona była na osłabienie przez to ciągle hamowanie i holowanie, ale zaczął uspokajać się w miarę, jak bez żadnych widocznych uszkodzeń rufy wrywano i odciągano z drogi jeden wielotonowy blok za drugim. Jeszcze tylko trzy albo cztery kawały lodu o umiarkowanych rozmiarach i przedostaną się na drugą stronę. Przygotowywano właśnie liny, żeby przymocować je do jednego z ostatnich bloków, kiedy pracę przerwały pełne trwogi krzyki obserwatora tkwiącego na głównym maszcie.

– Rifs! Z północo-północo-wschodu!

Te groźne słowa usłyszał również Ethan pracujący w grupie marynarzy zakładających kable. Podobnie jak jego towarzysze przerwał pracę niczym nożem dźgnięty, gwałtownie się odwrócił i spojrzął w kierunku, z którego zbliżało się niebezpieczeństwo.

Z Rifsem spotkali się wcześniej tylko jeden raz i to o ten jeden za dużo. Była to meteorologiczna anomalia, specyficzna dla Tran-ky-ky, przejaw krańcowych warunków atmosferycznych, tworzących się nad oceanem, który zamiast być płynny i ciepły, był zimny i stały. September określał to zjawisko jako liniowy huragan, niosący ze sobą wiatry o szybkości przekraczającej dwieście kilometrów na godzinę.

Poruszając się niezbyt zgrabnie na swoich łyżwach, September zjechał z wału za resztą obsługi lin. Zanim się pojawił na dole, na północnym zachodzie widać już było czarną smugę, która z tak daleka wyglądała zupełnie nieszkodliwie. Rosła ona jednak dosłownie w oczach, zagarniając dla siebie cały widnokrąg. Ta czarna kreska była powietrznym odpowiednikiem fali powrotnej, tworzącej się pod działaniem przyływu, smolistą, obrzękłą aż pod niebo ścianą wiatru sprasowanego jak powietrzna gąbka. Potrafiła zetrzeć z lodu wszystko, co żyje, poza mocno zakorzenioną roślinnością taką jak pika-pedan, czy potężnymi organizmami żywymi typu stawanerów. Niestety *Slanderscree* nie była ani dobrze zakorzeniona, ani taka masywna i musiała zrobić to, co robiły wszystkie inne formy życia, kiedy nadciągał Rifs – uciekać.

– W życiu nie oczyścimy tego przejazdu na czas – wykrzyknął jeden z zaniepokojonych tranów, który stał przy lewej tylnej płozie statku.

Ethan oswobodził stopy z łyżew, wspiał się na najbliższą drabinę. Na pokładzie sterowym znalazł Ta-hodinga, Elfę i Hunnara pogrążonych w ożywionej dyskusji. Williamsa i Septembra nigdzie nie

było widać.

– Musimy poluzować liny i uciekać, dopóki Rifs się sam nie wyładuje – mówiła Elfa.

– Rifs potrafi wiać przez wiele dni. Stracimy czas – argumentował Hunnar.

Elfa szyderczo popatrzyła na niego.

– Lepiej tracić czas niż statek.

– Niewykluczone – wtrącił Ta-hoding, który pragnął służyć jako rozjemca, a równocześnie nie spuszczał oka z gwałtownie przybliżającej się nawałnicy. – Ale zdaje mi się, że Sir Hunnar ma jeszcze inną propozycję.

– Tak jest. – Hunnar wskazał gestem do tyłu. – Musimy cofnąć się, rozpedzić i spróbować się przebić na drugą stronę.

– W ten sposób rozbijemy statek a nie lód. – W tej chwili Elfa dostrzegła stojącego w pobliżu Ethana i gwałtownie zmieniła ton głosu. – A co ty sądzisz, Sir Ethanie?

Ethan zdał sobie nagle sprawę, że wszyscy marynarze, kapitan, giermkowie i rycerze nie spuszczają zeń wzroku. Nie przerywali swojej gorączkowej pracy, ale w napięciu czekali na jego odpowiedź.

W porządku. Usłyszą ją wszyscy.

– Sądzę, że powinniśmy zrobić to, co proponuje Sir Hunnar – powiedział na tyle głośno, żeby każdy mógł go jasno zrozumieć. – Rifs to nieprzyjaciel, z którym musimy się zmierzyć, a w sprawach walki jego osąd jest zawsze najlepszy.

Hunnar wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę i wymamrotał jakby po namyśle:

– Nie mamy wyboru. Musimy spróbować się przebić.

– A więc postanowione!

Ta-hoding wyglądał, jakby mu ulżyło i zabrał się do wydawania odpowiednich rozkazów. Tłumek, który ukradkiem przesuwiał się w stronę pokładu sterowego, rozproszył się na swoje stanowiska. Hunnar i Ethan patrzyli sobie jeszcze przez moment w oczy, wreszcie Hunnar lekko się uśmiechnął i ruszył na swoją ulubioną pozycję.

Czy był mu wdzięczny, czy też rozgniewał się za jakąś protekcyjność, o którą mógł go podejrzewać? Ethan nie miał chwili czasu, żeby zastanawiać się nad stanem umysłu rycerza. Trzeba było pochować kable, rozprostować liny, dodać ducha marynarzom. Po całym pokładzie rozbrzmiewały rozkazy. Kliper lodowy zaczął zataczać wielkie koło. Ten kurs poprowadzi ich po krzywej na wschód, potem na północ, prosto we frontową falę nawałnicy. Kiedy dmuchnie im w plecy, sami pomkną jak wicher w kierunku niemalże ukończonego przejazdu w wale i rozbiją

pozostałe bryły lodu.

Istniały też jeszcze inne scenariusze, inne możliwości, ale Ethan wolał nie brać ich pod uwagę.

Kiedy patrzył na to chłodnym okiem, z punktu widzenia sztuki żeglarskiej plan ten był w stu procentach realny, gorzej jeśli zaczynały grać emocje. Nawałnica wydawała się dosłownie sięgać po nich, kiedy zbliżali się do punktu leżącego w połowie zataczanego kręgu. Tak blisko frontu fali powrotnej niebo przypominało rozległy płat z czarnego, lanego żelaza, który wznosił się groźnie w górę po ich lewej stronie, gotów zwalić się w każdej chwili i zgruchotać miękkie drewno i jeszcze delikatniejsze stworzenia, żeby z nich tylko różnokolorowe plamy na oceanie zostały. Jeżeli popełnili w swoich obliczeniach jakąś pomyłkę i Rifs uderzy w statek od burty, niewątpliwie wywróci go do góry dnem i rozniesie na drzazgi maszty, kabiny, pokład i załogę.

Migocząc jak złota nić w aksamitnej opończy błyskawica utorowała sobie drogę w dół przez wrzące ciemności. Do uszu załogi doszły grzmoty i trzaski, te okrzyki wojenne nieprzyjaznej pogody i pobudziły ich do jeszcze szybszej pracy, do bardziej wytężonych wysiłków, żeby w porę zawrócić statek. Rifs niezdarnie, po omacku poszukiwał statku. Te pierwsze dotknięcia nie były jeszcze gwałtowne, ale nie przypominały równomiernych, przyjaznych, codziennych wiatrów Tran-ky-ky. Skończył się już ich wytrwały pęd na zachód. Naokoło Ethana prześlizgiwały się niespokojne powiewy. Martwe podmuchy przelatywały obok niego kręcąc się rozpaczliwie i pomykając to tu, to tam, jak przestraszone króliki, szukające jamy.

– Na włosku to wszystko wisi, mój chłopcze – powiedział September posępnym głosem, jakiego Ethan jeszcze nigdy u niego nie słyszał. Olbrzym obiema rękami ciasno obejmował parę sztagów grotmasztu. Ethan wybrał sobie bardziej solidną drewnianą poręcz, oplótł nogą jedną z podtrzymujących poręcz balasek, a ręce zaplótł na górnej poręczy.

W chwili kiedy *Slanderscree* wykonała pełny obrót i ustawiła się dziobem na południe, Rifs skoczył na nich, desperacko usiłując schwytać swoją ofiarę. Niebo zmieniło się z niebieskiego na czarne. Grzmoty waliły w uszy zaokrąglone i spiczaste bez różnicy. Wielkie ostrza elektrycznej śmierci polowały na umykającą tratwę. Rifs przypominał Ethanowi to jednookie stworzenie, mięsiste i świecące, z którym walczyli pod powierzchnią oceanu, uciekając z lochów Poyolavomaaru. Rozjarzone oko, gigantyczna paszcza pełna szczerbatych zębów. Tylko że teraz te zęby znajdowały się o całe kilometry nad nimi i były żółtozłote, a nie przezroczyste. Z trudnością oderwał wzrok od zbliżającego się wału lodowego i skierował go na pokład sterowy. Ta-hoding, który bardziej w tej chwili przypominał granitowy głaz niż ich tłustego kapitana, stał zaparty o środek wielkiego koła i z mozołem pomagał swoim sternikom. Mknęli już chyba z szybkością blisko stu kilometrów na godzinę. Rifs dmuchnął znowu z pełną mocą, wydał zagle jeszcze bardziej do przodu i zwiększył ich prędkość. Jeżeli przy tej szybkości nie trafią na przejazd, nie będą się już musieli martwić Rifsem. Kliper lodowy rozleci się na kawałki. Z jego załogi nawet plama nie zostanie. Ale nie tylko takie niebezpieczeństwo im groziło, nawet jeżeli trafią na przejazd ale pod zbyt dużym kątem w jedną albo drugą stronę, szczerbate głązy lodowe mogą pourywać podpory, zwalić im maszty na głowy, a nawet roztrzaskać burty.

Nad głowami mieli czerń, na ich spotkanie pędziła biel. Niesione wiatrem cząsteczki lodu i śniegu gwizdały Ethanowi po masce jak pociski z miliona maleńkich dział i utrudniały patrzenie.

Teraz już ryk nawalnicy wydawał się mieć swoje źródło gdzieś między jego uszami, powodował odrętwienie zmysłów, płatał figle jego zdolnościom postrzegania. Czy nie dojechali jeszcze do wału? W chwili kiedy *Slanderscree* wjechała w przejazd, alabastrowy tunel przysłonił niemal całą czerń. Ethan podobnie jak wszyscy inni na pokładzie zebrał wszystkie siły w oczekiwaniu na ostateczne zderzenie. Rozległ się potworny, chrupliwy dźwięk. Nie potrafił powiedzieć, czy to statek uderzył w poszczerbione ściany przelatujące pędem po obu jego stronach, czy też trafił go piorun. Przez chwilę kliper kołysał się szaleńczo.

I oto znaleźli się po drugiej stronie, białe mury zniknęły, czysty lód przemykał pod płozami statku. Walcząc z wiatrem obejrzeni się do tyłu i zobaczyli wał ciśnieniowy od strony południowej. Oddalał się od nich w szalonym tempie. Ethan sięgnął wzrokiem w przód i już wiedział, co tam zobaczy. Chyba gdzieś jakieś fatum musiało zdecydować, że *Slanderscree* nie dane było podróżować z bukszprytem. Ale poza tym drobnym uszkodzeniem kliper raczej dobrze sobie poradził w zderzeniu z lodem. Maszty nie wywróciły się, na pokładzie nie widać było żadnego pęknięcia.

Nagle coś podrażniło mu usta. Rozchylił wargi, wessał jakąś słonawą ciecz. Osłaniając twarz przed wiatrem uchylił maskę. Lodowate palce rękawic pomacały nagą skórę, poczuł, że leci mu krew z nosa. Obmacał go. Chyba nie był złamany. Ale czuł się tak, jakby stało się z nim coś jeszcze gorszego, poza tym krew brudziła mu kombinezon od środka. Rozejrzał się, zobaczył, jak inni członkowie załogi zbierają się z pokładu, na który się powywracali albo na który rzuciło ich, kiedy taranowali ostatnie bloki lodu. Jakim cudem ci w olinowaniu zdołali się utrzymać na górze, w to wolał nie wnikać.

Żagle wytrwale trzymały się rei, reje masztów, maszty trzeszczały w gniazdach pokładowych, załoga wytrwale zanosila modły do wszelakich osobistych bóstw, jakie wielbiła, żeby całość nie rozłożyła się ponownie na swoje części składowe, a *Slanderscree* mknęła na południe z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

* * *

Tran ukląkł w przejeździe przez wał ciśnieniowy. Futrzaste palce zebrały kilka niebiałych, nielodowych fragmentów. W większości były one cienkie i nieregularne. Jeden ukląkł go w palec i zbierający zaklął. I tak miał ich już dość. Ustawił ramiona równolegle do lodu i pohalsował z powrotem do grupy tranów czekających niecierpliwie na drugim końcu przejścia. Tu opuścił ramiona, zamknął dany i zręcznie zakończył swój ślizg. To byłoby do niczego niepodobne, gdyby w obecności tylu osób miał się potknąć czy wywrócić.

– Oto kilka z tych, które znalazłem, panowie. Na drugim końcu tego przejazdu leży wiele takich fragmentów.

Tonx Ghin Rakossa, Landgraf Poyolavomaaru, wziął do rąk niewielkie kawałki strzaskanego drewna. Baczenie im się przyglądał, odsunął palce od tego, którym pokłął się zwiadowca.

– Wiele takich fragmentów? Wystarczająco dużo, żeby złożyły się na część wielkiego statku?

– Nie, panie. Nie widziałem tak wielkiej ilości szczątków.

Rakossa rzucił ze złością kawałki na lód.

– A więc udało im się uciec przed Rifsem. – Delikatnie dotknął bandaża nad swoim lewym okiem. – Chociaż nie bez szkód.

– Pięć bruzd od ich płóz ciągnie się za przejazdem na południe, panie – dodał usłużnie zwiadowca, przypoehlebając się.

Rakossa zignorował go.

– Szkoda, że nie znamy rozmiarów tej szkody. Ale musieli stracić sporo czasu, żeby utorować sobie drogę przez ten wał.

Leżące dookoła masywne bryły lodu świadczyły o tym, w jaki sposób kliper lodowy utorował sobie tę drogę i Rakossa z pełnym pożądlivości podziwem myślał o mocy statku, który potrafił ruszyć z miejsca taki ciężar.

– Są przez to opóźnieni. – Ukląkł, musnął palcami sypki jak puder lód pokrywający bruzdy. – Nawet Rifs nie zwiął tego do czysta. Są bardzo blisko. Ale teraz znowu powiększą dystans między nami.

– Tym niemniej dogonimy ich, wasza wysokość – powiedział Calonnin Ro-Vijar.

– Tak. Dogonimy ich. I tę zdrażliwą dziewczkę również. Rakossa odwrócił się, żeby popatrzeć na czekające za nimi statki. Żagle były na wpół zwinięte, bandery powiewały; ten widok dodał mu ducha. W pościg wyruszał niewielki las masztów – tych, których nie powyrywała nawałnica. A przecież Rifs zawadził o nich tylko samym skrajem.

– Ale złapiemy ich mając tylko trzydzieści statków, zamiast trzydziestu pięciu. Trzy są tak bardzo uszkodzone, że zdaniem kapitanów już nigdy nie będą żeglowały. Dwa są w niemal równie fatalnym stanie, ale mogą potelepać się do domu, zabierając załogi tych trzech, które musimy porzucić. Już straciliśmy pięć statków, Ro-Vijarze.

– Tym więcej powodów, żeby wziąć pomstę na tych, którzy są temu winni, mój przyjacielu – odparł Landgraf Asurdunu, usiłując obrócić klęskę w duchową korzyść. Jeśli coś było w stanie krytycznym to raczej stan emocjonalny Rakossy, a nie stan jego statków.

– Pewnie tak. – Rakossa mówił z namysłem. – Tracimy tutaj czas.

Jego stopa opadła w dół, trzy szify przecięły kawałek drewna, który zdobył zwiadowca, i wyorały bruzdy w lodzie pod spodem.

* * *

W dwa tygodnie po tym, jak zostawili wał ciśnieniowy za sobą, *Slanderscree* trafiła na płaskowyż. Mające sto metrów wysokości pionowe urwisko ciągnęło się na wschód i zachód w nieprzerwanej, bazaltowej świetności. Wyglądało na jałowe, obrzeży nie czepiały się tutaj żadne

drzewa, jakie zdobiły urwiska Asurdunu.

Sprowadzono na pokład Teeliam, pokazano jej nieprzebyty mur leżący w poprzek oceanu.

– Tam leży Moulokin – powiedziała z wyraźną satysfakcją.

– Moulokin? Gdzie? – Hunnar nie próbował kryć sarkazmu. – Nie widzę tu nic poza lodem, skałą i niebem. W tej kolejności, bez żadnych wyjątków.

– Tym niemniej w tym regionie znajduje się Moulokin.

– A gdzie jest to legendarne miasto?

– Czy mogłoby leżeć gdzieś na szczycie tego płaskowyżu, Teeliam? – zapytał łagodnie Ethan.

– Nie, to absurd. – Dawna małżonka królewska z Poyolavomaaru prawie nie zwróciła uwagi, jak uprzejmie zabrzmiało pytanie Ethana w zestawieniu z szyderstwem Hunnara. – Jakżeż mogłoby miasto sławne z budowy statków być ulokowane tak wiele kijatów nad oceanem?

– Mnie też to przyszło na myśl – powiedział Ethan sucho. – Chciałem tylko zwrócić uwagę, że nie widzę tu ani śladu żadnego miasta.

– Moulokin jest gdzieś tutaj. – Przekonanie Teeliam było niezachwiane. Stała twarzą do kamiennej bariery. – Gdzieś w obrębie tej wyspy.

Ethan i Hunnar wymienili spojrzenie. Potem Ethan zapytał.

– W którą stronę? Musieliśmy popełnić błąd w obliczeniach.

Teeliam rozważała opowieści, pogłoski i legendy.

– Powiadają, że w Moulokinie słońce zachodzi późno – wymamrotała sama do siebie. Potem pokazała na zachód. – Powiedziałabym, że gdzieś tam.

– Jak sobie życzysz. – Hunnar wykonał gest będący trańskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami. – Tędy czy tamtędy, to wszystko jedno.

Wydał polecenia oficerowi, który przekazał je następnemu, a ten z kolei pełnym głosem przekazał je na pokład sterowy. Kliper lodowy mozolnie obrócił się na zachód i rozpoczął niełatwy proces żeglowania pod wiatr. Chociaż Ta-hoding starał się, jak mógł, posuwali się naprzód powoli. Urwisko to zbliżało się, to oddalało, kiedy *Slanderscree* halsowała od niego, chociaż nigdy nie odsuwała się tak bardzo, by stracili ląd z oczu. Musieli uważać, żeby nie prześliznąć się obok swego celu.

Sporadycznie na grani płaskowyżu pojawiały się ostre wgłębienia w miejscach, gdzie znajdował się wylot jakiejś doliny. Jeżeli kliper szedł akurat kursem w prawo, obserwator w koszu na głównym maszcie mógł zajrzeć do takiej szczeliny w ścianie skalnej. W niektórych z nich rosły drzewa, które

najwyraźniej unikały samego szczytu płaskowyżu, ale w żadnej nie było śladu mieszkańców, nie było też nigdzie widać legendarnego miasta, owego budującego statki Moulokinu, ani nawet żadnego samotnego, trańskiego pustelnika.

Dni zmieniły się w tydzień, tydzień w dwa tygodnie, a skały urwiska wciąż jeszcze się nie rozstały. Od czasu do czasu płaskowyż wypływał falą na zewnątrz lub się cofał do środka, zmuszając ich do niewielkiej zmiany kursu. Ale ani raz nie zniknął, nie zmienił też swojego kierunku ze wschodu na zachód. Jednak na początku trzeciego tygodnia zaczął stopniowo zakręcać na południe. Ethan zadumał się nad odległością, jaką już przejechali na zachód. Nie mieli żadnych danych, żeby zorientować się, jak daleko za nimi ciągnie się to urwisko.

– Zgodnie z infotaśmą, z którą zapoznałem się dawno temu na statku, którym tu przylecieliśmy – mówił Ethan Septembrowi – ekspedycja badawcza wykonała robotę na tym świecie w bardzo ograniczonym zakresie. Asurdun był największą zamieszkaną wyspą, na jaką trafiła pierwsza grupa, tam więc założyli placówkę thranxludzką. Ale to – tu szerokim gestem objął górujące nad nimi ściany – to albo kontynent o rozmiarach wyspy, albo wyspa o rozmiarach kontynentu.

– Oczywiście, mój chłopcze – skomentował olbrzym – że trafiliśmy na coś innego niż jakiś tam zwykły szczyt góry, który wytknął łeb nad ocean.

W tej chwili dołączył do nich Hunnar. Wyhamował na wiodącej wzdłuż prawej burty ścieżce lodowej, w ostatniej chwili skręcając szify tak, żeby nie obsypać ich lodem. Jak bardzo jest podniecony, mogli rozpoznać po jego minie i po tym, że niemal zapomniiał opuścić dany. September złapał go w chwili, kiedy rycerz się potknął, niemal upadł. Był tak zaabsorbowany, że zapomniiał przeprosić ich za swoją niezgrabność.

– Trafiliśmy na ślady statku! Suną też równoległe do tego wysokiego lądu, ale nadjechały ze wschodu, zanim skręciły na południe.

– Może ktoś inny także pomylił się w obliczeniach – powiedział równie ożywiony Ethan.

– Może. – Hunnarowi wróciło po części jego zwykłe dostojeństwo. – Może to tylko oznaczać, że jeszcze jakaś tratwa myszkuje gdzieś w pobliżu albo że zabłądziła.

– Pewnie. Ale jeżeli ci Moulokińczycy handlują głównie z ludźmi na południe i na zachód od tego wału ciśnieniowego, przez który przejechaliśmy, to tłumaczyłoby, czemu nie trafiliśmy na żadne ślady wcześniej i dlaczego tak niewiele wiadomo o nich w Poyolavomaarze. – Podniecenie Hunnara okazało się zaraźliwe. – Żeby już nie wspomnieć o dalekim Asurdunie.

– Wszystko to możliwe, wszystko możliwe. – Oczy rycerza połyskiwały w świetle południa. – Zobaczmy.

Następnego dnia natrafili na ślady następnego statku; podobnie jak te pierwsze zbliżały się one ze wschodu, następnie skręcały na południe.

– Jeżeli Moulokin naprawdę leży gdzieś na brzegach tego płaskowyżu – mówił Ethan – to każdy

żaglomistrz będzie wiedział, że wystarczy trafić na płaskowyż, a potem skręcić na północ lub południe.

Kiedy wreszcie trafili na to, czego szukali, poczuli się nieco zawiedzeni. *Slanderscree* pędziła właśnie na południe z szybkością tym większą, że teraz już nie musiała jechać pod wiatr.

I nagle, ni z tego, ni z owego obserwator na dziobie zaczął co sił wrzeszczeć do wszystkich, którzy go mogli usłyszeć. Ci, którzy nie byli na służbie, rzucili się do poręczy, żeby choć przelotnie ujrzeć stający się rzeczywistością mit. Od dnia kiedy po raz pierwszy zobaczyli urwiska płaskowyżu, do momentu, kiedy dojechali do miejsca, w którym się obecnie znajdowali, minął niemal cały standardowy miesiąc. Ethan nie potrafił oszacować, jak daleko zajechali, ale ta odległość była na tyle wielka, że zyskał pewność, iż Tran-ky-ky może poszczycić się przynajmniej jednym kontynentem. Nie licząc tysięcy wysepek rozsypanych jak ziarenka maku po bezkresnych lodowych morzach.

W tym samym czasie zrozumiał też, dlaczego tranowie wolą swoje miasteczka i miasta budować na wysepkach, a nie na takiej masie lądowej o znacznej, choć nie znanej dokładnie rozciągłości. Z wysp mieli łatwy dostęp do pól pika-piny i pika-pedanu, do lodowego oceanu, po którym przebiegały wszystkie szlaki handlowe. A z tego, co zdołali się zorientować na podstawie widocznych obrzeży płaskowyżu, jego wnętrze powinno być równie jałowe, jak najnędzniejsza tundra.

Tak jak wszystkich innych, krzyki obserwatora wywabiły z jego kabiny także Ethana; rzucił się pędem na pokład, żeby dowiedzieć się, skąd tyle wrzasków. Zapinając kombinezon zauważył, że marynarze wiszący w olinowaniu wybierają żagle.

– Co się dzieje, Skuo? – zawołał do olbrzyma, podbiegając do poręczy. A potem nie musiał już o nic pytać, ponieważ sam to zobaczył.

Tuż za lewą burtą widać było urwisko rozszczepione od grani do lodu jakby ciosem topora jakiegoś boga. Kiedy podjechali bliżej, mogli ocenić rozmiary tej rozpadliny. Ethan przypuszczał, że ma ona niecałe dwieście metrów szerokości i to tak daleko w głąb kanionu jak okiem sięgnąć. Nie było widać żadnego miasta, ale dawały się zauważyć liczne ślady jego bliskości. September przechylił się przez poręcz i bez słowa pokazał palcem na lód. Ethan wyraźnie dostrzegał wiele par równoległych wyłobień, biegnących po gładkiej powierzchni, chociaż przyprószone były lekko drobinami lodu i śniegiem. Były to ślady statków, które tędy przejechały. Krzyżowały się i przecinały, ale wszystkie zbiegały się przy rozpadlinie w ścianie płaskowyżu. September wyjął swoją małą lunetę. Podniósł ochronną maskę kombinezonu i przyłożył ten niewielkich rozmiarów teleskop do oka.

– Co widzisz, Skuo?

– Same skały, mój chłopcze. Skały wcale nie odbiegające pod żadnym względem od tych, z których zbudowane było urwisko, wzdłuż którego sunęliśmy przez całe tygodnie. Ani żagla, ani budynku, nic. Może ten kanion ostro zakręca i zasłania miasto. – Wsunął lunetę z powrotem do szczelnej kieszonki w kombinezonie i zmrużywszy oczy wpatrywał się w płaskowyż. – Jedno jest pewne... wszystkie te ślady prowadzą do jednego celu. Zastanawiają mnie tylko te chmury w głębi łądu. Nawet jeżeli wiatr tam jest słabszy, wydawałoby się logiczne, że nie powinny tak wisieć w

jednym miejscu.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że w głębi płaskowyzu, bezpośrednio za kanionem, zagnieździły się dziwaczne, białawe chmury. Kształty chmur rysowały się ostro na tle niebieskiego nieba. Ethanowi przemknęła przez głowę myśl o wulkanicznym dymie, jaki można było zaobserwować nad stale płonącymi szczytami Sofoldu. Tylko że ten dym był zbyt jasny, jak na wulkaniczne pochodzenie.

– Jeżeli to taki ruchliwy port, to dlaczego nie widać żadnych innych statków?

– Ta dziewczyna, Teeliam, mówiła przecież, że Moulokin to głównie centrum stoczniowe i wytwórcze. Poyolavomaar, Asurdun, Sofold – to porty handlowe. Może nikt go nie odwiedza, jeżeli nie czeka na niego wykończona tratwa? A może Moulokińczycy są przesądni i handlują tylko w niektóre pory roku? Ciekawe, jak zareagują na nasze przybycie.

Z pokładu sterowego tuż za ich plecami dobiegły jakieś okrzyki. Ta-hoding gestykulował pracowicie w stronę oficerów i pomocników. Zgrabnie podciągnięto żagle w górę i poprzywiązywano do rei. *Slanderscree* nadal ostrożnie przybliżała się do kanionu.

Nagle coś przycisnęło Ethanowi maskę do twarzy. Uchylił ją ostrożnie i czym prędzej opuścił z powrotem. Termometr w jego kombinezonie pokazywał, że na zewnątrz jest minus dwadzieścia stopni, ale to nie zimno spowodowało, że pospiesznie osłonił skórę. Jechali niemal dokładnie na wschód. Oznaczało to, że niezmordowany wiatr zachodni wieje im prosto w plecy, a mimo to ledwie się posuwali do przodu. Kliper lodowy lekko się zakołysał i Ethan zobaczył, że Ta-hoding halsuje. Chyba zwariował; nikt nie halsuje z wiatrem!

– Od kanionu wieje silny wicher – zauważył z zainteresowaniem September.

Zerknął w górę i zobaczył, że żagle niepewnie łopoczą o reje. Chwilami wiatr wiejący od płaskowyzu był tak silny, że odpychał materiał żagli z pika-piny do tyłu, na maszty i w takich chwilach przez statek przechodził dreszcz, jak gdyby kolos nie miał chęci jechać dalej. Ale pod rozważnym i doświadczonego dowództwem Ta-hodinga jednak się posuwał. W bardzo krótkim czasie dotarli do ujścia kanionu.

Po obu stronach statku wznosiły się ściany wysokie na ponad sto metrów. W miarę jak posuwali się w głąb rozpadliny, pionowe kamienne wały piętrzyły się coraz wyżej, chociaż nie było widać, żeby kanion miał się zwężać. Na wysokości stu siedemdziesięciu metrów urwisko wypłaszczyło się, a potem ściany kanionu zaczęły się powoli zwierać. Mniej było miejsca na manewry. Ta-hoding i jego załoga ciężko pracowali, żeby jadący zygżakiem statek nie roztrzaskał się o nieustępliwe zbocza. Skręty były coraz krótsze i krótsze, a zagrożenie coraz straszniejsze; gdyby załoga w olinowaniu choć o sekundy spóźniła się z ustawianiem rei, mogłoby dojść do katastrofy.

W pewnej chwili marynarze manipulujący marsem na przednim maszcie źle zrozumieli rozkaz mata i przestawili reje na prawą zamiast na lewą burtę. *Slanderscree* szarpnęła się i utrzymała kurs na prawo, zamiast skręcić. Ethan stał jak wryty i wpatrywał się, jak ociężałe i miarowo posuwają się w kierunku coraz bliższej szarej skały. Żeglarze pracowali jak szaleni, żeby naprawić błąd, zrekompensować go jakoś. Rozległ się tępy, zgrzytliwy odgłos. Na szczęście kliper poruszał się już

tak wolno pod wiatr, że na skutek zderzenia nie stało się nic gorszego jak to, że złamała się poręcz i rozszczepiło się kilka desek pokładowych. Łatwość, z jaką pękły sprawiła, że Ethan bezwiednie spojrział na obrzeża wypiętrzające się wysoko nad ich głowami. Na ile były stabilne? Gdyby tak nastąpiło oberwanie skały, w wąskiej ciasnocie kanionu nie byłoby gdzie uciekać. I znowu martwił się niepotrzebnie. Kiedy statek zderzył się z urwiskiem, nie spadł z jego szczytu nawet najmniejszy kamyczek.

Z pokładu sterowego w stronę załogi na przednim maszcie poleciały ciężkie słowa, wyrzeszczane przez matę ze śródpokładzia. W założeniu miały poprawić nastrój zgromadzonych na pokładzie i ukarać żeglarzy na przednim maszcie, zamiast tego inwektywy jeszcze wzmogły panujące ogólnie napięcie. W innej, mniej groźnej sytuacji pewnie rozległby się gromki śmiech, teraz jednak panowała zmrożona cisza.

Tajemniczość legendarnego miasta-państwa, zwężające się ściany kanionu, które zamykały widok na czyste niebo, pobrużdżony łyżwami lód, po którym jechali, wszystko to w połączeniu z niefortunnymi doświadczeniami w Poyolavomaarze wystawiło na ciężką próbę równowagę duchową załogi. Ethan wiedział, że wszystko jest lepsze od tej niepewności. Żeby już coś zobaczyli, obojętne, jakie to coś będzie: wrogie, czy przyjazne, może nawet niewytłumaczalne, byle zaraz.

Przyszła mu do głowy pewna myśl i zaczął się zastanawiać, co zrobią, jeżeli Moulokin okaże się równie nierealny, jak się okazał nieuchwytny i kanion po prostu będzie się zwężał i zwężał, aż ślepo zakończy się ścianą skalną. Liczne ślady statków mogą na przykład oznaczać tylko zjazd czcicieli jakiegoś bóstwa do ulubionego miejsca kultu albo wskazywać, że miejsce to jest często wykorzystywanym schronieniem przed nawałnicą. Tacy żeglarze nie mieliby kłopotów z zawróceniem swoich statków i bez trudu popędziliby z powrotem pełnym lodu kanionem, mając za plecami wiejący od lądu wiatr, ale dla *Slanderscree* było tu zbyt wąsko. W żaden sposób nie udałooby się jej zawrócić na tak niedostatecznej przestrzeni. Może będą musieli cofać się pod żaglami, podróżując rufą do przodu i sterować w jakiś niesłychanie wymyślny sposób. September mówił coś o ostrym zakręcie, który może wszystko kryje przed ich wzrokiem. I nagle kanion ostro zakręcił na południe. Załoga musiała borykać się z linami i rejami, żeby kliper bezpiecznie prześliznął się pomiędzy wijącymi się ścianami. Wiejący od płaskowyżu wiatr nadal uderzał w nich, ale był teraz łagodniejszy. Tratwa mogła posuwać się w górę kanionu halsując coraz bardziej ostro.

Tylko że kanion był zablokowany.

W pierwszej chwili Ethan pomyślał, że to ziemia się obsunęła, pospadała z tego urwiska, które wydawało się takie stabilne. Kiedy jednak podjechali bliżej, stało się jasne, że przeszkodę wykonały trańskie ręce. Wielkie kamienie i bloki były zręcznie ułożone, bez zaprawy, jedno na drugim i tworzyły mur rozciągający się w poprzek lodowej cieśniny, jak jakaś granitowa pajęczyna. Miał on może ze trzydzieści metrów wysokości i był głębszy, niż Ethan mógł sądzić nie widząc z góry. Zgodnie z trankyjskim zwyczajem masywna podwójna brama skonstruowana była z drewna, wznosiła się niemal na taką wysokość jak same mury. Po obu stronach oskrzydlały ją trójkątne wieże.

Ethana zaintrygowała ta budowla. Robiła wielkie wrażenie, ale nie mogły to być bramy wiodące do bajkowego Moulokinu. Za barierą skały urwiska wznosiły się równie wysoko i blisko siebie jak dotąd. Za murem nie było miejsca na miasto. A gdyby nawet jakieś tam było, z pewnością

zauważyłby je obserwator na głównym maszcie. Sam mur był zwyczajnym, solidnym kawałkiem tubylczej roboty. Wyglądał na niemożliwy do sforsowania. Za bramą jednak coś się znajdowało, przecież siateczka wyłobień biegła teraz prosto w jej kierunku.

Byli już bardzo blisko, kiedy dobiegł ich dźwięk rogu. Zagrzmiął trzy razy, a potem umilkł. Ethan pobiegł na dziób i przekonał się, że Elfa, Teeliam, Hunnar, September i wielu innych już tam są i wpatrują się przed siebie.

Z jednej z wież okrzyknął ich jakiś głos. Ton głosu, który był tak istotny dla precyzyjnego znaczenia trańskich zdań i słów, nie był ani wrogi, ani otwarcie zapraszający.

– Kim jesteście, wy, na wielkim statku? Skąd przybywacie i czego życycie sobie od pokojowej ludności Moulokinu?

Na te słowa na statku rozległy się pełne podniecenia pomruki, w miarę jak wieść rozchodziła się wśród załogi i torowała sobie drogę na maszty i do kabin: Moulokin istniał, Moulokin był prawdziwy. Tak oto niewidzialna obecność na imponującym murze nadała pogłosce cechy rzeczywistości. Hunnar odparł:

– Przybyliśmy z dalekiego państwa, Wannome, na północny-zachód od was. Pragniemy rozmówić się z waszym landgrafem i radą w sprawie wielkiej wagi dla wszystkich tranów. I mamy ze sobą trzech ważnych gości.

– Daj no krok do przodu, chłopcze. Czas się pokazać. – September zsunął maskę, żeby ci, którzy kryli się na murze, mogli bez przeszkód zobaczyć jego pozbawioną futra twarz. Williams i Ethan powtórzyli jego ruch.

– Są oni ze świata innego niż Tran-ky-ky. – Hunnar pokazał na niebo. – Ze świata na oceanie czarnego lodu.

I naraz na wałach zaczął się ruch. Ethan widział, jak trańscy żołnierze wynurzając się z ukrycia, gestami pokazują na kliper lodowy i z wyraźnym podnieceniem rozmawiają między sobą. A więc pojawienie się trojga ludzi było dla nich zaskoczeniem. Teraz mógł się nieco odprężyć. Caloninowi Ro-Vijarowi nie udało się wyczarować lodolotu ani żadnego innego nowoczesnego pojazdu, który mógłby go tu przynieść, wyprzedzając ich przybycie; nie zdołał narobić im kłopotów i szerzyć kłamstw, które tak skutecznie posiał w Poyolavomaarze.

– Jest wiele ważnych spraw, które chcieliby wam przekazać, a które wcześniej przekazali nam – ciągnął dalej Hunnar. – Ważnych spraw, które mogą przynieść korzyść wszystkim tranom.

– My jesteśmy w pierwszym rzędzie tranami z Moulokinu i dla Moulokinu – odpowiedział wymijająco głos z wieży. – Ale... będziemy rozmawiali z wami i może nawet was wysłuchamy. Musicie jednak wiedzieć, że wielu już usiłowało skusić Moulokińczyków ważkimi planami budowanymi na cienkim lodzie. Nie składamy wam żadnych obietnic. Czy nadal chcecie rozmawiać usłyszawszy te słowa? Otworzymy dla was bramy. – Przerwa, a potem: – Sądzę, że wasz statek zmieści się w ich świetle. Chociaż cieśle okrętowi naszego miasta są prawdziwymi mistrzami, nigdy

nie stworzyli czegoś tak wspaniałego.

– Z radością podzielimy się ze wszystkimi naszą wiedzą. – Zniżając głos Hunnar odwrócił się do zebranych wokół niego. – Co o tym myślisz, przyjacielu Ethanie?

Ethan zawsze czuł się niewyraźnie, kiedy wpatrywało się w niego tyle oczu. Odpowiedział cicho:

– Wszystko wskazuje na to, że prawdziwy Moulokin leży gdzieś za tą bramą. Czy istnieje, czy nie, wydaje się, że znaleźliśmy tranów, którzy są pewni siebie i mają chęć słuchać. To cenne połączenie, powinniśmy się postarać zjednać ich dla tej sprawy.

– Przynajmniej nie powiedzieli nam, że mamy zawrócić i zabierać się tam, skąd przybyliśmy. – September wpatrywał się wyczekująco w mur zagradzający im drogę. Naokoło nich potrzaskiwały wanty i sztagi śpiewając na wiejącym przez kanion wietrze. – Powinniśmy być ostrożni, ale powinniśmy tam wjechać.

– A więc postanowione. – Hunnar wykrzyknął rozkaz do oficera na śródpokładzi, który przekazał go żywo na pokład sterowy. Bezzwłocznie nadeszła odpowiedź. Ta-hoding miał wrażenie, że zdoła poradzić sobie z wąską bramą w murze.

– Wjedziemy do środka – odkrzyknął Hunnar słuchaczom zebranych na murze i w dwóch wieżach – i dziękujemy wam za wasze przyjazne powitanie. – To ostatnie wygłosił bardziej z nadzieją niż z przekonaniem.

Grube, drewniane bramy cofnęły się na kamiennych płozach, wydając jakby chrapanie zaniepokojonego olbrzyma. Zagrzmiał ostrożny rozkaz Ta-hodinga. *Slanderscree* ruszyła do przodu halsując leciutko pod małymi żaglami.

Ethan za dużo miał na głowie, żeby zdecydować, czy przyczyną niespokojnych min wartowników zebranych na murach jest ciekawość, przerażenie czy napięcie nerwowe. Kamienny mur sprawił mu niespodziankę. Był dużo grubszy, niż się Ethan spodziewał, jego głębokość zmieniała się od dziesięciu do dwudziestu metrów. W ten olbrzymi wał wbudowane były pomieszczenia mieszkalne i koszary.

Kiedy rufa statku już przeszła przez mur, Ta-hoding stosował jak najwymyślniejsze manewry, żeby skrócić w prawo. Kliper lodowy sunął powoli wzdłuż ostrego zakrętu w rozpadlinie, kiedy nagle obserwator na bukszprycie wydał okrzyk konsternacji. Podobne okrzyki rozległy się z dziobu.

Ethan, który zamierzał przedyskutować właśnie z Ta-hodingiem trudności związane z pokonywaniem takiego szczupłego kanału, usłyszawszy je zawrócił. Zanim doszedł na dziób, *Slanderscree* zatrzymała się. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć zaskoczenie załogi.

Za cyplem w kanionie znajdował się następny mur, sprawiający wrażenie równie niemożliwego do sforsowania i równie dobrze obsadzonego tranami jak ten za ich plecami. Znajdowała się w nim podwójna brama i ta była zamknięta.

Jego uwagę zwrócił zgrzytliwy odgłos gdzieś za rufą. Wartownicy na pierwszym murze w

gorączkowym pośpiechu zamykali bramę, przez którą właśnie tratwa przejechała. Zdążyli wcześniej naoliwić kamienne prowadnice jej ociążałych skrzydeł, żeby nie zapiszczały i nie ostrzegły przed czasem załogi klipra. Teraz rozpinali w poprzek bramy grube, zielono-czerwone liny i mocowali je do wież po obu stronach. Włócznie, lance i łuki oblamowały szczyt muru groźnymi frędzlami. Za nimi połyskiwały wyczekująco żółte oczy, lśniąc w przyćmionym, popołudniowym świetle kanionu.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o lokalną gościnność. – September wpatrywał się w rozwścieczonego Sir Hunnara. Rycerz, pokazując zaciśnięte zęby, bacznie studiował uzbrojone mury, instynktownie oceniając siłę przeciwnika. – Chociaż z wielkim bólem, muszę przyznać przyjacielu Hunnarze, że skłonny jestem przychylić się do twojego sposobu rozumowania. Najpierw w Poyolavomaarze, a teraz tutaj. Nie wygląda na to, żeby tranowie mieli ochotę choćby pomyśleć o współpracy.

– Nadjeżdża tratwa! – zawołał obserwator z bezanmasztu, na co wszyscy ruszyli na rufę. Zgromadzili się w najszerszym miejscu, nad rufową płożą sterową.

Bardzo niewielki stateczek lodowy trzepotał się w kierunku *Slanderscree* od tyłu, wychynawszy zza doku doczepionego po wewnętrznej stronie pierwszego muru. Wyglądał jak brązowy liść pomykający niepewnie po twardej bieli. Załogę jego stano wiło trzech tranów: jeden sterował, drugi obsługiwał pojedynczy żagiel, a trzeci stał na samym dziobie i z ciekawością spoglądał na kliper, który górował nad nimi.

Jeden z żeglarzy którzy wyglądali przez burtę zawarczał:

– Nie mają żadnej broni.

– I nie suną pod żadną banderą – powiedział Hunnar, dodając z podziwem: – Powiedzieli, że pozwolą nam przejechać za tę bramę i że porozmawiają. I rozmawiać będziemy, chociaż ja wybrałbym sobie inne, dogodniejsze miejsce. – Obejrzał się przez ramię na jednego z podoficerów. – Vasen, jakie są szanse, żeby się cofnąć pod żaglami i staranować tamtą bramę?

Oficer odpowiedział tak, jak gdyby wcześniej już sobie tę sprawę starannie przemyślał.

– Przy takiej grubości, jaką ma ten mur, Sir Hunnarze, wolałbym nie próbować. Moglibyśmy rozłupać tę drewnianą bramę, chociaż brak tu miejsca, żeby się porządnie rozpędzić. Ale liny z pikapiny wydają się dobrze przymocowane do wież. Nie pękną, a nie chciałbym ryzykować wrywania gniazd mocujących je do murów. – Zastanowił się przez chwilę, a potem mówił dalej: – Za pomocą naszych kusz i świetlnej broni naszych przyjaciół-ludzi mielibyśmy szansę uporać się z wartownikami na murach. Ale nadal musielibyśmy poodczepiać i spuścić liny zagradzające nam odwrót. – Pokazał na dziób i na drugi mur w górze kanionu. – Nie potrafię ocenić, ilu żołnierzy może czekać w ukryciu za tym murem. Mogliby nas zaatakować od tyłu i pokonać samą tylko przewagą liczebną. – Wykonał trański gest oznaczający pełną rozczarowania negację. – Roztropnie byłoby najpierw porozmawiać. Zawsze możemy potem posłowi poderznąć gardło, zanim podejmiemy próbę ucieczki.

Hunnar odpowiedział jednym warknięciem. Nie lubił, jak go zmuszano do czekania. Cierpliwość

nie należała do cech charakterystycznych dla tranów i ludzie już nieraz go za to ganili. No dobrze, będzie tak cierpliwy jak każdy z tych bezwłosych i porozmawia miło i uprzejmie z tym posłem. Jak mówił Vasen, zawsze mogą mu później poderżnąć gardło.

Ktoś w końcu pomyślał, żeby zrzucić przez poręcz drabinę. Załomotała o burtę klipra. Małeńka tratwa podjechała do niej. Tran z dziobu chwycił drabinę obiema rękami i wspiął się do nich, poruszając się zwinnie jak na istotę, która równowagę utrzymywała nie na płaskiej stopie, tylko na trzech niezręcznych, ostrych szifach.

I oto tran stał już na pokładzie, śmiało patrzył w pięćdziesiąt par wrogich oczu z tak zimną krwią i taką pewnością siebie, że Ethan mógł go tylko podziwiać. Był niezwykle szczupły, niemal wychudzony, nie szerszy w barach od Ethana, chociaż wydawał się raczej zdrowy. Przyjrzał się bacznie swojemu audytorium ze sztywnym półuśmiechem, jego spojrzenie padło na troje ludzi. Podwójne powieki mrugały, usuwając niesione wiatrem cząsteczki lodu.

– To prawda? Rzeczywiście jesteście z innego świata niż ten?

– Tak jest – odpowiedział stanowczo Ethan. – Wolimy jednak, żeby nie uważano nas za obcych. Dużo bardziej nam odpowiada, jeżeli uznaje się nas za przyjaciół, chociaż wygląda na to, że wy macie na ten temat inne zdanie.

– Ależ wręcz przeciwnie, człowieku z innego świata. Nasze pragnienia są całkiem podobne. Noszę imię Polos Mirmib, Królewski Doradca i Strażnik Bramy.

– Której bramy? – Ton Hunnara nadał jego pytaniu dużo szersze znaczenie niż tylko dosłownie. – Czy tej, przez którą zaproszono nas, żeby przejechać bezpiecznie, czy tej, której użyto, żeby nas schwytać w pułapkę?

– Bramy do Moulokinu, oczywiście – odparł Polos; wyglądało na to, że wrogość Hunnara nie robi na nim wrażenia i że dyplomatycznie nie rozumie jego insynuacji. – To brama wykonana nie w kamieniu czy w drewnie, ale po większej części w myśli.

W pobliżu Hunnara rozległ się wojowniczy głos, Suaxus dal Jagger.

– Słyszałem, że Moulokińczycy słyną jako budowniczości okrętów, a nie jako filozofowie.

Mirmib przywołał uśmiech na twarz.

– Zabawa w metafory to moja osobista pasja. Nie przypisuj upodobania do takiej gry słów wszystkim moim krajanom. Po większej części to spokojni, uczciwi i obdarzeni nieszczególną wyobraźnią tranowie, którzy niewiele więcej pragną od życia, jak radości z dobrego dnia pracy, obfitego posiłku i ciepłego ognia na koniec dnia oraz miłości swoich małżonków pomiędzy dniami.

Tu w jego głosie pojawiła się ostrzejsza nuta.

– Przybyszym z zewnątrz, tranom i innym, może wydawać się to życiem dobrym dla wieśniaków, prostym i banalnym. Nas nasza wewnętrzna prostota raduje. – Ostrość zniknęła. – Radują nas

również goście, którzy przynoszą wieści z dziwnych miejsc, do których Moulokin rzadko ośmielacie zapuszczać.

– Ponieważ się boicie? – rzucił wyzwanie jakiś głos z olinowania. Oficer uciszył żeglarza.

Mirmiba cechowało zarówno opanowanie, jak i umiejętność wyrażania się godna dyplomaty. Nie rozgniewał się, chociaż byłoby to usprawiedliwione.

– Nie podróżujemy, ponieważ w opowieściach, które przekazują nam podróżnicy, znajdujemy wszystko, czego chcielibyśmy dowiedzieć się o dalekich regionach. A ponieważ żaden, o którym nam opowiadano, nie wydaje się przewyższać pod żadnym względem pięknego Moulokinu, nie widzimy powodu, żeby go opuszczać. Lepiej tu zostać i pozwolić, by inni podejmowali żmudny mozół podróży za nas. – Zwrócił spojrzenie na Ethana. – Jako podróżnicy z miejsca tak odległego, że nawet myślą go ogarnąć nie potrafie, musicie mieć jeszcze bardziej podniecające opowieści do przekazania.

Ethan gotów był odpowiedzieć, ale Mirmib podniósł łapę, żeby go powstrzymać.

– Zanim będzie można to zrobić, zanim będziemy was mogli powitać jako gości i przyjaciół, musimy mieć gwarancję, że ten prosty sposób życia, o którym wam mówiłem, nie zostanie w sposób gwałtowny zakłócony. Żeby ta druga brama otworzyła się przed wami i dopuściła was do naszego domu, mojego domu, poproszę was, byście złożyli tutaj przede mną na stos swoją broń, skąd będzie mógł ją zabrać patrol bramny i bezpiecznie przechować w oczekiwaniu na wasz powrót.

Dodał jeszcze kilka słów, ale utonęły one w pełnej gniewu i obaw wrzawie, jaka podniosła się na te słowa wśród żeglarzy, którzy zebrali się wokół nich.

ROZDZIAŁ 12

Na koniec wystąpił do przodu Balavere Longax. Jego obecność uciszyła załogę.

– Tam, gdzie się chowałem i gdzie przeżyłem długie lata, żaden tran nie wejdzie nawet do domu swojego sąsiada, tak, nawet tam, nie zatrzymując przy sobie chociaż noża.

– Musicie mieć niewielkie zaufanie do swoich sąsiadów. – Nie wyglądało na to, żeby Mirmib się przejął tą informacją, nie zmienił też swojego żądania, ani z niego nie zrezygnował.

– A przypuśćmy – Hunnar odważył się na pragmatyczne pytanie – że odmówimy?

Mirmib wykonał coś w rodzaju wzruszenia ramionami.

– Będę zasmucony tym, co się stanie. Znaleźliście się w pułapce pomiędzy murami, których nawet ten cudowny statek nie zdoła przerwać. W każdej chwili mogę wezwać do ataku wielką liczbę czekających w pogotowiu żołnierzy albo, jeżeli ja nie będę w stanie ich wezwać, zrobi to ktoś inny. Może nawet wtedy uda wam się uciec, chociaż nie sądzę. W każdym razie wielu zginie, tak po naszej, jak i po waszej stronie. Wolałbym nie mówić o sprawach tak niemiłych. Jako Strażnik Bramy moim ciepłem poręczam obietnicę: żadnemu z was nie stanie się krzywda i zostaniecie powitani jak wypróbowani przyjaciele.

W jego głosie pojawiła się niemal błagalna nuta.

– Nie wątpię, że ten zwyczaj wydaje wam się dziwaczny. Tym niemniej tego właśnie żądamy od obcych i od naszego żądania nie odstępimy. Kiedy odwiedzicie Moulokin drugi raz, nie będziemy już tego od was wymagać. Jesteście dla nas obcy, a sądząc po tym statku, moc wasza jest wielka. Moi krajanie są zamknięci w sobie i podejrzliwi. To żądanie uchroniło nas już nieraz w przeszłości od złego, kiedy pragnęli nasze miasto splądrować kłamliwi, zawistni intruzi. Proszę, błagam was, wykonajcie ten gest dobrej woli! Pragniemy waszej przyjaźni, a nie waszej krwi!

Zdawało się, że Hunnar ma już odpowiedź na końcu języka, Ethan pospiesznie więc położył dłoń na rękę rycerza, żeby go powstrzymać i poczuł, jak napięte są mięśnie pod futrem.

– Przyszedł czas, żeby zaryzykować, Hunnarze. Jeżeli chcieliby walczyć, po co przysłałiby tu swojego reprezentanta, samego, nie uzbrojonego, żeby informował nas o ich intencjach? Tak się nie przeprowadza transakcji. Mogli nas zaatakować, jak tylko przejechaliśmy przez pierwszą bramę.

– A po co mieliby atakować, jeżeli mogą zdobyć *Slanderscree* bez walki? – protestował rycerz. – To jest coś niesłychanego. Trudno jest w ogóle wejść do nie znanego sobie miasta, ale jeżeli

wejdziemy tam bez żadnej broni, to wręcz będziemy się prosili, żeby nas wszystkich wymordowano. I będzie to sprawiedliwa kara za taką głupotę. – Zawarczał na człowieka. – Nie, to nie do pomyślenia!

Ethan odezwał się niespokojnie:

– Hunnarze, cała ta długa podróż, którą przedsięwzięliśmy razem z Sofoldu do Asurdunu, a potem tutaj, była kiedyś również nie do pomyślenia. A przecież odbyliśmy ją. Idea konfederacji trańskich państw-miast była nie do pomyślenia, a przecież znaleźliśmy się tutaj, żeby ją urzeczywistnić. Codziennie Balavere i reszta załogi robią rzeczy, których nikt z twoich pobratymców nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić. Przyszedł czas na śmiałe decyzje i na podjęcie ryzyka, a nie na powrót do prymitywnych przesądów i tradycji umierania. – Przerwał, uświadamiając sobie, że Balavere, Elfa i reszta zebranych przypatrują mu się poważnie, niektórzy bez sympatii. Utrzymał nerwy na wodzy i nie spuszczał oczu z Hunnara.

W zapadłej ciszy rozległ się głos Mirmiba:

– Nie wszystko, z tego co mówisz, przybyszu z obcego świata, rozumiem, ale z twoją postawą mogę się tylko zgodzić. Mam głębokie przekonanie, że będziemy przyjaciółmi.

– Zdecydowane słowa, choć trudne do przyjęcia. – Hunnar strząsnął czepiającą się go rękę Ethana, odwrócił się do Mirmiba i spojrzał na niego spode łba. – Jeżeli knujesz zdradę, wiedz, że moi towarzysze i ja zeszliliśmy do samych piekieł i wróciliśmy, splunawszy na środek świata. Nawet bez broni nie będziemy szli jak k'nithy na rzeź.

– Zbyt wiele mówisz o rzezi. – Twarz Mirmiba posmutniała. – My tu w Moulokinie wiele musimy chronić, więc zabijanie nie jest nam obce. Ale wydaje się, że mniej to lubimy niż ci, którzy przybywają do nas z daleka.

– Gdzie mam to położyć?

Mirmib przeniósł wzrok na Elfę. Wyjęła już swój miecz, gotowa go oddać. W głosie dyplomaty pojawił się szacunek.

– Wystarczy tutaj, o szlachetna pani. – Pokazał na pokład przed sobą.

Marynarze i rycerze przechodzili przed nim grupami upuszczając łuki, kusze, miecze, topory, broń wszelkiego rodzaju. Ta-hoding zaprosił Mirmiba, żeby przeprowadził inspekcję kabin i magazynów pokładowych i sprawdził, czy nie pozostała tam jakaś broń. Moulokińczyk podziękował uprzejmie, wierząc Hunnarowi na słowo, że cały arsenał załogi został złożony u jego stóp.

Ethanowi przyszło na myśl, że chociaż Mirmib uparcie określał Moulokińczyków jako prosty, pracujący lud, byli oni wystarczająco wyrafinowani, żeby znaleźć sposób pozwalający skutecznie radzić sobie z potencjalnie wojowniczymi intruzami. Nie wątpił w twierdzenie dyplomaty, że zabijanie znane jest jego pobratymcom. Najprawdopodobniej w przeszłości Mirmib wielokrotnie nadzorował takie składanie broni.

Kiedy stal i kość grzechotały niemelodyjnie na coraz wyżej rosnącym stosie, Hunnar stanął obok Ethana i szepnął:

– Proponowana przez ciebie konfederacja i twoje własne życie mogą zakończyć się w kałuży twojej własnej krwi, dymiącej na ulicach tego miasta, Sir Ethanie.

– Nawet w moim zawodzie przychodzi chwila, kiedy komuś trzeba zaufać, Hunnarze.

– Tak pięknie mówisz o zaufaniu, Sir Ethanie – powiedział Hunnar z ironią – a przecież ani ty, ani twoi towarzysze nie podeszliście, żeby umieścić waszą broń obok naszej na tym stosie.

– Dopóki ten facet nie uważa tego za broń, nie ma co okazywać nadgorliwości. – Sam Ethan czuł, że to, co mówi, jest niezbyt uczciwe. – W moim zawodzie dobrze jest też mieć jakiegoś asa w rękawie.

– Życzyłbym sobie, żebyśmy mieli ze sto takich asów – zgodził się Hunnar rozszerzając metaforę, chociaż jej nie rozumiał. – To ciekawe, że nie uważasz zaufania za absolut, tylko za termin, który można definiować w różny sposób, w zależności od sytuacji.

– Nie miałem na myśli... – zaczął się z nim spierać Ethan. Ale zanim zdążył mu odpowiedzieć, Hunnar już odszedł, starając się usilnie ukryć radość, jaką sprawiło mu odkrycie prawdy o ludzkiej moralności.

Kiedy ostatni miecz położono na szczycie stosu, Polos Mirmib przyjrzał się bacznie imponującej stercie broni. Ostrza i żeleźce połyskiwały w przyćmionym świetle kanionu.

– Dobrze się uzbroiliście na tę podróż jak na kogoś, kto, zgodnie z tym, co twierdzicie, do zaoferowania ma wyłącznie przyjaźń.

Elfa odpowiedziała otwarcie.

– Istnieje też wiele rzeczy, dla których gotowiśmy zabijać.

– Dobrze to ujęłaś, o pani. – Mirmib wykonał lekki gest umiarkowanego podziwu.

– A co teraz? – Niecierpliwość brzmiąca w głosie Septembra mogła być błędnie odczytana jako zdenerwowanie. – Mamy teraz to wszystko zepchnąć za burtę? Czy może macie tu kogoś, kto czeka, żeby to pozbierać i pooznaczyć?

– Ani jedno, ani drugie. – Mirmib uśmiechnął się szeroko do olbrzyma, nie pokazując zębów. – To, że okazaliście dobrą wolę i podporządkowaliście się zwyczajowi zupełnie niezgodnemu z waszym, w wystarczającym stopniu dowodzi, że przybywacie w dobrej wierze i jak mam nadzieję w dobrych zamiarach. – Od niechcienia pokazał na leżący przed nim arsenał. – Możecie z powrotem wziąć swoją broń. Wasze czyny powiedziały nam to, czego chcieliśmy się dowiedzieć.

I podczas gdy załoga stała naokoło i ogłupiała gapiła się na dyplomatę, on sam się odwrócił i podszedł do poręczy. Łagodny podmuch nieustannego na Tran-ky-ky arktycznego wiatru

spowodował, że potknął się. Ethan znowu pomyślał, że Mirmib sprawia wrażenie niezwykle kruchego. A jednak, jak wiele rozumnych stworzeń wielkiego charakteru, ten tran swoją stal i żelazo nosił w sercu.

Zawołał teraz coś do dwóch tranów stojących na maleńkiej tratwie. Do Ethana dochodziły tylko pojedyncze urywki zdań; mówiono tutaj z niewyraźnym, ochrypłym akcentem.

Róg jednego z tranów wydał z siebie kilka chrypliwych dźwięków. Na to żałobne ujadanie odpowiedział triumfalny grzmot rogu z pierwszego muru. Następny róg zagrał z drugiego muru, a potem kilka następnych, aż cały kanion zaczął dudnić, jak trańska orkiestra na ślubnym jublu. Kiedy ostatni monotony dźwięk wtulił się w szczelinę tak małą, że nie zdołał już wrócić z echem, do Ethana doszły wiwaty moulokińskich żołnierzy stojących szeregami na masywnych murach i poza nimi. Mała tratwa wysunęła się z cienia *Slanderscree* i zajęła wyczekującą pozycję w pobliżu jej dziobu.

– Gdzie jest wasz kapitan? – zapytał Mirmib. Wsuwając swój własny miecz z powrotem do pochwy Hunnar wolną ręką pokazał na wysoki pokład sterowy. Ta-hoding stał popatrując na nich z ciekawością. – Dołączę do niego i pomogę wam dojechać do naszego miasta.

Ethan razem z kilkoma jeszcze rycerzami ruszył za Hunnarem i Mirmibem na górę do koła sterowego. Kiedy Ta-hoding otrzymywał instrukcje i naradzał się z Mirmibem, Hunnar odciągnął Ethana na bok.

– Widzisz, ściągnęli liny zagradzając bramy z tyłu i z przodu. Moglibyśmy staranować bramę za plecami i uciec.

Ethan popatrzył uważnie na swojego masywnego, włochatego przyjaciela.

– Czy to właśnie pragnąłbyś zrobić?

– Nie pragnąłbym. Takim pytaniem oskarżasz mnie, przyjacielu Ethanie. – Tym razem Hunnar odwrócił się i odszedł z całkiem innego powodu.

Ta-hoding postawił potrzebne żagle. Powoli kliper lodowy ruszył w kierunku drugiej bramy, ostrożnie objeżdżając ciasny zakręt w kanionie. Kiedy z piskiem przeciskali się przez światło bramy, żołnierze na murach bacznie przyglądali się statkowi i jego pasażerom. Ci, w przeciwieństwie do swoich kolegów na pierwszej bramie, przepychali się i swobodnie rozmawiali ze sobą. Broń zwisała im luźno z łap lub leżała zapomniana, oparta o mury i skały. Kilku wymieniało nawet pytania z członkami załogi klipra.

Jechali coraz dalej za tratwą Mirmiba, a kanion wcale nie robił się płytszy. Pionowe, bazaltowe ściany coraz wyżej wznosiły się nad nimi. Wkrótce kanion zatoczył łuk na wschód i znowu skierował się w głąb łądu. Odnieśli wrażenie, że osaczające ich ściany zrobiły się nieco niższe, a na dotąd pionowym urwisku zaczęły się pojawiać zleby, którymi można by wspiąć się na górę.

Teraz, kiedy ponownie obrócili się twarzą do wnętrza płaskowyżu, Ethan dostrzegał nad dziobem

gęste chmury, które tak go wcześniej zaintrygowały. Unosiły się one przez cały czas uparcie nad jednym miejscem, niechętnie pozwalając się porwać podmuchom wiatru. Nagle zrozumiał, dlaczego od początku wydawały mu się tak znajome. Podobne chmury czepiały się zaborczo wulkanicznych wyżyn Sofoldu, rodzinnej wyspy Hunnara i Elfy. Tę potężną chmurę szarości tworzył silny wypływ pary, a nie dymu. Wydobywała się ona gwałtownie z wulkanicznych szczelin i kominów i odnawiała się równie szybko, jak wiatr ją rozwiewał. To tłumaczyło iluzję „unoszących się” w jednym miejscu chmur. Wulkaniczne ciepło umożliwiało funkcjonowanie hut Sofoldu i było źródłem dużej części jego bogactwa. A więc Moulokin cieszył się sławą nie tylko ze względu na swoje wspaniałe stocznie i na swoją lokalizację w kanionie, ale był też szczęśliwym posiadaczem ważnych bogactw naturalnych. Ethan podszedł do dyplomaty Mirmiba i stanął obok niego.

– Istotnie, znajdują się tam kuźnie i odlewnie – odparł wychudzony tran – ale to nie my je posiadamy i nie my je obsługujemy. – W odpowiedzi na pełne zdumienia i konsternacji spojrzenie Ethana wyjaśnił: – Mamy ugodę z ludem, który obsługuje odlewnie.

– To nie są Moulokińczycy?

– Nie. – Na twarzy Mirmiba pojawił się osobliwy wyraz, którego Ethan nie potrafił zinterpretować.

Miał zamiar nadal drażnić tę kwestię, tylko że *Slanderscree* niespodziewanie ostro skrzyła na prawo. Dalej pojechali bocznym kanionem. Marynarze mieli teraz kłopoty z rejami i żaglami z nowego powodu. Jak tylko statek znalazł się w odgałęzieniu kanionu i ruszył na południe, wiatr z płaskowyżu niemalże kompletnie ucichł. Stał się łagodnym, niemalże ziemskim zefirkiem. Ethan na próbę uchylił maskę, ale pospiesznie znowu ją opuścił. Nie czekał na nich tam w przodzie żaden raj. Może wiatr i ucichł, ale jeżeli temperatura na zewnątrz jego ochronnego ubrania przekracza minus piętnaście stopni, to rozwścieczone komórki na jego twarzy zełgały. Moulokin nie będzie trańską wersją Shangri-la.

Kanion wił się i skręcał. Minęło może dziesięć minut i oto ściany rozstały się i zobaczyli gigantyczny, naturalny amfiteatr. Czarne urwisko wyginało się łukiem na wschód i na zachód, a następnie gładko skręcało znów na południe. Jechali przez obramowaną skalistymi ścianami misę, co najmniej z tuzin razy szerszą niż wejście do kanionu.

A przed nimi leżał Moulokin i sprawiał wrażenie bardzo prawdziwego.

Na południowym końcu kanionu urwisko wykruszyło się, zwiertzało i wznosiło się do góry niepewnymi stopniami. Większość miasta zbudowana była na tych płaskich terasach, przez co Moulokin wyglądał jak ściana piramidy schodkowej. W słońcu lśniło kilka tysięcy dachów. Ścieżki lodowe pełne były czarnych, przypominających okruchy czekolady plamek, które pomykały w górę i w dół po ulicach. Na tyłach, daleko od wybrzeża portowego, znajdowała się masywnie wyglądająca forteca, wbudowana w najwyższy poziom miasta, a za nią wznosiła się trzydziestometrowej wysokości pionowa ściana skalna. Teraz *Slanderscree* miała dość miejsca na manewry. Wspaniałe lodowy port mógł z łatwością pomieścić tyle statków, co port Wannome. Po jego zachodniej stronie doki wypełzały na lód jak brązowe robaki. Nad tą częścią portu dominowały lodowe kanały i dziwne budynki, ciągnące się aż do samych skał.

– Nasze stocznie – wyjaśnił Mirmib z domieszką dumy w głosie.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego nikt nigdy tego miejsca nie podbił – zadudnił September. – Wystarczyłoby kilku żołnierzy, żeby obronić przed całą armią te dwa mury, które minęliśmy. Nie ma jak wdrapać się na płaskowyż od zewnątrz, żeby zająć ich z boku. A poza tym wiatr w kanionie wieje w taki sposób, że każda z atakujących tratw miałaby cholerne kłopoty próbując halsować pod wiatr i równocześnie walczyć.

Kiedy pod wspólnym kierownictwem Mirmiba i Ta-hodinga kliper lodowy podjeżdżał do długiego, opustoszałego doku.

Ethan skierował wzrok na południowy wschód. Pomiędzy miastem a zachodnią ścianą kanionu skały ustępowały miejsca stopniowo wznoszącemu się do góry bocznemu kanionowi; tak gęsto porastały go drzewa iglaste, że czegoś podobnego na tym świecie jeszcze nie spotkali. Niewątpliwie drzewa dorastały do tej wysokości, bo kanion chronił je przed nieustannym, niszczycielskim wiatrem, szorującym po całej powierzchni Tran-ky-ky. Młodziak mógł tutaj rozrastać się na wysokość i na szerokość, nie narażony na powyrywanie z korzeniami przez wiatry o huraganowej sile, a nasiona znajdowały nagromadzoną ziemię, w której mogły się ukorzenieć. Z kolei większym drzewom wiatr nie obnażał powierzchniowych korzeni, odwiewając ziemię, w której rosły. Ten niezmiernie cenny drzewostan był głównym źródłem wielkiego bogactwa Moulokinu.

Kiedy ustawiali się do dokowania, Ethan zobaczył, że Mirmib jest chwilowo wolny, zadał mu więc pytanie na temat tych odległych, spowitych w chmury odlewni. Wyglądało na to, że dyplomata czuje się nieswojo; usiłował skierować uwagę Ethana na schludne magazyny i domy wcięte w skały, tworzące port.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie mógłbyś mi tego powiedzieć?

– Nie ma żadnego pisanego powodu. Oni strzegą swojej prywatności i... – Mirmib przerwał, na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego szacunku. – Jesteście przyjaciółmi, nie widzę żadnego powodu, żebyście nie mieli więc dowiedzieć się o Saia.

– Saia?

– Lud Złocistych Saia, potomków ognia, nad którym czuwają. Wiedzą oni o rzeczach, o których zwykli tranowie nie wiedzą. Bo i nie są zwykłymi tranami.

– A więc czcicie ich, uważacie za bogów? – naciskał Ethan. Jeżeli liczył, że reakcja Mirmiba coś mu wyjaśni, poniósł porażkę.

– Nie powiedziałem ani jednego, ani drugiego. Nie, oni nie są bogami. Są po prostu inni. Poznać ich, znaczy szanować. To tradycja równie stara jak Moulokin. My jesteśmy dumni z naszej niezależności. – Przez ułamek sekundy Ethan zauważył cień tego szowinizmu plemiennego, którym zdawali się obciążeni wszyscy tranowie. – Ale dotrzymujemy warunków, które nam wyznaczyli.

– Ze strachu? Czemu im po prostu nie odebrać odlewni? Albo przynajmniej dobić targu?

– To nie jest kwestia strachu, mój przyjacielu. Nic nie wiecie o Złocistych Saia. Nie obawiamy się ich, ale ogromnie ich poważamy. I nic byśmy nie zyskali, gdybyśmy nawet byli w stanie wydrzeć im odlewnie, bo nie potrafilibyśmy kierować kopalniami i wytopem tak dobrze jak oni, ani wytwarzać tak skomplikowanych części metalowych dla naszych domów i tratw. Tam, gdzie oni pracują i bawią się, praca dla kogoś z nas oznaczałaby śmierć. Wystarczająco trudno jest pójść tam nawet na krótko, żeby z nimi handlować.

– A więc tam, gdzie oni żyją, jest cieplej?

– Wprost nie do wiary – powiedział Mirmib uroczyście. Oczywiście to, co dla trana było nieznośnym upałem, dla człowieka lub thranxa mogło być cudownie przyjemne.

– Ale jeżeli tak rzeczy się mają, czym jest ten lud Złocistych Saia?

– Wśród Saia żyją stworzenia i rośliny, które mogłyby zainteresować ciekawego podróżnika, pod warunkiem, że podczas badania, nie zabiłoby go gorąco. Nie rosną one w żadnym innym miejscu o jakim słyszałem.

– Jakiego rodzaju rośliny?

Ethan i Mirmib spojrzeli na lewo. Stał tam Milliken Williams; maleńki nauczyciel nie chciał być niegrzeczny i wtrącać się do rozmowy, zbyt go jednak poniosła ciekawość, żeby nie zadać jednego czy dwóch pytań.

– Nie będę wam ich opisywał. Nie potrafię tego zrobić. One są jak jakieś fragmenty marzeń sennych. – Mirmib pełen był namysłu. – Zaledwie dwa razy byłem u wejścia do głównego kanionu i nie pragnę tam znowu się udać. Kiedy skończyłem rozmawiać z nimi, to chociaż wyszli na spotkanie naszej grupy na same obrzeża swojej krainy i regionu ognia, byłem tak wyczerpany i osłabiony, że za każdym razem, zanim moje ciało wróciło do siebie, leżałem bez zmysłów przez dwa dni.

– Odwodnienie – zamruczał Williams.

– A teraz, jeżeli nie będziecie mi zbytnio mieli tego za złe, wolałbym już dłużej o nich nie mówić. – Pokazał na grupę tranów, którzy gapiąc się na statek torowali sobie drogę w jego kierunku po lodowej ścieżce w dokach. – Czekają nas sprawy oficjalnego powitania, którymi trzeba się zająć. Konieczna jest moja obecność.

Mirmib odszedł od nich i dołączył do Ta-hodinga, Hunnara, Elfy i Septembra. Zgodnie z moulokińskim protokołem ceremonialnym wszystko odbywało się w powszechnie przyjęty dla takich spraw sposób – to znaczy tak powoli, że zęby same zaczynały zgrzytać; Ethan i Williams spędzili więc kilka przyjemnych chwil przyglądając się kociętom, które szifowały po porcie, odważnie i z fantazją płacząc się pomiędzy płozami krzątających się tratw lodowych i ignorowały przekleństwa, jakimi obrzucali ich pełni dezaprobaty dorośli i zmęczeni marynarze.

Niewiele było statków, wśród których mogły się bawić. Legenda uparcie twierdziła, że Moulokin jest centrum budowlano-wytwórczym, a nie handlowym. Działalność handlową uprawiano tu raczej

od czasu do czasu, a nie stale.

Williams powoli podniósł maskę i pozwolił, by skóra przyzwyczaiła mu się do niemal bezwietrznego zimna. Pod nieobecność wszechobecnej zwykle, oślepiającej bieli lodu, zrezygnował ze swoich silnie antyodblaskowych protoidalnych soczewek kontaktowych i wymienił je na soczewki o konfiguracji takiej, jaką zwykle nosił, które wyjął z małego, czarnego etui. Tak czy tak soczewki nosić musiał, a przynajmniej nie miał problemów z antyodblaskowymi goglami, jakie inni zakładali pod maski. Kilka zagubionych płatków śniegu dotknęło lekko jego ciemnej skóry.

– Ethanie, co ci przypomina ten kanion?

Ethan starannie przyjrzał się otaczającemu ich portowi. Przed nimi leżał Moulokin, za nimi otwierał się kanion. Z obu stron tubylcy, mieszkający w jaskiniach szifowali teraz w dół po ścieżkach lodowych z zapierającym dech w piersi lekceważeniem dla przepaści ciągnących się wzdłuż każdej ze ścieżek. Widok uzupełniały błękitne niebo nad głowami i gęste, wełniste chmury głęboko nad lądem. Nic z tego nie dostarczyło mu odpowiedzi na pytanie nauczyciela – chyba że tylko terasowata topografia samego miasta.

– To chyba przypomina jakiś wyschnięty kanion rzeczny, jaki kiedyś widziałem.

– Tak, z pewnością kanion rzeczny. Tylko że niektóre jego fragmenty nie pasują. – Williams mówił z osobliwym natężeniem. – Czegoś mi tu brakuje. – Zwrócił spojrzenie na wylot kanionu. Oparł się łokciami o wysoką poręcz, z brodą w złożonych dłoniach i nie zagłębiał się w to, o jakie fragmenty mu chodzi.

Ethan wzruszył ramionami. Obsesje Williamsa odbiegały od obsesji jego i Septembra. I w tym momencie, jak na zawołanie, z głównego pokładu rozległ się swojski ryk. Ethan ruszył na skraj pokładu sterowego i popatrzył w dół; olbrzym kiwał na niego.

– Chodź no, mój chłopcze. Lokalny landgraf raczy z nami pogadać. Tak coś wygląda, że będziemy mieć szansę, żeby zwerbować następne państwo do tej unii lodostanów.

Ethan zostawił Williamsa samego, pogrążonego w myślach nad zamierzchną geologią i dołączył do grupy zebranej na pomoście.

Moulokin bardzo przypominał Wannome poza tym, że wznosił się terasami, a nie gładką krzywizną, jak rodzinne miasto Hunnara. Zygzakowate ścieżki lodowe pozwalały dostać się z jednego poziomu miasta na drugi. Jak można się było spodziewać, zgromadziły się tłumy ciekawskich, pragnących ujrzeć nowo przybyłych. Na widok przechodzących ludzi, którzy wyglądali jeszcze bardziej obco niż zwykle w swoich brązowych, błyszczących kombinezonach ochronnych, czarne źrenice rozszerzały się na żółtych polach tęczówek.

– Powiedz mi, Mirmibie – zapytał Ethan prowadzącego ich dyplomatę. – Ty i twój lud tak dobrze zarządziliście się tutaj. Jak się zdaje, Złociści Saia podobnie dobrze się zarządzili na górze, przy końcu kanionu. – Z wahaniem pokazał gestem na otaczające ich urwiska. – Ale co z tą całą ziemią naokoło, na tyłach Saia? Ten zalesiony kanion na prawo od nas wygląda tak, jak gdyby biegł prosto na sam

skraj płaskowyżu. Nie ma tam żadnych skał, które stałyby na przeszkodzie osadnictwu w głębi łądu. Kto mieszka na całym tym terenie?

Mirmib przyglądał mu się z zaskoczeniem, jego wielkie futrzaste brwi ściągnęły się.

– Nikt przecież tam nie mieszka, przyjacielu Ethanie. To znaczy nikt, z tego co jest nam wiadome. A Moulokin – tu gestem pokazał na miasto – był tutaj od czasów, o których mówią najstarsze zapisy w kronikach i poprzedzające je legendy.

– A więc nie możecie mieć pewności, że nikt nie mieszka w interiorze? – Ethan uśmiechnął się na widok błazeństwa kilkorga zafascynowanych kociąt, które plątały mu się pod nogami i wpatrywały w niego, jak gdyby wy dostał się z jakiegoś złego snu. – Czy ktoś tam kiedyś był?

Mirmib odezwał się łagodnie.

– Przyjacielu Ethanie, wypytujesz mnie tak, bo szukasz następnych chętnych dla waszej unii. – Ethan skinął głową, dodał „tak”, kiedy przypomniał sobie, że ten gest nie będzie Mirmibowi znany. – Nikogo takiego tam nie znajdziesz. Tak, wychodziliśmy nad skraj kanionu. Nie ma tam żadnych naturalnych ścieżek lodowych, nie ma lodowego oceanu. – Uniósł stopę, żeby pokazać swoje zaostrome szify.

– Jakże mielibyśmy tam podróżować i prowadzić badania? Moglibyśmy topić lód i pozwalać mu na nowo zamarzać, żeby utworzyły się lodowe ścieżki, tak jak to robimy tutaj w mieście, ale podróż na jakąś znaczącą odległość w głąb łądu wymagałaby więcej roboty, niż jest warta.

– Ale mówisz, że niektórzy z was wyszli nad skraj kanionu?

– Tak. Pomimo tych trudności. Opowiadają o płaskim, jałowym terenie, gdzie mało co rośnie i nie ma na co polować. Nie ma tam nic do jedzenia poza niską formą rośliny nawet w przybliżeniu nie tak odżywczej jak pika-pina, którą zbieramy w naszym własnym górnym kanionie. Nie ma tam też żadnych drzew wartych wyrębu. Są skarłate i nieliczne. Niewiele jest tam też lodu, który można stopić do picia, nie mówiąc już o tym, żeby go porozlewać i uformować ścieżki, po których można by jeździć. – Jego głos przycichł i Mirmib odwrócił wzrok. – Poza tym są tam duchy, które nawiedzają łąd w głębi. Uczują, żywiąc się umysłami tych, którzy ośmielą się tam wtargnąć i ponoć im bardziej się ktoś oddali od Moulokinu, tym szybciej topią się jego myśli niby woda do picia. Dość.

Doszli do zamku. Ethan przemógł się i odepchnął od siebie wizje wnętrza kontynentu, jakie jego niemała wyobraźnia wyczarowała. Mieli stanąć twarzą w twarz z następnym landgrafem, a dobrze by było, żeby im się tu lepiej powiodło niż w Poyolavomaarze.

Dym i odległość powodowały, że z portu zamku nie było wyraźnie widać. Z bliska ku swemu zaskoczeniu Ethan przekonał się, że ma on skromne rozmiary. Nie został zbudowany na tak wielką skalę, jak kamienny masyw w Poyolavomaarze, nie przypominał zamku ojca Elfy w dalekim Wannome. Umiejscowienie go tak wysoko nad miastem przydawało mu majestatu, którego w innym przypadku byłoby mu brak. Miał też proporcjonalnie dużo większą szerokość niż głębokość, w zasadzie wyglądał jak niski prostokąt z obrobionej skały. Nad nim, aż do skraju płaskowyżu,

wznosiło się wysokie na trzydzieści metrów skalne urwisko, o które się opierał. Zamek był tak płytki, że urwisko robiło wrażenie, jak gdyby gotowe było przy pierwszym silniejszym wietrze zwalić się i zmienić go w kupę gruzu.

Stojący po obu stronach wejścia i oczekujący ich przybycia wartownicy robili wrażenie bardziej solidnych niż budowla, której strzegli. Wysoka brama główna przepuściła ich na wąski dziedziniec, skąd udali się do wnętrza właściwego budynku. Kiedy przeszli nie zatrzymując się pokaźną odległość i okna dawno już ustąpiły miejsca pochodniom, Ethan i jego towarzysze z zaskoczeniem zdali sobie sprawę, że zasadnicza część zamku wykuta była w ścianie skalnej.

Ledwie zdążyli sobie to uświadomić, a już Mirmib skierował ich do komnaty, którą wyróżniał brak wszelkich ozdób. Ściany pokrywało kilka futer, światło pochodni jeszcze wzmagало ich egzotyczność. Komnata nie wywarła większego wrażenia na Hunnarze, Elfie i Ta-hodingu. Kiedy Mirmib poinformował ich, że stoją w sali tronowej, przyjezdni tranowie nie mogli w to uwierzyć. Brak było tu barbarzyńskiej wspaniałości sali tronowej ojca Elfy w Wannome, razem z jej jaskrawymi proporcami i dominującymi nad wszystkim kłami stavanzera. Nie było też przestronnej ostentacji sali tronowej Tonxa Ghina Rakossy z Poyolavomaaru.

Sala nie przytłaczała, przeciwnie, dominowało w niej wrażenie intymności. Oprócz błamów futra i pochodni jedyne akcenty kolorystyczne znajdowały się pod ich stopami. Podłogę tworzyła intarsja z pięciokątów, trójkątów i innych kształtów geometrycznych, przy czym każdy wykonany był z innego gatunku drewna. Barwa poszczególnych płytek wahała się od głębokiej, niemal kosmicznej czerni, poprzez ciemne odcienie brązu, do jednej płytki o wyrazistych słojach, która była niemal żółta.

Sam tron bardziej przypominał trańską wersję zwykłego fo tela niż imponujące miejsce dla władcy. Ethan, który w kilka sekund obejrzał całą komnatę, zwrócił teraz uwagę na postać siedzącą na fotelu. Postać uniosła obydwie łapy i wstając, żeby ich powitać, odrzuciła kaptur, który przedtem ocieniał jej twarz. Delikatnie tkane szaty otulały niespodziewane wypukłości.

September, którego nigdy nie onieśmiało czyjeś stanowisko, wymruczał jakąś pochlebną uwagę. Ethan powiedział sam sobie, że nie ma żadnej realnej przyczyny, dla której miałyby być taki zaskoczony. We Wspólnocie kobiety sprawujące władzę były czymś tak powszechnym, że nigdy nie wywoływały komentarzy. To raczej każdy inny układ wydawałby się nienaturalny. Ale inaczej było w wielu prymitywnych społeczeństwach, zwłaszcza takich, w których istniały tendencje feudalno-barbarzyńskie. A przecież przywódcą Hordy, którą wraz z Septembrem i Williamsem pomógł pokonać pobratymcom Hunnara była kobieta, odrażająca Sagyanak Nagła Śmierć. A czy Elfa nie była tą, która odziedziczyła tytuł Landgrafa Sofoldu?

Landgraf Moulokinu zeszła z tronu, żeby na powitanie wymienić z każdym z nich oddech. Mirmib przedstawił jej poszczególnych gości. Landgraf nie zawahała się ani nie spłoszyła, kiedy przyszła kolej na ludzi.

Landgraf, (a może Landgrafini? zastanawiał się Ethan) miała na imię K'ferr Shri-Vehm. Miała typowe dla wszystkich tranów szerokie bary, chociaż była szczuplejsza od dwóch obecnych kobiet, Elfy i Teeliam. Może Moulokińczyków charakteryzowała niezwykła chudość. Mogło tak być, sądząc po Landgrafie i strażniku bramy. Dla tranów była tak szczupła, że niemal wyglądała na człowieka, nie

licząc wzrostu – pod tym względem dorównywała Hunnarowi czy Septembrowi. Temu ostatniemu mogła wydawać się pociągająca w swojej osobliwej obcości, ale Ethana po prostu przytłaczała. Dany miała całe w cekinach, a mogła go nimi bez reszty zakryć.

Jej uśmiech, którym witała każdego z nich, wydawał się szczery. Chociaż była niezwykle piękna, co potwierdzały pełne podziwu spojrzenia Hunnara, Ta-hodinga i Balavere’a, ani Teeliam ani Elfa nie wydawały się zaniepokojone. Być może dzięki autorytetowi, który z niej emanował. Nieistotna była jej płeć, bez reszty była Landgrafem. I to pomimo faktu, że była najmłodszym tranem w komnacie, nie licząc Teeliam.

Z powodów, których Ethan nigdy do końca nie zrozumiał, jemu przypadła w udziale opowieść o ich niezaplanowanym przybyciu na Tran-ky-ky, o tym, jak rozbili się przy lądowaniu, o obecności placówki thranludzkiej na Asurdunie, o ich dotychczasowych przeróżnych przygodach i o ich wspólnej międzyrasowej decyzji, że najlepszą drogą do poprawy sytuacji dla wszystkich tranów będzie utworzenie formy rządu trańskiego obejmującego wiele państw-miast, które wtedy będą mogły zwrócić się z petycją o przyjęcie do Thranludzkiej Wspólnoty.

K’ferr przyswajała sobie ten istny potop nowych idei i koncepcji ze spokojem, a jej spiczaste uszy cały czas skierowane były z uwagą na Ethana. Sporadycznie wykonywała jakiś drobny gest potakiwania czy przeczenia albo półgłosem mówiła coś cicho do Mirmiba, który stał po jej prawicy. Nie odezwała się do nikogo, dopóki Ethan nie doszedł do tej części ich historii, w której zostali powitani a następnie zdradzeni i uwięzieni przez Rakosę z Poyolavomaaru, który działał w zмовie z Landgrafem Asurdunu, Calonninem Ro-Vijarem. Zanim Ethan zdążył skończyć, K’ferr podniosła się i zaczęła przemierzać otwartą przestrzeń pomiędzy tronem i zebranymi gośćmi. Jej szify postukiwały o drewnianą podłogę, co brzmiało jak nerwowe stepowanie tancerki. Ethan przyjrzał się bacznie intarsjowanej podłodze, zastanawiając się, czy ślady szifów ścierano po każdej audiencji, czy też po prostu tej sali rzadko używano.

Kiedy opowiadał o kłamstwach, jakimi posłużył się Ro-Vijar, żeby przeciągnąć na swoją stronę myśli niezrównoważonego Rakossy, delikatny głos K’ferr zaczął gniewnie wyliczać stare pretensje, jakie Moulokin miał do Poyolavomaaru.

– Ależ w Poyolavomaarze Moulokin uważany jest za na wpół legendarne miasto – powiedział zdumiony Hunnar.

– A ich kłamliwość jest legendarna w Moulokinie! To prawda – kontynuowała K’ferr z wściekłością – że nie utrzymujemy z nimi kontaktów. Ale oni utrzymują kontakt z wieloma ludami, które z nami handlują. Chociaż nie potrafią dorównać umiejętnością naszym cieślom okrętowym, z zazdrości usiłują nie dopuścić, żeby inni zamawiali u nas swoje tratwy. Znana jest arogancja ich kupców, a ich handlarze tyranizują wielu z tych, którzy chcieliby utrzymać z nami stosunki. Oszukując przy każdej okazji stali się potężni, spaśli się. Ale powiadają nam, że inni boją się zerwać z nimi stosunki. Dobrze znane są nam niepoczytalność i okrucieństwo ich Landgrafa.

Teeliam Hoh zamruczała coś, czego nikt nie dosłyszał, ale Ethan potrafił się domyślić, o co chodziło.

– Ten Rakossa słynie z wyciskania ze swoich ludzi podatków. Ale wy – dodała łagodniej, przyciszając głos – jesteście teraz tu, a nie w Poyolavomaarze.

– I wdzięczni jesteśmy za to, o pani.

K'ferr wśliznęła się z godną uwagi włochatą zmysłowością w swój fotel, oparła się o lewą poręcz. Pazury jej prawej łapy wysunęły się, zniknęły, znowu się wysunęły, Ethan natychmiast poznał ten ruch typowy dla podenerwowanego trana.

– Opowiedz mi o tej idei, o tym planie, jaki macie dla naszego świata, o obcoziemcze. O tej... jak ty ją nazwałeś, Mirmibie? O tej konfederacji, którą nazywacie unią lodostanów. – Rzuciła ostre spojrzenie na Hunnara. – Nigdy nie słyszałam o tym Sofoldzie, ani o nikim, kto by o nim słyszał. A przecież podpisujecie się pod tą propozycją, którą złożyło wam kilku przedstawicieli innej rasy. Czy możesz mówić w imieniu swojego miasta i zapewnić mnie, że utrzymacie pokój, jeżeli kiedyś zgodzimy się zostać częścią tej unii?

Hunnar i Elfa stanąwszy nagle twarzą w twarz z faktem urzeczywistniającej się idei, popatrzyli pytająco na Ethana. Ethan milczał. W końcu Hunnar odrzekł:

– Nie sądziliśmy, że przyjdzie nam tak szybko zobowiązać nasze państwo do tej propozycji, o pani.

– A więc gotowi jesteście zgodzić się tak ogólnie, ale nie w głębi waszych serc.

– Tego nie powiedziałem – poprawił ją pospiesznie Hunnar. – Tylko, że ja... – Przerwał, wyprostował się z całą swoją godnością. – Jestem rycerzem. Nie mam prawa zawierać traktatów.

– Ale ja je mam.

K'ferr zwróciła swoje okryte powiekami oczy na Elfę.

– Ty również jesteś rycerzem tej dalekiej krainy, Sofoldu?

– Jestem Elfa Kurdagh-Vlata, córka Torska Kurdagh-Vlady, Landgrafa Sofoldu. Któregoś dnia zostanę Landgrafem, kiedy zatwierdzą to rycerze i szlachta Sofoldu. Niech zastawem będzie moje ciepło, gdyby kiedyś Sofold wystąpił zbrojnie przeciw naszym przyjaciom w unii, ludowi Moulokinu. Połączymy się w pokoju na zawsze, nie dla polepszenia losu dwóch małych państw-miast, ale wszystkich mieszkańców całej Tran-ky-ky. – Świadoma, że wszyscy wpatrują się w nią, ciągnęła dalej choć już mniej władczo. – Robiąc tak ziścimy tylko wspaniałą ideę przyjaciół, którzy istnieją we wszechświecie większym niż nasz własny.

K'ferr ruszyła do przodu, złapała Elfę za przeguby swoimi łapami. Elfa zrobiła z nią to samo i wymieniły oddechy, na co zebrani zaczęli krótko acz energicznie wiwatować. Wszystko to działo się nieco zbyt szybko dla Ethana, przyzwyczajonego do obcowania z zawilóściami biurokracji Wspólnoty. I znowu nieformalna natura rządów trańskich pokazała, ile jest warta.

Wcale nie odnosił wrażenia, że jest to chwila decydująca o historii świata.

ROZDZIAŁ 13

O czterdzieści trzy sacze na południowy zachód od Moulokinu leży Jinadas – mówił Mirmib gościom, którzy zdążyli się już odprężyć. – Całkiem niewykluczone, że będą oni mieli chęć przyłączyć się do tej unii, zwłaszcza jeżeli razem z wami wyślemy reprezentantów, którzy by ich zapewnili o jej skuteczności. Mamy też dobrych przyjaciół w Yealleat, bardzo potężnym państwie, które leży gdzieś ze sto saczów na zachód.

– Ależ Polosie, a gdzie nasza gościnność? – K’ferr Shri-Vehm powiedziała to poważnie, choć wyglądała na zadowoloną z siebie. – Musicie wszyscy zatrzymać się u nas na kilka dni. Wydarzeń tej rangi i wagi nie da się przetrwać we właściwy sposób bez wielu uczt i uroczystości. – Jej topazowe oczy pobłyskiwały w świetle pochodni. – My, Moulokańczycy, gorliwie chwytny każdą okazję do świętowania.

– Sam nie wiem. – Ethan usiłował mówić skruszonym tonem. – Może to byłby dobry pomysł, gdybyśmy się pospieszyli z naszym...

– Z radością zatrzymamy się tu na pewien czas – wtrącił się z niepokojem September, rzucając ostre spojrzenie w kierunku Ethana. – Po tych ostatnich paru miesiącach przydałoby się nam trochę zabawy. Czyż nie, mój chłopcze?

– Skuo, czy nie sądzisz, że powinniśmy...

– A więc załatwione.

– Zgoda. – Mirmib splótł palce w geście wyrażającym ogromną satysfakcję. – Przygotowania zaraz się rozpoczną. Tymczasem chciałbym zwiedzić ten wasz cudowny statek.

Następne pytanie skierował do Elfy.

– Jak zdołaliście zbudować taką ogromną tratwę?

– Umożliwił nam to pewien szczególny metal, który nasi człowieczy przyjaciele nazywają duramiksem, a który, jak twierdzi Sir Ethan, może być nam dostarczany w wielkich ilościach i po cenach hurtowych.

Dyplomata skierował swoje obramowane futrem oczy na Ethana.

– Czy to prawda, obcoziemcze Ethanie?

– Handel jest życiodajną krwią Wspólnoty, przyjacielu Mirmibie. – Mówiąc to Ethan żałował, że nie nasunął mu się jakiś mniej oklepany zwrot. Lepiej radził sobie z konkretnymi niż z uogólnieniami. Równocześnie zastanawiał się nad stanowiskiem Mirmiba. Nazwał on siebie Strażnikiem Bramy, ale jego obecność tutaj, jako jedyne go doradcy K'ferr, wskazywała na dużo wyższą funkcję. Czy może być czymś z rodzaju premiera? Albo ojcem lub małżonkiem? Tyle spraw było niejasnych, że Ethan nie zdecydował się na ryzyko popełnienia nietaktu przez zadawanie pytań. Przynajmniej na razie, dopóki ta nowa trańska konfederacja nie będzie istniała nieco dłużej niż kilka minut.

– Jestem pewien, że sprawy da się jakoś ułożyć – dodał.

– To obietnica obfitości dla ludów Moulokinu i Sofoldu – zgodziła się K'ferr. – I dla naszych przyjaciół w Yealleat i Jinadas, jeżeli oni też się do nas przyłączą, a wierzę, że tak uczynią. Jej spokojne zachowanie i uszczęśliwiony wyraz twarzy uspiły kompletnie czujność Ethana, tak więc następne słowa wstrząsnęły nim dwakroć silniej, niż gdyby się ich spodziewał.

– Jest jeszcze jedna sprawa, taki nie budzący wątpliwości drobiazg, na który wszyscy powinni oczywiście się zgodzić. Zdradzieccy mieszkańcy nikczemnego Poyolavomaaru muszą naturalnie zostać z tej unii wykluczeni.

Ethanowi na moment serce stanęło w piersi. Hunnar potrząsał swoją wełnistą głową i patrzył na komiwojżera w wymownym milczeniu. Skrzywienie jego warg, przymrużenie podwójnych powiek mówiły równie wyraźnie jak słowa: A widzisz? Nawet gdyby ci Moulokińczycy byli nam najbardziej przyjaźni i szli nam jak najbardziej na rękę, zawsze będą istniały pomiędzy tranami nienawiści, których sama idea nie usunie.

– W szczegółach możemy tę konfederację dopracować później, o pani. – Była to rozpacзлиwa próba zapobieżenia dyskusji, która mogłaby wszystko zrujnować. – Chwilowo musimy powrócić na nasz statek i przygotować się należycie na wizytę Sir Mirmiba.

Albo K'ferr wyczuła jego niepokój, albo rzeczywiście udało mu się odwrócić jej myśli od Poyolavomaaru.

– Nie trudźcie się żadnymi szczególnymi przygotowaniem dla nas, jako że ja też idę. – Błędnie rozumiejąc jego niewyraźną minę, dodała: – Ale jeżeli pragniecie odpocząć i uprzedzić waszą załogę, rozumiem to w pełni. Będziemy czekali na wiadomość, że jesteście gotowi.

Wykonali oficjalne gesty pożegnania i przygotowywali się właśnie do wyjścia, kiedy do komnaty wbiegł moulokiński żołnierz.

Już samo to wystarczyło, by zrozumieli, że dzieje się coś ważnego, bowiem tranowie biegać nie lubili i robili to jedynie w krańcowych sytuacjach. Ich długie, ostre szify były wspaniale przystosowane do szifowania czy ślizgania się po lodzie, ale bieg był niezgrabny i niebezpieczny. A jednak ten żołnierz łomocząc szifami z imponującą szybkością wpadł do komnaty.

Grupka gości stanęła z boku i uprzejmie udawała, że nie zwraca uwagi na to, co przybyły mówi, ale Ethan nadstawiał uszu. Nie tylko sposób poruszania się tego żołnierza, ale jego zachowanie i

szybkość z jaką wyrzucał z siebie słowa wskazywały na jakąś niecierpiącą zwłoki wiadomość. Podobnie jak się działo w przypadku wszystkich tranów, z którymi się dotychczas stykali, zadyszany żołnierz wcale nie padł na twarz przed swoją władczynią, ani nie zaczął wykonywać innych, czasochłonnych, służalczych gestów. Po prostu zbliżył się do tronu i zaczął mówić, przerywając co chwilkę, żeby złapać oddech.

– Pani, przed pierwszą bramą... statek. A za nim, w pobliżu wejścia do kanionu wiele innych!

– Oszczędzaj swoje ciepło, żołnierzu – powiedział spokojnie Mirmib. – A teraz powiedz, co to znaczy wiele?

– Dwadzieścia do trzydziestu, ministże – wyrzucał z siebie wyczerpany posłaniec ignorując radę Mirmiba, żeby się odprężył. – Wszystkie wypełnione po poręcze uzbrojonymi żołnierzami.

Ethan trącił ramię Septembra rozmawiającego właśnie z Hunnarem.

– O co chodzi, mój chłopcze?

– Posłuchaj tylko. – Ethan ukradkiem pokazał na tron. Elfa, Teeliam i inni przestali gawędzić i także zaczęli nadstawiać uszu.

– Mówią, że pochodzą z Poyolavomaaru – ciągnął dalej żołnierz.

– O wilku mowa. – September miał wyjątkowo poirytowaną i zmartwioną minę.

– Mówią, że wiedzą, że... – rozejrzał się i w końcu skupił uwagę na Ethanie i jego towarzyszach – że oni tutaj są.

– Skąd mogę to wiedzieć? – Włosy na karku K'ferr zjeżyły się jak szczotka.

– Poznali po głębokości i ostrości śladów, jakie płozy ich statku zostawiają na lodzie, o pani. – Mirmib ze zrozumieniem skinął głową.

– Żądają, żeby przekazać im tych gości, ich wielką tratwę i kobietę, która się wśród nich znajduje, a która nazywa się Teeliam Hoh. Jeżeli uczynimy tak, opuszczą pozycje, które zajęli i pozostawią nas w spokoju. W innym przypadku grożą, że zajmą miasto. – Pod koniec przemowy w głosie żołnierza pojawił się ton niedowierzania.

K'ferr podniosła się gwałtownie, przejechała po lewej poręczy swego fotela wysuniętymi pazurami.

– Co za arogancja. Żeby w taki sposób podjeżdżać pod naszą bramę i żądać mocą swojej broni wydania jakiegokolwiek gościa. Takim durniom nie wydałabym nawet rannego k'nitha!

Żołnierz nie tracąc kontenansu podziwiał postawę swojej władczyni.

– Wydaje się to nie do wiary, o pani, ale on obstaje, że zniszczy nas, jeżeli się nie

podporządkujemy.

– On? Co za on?

– Ich Landgraf, Tonx Ghin Rakossa, przywodzi im, o pani.

– Czy raczył dać nam nieco czasu, żebyśmy mogli rozważyć jego łaskawą propozycję? – zapytała K'ferr sarkastycznie.

– Cztery dni, o pani.

– Aż tyle? Czemu zawdzięczamy taką łaskę? Żołnierz, który zrozumiał jej pytanie dosłownie, wyjaśnił:

– Oni zdają sobie sprawę, tak powiedział ich wysłannik wartownikom przy bramie, że możemy mieć trudności z podjęciem takiej decyzji, jako że sprzeciwia się ona tradycyjnym prawom gościnności. Uważa więc, że powinno nam się dać czas na przemyślenie tego. Ale wyraźnie dał do zrozumienia, że jak długo ich flota blokuje wejście do naszego kanionu, żaden nasz statek nie będzie mógł ani wjechać, ani wyjechać, żeby uprawiać handel.

– Ani uciec – dodał niewzruszony Mirmib. – Powiedz mi, żołnierzu, jakie jest twoje imię i funkcja?

– Cortundi, ministrze. Z zawodu jestem garbarzem.

– Co ty byś zrobił, Cortundi?

Prosty żołnierz wpatrzył się we władczynię i ministra. Jego łapy napięły się, jakby chciał w coś wbić pazury.

– Pragnąłbym tylko wrócić do pierwszej bramy, pani, i panie. Spodziewam się, że będę tam potrzebny.

– Oblężenie może potrwać, Cortundi. Żołnierz-rzemieślnik uśmiechnął się, pokazując perłowe kły.

– Może trafią się lepsze skóry do garbowania, o panie.

– Przyjemny pomysł. – K'ferr odpowiedział lamparcim uśmiechem na takiż uśmiech podwładnego. – Zaczekaj na zewnątrz, Cortundi.

Żołnierz odwrócił się i wyszedł.

– To moja wina, to wszystko przeze mnie. – Ethan usłyszał to pełne rozpaczy skomlenie i odwrócił się, żeby znaleźć jego źródło, a była nim przygnębiona Teeliam, stojąca z tyłu pod ścianą. Światło pochodni nadawało futerku na jej głowie i ramionach srebrzysty, jakby osmalony odcień.

– Nie powinnam była z wami uciec – ciągnęła dalej. – Zaprawdę powinnam była zadać sobie czystą śmierć własnymi rękami i zapobiec temu, co się stało. Rakossa jest obłąkany.

– Istotnie jest obłąkany – powiedziała K’ferr – jeżeli sądzi, że może zająć Moulokin. Nie sięgnie miasta, nie przebije się nawet przez pierwszy mur. Prawdziwie, kieruje się on nie zdrowym rozsądkiem, a szaleństwem.

Ethan powstrzymał się od uwagi, że także niektórzy z najlepszych ziemskich generałów, tak starożytni, jak i współcześni, uważani byli za ludzi kompletnie niepoczytalnych.

– To tylko mnie on ściga – ciągnęła dalej smutno Teeliam. – Nie potrafi znieść myśli, że udało mi się w końcu uciec od niego. Zabiłabym się tutaj, ale to by go jeszcze bardziej rozwścieczyło, uważałby, że pozbawiono go przyjemności zrealizowania planów, nad którymi spędził z pewnością kilka ostatnich dni. – Jej futro nerwowo zafalowało, kiedy napięła mięśnie. – Niech się dzieje, co chce, sprawiedliwie będzie, żebym do niego wróciła. – Podniosła wzrok, spojrzała kolejno w oczy ludziom, potem tranom. – Jeżeli tak uczynię, może odejdzie.

– Nie rozumiem – powiedziała powoli K’ferr, która więcej dowiedziała się patrząc w oczy Teeliam, niż słuchając jej słów. – Powiedziano, że Rakossa żąda również waszej załogi i statku.

– Tak, on ich pożąda, ale zadowolili się mną.

– On by się może tym i zadowolili – powiedział Ethan i zabrzmiało to bardziej bezwzględnie, niż chciał – ale nie zadowolili się tym Calonin Ro-Vijar. – Przez ramię rzucił lakoniczne wyjaśnienie Mirmibowi i K’ferr, którzy się w nich wpatrywali. – Ro-Vijar to Landgraf dalekiego Asurdunu, sojusznik Rakossy w sprawach duchowych, jeżeli nie materialnych.

– To nie jest w porządku, żeby całe miasto narażało się na wojnę przez jedną osobę. – W głosie Teeliam brzmiała rezygnacja. – Ścierpię to wszystko co Rakossa dla mnie wymyślił. – Zrobiła gest, który był trańskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami. – Nie może to być gorsze niż to, co zniosłam już wcześniej.

– Nie oddamy cię temu szaleńcowi – powiedział zdecydowanie Hunnar. – Sofold nie zwykł poświęcać niewinnych dla korzyści własnej. Poza tym, jak mówi Ethan, taki gest może wcale nie zaspokoić Rakossy. Oczywiście – tu odwrócił się twarzą do tronu – to nie do nas należy podejmowanie tej decyzji.

K’ferr zeszła z tronu i znowu chodziła tam i z powrotem po komnacie. Niemal z roztargnieniem powiedziała:

– Ta sprawa z przekazaniem waszej towarzyszkii Rakossie to czysta strata czasu. Nigdy byśmy nie wzięli czegoś takiego pod uwagę, ani nie pozwolilibyśmy wam tego zrobić, nawet gdyby takie było wasze życzenie. Są ważniejsze sprawy, które musimy omówić. – Popatrzyła na swojego ministra. – A więc Poyowie chcą nam rzucić wyzwanie, tu, u naszych własnych drzwi, w naszym kanionie, na naszym lodzie. Jeszcze jeden dowód na to, że ten Rakossa jest obłąkany. Arogancja rozcieńcza rozum tak samo, jak vouli rozcieńcza mocny trunek. Jeżeli oni są rzeczywiście na tyle nierozsądni, żeby

zaatakować branie, powitamy ich tak, że tego nie przeżyją.

– Jeżeli jesteście zdecydowani walczyć, może lepiej przygotujemy również naszych ludzi – powiedział Ethan. – Za twoim pozwoleniem i po złożeniu ci najgłębszych wyrazów wdzięczności, o pani, powrócimy na naszą tratwę.

– Czy pozwolimy im przejść pierwszą bramą i schwytemy ich w pułapkę pomiędzy bramami, czy zatrzymamy ich przy pierwszej bramie strzałami i włóczniami? – Litościwa władczyni pogрузyła się głęboko w dyskusji ze swoim ministrem nad metodami skracania życia wrogom. Mirmib zachował na tyle przytomności umysłu, że wcześniej odprawił gości.

* * *

Ethan podniósł się ze swojego miejsca przy długim stole w kambuzie-sali konferencyjnej na *Slanderscree*. – Nie możemy dopuścić, żeby Teeliam dostała się w ich ręce i nie wydaje się słuszne, żeby Moulokińczycy walczyli i umierali za coś, z czym nie mają nic wspólnego.

Teeliam nie była obecna, ponieważ wbrew jej protestom wykluczono ją z tego spotkania, tak że nie mogła zaprotestować na pierwszą część jego wypowiedzi. Jak ją poinformował Hunnar, była zbyt stronnicza, żeby mogła wysuwać obiektywne propozycje. Tak stronnicza, że była skłonna nawet skazać siebie samą na śmierć.

– Co do mnie, to z pewną radością powitałbym możliwość pofiglowania z Rakossa i jego bandą. – September rozparł się w swoim krześle o trańskich wprawdzie rozmiarach, ale nie przewidzianym na jego wielki ciężar. Rozległo się groźne trzeszczenie. Niezrażony tym mężczyzna potarł swój wyniosły nochal.

– Wiem, Skuo. Niekiedy zachowujesz się bardziej jak tran niż jak człowiek.

September szeroko się uśmiechnął, przesunął dłoń z grani nochala na białą grzywę i zaczął się drapać.

– Chłopcze, jak zobaczysz już taki kawał galaktyki, jaki już widziałem, będziesz wiedział, że w pretendowaniu do miana człowieka nie ma niczego szczególnie pochlebnego.

– Nie, przyjacielu Skuo.

September popatrzył z zaskoczeniem na Elfe. O córce Landgrafa można było powiedzieć wiele, ale nikt by jej nie zarzucił pacyfizmu. Dziwny to był moment na ujawnienie się skłonności do łagodzenia sytuacji. Jednak Elfie nie chodziło o załagodzenie czegokolwiek.

– Ethan ma rację mówiąc, że nie jest to walka Moulokińczyków. Nie możemy ich prosić, żeby za nas umierali.

– Ale czy nie widziałaś, jak się zachowywała K'ferr? – przekonywał ją September. – Ona rwie się do walki i rozlewu krwi.

– Przecież z pewnością, o pani – dodał z niedowierzaniem Hunnar – nie myślisz o oddaniu Teeliam temu potworowi?

– Istotnie, szlachetny rycerzu, nie myślę. – Elfa obrzuciła spojrzeniem wszystkich przy stole. – Ale przypuśćmy, że Rakossa i Calonin przekonaliby się, że *Slanderscree* tutaj nie ma?

– Nie żebym cię chciał traktować protekcjonalnie, dziewczyno, ale słyszałaś, co mówił ten żołnierz w sali tronowej. – W porównaniu z pazurami tranów paznokcie Septembra przypominały obrzynki, tym niemniej wyłobiły płytką bruzdę w twardym drewnie stołu. – Żaden inny statek nie mógł pozostawić na zewnątrz kanionu tych śladów szifowania po lodzie, które zrobiła *Slanderscree*.

– Żaden inny statek – przyznała Elfa. – Ale istnieje wiele regionów na tym świecie o których Poyowie, podobnie jak do niedawna również i my, nic nie wiemy. Odnosi się to także do dalekiego Asurdunu. Skąd mieliby wziąć pewność, że te ślady to nie są ślady jakiegoś innego statku, powiedzmy wielkiej holowanej barki, dawno już rozebranej na drewno przez Moulokińczyków?

– To jest dobry pomysł, o pani – wtrącił Ta-hoding. – Ale jak mielibyśmy przekonać o tym tych napastników?

Elfa się zakłopotowała.

– Nie sięgałam myślą tak daleko. Czy nie moglibyśmy ukryć naszego statku na czas, kiedy przedstawiciele floty Poyolavomaaru będą przeprowadzali inspekcję moulokińskiego portu?

– Ukryć ten statek? – Hunnar wybuchnął czymś w rodzaju trańskiego piskliwego śmiechu.

– Czekaj, zastanówmy się nad tym, Hunnarze. – September nie krył podziwu. – Coś w tym jest.

– A gdybyśmy tak – powiedział Ethan po chwili intensywnego namysłu – rozebrali statek na części. Tak, rozebrali go na części i złożyli je na płaskowyżu. Przedstawicielom Poyo'ów nigdy by do głowy nie wpadło, żeby tam go szukać.

– I to z bardzo prostego powodu. – Hunnar usilnie starał się nie szydzić. – To wręcz cudowna propozycja, mój przyjacielu Ethanie, tylko że dokonanie takiego dzieła zajęłoby całej populacji miasta i na dodatek całej naszej załozce kilka tygodni, nawet gdyby Moulokińczycy mieli wystarczająco ciężkie maszyny, żeby unieść tak duże belki i maszty. A mamy jedynie cztery dni.

– Nie, zaczekaj no chwilkę. – September pochylił się do przodu i mówił starając się nie dać ponieść emocjom. – To, co Ethan proponuje ma sens, ale w inny sposób. Musimy przenieść kliper na górę, na płaskowyż i na sporą odległość w głąb lądu, na wypadek gdyby Poyowie uparli się tam szukać. A ten Rakossa może coś takiego wymyślić. Ponieważ nie możemy go przenieść w kawałkach, będziemy musieli przenieść cały statek.

Kilku tranów siedzących dookoła stołu wydało pomruk uprzejmego zdziwienia.

– Przypuśćmy, że pozęglowalibyśmy tam, gdzie kończy się główny kanion, kapitanie. – Swoją uwagę skierował na słuchającego w napięciu Ta-hodinga. – Sam byłbym zainteresowany spotkaniem

tych Złocistych Saia.

Ethan rzucił mu pytające spojrzenie. Czyżby Skua, mimo że się tak zarzekał na początku, był równie zaintrygowany tajemniczymi Saia, jak Ethan i Milliken Williams?

– Rozpatrzywszy wszystkie siły, jakie w tamtym miejscu działają na podłoże, możemy z dużą dozą pewności przyjąć, że ziemia tych Saia będzie stosunkowo łagodnie wznosiła się w głąb kraju.

– Założywszy, że nawet tak jest, przyjacielu September... a w najmniejszym stopniu nie chciałbym okazać braku szacunku, ale... co z tego? – Hunnar czekał, żeby go ktoś przekonał do, sam nie wiedział czego.

– Byłem kiedyś na świecie – powiedział wspominając olbrzym – który podobny był do tego. Tyle, że oceany porośnięte były trawą... czymś w rodzaju anemicznej pika-piny, Hunnarze, pewnie takiej jak ta, która, jak powiadają, porasta płaskowyż w głębi... i istniały tam statki zbliżone do *Slanderscree*. Żeglowały z łatwością po tych zielonych oceanach na kołach, zamiast na płozach.

– A co to jest koło? – zapytał Hunnar zdumiony. Ethan siedział jak porażony. Tranowie osiągnęli tak wysoki poziom cywilizacji, że wynalazek koła uznał za rzecz oczywistą. Teraz, kiedy wracał myślą wstecz, istotnie nie potrafił sobie przypomnieć, żeby gdziekolwiek w Sofoldzie widział jakiś pojazd na kołach; ani wózek, ani wóz, nic. Wszystko podróżowało na szifach lub płozach. Transport po suchym lądzie odbywał się na saniach i korzystano z niego tak rzadko, jak to było możliwe. W końcu koło nie było im do niczego potrzebne, jeżeli z łatwością można było skonstruować ścieżki lodowe, a zamrożone morza otaczały każde państwo-miasto. W końcu wymyślił przykład, który mógł posłużyć jako ilustracja.

– Jak kamienie młyńskie, Hunnarze, których używacie do produkcji mąki z wysuszonej pika-piny i soku z jej miąższu. Jak – i tu mówiąc o wielkim kole sterowym *Slanderscree* musiał użyć trańskiego terminu. – Umieszcza się je w pewnej odległości, o tak, łączy się je belką osiową taką jak ta, która łączy płozy naszego statku i niosą cię gładko po nie zamrożonej ziemi.

– To jakiś bardzo niezdarny sposób podróżowania – przyznał Hunnar, a brwi mu się ściągnęły w pomieszeniu – ale jeżeli twierdzisz, że to coś działa, to tak musi być.

– To sprawdzona metoda – odparł Ethan bez uśmiechu. Przynajmniej Hunnar i reszta tranów mieli teraz pojęcie, o czym mówił.

– Będą nam potrzebne – zaczął Williams, który już rysował plany i w myśli obliczał obciążenia – dodatkowe osie, które trzeba będzie umieścić pod statkiem. Chociaż pięć duramiksowych płóz rozmieszczonych teraz pod statkiem wystarcza, żeby utrzymać ciężar klipra, nie obdarzałbym takim zaufaniem drewnianych czy kamiennych kół, a niczego lepszego Moulokińczycy nie będą w stanie skonstruować. Mają drewno dobrej jakości. Może można by je wzmocnić metalem, jeżeli dzieła tych Saia są tak wspaniałe, jak się twierdzi.

– A czemu by po prostu nie wyprodukować tych kół z metalu? – zastanawiał się jeden z oficerów okrętowych.

– Zakładając, że ci Saia rzeczywiście nie są bogami, trzeba by za wspaniały wynik uznać wyprodukowanie w cztery dni jednego koła o takich rozmiarach – zwrócił mu szorstko uwagę Tahoding. Kapitan żaglowca, który zachowywał się łagodnie, mówiąc do osób wyższych rangą czy do ludzi, potrafił być bardzo szorstki, jeżeli sądził, że jeden z członków jego własnej załogi winien jest głupoty.

– A więc z kamiennymi lub drewnianymi kołami – ciągnął dalej nauczyciel, rachując przez cały czas – będą nam potrzebne dodatkowe osie na dodatkowe koła.

– Mnóstwo tu wystarczająco dużych drzew – zgodził się September. – Dużo łatwiej będzie je pościnać i przymocować, niż rozebrać statek na części. Oczywiście – i tu jego podniecenie trochę opadło – wszystko to zakładając, że Moulokińczycy wyrażą chęć, żeby je dla nas zrobić. Sądzę, że się zgodzą. Jestem pewien, że większość z nich będzie wolała nieco ciężiej popracować, niż walczyć. Zwykle piła powoduje mniej rozlewu krwi niż włócznia.

– Wypowiadasz prawdę, która, jak podejrzewam, wykracza poza mój własny świat, przyjacielu September. – Hunnar patrzył mrocznie na olbrzyna. – Są tacy, którzy nie podzielają twojego i mojego zdania na temat walki. – Obrzucił stół spojrzeniem. – Jest jeszcze kwestia uzyskania zgody od tych Saia, kim by oni nie byli, na podróż po ich kraju. Biorąc to wszystko pod uwagę, powstrzymam osobiste pragnienia przelania poyoskiej krwi.

Trzeba jeszcze było przekonać K’ferr Shri-Vehm. Okazało się, że konieczna była znaczna siła perswazji ministra Mirmiba, żeby odwieść ją od wyboru zbrojnego rozstrzygnięcia konfliktu. Kiedy tego dokonano, padł rozkaz rozpoczęcia gorączkowej pracy.

Pracownicy Moulokińczycy potraktowali to zamówienie jak wyzwanie rzucone ich umiejętnościom. Gdy zapadł pierwszy wieczór, wyniesiono na zewnątrz światła, żeby nie trzeba było przerywać roboty. Nad centralną stoczną unosiły się wyziewy starego oleju. Z pewnej odległości wyglądało to tak, jak gdyby *Slanderscree* spoczywała w kałuży ognia. Dostarczono im olbrzymie drzewa, które wcześniej pościnało i przechowywano, żeby zamontować je jako maszty na tratwach; teraz miały służyć jako dodatkowe osie. Wydobyto metalowe bolce produkcji Saia i wzmocniono nimi połączenia linami z pika-piny osi ze statkiem. Cztery nowe osie rozmieszczono pomiędzy przednią i tylną parą duramiksowych płóz pod nieruchomym kliprem.

Godziny stawały się dniami. Pokryte metalem i wzmocnione koła zostały zamocowane sworzniami do czterech nowych osi. Potem odczepiono płozy, najpierw dwie przednie, potem dwie tylne. Na trzonach płóz umieszczono koła odrobinę większe niż tych osiem, które doczepiono wcześniej. W końcu zastąpiono piątą płozę sterową kołem do sterowania.

Tak jak się spodziewano, krótkie doświadczenie pokazało, że powstałą hybrydę prowadziło się po lodzie z równym powodzeniem jak ledwie urodzone kocię. Było absolutnie wykluczone, żeby posunęła się nawet kawałek w górę kanionu pod potężny wiatr, który nieustannie dął od płaskowyzła. Koła po prostu obracały się w miejscu, a wiatr wpychał kliper w pierwszą lepszą skałę za rufą.

Wybrano więc siedem największych tratw w porcie, a Moulokińczycy budują tratwy o godnej szacunku wielkości, żeby pohołowały bezradną *Slanderscree* w górę kanionu, tam gdzie się kończył

lód. Do krainy Złocistych Saia. Stamtąd miała zacząć powolną podróż w głąb łądu.

Mirmib nie mógł jednak zagwarantować Ethanowi i innym bezpiecznego przejazdu przez obszar ciepłych źródeł. Posłaniec, którego pospiesznie wysłano, żeby taką gwarancję uzyskał, wrócił odwodniony i wyczerpany, co było normalne, i doniósł, że Saia zdecydowali się nie udzielać odpowiedzi na to pytanie. Nie gwarantowali bezpiecznego przejazdu, ani też go nie odmówili. Ich jedyną reakcją było obojętne milczenie.

Skoro im jednak wyraźnie nie odmówiono, zdecydowali się pojechać.

– Mają oni osobliwą moc i obcują regularnie z duchami z głębi łądu – poinformował uroczyście Mirmib przygotowujących się do wyjazdu podróżnych. – Dobrze zrobicie rozmawiając z nimi ostrożnie i unikając za wszelką cenę konfliktu. Na dodatek mogą oni udzielić wam dużo więcej informacji o prawdziwych warunkach, jakich możecie spodziewać się w głębi łądu, chociaż czują do niego jeszcze większą odrazę niż my.

Kiedy Mirmib tak przemawiał, była już noc. Stali na długim pomoście równoległym do niemal ukończonego, przerobionego klipra. Ethan i Hunnar odeszli trochę na bok, a naokoło nich pędziły we wszystkie strony potoki zaabsorbowanych rzemieślników.

Za pomocą kołowrotów ostrożnie załadowano na pokład statku ostatnią z pięciu zdjętych płóz duramiksowych. Mieli nadzieję, że daleko stąd znajdzie się jakiś następny pochyły kanion. Ethan cały się trząsał, gdy sześćdziesiąt stopni mrozu wystawiało na ciężką próbę możliwości dostosowawcze jego kombinezonu ochronnego. Kiedy trafią na następny kanion, przymocują z powrotem duramiksowe płozy, usuną koła i ruszą na poszukiwanie nowego miejsca, może tego odległego Yealleat. W końcu, jak im zwrócił uwagę Ta-hoding, głównym przewodnikiem podczas nawigacji dla trańskiego żaglomistrza były gwiazdy, a gwiazdy utrzymywały się na stałych pozycjach tak nad łądem, jak i nad lodem.

Następnego ranka ładowali właśnie ostatnie zapasy, kiedy do portu wpadła z ogromną prędkością niewielka tratwa i przechyliła się niebezpiecznie na lewą burtę, kiedy jej załoga wyciskała maksymalną szybkość. Wskoczył z niej jeden oficer, który z imponującą szybkością, pomimo krwi sączącej mu się poprzez futro nad lewym okiem wspiał się na górę po drabinie. Czterej marynarze rozciągnęli się z wyczerpania jak dłudzy na pokładzie swej tratwy; sprawiali wrażenie równie sponiewieranych jak oficer.

– Poyowie nie zaczekali – wyjaśnił oficer gwałtownie rosnącej grupie słuchaczy, cisnących się koło niego. – Dopiero się zaczął czwarty dzień, a oni zaatakowali dwa hoidy temu, bez wątpienia mając nadzieję nas zaskoczyć. – Krwawiący żołnierz pozwolił sobie na zjadliwy uśmiech. – Nie zaskoczyli, chociaż są silniejsi, niż przypuszczaliśmy. – Wśród zebranych tranów rozpoznał Hunnara. – Byłoby dobrze dla wszystkich, gdybyście jak najszybciej wyruszyli w drogę. – Objął wzrokiem siedem stłoczonych tratw, napięte liny, które biegły od nich do klipra. – Muszę wracać na stanowisko. Nasze ciepło niech będzie z wami, nowi bracia. Niech was wiatr prowadzi. – I znalazł się za burtą, zanim ktokolwiek zdążył zadać mu jakieś pytanie.

Ta-hoding już kierował się na pokład sterowy. W istnej zamieci rozkazów podczepiano dźwigi i

liny podnośników. Oficerowie *Slanderscree* i piloci portowi z Moulokinu zajęli pozycje na dziobie. Żagle zaczęły się wydymać, rozkwitając niebieskawą zielenią i szarością, tymi kwiatami szybkości.

Wieść o ataku Poyolavomaaru rozeszła się błyskawicznie wśród załogi klipra lodowego i załóg statków holowniczych. Moulokińczycy przyspieszyli robione w ostatniej chwili przygotowania. Chcieli jak najszybciej wracać i pomagać w obronie swojego miasta.

Siedem tratw rozmieszczonych naokoło dziobu *Slanderscree* w formacji grotu strzały wymieniło między sobą sygnały i rozkazy. Żeglarze, którzy mieli stanowiska na rufach, wbili wzrok w klamry, od których ku kliprowi biegły grube liny. Nikt jeszcze nigdy nie słyszał, żeby zerwała się lina z pikapiny, ale też nikt nigdy jeszcze nie stosował jej do holowania tak masywnego ładunku jak *Slanderscree*. Liny pomiędzy martwym ciężarem a holownikiem były tak napięte, że gdyby któraś z nich się zerwała, mogłaby w locie obciąć głowę nieostrożnemu marynarzowi. Przy klamrach stali więc sami ochotnicy. Ethan bardziej martwił się wpływem, jaki będą miały wiejące od płaskowyżu wiatry na olbrzymi kliper lodowy. Nawet jeżeli zwinie się żagle, jeżeli wiatr pochwyti statek, może rozbić go o boczną ścianę kanionu.

Jedna za drugą tratwy-holowniki postawiły żagle, dostosowały swoje ustawienie tak, żeby chwycić w nie łagodne powiewy, które przemiały osłonięty kanion Moulokinu. Kable napięły się, zaczęły brzęczeć. Rozległ się taki dźwięk, jak gdyby pod ogromnym ciężarem tłukły się jakieś naczynia, dźwięk rodząc się już stawał się przytłumiony. Kliper lodowy ociężale ruszył do przodu i wysunął się z suchego doku tak zgrabnie, jak przy nieskomplikowanym lodowaniu.

Ta-hoding utrzymywał stałą łączność słowną z oficerami na stanowiskach przekaźników, porozstawianymi wzdłuż statku. Ciągłe rozbrzmiewały okrzyki, pomykały od tratwy holowniczej na kliper i z powrotem, wszyscy zainteresowani mozolili się nad utrzymaniem jednakowego napięcia wszystkich lin. Wydawało się to niewykonalne, ale Moulokińczycy okazali się równie zręczni w obsłudze swoich statków, jak przy ich budowie. Liny grały i śpiewały pod nierównym obciążeniem, ale żadna się nie zerwała – nawet podczas najbardziej niebezpiecznego manewru, kiedy to siedem holujących tratw skręciło w główny kanion i uderzył w nie i w ich masywnego podopiecznego silny wiatr z głębi ładu. Halsując jak jedna ciągnęły miarowo wielką tratwę w głąb kanionu.

Ethan rzucił się na lewą burtę i z ulgą przekonał się, że na drugim murze, który zagradzał drogę w dół kanionu, nie widać było śladu działań wojennych. Oznaczało to, że Poyo'ów wciąż jeszcze nie przepuszczono za pierwszy mur. Jak dotąd pewność siebie, jaką wcześniej okazywała K'ferr z Moulokinu, wydawała się uzasadniona.

Wielkie ściany z ciemnego kamienia ściągnęły się przed nimi, jak nie nakryty dachem przedpokój jakiegoś pradawnego kataklizmu. Chwilami Ethan z niecierpliwością marzył, żeby przyspieszyli, bo posuwali się do przodu rozpaczliwie powoli. Nie była to jednak podróż, którą dałoby się przyspieszyć. Nie wtedy, kiedy siedem statków musiało manewrować jak jeden.

Piątego dnia wszechobecne ściany zaczęły się kurczyć. Pojawiły się małe, boczne kaniony; niektóre z nich zwisały ponad poziomem lodu i zdawały się rozdzierać skraj urwiska, inne wtapiały się w płaskowyż gładko, jeszcze inne opadały w dół tarasami, podobnie jak ziemia naokoło Moulokinu. Zrodzone w tych kanionach zefirki wznagały dodatkowo trudności przy manewrowaniu

tratwami.

Jeszcze trochę, a mijali ściany urwiska nie wyższe niż dwadzieścia metrów. Obserwatorzy na przednim i głównym maszcie *Slanderscree* mogli wyrzeć za jego krawędź i przyglądać się terenowi w głębi ładu. Donieśli, że widzą jedynie żółtawą, wietrzną, niegościnną prawie pustynię.

W lodowaty poranek jedenastego dnia, kiedy kanion przestał być kanionem, a stał się rzeką lodu, graniczącą z łagodnie pochyłonymi zboczami, wjechali na teren, gdzie chmury oparów i mgły ukrywały przed wzrokiem wszystko, za wyjątkiem najbliższych kilku metrów. Kiedy ślizgali się bliżej brzegów, żeglarze z pokładów tratw dostrzegali grube, wysoko wznoszące się drzewa, których korony ginęły w szarym, wodnym puchu; ich pnie były bardziej masywne niż pnie nawet tych największych rosnących w moulokińskim bocznym kanionie.

Wkrótce od tratwy jadącej na szpicy trójkątnej formacji dobiegł krzyk. Dojechali do końca zamrożonej rzeki. Rzucano liny i zwijano je starannie na pokładzie *Slanderscree*. W końcu odczepiono ostatnią i wszystkie siedem tratw ruszyło ostrożnie w dół rzeki, odsuwając się od klipra.

Wiatr tutaj był rozproszony, niezdecydowany. Ta-hoding kazał szybko postawić żagiel, bo ogromna tratwa ślizgała się z wolna i bez celu po lodzie. Wydano rozkazy, ustawiono reje. Przez mgłę przebił się nowy dla trańskich uszu dźwięk; głęboki, imponujący turkot. Kliper lodowy podróżował teraz po łądzie.

Zatrzymał się.

Obserwatorzy na przodzie donieśli, że dwie pierwsze pary kół spoczywają na łagodnej plaży ze żwiru i porośniętej trawą skały. Ta-hoding zamyślił się. Było jasne, że muszą postawić więcej żagli, wciąż jednak nie czuł się pewnie myśląc o żeglowaniu po nagiej ziemi. Williams, który stał w pobliżu na pokładzie sterowym, robił, co mógł, żeby mu dodać otuchy. Pulchnego kapitana nie opuszczał sceptycyzm.

– Wolałbym mieć pod płozami porządny, lity lód niż – nadał tym słowom nieprzyzwoite brzmienie – nagą ziemię. No cóż, trzeba nam więcej wiatru.

Rozwinięto dodatkowy żagiel, ustawiono go. Najsilniej, najbardziej miarowo wiał wiatr z północy. Ta-hoding nakazał konieczną zmianę ustawienia żagli. Świeże płyty tkanej pika-piny wydęły się jak karykatura kapitańskiego brzucha. Spod kadłuba tratwy dobiegały nieprawdopodobne odgłosy, jakieś trzaski i pojękiwania, przerażając nie przygotowanych na to żeglarzy, przywykłych do bezdźwięcznego podróżowania po gładkim lodzie. Zgrzyt kamieni pod masywnymi kołami był dla nich nowym, denerwującym odgłosem. Przypominał im wyłamujące się drewno statku.

Chociaż niezbyt zgrabnie, na ład wjechała trzecia, czwarta, piąta i wreszcie szósta para kół, a za nimi jedyne koło sterowe. Przyglądający się z tratw za rufą Moulokińczycy wydali kilka skromnych okrzyków na dowód uznania, kiedy *Slanderscree* niezdarnie ale wytrwale poturkotała w górę zbocza.

Ta-hoding, któremu wracała pewność siebie, kazał rozwinąć kilka dodatkowych, małych żagli. Kliper lodowy nabrał szybkości. Z dziobu najbliższego statku holowniczego rozległ się okrzyk i, gest

czulego pożegnania. Ethan i Hunnar powtórzyli ruch ręki ministra Mirmiba.

– Ciekaw jestem, czy ich jeszcze kiedyś zobaczymy – powiedział Hunnar z sympatią.

– Nie czy, ale kiedy – skomentował Ethan ze zdumiewającą pewnością. – Sofold i Moulokin należą teraz do tej samej konfederacji, do unii lodostanów, pamiętasz?

Hunnar miał zawstydzoną minę.

– Nowe idee zakorzeniają się powoli na moim świecie, przyjacielu Ethanie. Wciąż jeszcze trudno mi zrozumieć znaczenie tak wielu dziwnych wydarzeń, z których wszystkie miały miejsce od chwili waszego przybycia na Sofold, tak niedawno temu. Podejrzewam, że w miarę, jak będą się nasilały nasze kontakty z twoimi pobratymcami, z ludźmi z innych światów, wydarzenia dla mnie i dla wszystkich tranów będą płynąć jeszcze szybciej.

– Spodziewam się, że tak, Hunnarze – wyznał Ethan. Słowa rycerza wywołały w nim mieszane uczucia. Czy wybrali właściwą drogę, próbując przynaglać ich do utworzenia galaktycznego rządu? Na swój sposób tranowie robili na nim wrażenie zupełnie zadowolonych ze swojego miejsca we wszechświecie. Kto potrafi przewidzieć, jaki wpływ wywrą niektóre z mniej wzniosłych aspektów ludzkiej cywilizacji na tych dumnych, samowystarczalnych ludzi? Żeby nie wiem jak starali się ich zabezpieczyć, wszystko to, co cywilizacja ze sobą niesie, nawet zło, znajdzie sobie drogę na Tran-ky-ky z równą pewnością, jak pasożyty zarażające nieostrożnego gospodarza. A jakie mieli usprawiedliwienie dla swoich działań, jak dotąd? Drobne handlowe oszustwa w jednym zakątku tego wielkiego, zamarznętego globu? To wykorzystywanie tranów oczywiście po jakimś czasie zdusiłoby nadzieje tego świata, ale jednak...

A potem wrócił myślą do zabijania, do tych wszystkich okropieństw, jakie słyszał o koczowniczych hordach Tran-ky-ky. O tym, jak grabiły one niewinnych ludzi z miast, jak całe miasta równały z ziemią i o sporadycznych rządach prawdziwego barbarzyństwa na tej planecie. Rozważył indywidualne okrucieństwo, jakiemu oddawali się dziedziczni władcy nie nadający się na swoje stanowiska, pomyślał o trańskich przywódcach takich jak Tonx Ghin Rakossa z Poyolavomaaru czy Calonnin Ro-Vijar z Asurdunu.

Nie, zważywszy wszystkie pro i contra, w księdze rejestrowej bilans był wysoki po stronie interwencji. On, Ethan Frome Fortune udzielił sobie rozgrzeszenia. Tego, co usiłował wraz ze swoimi towarzyszami zrobić, nie robili jako Naczelnicy Radni Zjednoczonego Kościoła czy jako ministrowie Wspólnoty, robili to wyłącznie dlatego, że byli tymi, którym niespodziewanie trafiła się sposobność, żeby Coś Zrobić.

A robili to; komiwojażer, on sam we własnej osobie, nauczyciel, który był jednym z najłagodniejszych i najbardziej liczących się z innymi ludźmi, jakich zdarzyło mu się spotkać oraz olbrzysamotnik, który był czymś więcej niż minister i czymś mniej niż święty. Ta trójka zobowiązała się do pomocy tranom, a tranowie zobowiązani teraz byli pomagać sami sobie. Jeżeli będzie miało miejsce więcej spotkań takich jak to, które połączyło Sofold i Moulokin, ich osobiste decyzje będą usprawiedliwione.

Takie wzniosłe myśli nie dopuszczały do niego brutalnego, obcego zimna panującego na zewnątrz kombinezonu, nie pozwalały mu zadumać się nad inną, całkiem prawdopodobną możliwością – że może umrzeć w beznadziejnej sprawie na tym dalekim, nie zauważonym i całkowicie niegościnnym świecie.

ROZDZIAŁ 14

Rzeka lodu już dawno zniknęła za nimi, a marynarze ze *Slanderscree* nie przestawali wydawać okrzyków zdumienia nad gęstością mgieł, choć samo to zjawisko było im dobrze znane. Wysoko, na graniach gór wznoszących się nad ich rodzinną wyspą Sofold, także znajdowały się gorące, wulkaniczne źródła, choć nie w takiej obfitości jak tutaj. Gdzie by nie spojrzeli, wszędzie dostrzegali kipiące kałuże, a strumienie spływały po zboczach. Taka ilość płynnej wody była równie obca dla tranów, jak rzeka płynnego tlenu byłaby obca dla Ziemi.

Na szczęście okazało się, że sam teren przysparzał im mniej kłopotów i wznosił się nadal łagodnie w górę. Pod kołami mieli gładką ziemię i żwir, tylko sporadycznie przecinali jakąś kałużę czy strumień. Najszersza wulkaniczna szczelina, jaką musieli pokonać, miała niecały metr szerokości. Nie natknęli się też na żadne pęknięcia ani mniejsze kaniony.

Natomiast jakby dla powetowania tej niespodziewanie regularnej rzeźby terenu, pojawiły się przeszkody w postaci drzew, zbyt masywnych, żeby mogła je zwalić powoli sunąca do przodu tratwa. Rosły tak gęsto, że przynajmniej dwa razy dziennie musieli się zatrzymać, a załoga wyłaziła za burtę i ścinała wyrosłe na drodze zapory. Dobrze, że chociaż dno tratwy znajdowało się na takiej wysokości, że bez trudu przejeżdżała nad najszerszym nawet pniakiem.

Miejscami musieli przejeżdżać lub uparcie przebijać się przez obfite poszycie, również obce sofoldyjskim tranom, jak ta bieżąca, parująca woda. Jeżeli tylko w którymś miejscu zebrało się dość ziemi, żeby mogły się w niej utrzymać szeroko rozrośnięte korzenie, nie było jej widać spod krzaków, niewielkich drzewek, paproci, kolczastych bromelii i oplątów. To były te osobliwe rośliny, o których mówił Ethanowi minister Mirmib, kiedy po raz pierwszy wjeżdżali do moulokińskiego portu. Taka roślinność mogła istnieć wyłącznie dzięki ciepłu i wilgotności, jakich dostarczały wulkaniczne źródła. Ethan i Williams debatowali szeroko nad pochodzeniem tropikalnej roślinności, tak groteskowo odbiegającej od tutejszej normy, zastanawiali się, czy pojawiła się dzięki istniejącym w tym regionie warunkom, czy też jest reliktem z czasów, kiedy klimat Tran-ky-ky był cieplejszy.

Wielkie koła wyorywały bruzdy w zbutwiałych, powalonych na ziemię kłodach, płoszyły małe, pełzające stworzonka, które rozbiegały się na wszystkie strony, rozpryskiwały miazdzone grzyby. Dzięki swoim dwunastu kołom tratwa nie grzęzła, nawet trafiając niekiedy na miększe podłoże.

Williams usiłował oszacować wysokość, na jaką się już wspięli, ale uznał, że mgła i opary uniemożliwiają dokładne obliczenia. Bardziej precyzyjnie potrafił oszacować odległość pokonaną w linii prostej. Wkrótce okazało się, że mgła uniemożliwiała też tradycyjną nawigację. Ta-hoding po prostu utrzymywał kurs na wschód i miał nadzieję, że nadal podróżują w górę głównego kanionu.

W miejscach gdzie teren robił się bardziej płaski, natrafiali nie tylko na krzaki i paprocie, ale na jagody i pierwsze kwiaty, jakie Ethan widział na Tran-ky-ky. Chociaż tranowie byli nimi zafascynowani uważał, że są ładne, ale dość pospolite. Williamsa bez reszty pochłaniały spekulacje, w jaki sposób są one zapylane, żeby już nie wspomnieć o wyjaśnianiu samego tego procesu trańskiemu czarodziejowi, Eer-Meesachowi.

– To gorąco pozwala na taki rozrost wszystkiego – tłumaczył nauczyciel starszemu tranowi.

– Obstajesz przy tym od dawna. Opowiedz mi teraz coś więcej o tym zapyleniu. Jeszcze wciąż nie wytłumaczyłeś mi do końca, co to właściwie jest ta pszczoła?

Mówiąc to czarodziej zdjął z siebie ostatni strzęp ubrania. Na pokładzie normą teraz stała się nagość, wszyscy pozbywali się przyodziewku, z czym bez komentarzy pogodziła się zarówno męska, jak i żeńska część załogi. Nie była to już kwestia skromności, tylko przeżycia. Faktem jest, że temperatura podniosła się teraz tak, że trójka ludzi mogła chodzić bez kombinezonów, które wywiesili do wietrzenia, dawno już należało to zrobić. Ethanowi i jego towarzyszom przyjemnie było chodzić w samej bieliźnie, ale załodze upał zaczynał dokuczać.

Niektórzy z żeglarzy Ta-hodinga cierpieli z powodu kompletnie nieznannej im dolegliwości: przegrzania. Sam Ta-hoding przerywał chłodzące go ziajanie tylko wtedy, kiedy musiał coś powiedzieć, a i wtedy ograniczał rozkazy do minimum. Kiedy żeglarzom, jednemu po drugim trzeba było ograniczać czas pracy, zaczęła się żonglerka szychtami, aż w końcu *Slanderscree* obsługiwała niebezpiecznie szczupłą załogę. Nad podróżnikami zawisła groźba, że jeśli wkrótce nie wjadą na teren o niższej temperaturze, może przyjść chwila kiedy zabraknie ludzi do odpowiedniej obsługi statku.

Od przodu tratwy dobiegł słaby okrzyk; Ta-hoding i cała reszta w pierwszej chwili zignorowali go, myśląc, że to tylko niespokojne wołanie jednego z przegrzanych członków załogi. Ale w następnym krzyku: – Hej tam na pokładzie sterowym! – brzmiała natarczywa nuta. Zdecydowanie nie był to tylko głos rozdrażnionego upałem marynarza.

Oficer ze śródpokładzia z wywieszonym językiem przekazał wiadomość. Odwodnienie nie zdołało powstrzymać zdumienia w jego głosie.

– Kapitanie, obserwator z bukszprytu donosi, że po lewej mamy ludzi.

Ta-hoding kazał zwinąć wszystkie żagle. Żeglarze burcząc z mozołem gramolili się na górę, by wypełnić rozkaz. Ethan również usłyszał raport. Wkrótce niewielki tłumek zgromadził się nad pierwszą osią, tuż nad lewym kołem.

Na dole, na ziemi, stało trzech Złocistych Saia i z niewielkim zainteresowaniem patrzyło na gapiące się na nich, wystające szeregiem nad poręczą statku twarze. Ethan wpatrywał się w nich i nawet na myśl mu nie przyszło zastanawiać się, czy to uprzejmie. Był równie zafascynowany jak Ta-hoding, Hunnar, czy każdy inny tran.

Przypomniało mu to ich pierwsze spotkanie z Hunnarem i jego grupą zwiadowczą po rozbiciu się

szalupy ratunkowej na Tran-ky-ky. Hunnar był przekonany, że Ethan i jego towarzysze to tylko jakaś osobliwa, bezwłosa odmiana trańskiej normy.

A tutaj, w miejscu, gdzie nie miało ich prawa być, stali przedstawiciele tej właśnie odmiany, nad którą wtedy zastanawiał się Hunnar. Bo chociaż każda z trzech dwunożnych istot na dole pod wieloma względami przypominała standardowego trana, były też różnice, i to znaczne.

Cała trójka byli to mężczyźni, zbudowani podobnie jak każdy inny członek załogi *Slanderscree*, lecz zamiast dłuższego, stalowoszarego futra, jakim porośnięty był Hunnar i jego pobratymcy, Żłocistych Saia okrywało krótkie, delikatne futerko tak rzadkie, że miejscami przeświecała przez nie naga skóra. Ta delikatniejsza sierść była żółta jak masło, a nie szara; porozrzucane były po niej plamki brązowego lub bursztynowego koloru. Kiedy jeden z nich uniósł włócznię, a następnie oparł się na niej, stojący szeregiem wzdłuż poręczy tranowie wydali z siebie jednoczesne sapnięcie. Te stworzenia nie miały danów! Służąca do chwytania wiatru membrana, jaka wyrastała wszystkim innym tranom pomiędzy dołem biodra a nadgarstkiem, była całkowicie nieobecna. Saia stali też na obutych w sandały stopach. Normalnym tranom uniemożliwiałyby to ich wydłużone szify. A zamiast długich, potężnych łyzew-pazurów trójka tubylców miała u stóp pazury nie dłuższe niż u rąk. Żółte i czarne kocie oczy były identyczne, podobnie jak spiczaste, niespokojnie ruchliwe uszy na szczycie głów. Ale nieobecność szifów i danów w połączeniu z krótkim, jasnym futerkiem wydawała się wskazywać na rodzaj trana tak odmienny od przeciętnego osobnika, jak neandertalczyk był odmienny od człowieka z Cro-Magnon.

– Całkiem zdumiewające, przyjacielu Ethanie. – Komiwojażer popatrzył niepewnie na nauczyciela, który stał obok niego. Williams myślał przez chwilę, potem się chyba zawstydził. Odezwał się po trańsku, z przyzwyczajenia, a robiąc to użył w odniesieniu do Ethana oficjalnego, grzecznościowego zwrotu. – Wydają się wyspecjalizowanym wariantem z bliżej niesprecyzowanej epoki – mówił dalej pośpiesznie – zaadaptowanym szczególnie do życia w tym gorącym, termalnym regionie. Może to być jedyne tak zmodyfikowane plemię na Tran-ky-ky.

Rozmowy na pokładzie przycichły, kiedy jeden z trójki na dole powiedział głośno, chociaż niezbyt wyraźnie:

– Witamy.

Jego akcent tak zasadniczo różnił się od wszystkiego co Ethan dotąd słyszał, że słowo było niemal niezrozumiałe. Wymowa była mniej gardłowa, bliższa terangielszczyźnie czy symbomowie niż zwykły trański.

Moulokińczycy nie przesadzili mówiąc o szczególnych cechach Saia, dumal przygotowując się do zejścia w dół po drabinie, żeby stanąć twarzą w twarz z triumwiratem, który czekał cierpliwie na dole. W duszy pokpiwał z sugestii, że mogą oni odznaczać się jakąś mistyczną mocą czy wiedzą. Byli po prostu mniej kudłaci i mniej ruchliwi, to wszystko. A mimo to Ethan poczuł się lepiej, kiedy już stanął na ziemi i mógł odwrócić się do nich twarzą. Sir Hunnar i Elfa, którzy szli za nim, czuli się mniej pewnie, chociaż winien temu był solidny grunt pod nogami, a nie obecność Saia.

Hunnar podszedł do czekających, poruszając się po sprężystej trawie jak niezdarne noworodek.

Trawa pod jego ostrymi szifami rozpadała się i ociekała sokiem, który plamił je na zielono; Hunnar dostawał od tego gęziej skórki, ale z dużym wysiłkiem usiłował niczego po sobie nie pokazywać. Kiedy nikt z trójki nie zareagował na jego zbliżenie, odwrócił się i wyczekująco popatrzył na Ethana. Mówiąc powoli, tak żeby go zrozumiano, Ethan odważył się na tradycyjne trańskie powitanie.

– Nasz oddech jest waszym ciepłem.

To wydało się trzem przyglądającym mu się Saia zabawne. Półgłosem wymienili między sobą uwagi, jak ludzie, którzy na przyjęciu bawią się jakimś sobie tylko znanym żartem.

– Przybyliśmy z dalekiego miejsca – ciągnął dalej stanowczo Ethan, ignorując sprowokowaną przez siebie wesołość. – Przybywamy z błogosławieństwem Moulokińczyków, naszych dobrych przyjaciół. Mówią oni, że jesteście ich przyjaciółmi; mamy nadzieję, że obdarzycie tą przyjaźnią i nas.

Wszyscy trzej Saia wpatrywali się w niego w milczeniu czarnymi źrenicami, które jakoś wydawały się węższe niż u normalnych tranów, chociaż pewnie było to tylko złudzenie. W końcu ten środkowy odwrócił się do swojego towarzysza po prawej i powiedział tak, że było go słychać.

– Jakżeż dziwne jest to stworzenie. Takie małe, a włosów ma nawet mniej niż my.

– Tak, i są jeszcze takie dwa. – Drugi Saia pokazał w kierunku Williama i Septembra, którzy stali w tłoczącym się przy poręczy statku tłumku. – I jacy są różni! Tamten – wskazał na Septembra – ma właściwy wzrost, ale jest równie bezwłosy. Ten drugi jest nawet jeszcze mniejszy niż ten, który mówi do nas, a przecież skórę ma ciemnobrązową, a nie złotą lub szarą.

To ostatni z trzech dał krok do przodu.

– Witamy was jako przyjaciół naszych przyjaciół w Moulokinie – zwrócił się do Ethana i Hunnara, a następnie spojrzął z dezaprobatą na swoich towarzyszy. – Czy nie umiecie się zachować? – Położył obydwie okryte złocistym futrem ręce na ramionach Ethana, ale nie dmuchnął mu w twarz, jak było w zwyczaju tranów.

– Na wiele sposobów – powiedział opuszczając ręce i z ciekawością przyglądając się Ethanowi – ten bardziej jest do nas podobny niż nasi zimni bracia.

Ethan aż wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie, że Saia ma rację. Ponieważ brakowało im z Septembrem danów i szifów, a kolor bardziej mieli zbliżony do złotawego niż szarego, istotnie wyglądem przypominali Saia. Na pierwszy rzut oka jakiś świeżo przybyły obserwator mógłby sądzić, że spokrewnieni ze sobą są Saia i ludzie, a nie Saia i tranowie. A przecież Saia nie byli niczym innym, jak cieplarnianą wersją mieszkańców tego świata. Dowodziły tego identyczność oczu i uszu, ciała i kończyn.

– Przybywamy – zaczął Ethan swobodnie, rozpoczynając dobrze już znaną sobie opowieść – ze świata innego niż ten.

Wielomówni Saia zareagowali natychmiast i to na pewno nie w sposób, jakiego się spodziewał.

– To oczywiste. – Saia oparł się na włócznie zupełnie jak gdyby mówili o czymś całkiem zwyczajnym i leniwie potarł wspaniale tkaną kamizelę, którą miał na sobie. – Z której gwiazdy, jak dalekiej?

To nie brak słownictwa odebrał Ethanowi chwilowo mowę. Kiedy myśli przestały mu się kłębić w głowie, wpadło mu do niej, żeby pokazać na falujący opar.

– Wasz kraj musi tak zawsze wyglądać. Skąd więc wiecie o innych gwiazdach, jeżeli nawet nie widzicie nieba? I co pozwala wam sądzić, że wśród gwiazd żyją inni ludzie?

– Legendy. – Saia lekko zmienił pozycję. – Mamy wiele legend. To nasze dziedzictwo. Otaczamy je należywym szacunkiem.

Istotnie, pomyślał Ethan, jest w tych ludziach coś z pradawnej wspaniałości. Zachowywali się inaczej niż przeciętni tranowie, jak gdyby mieli świadomość, że są wyjątkowi, jedyni i że różnice wykraczają poza rozbieżności w budowie ciała.

Czyżby na Tran-ky-ky istniały kiedyś rozwinięte cywilizacje? Jeżeli tak, to czy Saia są potomkami którejś z nich? A może zostali tylko obdarowani wiedzą przekazaną im przez inne ludy, teraz już wymarłe lub takie, które kiedyś przybyły z innych światów? Czy stawiało to Hunnara i jego pobratymców... i innych tranów... na pozycji zdegradowanych odgałęzień jakiegoś wyższego gatunku, zamiast na szczycie piramidy trańskiej ewolucji?

Zachowanie i różnice kształtów nie były jednak wystarczającym dowodem wyższości. Na Hunnarze i jego towarzyszach prawdopodobnie nieobecność długiego futra, danów i szifów robiła wrażenie ułomności, a nie była dowodem zaawansowanego rozwoju. A co z ubiorem tych Saia? Proste kamizelki i spódniczki, na jednym biodrze niezły nawet, ale zwyczajny, metalowy toporek, włócznie – nic, co by mogło wskazywać na znajomość zaawansowanej technologii. Pod względem osiągnięć, jeżeli nie zachowania, wydawali się tak samo barbarzyńscy jak inni tranowie. Tylko że – Ethan starał się znaleźć właściwe określenie – wydawali się bardziej rozwinięci pod względem psychicznym. Byli otwarci i przyjaźni, a nie zamknięci w sobie i podejrzliwi jak inni tranowie. Wiele prymitywnych ludów doskonaliło w sobie cechy, które pozwalały im utrzymywać pozory, że wiedzą więcej, niż naprawdę wiedzieli. Ich pielęgnowanie przynosiło im korzyść, zwłaszcza jeżeli pod względem liczebnym byli słabi. Jeżeli twierdzili, że posiadają nadnaturalne zdolności lub że pochodzą od potężnych przodków, inni bardziej wojowniczy krewniacy, tacy jak Moulokińczycy otaczali ich czcią. Barwy ochronne mogą przybierać postać także słów, nie tracąc nic ze swojej skuteczności, przypomniał sobie Ethan.

Saia nie byli słabi ani bezradni. Ten toporek i włócznie o metalowych grotach wyglądały na broń skuteczną, chociaż nie nowoczesną. Przynajmniej wielbiący ich mieszkańcy Moulokinu nie przesadzali, mówiąc o ich zdolnościach w zakresie metalurgii.

– Dokąd się udajecie, o obcy? – zapytał w końcu środkowy Saia; na nic się zdały próby bliższego określenia jakiejś gwiazdy Wspólnoty, natrafili na nieprzebytą barierę semantyczną.

Ethan pokazał w kierunku południowo-zachodnim.

– Do wnętrza tego kraju i dalej. Zbadać go i, jak mamy nadzieję, znaleźć jeszcze jeden kanion, podobny do tego.

– Czy znacie takie miejsce? – Głos Hunnara zabrzmiał bardziej szorstko, niż rycerz zamierzał. U boku tych wdzięcznych, pewnych siebie istot czuł się niewytłumaczalnie niezdarny i arogancki.

– Nie znamy żadnego takiego miejsca. – W głosie środkowego Saia słychać było jakby prośbę o wybaczenie. – Nie jesteśmy w stanie oddalić się od swojego kraju dalej jak na kilka kijatów. Zimno szybciej daje się nam we znaki, niż upał pokonuje naszych gęstofutrych braci.

Ethan zwrócił uwagę, że stosują oni te same jednostki pomiarowe, co inni tranowie.

– Nie mamy odpowiedniego wyposażenia, żeby żyć w jakimkolwiek innym miejscu. Na własne oczy nie widzieliśmy niczego, co kryje się w głębi płaskowyżu. Z legend wiemy, że jest on nawiedzany. – Na pytające spojrzenie Elfy dodał: – Plugawe duchy tych, którzy zmarli dawno temu nieczystą śmiercią. Czy nie wiedzieliście tego? – Popatrzył w zdumieniu na jednego towarzysza potem drugiego, wreszcie przeniósł wzrok z powrotem na gości. – A jak sądzicie, gdzie odchodzą duchy zmarłych po śmierci?

– Nasze legendy – wyjaśniła Elfa stanowczo – mówią, że udają się one do krainy zmarłych, gdzie zażywają wiecznego pokoju. Do miejsca śpiewnych i łagodnych wiatrów.

– Może to prawda. – Czy Saia naprawdę w to uwierzył, czy też tylko okazywał uprzejmość, tego Ethan nie potrafił powiedzieć. – Ale jeżeli tak, prawdą pozostaje tylko dopóty, dopóki ich spokoju nie zakłóca żyjący. To dlatego nie ośmielilibyśmy się udać w głąb łądu, nawet gdybyśmy mieli po temu możliwości. – Popatrzył na nich ostrzegawczo. – Kiedy zakłóci się zmarłym spokój, zemsta ich jest niewyobrażalna.

Uniósł do góry swoją włócznię, gestem pokazał w głąb łądu. – Tędy wiedzie droga do krainy tych, którzy zmarli nieczystą śmiercią, gdzie duchy żyją w bezcelowym, chaotycznym gniewie. Idźcie nią, a może skupią się na was, na żyjących. A może nie. Nie będziemy was zatrzymywać. Nie zrobilibyśmy tego, nawet gdybyśmy mogli. Ale jako przyjaciele będziemy opłakiwać wasze odejście. Pamiętajcie jednak, nie spodoba im się to – zakończył znacząco – że zakłócicie im spokój. Lecz każdy tran ma prawo wybrać sobie swoją własną śmierć. Jak chodzi o nas, dzień musi roztrwonić swoje światło, a my musimy odbyć polowanie. Żegnajcie, bezwłosi przyjaciele. Nasze legendy nie kłamią.

Kiedy wrócili na tratwę, otoczyli ich podnieceni marynarze i rycerze, którzy nie byli w stanie usłyszeć rozmowy. Kiedy Ethan zakończył krótkie streszczenie tego, co się wydarzyło, Williams zaczął tańczyć jak człowiek opętany przez wizje – co w pewnym sensie miało miejsce.

– Musimy pójść za nimi! Muszę rzucić okiem na ich wioski, dowiedzieć się, jak zaadaptowali się do klimatu tak radykalnie różniącego się od reszty tego świata. Musimy zapisać ich legendy i zinterpretować...

– Musimy – przerwał mu September tonem mówiącym „dość tych bzdur” – dostać się w głąb łądu i znaleźć inny zjazd z tego płaskowyzu i to jak najszybciej, Millikenie. To nie jest wyprawa naukowa.

– Ale odkrycie o takim znaczeniu...! – zawodził Williams. Nagle z jego głosu zniknął wszelki ślad błagania. – Muszę złożyć formalny protest, Skuo. – Wziął się pod boki i piorunował olbrzymą wzrokiem.

September, który ważył ponad dwa razy tyle, co maleńki nauczyciel, zignorował jednak jego wojownicze nastawienie, będące niewątpliwie wynikiem życia przez rok na Tran-ky-ky i odparł bez cienia wesołości:

– W porządku. Skoro to już z siebie wyrzuciłeś, ruszajmy w drogę. – Wyglądało na to, że wzrastające ciśnienie krwi może nauczycielowi wyrządzić więcej szkody, niż zdołałby to zrobić September, więc olbrzym dodał kojąco: – Millikenie, intrygują mnie ci Saia prawie tak jak ciebie, ale musimy postarać się pomóc znacznie większej ilości mieszkańców, pamiętasz?

– To prawda, przyjacielu Williamsie – dodał cicho Sir Hunnar. – Powinniśmy ruszać w drogę.

Nauczyciel rozpaczliwie odwrócił się do Ethana, który lekko wzruszył ramionami.

– Oni mają rację Millikenie. Wiesz, że my...

– Barbarzyńcy. Otaczają mnie barbarzyńcy. Gdzie jest Eer-Meesach?

Rozjuszony nauczyciel ruszył na poszukiwanie swojego jedyne go równego pod względem intelektualnym kolegi i piął się do drzwi kabiny na piętrze, jak nadpobudliwy leniwiec. Ethan z uśmiechem obserwował, jak nauczyciel podchodzi do góry po stromej rampie, równoległej do szerszej ścieżki lodowej. Na początku, kiedy wylądowali na tym świecie, musiałyby dobrze wysilić mięśnie, żeby w ogóle podejść tą rampą do góry, a co dopiero z tak znakomitą szybkością. Tran-ky-ky niewiele wprawdzie zrobiła dla ich kont kredytowych, ale nagromadzili za to inne aktywa. Musiał tak myśleć, bo te lepkie mgły, ta bujna zieleń pieniająca się dookoła, zbyt silnie przywodziły mu na myśl światy bardziej dla człowieka gościnne. To miejsce było aż za bardzo przyjazne, wystarczy jednak, że oddalą się o kilkaset metrów w dowolnym kierunku, a już otaczająca ich temperatura spadnie o pięćdziesiąt czy ileś tam stopni.

– Nasz przyjaciel zaklasyfikował nas do tej samej grupy co ciebie, Hunnarze. – September wyczekująco przyglądał się rycerzowi. – A więc ruszajmy w drogę. Czy może obawiasz się tych duchów i koszmarów, do których Saia tak wydają się przywiązani?

Wyglądało na to, że uraził Hunnara.

– Stawimy czoło wszystkiemu, co nam się zdarzy napotkać, przyjacielu Skua. Czy to będzie Rakossa z Poyolavomaaru, czy duchy moich ojców.

– Tych, którzy zapuścili się do piekieł, nie zawrócą z drogi opowieści wydelikaconych przez ciepło myśliwców. – Elfa powiedziała to z godną podziwu pewnością siebie. Następnie przyciszyła głos, tak żeby usłyszeli ją tylko ci, którzy stali najbliżej. – Lepiej jednak będzie nie mówić o tym

załodze.

Ethan i pozostali ochoczo się z nią zgodzili. Chociaż Elfa, Hunnar i kilku innych, lepiej wykształconych tranów gotowi byli przeciwstawić się przesądom i pogłoskom, przeciętny żeglarz jeszcze nie był gotów. Jeżeli powiedzą mu, że według Saia mają właśnie wjechać do krainy martwych i stawić czoło światowi duchów, to *Slanderscree* może ruszyć w całkowicie niewłaściwym kierunku. Czy to człowiek, czy tran, łatwiej poradzi sobie z nawałnicą niż z lękiem czającym się głęboko w duszy.

Postawiono znowu żagle i kliper lodowy ruszył turkocząc pod górę. W dwa dni później mgły zaczęły rzednąć. Raz Ethanowi zdawało się, że dostrzeża owal utworzony ze starannie zbudowanych, drewnianych domków. Nie było w nich niczego nadzwyczajnego, ale zdecydowanie różniły się od dobrze im znanych, kamiennych budynków o ciężkim belkowaniu, budowanych przez wszystkich innych tranów. Nie wspomniał jednak o tym, co zauważył, ani o swoich obserwacjach wciąż jeszcze boczącemu się Williamsowi.

Mgły nie rozpraszały się stopniowo, po prostu dojechali do miejsca, gdzie kończyły się wyraźną, lekko falującą ścianą oparu. Od tego momentu nie napotkali więcej śladów Żłocistych Saia. Któregoś dnia wróci tu i będzie słuchał długich legend tego zagubionego ludu, obiecywał sobie. Nie był na tyle uczciwy, by przyznać, że kiedy znajdzie się już w komfortowym pępku cywilizacji Wspólnoty, prawdopodobnie zapomni o wszystkim i zostaną mu tylko wspomnienia o Tran-ky-ky. Chwilowo zmusił się do skupienia uwagi na tym, co było przed nimi. Mieli za zadanie rozszerzyć konfederację, scementować unię, a nie mogli sobie pozwolić, żeby zajmowali się tym do końca życia.

Trawa zaczęła żółknąć i nędznieć. Drzewa ustępowały miejsca krzakom, a paprocie i kwiaty znikwały gdzieś za nimi. *Slanderscree* wyjechała na wysoką, falistą równinę. Posuwali się ociężale, turkocząc po nagim żwirze i udręczonej trawie, wiatr zaczął się wzmagać, stary towarzysz powracający z niechcianych wakacji. Wkrótce dał już ze znajomą siłą. Tranom dodawało to ducha.

Nikogo z załogi nie utracili podczas przejazdu, chociaż w centralnej kabinie Eer-Meesach wciąż jeszcze musiał pielęgnować najcięższe przypadki udaru cieplnego. Temperatura opadała i ludzie dawno już pozakładali na powrót swoje ochronne kombinezony, a tranowie swoje ciężkie płaszcze z futra hessawarów.

Duchy umarłych czy inne upiory nie nawiedzały ich żadnymi wizjami. Jedyne ważne dla nich duch, duch marynarzy, wyraźnie poweselał wróciwszy do bardziej stosownego klimatu. Falujący krajobraz wznosił się do góry i na północy, i na wschodzie przechodząc w strome pagórki. Po naradzie z Ta-hodingiem zdecydowali się wziąć kurs na południe. Ich droga zakończy się przy zachodnim skraju płaskowyżu. Wtedy będą mogli poszukać zjazdu w dół.

W miarę jak wiatr się wzmagał, rosła też ich szybkość. Po krótkim czasie jechali już z prędkością, która co prawda nie zapierała tchu w piersi, ale była całkiem przyzwoita. I niewiele czasu trzeba było, żeby wszyscy na pokładzie przyzwyczaili się do obłaskawionego już grzmotu dwunastu olbrzymich kół.

Trawa nadal tworzyła na równinie żółtawe plamy i walczyła o utrzymanie korzeni w rzadko

rozsianej ziemi. Pewnego wieczoru szef kuchni na próbę dodał jej trochę do posiłku i chociaż wszyscy, którzy spróbowali, orzekli, że da się to jeść, nikt nie rwał się do zbiorów. Okazała się łykowata, bez smaku i trudna do strawienia.

Już od kilku dni nie widzieli niczego, co przypominałoby drzewo. Najbliższe otoczenie tworzyły szeroko rozsiane, wysokie na metr krzaki, które wyglądały jak jakieś olbrzymie dmuchawce koloru umbry. Ich ciasno posplatane ze sobą gałązki miały zwartość kłębka drutu. Ethan chciał użyć promiennika, żeby odciąć próbkę i teraz na odmianę Williams był tym, który zaprotestował. Patrząc na samotną, imponującą kępę powiedział:

– Jeśli coś potrafi przetrwać na takim pustkowiu, zasługuje na to, żeby go nie krzywdzić. – I Ethan odłożył swój promiennik.

Wiatr wiał wytrwale i przewidywalnie. Dało to żeglarzom potrzebny im czas. Uczyli się szybko, ale manewrowanie statkiem o rozmiarach *Slanderscree* na lądzie było przedsięwzięciem bardzo różniącym się od manewrowania na lodzie.

Ethan spędzał czas na obserwacji przesuwających się przed nim jakby w procesji dalekich pagórków i rozmyślał o Złocistych Saia. Przypuszczał, że teoretycznie było to możliwe, że dusze zmarłych mogą się gdzieś zatrzymywać w jakiś horrendalnie niezrozumiały sposób, ale żeby miały gromadzić się, jak uczestnicy jakiegoś zjazdu, to wydawało się niemożliwe. A jeżeli były do tego skłonne, dlaczego miałyby wybierać sobie miejsce tak mało atrakcyjne, jak to? Prawda, Saia wspominali, że pożądamy one odosobnienia, które ten rozległy płaskowyż bez wątpienia mógł im zapewnić, ale...

Przerwał samemu sobie w samym środku myśli. Nie kończąca się monotonia nieciekawego krajobrazu uspiła jego czujność i zaczął nadrabiać brak wrażeń coraz bardziej wymyślnymi fantazjami. Nie ma tu niczego, poza rozproszonymi drucianymi krzakami i wynędźniałą trawą.

Niczego.

* * *

– Olbrzymia tratwa lodowa? Jaka olbrzymia tratwa lodowa? Naprawdę, moi goście, zabawne macie pomysły!

K'ferr Shri-Vehm, Landgraf Moulokinu, wpatrywała się z politowaniem w nowo przybyłych.

– Stawiacie bezsensowne żądania mnie i mojemu ludowi, atakujecie nas przy pierwszej bramie, a teraz przekonuję się, że podstawą tego działania są tylko jakieś majaczenia. Wasza informacja jest fałszywa, moi goście.

– Nie wykręcaj się. – Głos był poirytowany, napięty, niebezpieczny. – Gdzie ich ukryłaś?

Rakossa z Poyolavomaaru strzygł oczyma szybko, nerwowo, obrzucał spojrzeniem skromną salę tronową, jak gdyby ktoś mógł tu *Slanderscree* ukryć za jakąś skrzynią czy utknać w jakimś kącie.

K'ferr wykonała gest będący trańskim odpowiednikiem śmiechu.

– Ukryłam, lordzie Rakossa? Ukryłam tak wielki statek, jak opisałeś? Gdzież zdołałabym coś tak wielkiego ukryć?

– A więc rozebrałaś go na części i te części gdzieś przeniosłaś.

– W niecałe cztery dni? Ośmielę się powiedzieć, panie, że w wyobraźni nikt was nie prześcignie.

Ten właśnie moment wybrał sobie oficer floty poyolavomaarskiej, żeby wejść do komnaty.

– Statek, którego szukamy, nie znajduje się nigdzie w porcie, o panowie. Nie da się go nigdzie znaleźć, nie ma tu też ni gdzie w urwisku jaskini na tyle obszernej, żeby ukryć nawet część tak wielkiej tratwy, jak to podejrzewali niektórzy. Ośmieliliśmy się też zapuścić daleko w górę głównym kanionem i nie widzieliśmy ani śladu po nim. – Mówił samą szczerą prawdę, ale nie wiedział, że Moulokińczycy użyli skrobaczek i pochodni, żeby zatrzeć zdradzieckie ślady, znaczące przejazd *Slanderscree*.

– Nie sądzę, panie, żeby...

– Nie jesteśmy zainteresowani twoimi sądami! – zawołał rozwścieczony Rakossa.

– Czy nie widzieliście – ciągnęła dalej K'ferr – tej ogromnej tratwy, którą my sami budujemy? To właśnie ona zostawiła na zewnątrz naszego kanionu te ślady, które wydają się was tak absorbować.

– Widzieliśmy – powiedział inny głos. Calonnin Ro-Vijar zrobił krok do przodu. – Drewniane płozy tej wielkości nie utrzymają statku o takich rozmiarach, po cóż go więc konstruować.

– Fach naszego państwa-miasta, i to fach, z którego ono zasłużenie słynie, to budowanie tratw. – Mirmib wpatrywał się protekcjonalnie w Ro-Vijara. – To, co mówisz, może być prawdą, ale my często eksperymentujemy, wprowadzając nowe kształty tratw i nowe ich rozmiary. Dowiadujemy się wielu rzeczy cennych dla nas w naszym rzemiośle, nawet jeżeli ostatecznie dana konstrukcja okazuje się niemożliwa do eksploatacji. Czy ten Asurdun, z którego pochodzisz, również specjalizuje się w konstruowaniu tratw?

– Nie, ale...

– A więc jakim prawem wydajesz sądy o statku, z którym nie jesteś obeznany?

Ro-Vijar zaczął coś mówić, potem zawahał się. Kiedy odezwał się znowu, ton jego był zdumiewająco skruszony.

– Jest oczywiste, że popełniliśmy błąd, obrażając i oskarżając Moulokińczyków, lordzie Rakossa. Najlepiej będzie, jeżeli kontynuować polowanie będziemy gdzie indziej.

– Ślady prowadzą tutaj! – Rakossa zwykł był miotać broń i słowa na oślep, nie zważając, w co mogą trafić. – Oni gdzieś tutaj są, osłonięci magią, czy jakoś inaczej ukryci.

– Czyżbyś sądził, że unieśli się w powietrze i w taki sposób odlecieli, mój zacny przyjacielu? – zapytał Ro-Vijar.

To co powiedział żartem, nagle wzbudziło w nim samym pewien niepokój. Przez ułamek sekundy myślał, że może rzeczywiście tym ludziom udało się jakoś skonstruować jedną z tych potężnych podniebnych tratw i przetransportować ją tutaj. Mówił mu człowieczy komisarz, Jobius Trell, że podniebni ludzie posiadają pojazdy zdolne przenieść drogą napowietrzną obiekt nawet tak masywny jak ten kliper, który stracili z oczu. Chociaż sam nigdy takiego urządzenia nie widział, skłonny był dawać wiarę wszystkiemu, co mówił Trell o możliwościach człowieczej technologii. Komisarz niewątpliwie okłamywał go w wielu sprawach, ale nie w tej. Ale jeżeli nie uda mu się wyciągnąć tego idioty Rakossy z sali tronowej, zanim zaczną się kłopoty, stracą cenny czas na niepotrzebną walkę.

– Ona tu gdzieś jest. – Rakossa grasował po komnacie, nie dbając o takie drobiazgi jak zwykła uprzejmość. – Wiemy, że jest.

– Ona? – zapytał zaintrygowany Mirmib.

– Ta konkubina, która rzuciła na nas czar. Jest nam niezbędna. Gdzieś tu jest. Czujemy to! – Zrobił z groźbą kilka kroków w kierunku tronu. – Gdzie ją schowałaś, kobieto?

Dwóch krzepkich strażników, zbudowanych potężnie nawet jak na tranów, zajęło miejsca pomiędzy tronem a szalejącym Landgrafem. Każdy trzymał przed sobą masywny topór bojowy. Jeden z nich rozhuśtał swój lekko tuż nad podłogą, niczym jakieś wahadło śmierci.

– O mój suzerenie i przyjacielu Landgrafie – powiedział z powagą Ro-Vijar, występując krok do przodu, ale pamiętając, żeby przypadkiem nie dotknąć nadpobudliwego Rakossy. – Usłyszeliśmy już obszernie wyjaśnienie. Ci zacni tranowie nigdy nie słyszeli nie widzieli ani tego statku, ani kobiety, której szukamy.

– Jeszcze raz powtarzam, że to szczerą prawdą. – K'ferr pochyliła się do przodu. – Biorąc pod uwagę wasze wrogię w stosunku do nas czynię sądzę, że okazaliśmy wam niesłychaną uprzejmość i cierpliwość. Zanim padną tu jakieś obelgi, których nie da się już odwołać, sugeruję, żebyście opuścili Moulokin.

– Tak chyba będzie lepiej, o łaskawa pani. – Ro-Vijar na próbę wysunął rękę, zaryzykował i złapał za lewy rękaw Rakossę o szalonych oczach. Landgraf Poyolavomaaru nie zareagował złością. Odwrócił się, wydawało się, że po raz pierwszy, odkąd weszli do sali tronowej, widzi Ro-Vijara wyraźnie. Potem strząsnął jego rękę, odwrócił się na pięcie i sztywno wyszedł z komnaty, mamrocząc coś przebiegle pod nosem.

– Przyjmijcie nasze przeprosiny za tę bolesną pomyłkę, o pani i ty zacny ministrze Mirmibie. – Ro-Vijar złożył przed nimi niski, pokorny ukłon. – Była to sprawa wielkiej wagi dla nas i kierowaliśmy się w działaniu pośpiechem, a nie zdrowym rozsądkiem. Przekonany jestem o waszej szczerości.

– Usprawiedliwia cię nieznajomość faktów. – K'ferr wskazała łapą na opustoszałe wyjście. – Czyny twojego kolegi wiele wyjaśniają. Oby wasze poszukiwania okazały się bardziej owocne gdzie indziej.

– Oby twoje ciepło było stałe przez wszystkie dni twego życia. Bądź spokojna, że w końcu znajdziemy tych, których szukamy. – Z tymi słowy Ro-Vijar odwrócił się i razem z poyoskim oficerem wyszedł z komnaty.

Kiedy od ich wyjścia minęło już wiele minut, K'ferr zwróciła się do Mirmiba i zapytała:

– Jak myślisz, co teraz zrobią?

– Gdyby zależało to od tego Ro-Vijara, zrezygnowaliby i pożeglowali do domu. – Minister potarł sobie skraj ucha, zamyślił się. – A może ten spokojniejszy z nich dwóch jest bardziej niebezpieczny. Tego drugiego tak zaślepiła nienawiść czy miłość do tej kobiety Teeliam, że nie potrafi myśleć rozsądnie. Jeżeli kiedykolwiek to potrafił.

– Widziałeś tę kobietę, o którą chodzi, Mirmibie. Jej bliźny. Czemu ten Landgraf miałby ryzykować swoją władzą, swoją zbrojną potęgą, żeby ją odszukać i dalej dręczyć?

– Są władcy, którzy nie potrafią pogodzić się z osobistym afrontem, chociaż nieczęsto reagują w tak ekstremalny sposób, jak ten Rakossa, o pani. Nienawiść potrafi być równie potężnym eldurem jak miłość. Często granica między tymi uczuciami jest niewyraźna. – Wymienili spojrzenia nieczytelne dla kogoś z zewnątrz. – Nie wiem, co zaszło między tą dziewczyną a Landgrafem, mogę się tylko domyślać. Ale jedno powiem bez żadnego wahania. Jeżeli się kiedyś znowu spotkają, jedno z nich wtedy zginie.

Tymczasem Calonin Ro-Vijar nie zajmował się takimi drobiazgami. Jeżeli powróci teraz do Asurdunu, będzie musiał donieść Trellewi o drugim niepowodzeniu. Najważniejsze było następujące pytanie: czy *Slanderscree* była kiedyś w porcie Moulokinu? Jeżeli tak, potrafił wyobrazić sobie cały szereg fantastycznych możliwości wyjaśniających, co stało się z wielkim klipem lodowym. Chociaż usilnie tego pragnął, jego „eskorta honorowa” nie dopuściła do tego, żeby porozmawiał czy przekupił któregoś z mieszkańców miasta. Nie mając bezpośrednich informacji będzie musiał ekstrapolować z dostępnych mu danych. To było coś, co bardzo dobrze umiał robić, coś, dzięki czemu gry, które prowadził z człowiekiem Trellem, były ciekawe. A stawka była tak wysoka, że nie miał zamiaru opuszczać Moulokinu, dopóki nie dowie się, co naprawdę stało się z ich łupem.

ROZDZIAŁ 15

Przez tyle już dni jedyną atrakcją podróży była niezmienna, falista, zwirowata ziemia i rzadka roślinność, że Ethan zapragnął wreszcie, by urozmaiciło ją pojawienie się jakiegoś ducha, a może nawet dwóch. Nic z tego, jedyną rozrywką stała się dwumetrowej szerokości szczelina, która biegła ze wschodu na zachód dalej, niż zdołały sprawdzić grupy zwiadowców, o obolałych szifach. Proponowano liczne metody pokonania tej przeszkody. Jeden z oficerów sugerował na przykład, żeby zdjąć duramiksowe płozy z pokładu, gdzie je składowano i użyć ich jako pomostu przez rozpadlinę. Na odmianę tym razem to Ta-hoding wpadł na sposób rozwiązania problemu. Chociaż sam do siebie miał tylko umiarkowane zaufanie, za to do nowego stanowiska dowodzenia podchodził z bezgranicznym entuzjazmem. I chociaż i Ethan, i Hunnar byli bardzo zaniepokojeni, rozkazał całemu wolnemu personelowi zejść z tratwy. *Slanderscree* zatoczyła szeroki łuk i ruszyła prosto na szczelinę ze wszystkimi żaglami wydętymi na pełnym wietrze. W ostatniej chwili tak ustawiono reje i żagle, żeby dały jak największy ciąg w górę. Jak jakiś otyły ptak olbrzymia tratwa uniosła swój dziobowy koniec w kierunku nieba. Kiedy dziób zaczął znowu opadać ku ziemi, po drugiej stronie rozpadliny znalazły się wprawdzie tylko dwie przednie osie, ale to wystarczyło. Ciężar i szybkość statku były dostateczne, żeby cały przeleciał na drugą stronę wąskiej otchłani, chociaż tylna oś i koła niebezpiecznie się w niej zagłębiły.

Ta-hoding wyjaśnił, że mają ze sobą zapasowe osie i gdyby to przedsięwzięcie się nie powiodło, był w stanie i tak naprawić każdą szkodę. Jak widać wystarczyło zagrożenie, że utkną na dobre w tej ponurej krainie, żeby natchnąć brawurą nawet ostrożnego kapitana.

Następnego dnia dojechali na skraj płaskowyżu. Dla wszystkich oficerów tak marynarki, jak armii, było oczywiste, że marynarze stęsknili się już za bezkresnym obszarem lodowego oceanu, który niedostępny leżał dwieście metrów pod nimi. Sami czuli, jak pociąga ich ten lód.

Kliper ruszył dalej na południe równoległe do pionowego urwiska. Za lewą burtą odwijająca się bezkresna, brunatna nic jałowej ziemi, za prawą połyskiwał lśniący lód i błękitne niebo. Ta-hoding i jego załoga tak już się wyszkolili w manewrowaniu statkiem, że Ethan przestał martwić się, kiedy podjeżdżali niepotrzebnie blisko do zapierających dech w piersi przepaści. Te manewry miały nie dopuścić, by załoga poddała się najgorszemu rodzajowi zmęczenia umysłowego, wywołanego niczym nie urozmaiconą nudą.

– Zaczynam się odrobinę martwić, mój chłopcze. – September uczepił się pobliskiej rei, na jego twarzy pod maską malowało się rozczarowanie. – Hunnar i cała reszta też tak się czują i są ku temu powody. Nie trafiliśmy na żadną rozpadlinę, która by choć w przybliżeniu przypominała kanion moulokiński. To po prostu nie ma sensu, chłopcze. – Mówił z napięciem, chociaż spokojnie. – To niemożliwe, żeby istniał tylko jeden jedyny kanion tego rodzaju, wrzynający się w ten kontynent.

Musi ich być więcej.

– Żaden ze mnie geolog, Skuo, ale przyznam, że i mnie się to wydaje osobliwe.

September wykrzywił się; jego mina zdawała się jak wir cała zbiegać na ostrym, zakrzywionym nochalu.

– Jeżeli nawet będziemy musieli zawrócić drogą, którą przebyliśmy, możemy się spokojnie założyć, że Poyowie zakończyli już inspekcję Moulokinu i nie znalazłszy nas tam pojechali gdzieś indziej w pogoni. – Rozjaśnił się nieco na tę myśl. – W tym momencie może to być dla nas najlepsze wyjście. Myślę, że pójdę pogadać z kapitanem i Sir Hunnarem. Nie zwariuj no mi tylko, chłopcze. – Ruszył w stronę steru, zatrzymał się, kiedy Ethan pokazał na dziób.

– Jutro możemy już nie mieć wyboru, Skuo.

Strome pagórki, które rysowały się na północnym i wschodnim widnokregu, odkąd tylko wychynęły z krainy Złocistych Saia, zbliżały się, zataczały przed nimi łuk i groziły, że odetną im łatwą drogę na zachód. Zostałoby im wtedy tylko wracać po własnych śladach.

Zbocza przed nimi robiły wrażenie bardziej urwistych niż te, wzdłuż których od wielu dni podróżowali. Zaczynali dostrzegać ślady erozji, a to mogło świadczyć o niebezpiecznie kruchych zboczach i osypiskach. Niemal na pewno będą musieli zawrócić, jeżeli nie trafią na wolną od nich przełęcz, prowadzącą na drugą stronę. *Slanderscree* udowodniła już, że nadaje się do żeglugi po lądzie, ale nie będzie w stanie wspiąć się na jakąś większą stromiznę.

Tak jak to przepowiadał Ethan, jeszcze tego wieczora dojechali do pierwszych niewysokich, ale stromych pagórków. Zdecydowali się rozbić na wpół stałe obozowisko pod osłoną najwyższej góry i następnego dnia rano rozesłać zwiadowców w szalupach na kołach, żeby rozejrzeli się, czy nie znajdą jakiegoś przejazdu na zachód, z którym byłby się w stanie uporać kliper lodowy. Zdecydowano, że obydwie grupy zwiadowców oddalą się na maksimum pięć dni. W tym czasie załoga miała zająć się dokonywaniem drobnych, chociaż uciążliwych reperacji statku i spróbować znaleźć sobie coś do roboty, zanim zwiadowcy nie wrócą.

* * *

Sinahvor odbywał patrol na przednim pokładzie, zdążył już zmarznąć w tę niemal bezchmurną noc, kiedy uwagę jego zwróciło jakieś migotanie na zboczu pagórka. Wyglądało to tak, jak gdyby mrugało jakieś okazałe oko. Na szczęście Sinahvor nie był obdarzony zbyt bujną wyobraźnią, tym niemniej dreszczu, który go przeszedł, nie wywołał mróz, tylko coś innego. Kto mógł zejść ze statku o tej porze? Chodziły plotki, że czasami robi to jeden z ludzi i córka Landgrafa, ale takie plotki napędzały więcej tratw niż wiatr. Wartownik uniósł swoją lampę olejną nieco wyżej, wydłużając drogę, na którym huśtała się za burtą tratwy. Chyba tylko mu się zdawało – nie, znowu błysnęło! Zdecydowane, przerywane migotanie w pół drogi w górę pagórka, nie wyżej niż najwyższa reja głównego masztu.

Przez myśl przemknęły mu nieco mniej zabawne pogłoski. Jeżeli naprawdę jest to kraina duchów,

to może siedzi tam jakiś nocny upiór, który przybył, żeby porwać go z pokładu? I kto by się dowiedział, kiedy i jak go uprowadzono? Pomyślawszy to niespokojnie rozejrzał się naokoło. Dwa księżycy unosiły się wysoko, co wskazywało, że bliżej do ranka niż wieczora. Nigdzie nie było widać żadnego ruchu. Czy jego zmiennik znajdzie tylko drąg z lampą, ubranie i broń? Ducha chyba nie będzie interesowało nic, poza jego ciałem. Na śródpokładzi na warcie powinien stać teraz Monont. Może tu siedzieć cicho, stawić czoło temu tajemniczemu iskrzeniu i czekać, aż mu prosto z ust wykradną duszę, może też poszukać sobie pociechy w towarzystwie kolegi. Z rozchwianą lampą zszedł z bukszprytu na pokład i minął przednie kabiny.

– Żeby ci się na kark zwałił czysty lód i wiatr – dobiegł go ochrypły głos w ciemnościach. Sinahnvor zatoczył krąg swoim drągiem. Lampa oświetliła twarz zaciekawionego trana.

– Co tu robisz, czemu zszedłeś ze stanowiska, Sinahnvorze? – zapytał Monont zatroskany. – Jak cię złapie oficer nocny, to ci...

– Cicho bądź, Mononcie! – pospiesznie szepnął Sinahnvor. – Na tej górze jest oko!

Monont przyjrzał się swemu koledze starannie.

– Za dużo żuleś wyciągu z *bui*.

Ale w głosie Sinahnvara słyhać było pewność.

– Wątpisz, to chodź ze mną i sam się przekonaj.

– Nie powinienem opuszczać stanowiska.

– Kto się o tym dowie? Nocny oficer pojawi się dopiero przy zmianie warty, a nasi najbliżsi wrogowie zostali co najmniej o sto saczów za nami.

– To prawda. Pójdę, ale tylko na moment. Co za głupota – mamrotał Monont, idąc za kolegą na przedni pokład.

Sinahnvor nakazał swojemu towarzyszkowi milczenie, wysunął drąg ze światłem za burzę i powoli poruszał nim, przeszukując zbocze. Przez kilka sekund absolutnie nic tam nie świeciło i bardziej już bał się opowieści, jakie Monont będzie snuł przy innych, kiedy nadejdzie ranek niż tego, że mogą wywołać jakiegoś ducha. I nagle iskierka pokazała się znowu. Była równie nieruchoma jak drąg z lampą.

– Widzisz? A nie mówiłem?

Bardziej prozaiczny Monont przyglądał się punkcikowi świetlnemu.

– Rzeczywiście coś tam jest, ale nie myślę, żeby to miał być duch. Czy to kto kiedy słyszał o jednookim duchu? Mają co najmniej po czworo oczu.

– Cśśś! Bo go obrazisz!

– To nie jest żaden duch, przyjacielu-idioto. – Monont wlaźł na poręcz, przerzucił swoją pazurzystą stopę przez burtę. Sinahnvor przyglądał mu się zmartwiony.

– Gdzie idziesz?

– Na ten pagórek.

– Oszalałeś! Nie rób tego, Mononcie. Duchy wciągną cię w głąb tej góry i utopiają w ziemi.

– Myślałem, że porwą nas duchy piekieł, kiedy schodziliśmy pod lód i w dół do środka świata. Ludzie i Sir Hunnar Rudobrody twierdzili, że to wszystko zwykłe przesady. A potem zabili tego diabła, który wynurzył się z wód nocy. Śmierdział jak zarżnięty hessavar. Przekonałem się, że trudno jest mi teraz tak jak kiedyś wierzyć w duchy i demony.

Ześliznął się przez burtę i po drabinie szybko opadł na lód.

– Monont... Monont!

Sinahnvor uniósł wyżej lampę. W jej słabym świetle zobaczył niewyraźnie swojego przyjaciela, który doszedł do pagórka i zaczął się niezdarnie wspinać. Jego sylwetka roztopiła się w cień, a potem we wspomnienie cienia. Mijały chwile, ciche chwile przerywane tylko pojękiwaniem zmęczonego wiatru. Nie słyszał żadnych okrzyków triumfu, chociaż wiatr nie niósł też ze sobą żadnych wrzasków. Odczuł ogromną ulgę, kiedy zdołał dostrzec sylwetkę przyjaciela, który wracał, jak się zdawało, cały i zdrowy.

– Więc co to było? – Wyciągnął rękę i pomógł Monontowi wejść na pokład.

– Masz tutaj to swoje oko ducha. Musiałem je wydłubywać z ziemi.

Sinahnvor ku swojemu wielkiemu zdumieniu natychmiast rozpoznał przedmiot.

– Przecież to zwykła *purras*, zwykła makutra, taka jakiej używa moja własna kobieta. Dziwne, że tak świeci. Ten rodzaj drewna musi się niesłychanie dobrze dawać polerować.

– Weź ją do ręki – popędział go Monont. – To nie jest drewno.

Sinahnvor wziął przedmiot... i niemalże go upuścił. Był on wykonany z grubego, gęstego metalu, miejscami paskudnie zaśniedziałego, miejscami wciąż lśniącego. Nie wiedział, jaki to metal. Obydwaj wartownicy wymienili spojrzenia. Co za istoty żyły tu, na tej pozbawionej lodu pustyni, że stać ich było na sporządzanie zwykłych, codziennych kuchennych naczyń z litego metalu? Metal wszak gromadzono skrzętnie, żeby robić z niego broń, gwoździe, narzędzia, a nie makutry. Sinahnvor nie mógł tego pojąć. Nie rozumiejąc powiedział:

– Myślę, że lepiej będzie, jeżeli obudzimy wcześniej nocnego oficera.

Oficer był nie mniej zaskoczony znaleziskiem niż przedtem obydwaj wartownicy. Zdecydował się obudzić drugiego oficera, który z kolei obudził Ta-hodinga, który postawił na nogi trójkę ludzi, Sir

Hunnara i pozostałych członków nieoficjalnej grupy, podejmującej decyzję na kliprze. Nie minęło wiele czasu, a już cała załoga się obudziła i zaczęła rozgrzebywać pobliski pagórek; tym, którzy pozostali na *Slanderscree* ich lampy przypominały zlot jakichś zwariowanych robaczek świętojańskich.

Żaden z ludzi nie brał udziału w wykopaliskach. Ich kombinezony z trudem potrafiły uporać się z panującą na zewnątrz temperaturą, wynoszącą minus siedemdziesiąt stopni; ostry wiatr powodował, że ten chłód oznaczał natychmiastową śmierć. Do tego prymitywne narzędzia do kopania „mogłyby uszkodzić kombinezony. Wślizgnąwszy się przez taki otwór zimne powietrze z zewnątrz zamroziłoby ludzką skórę równie skutecznie, jak spryskanie ciekłym helem. Na wzgórku przy wykopaliskach pracowała tak duża grupa tranów, że wkrótce na pokładzie poddawano już oględzinom kilka worków ze zdobyczą. Przyglądając się im bacznie zza maski (podwójne gogle nie były w nocy potrzebne) Ethan zobaczył rozłożone wśród drewna i ziemi prawdziwe skarby – metalowe przedmioty. Na większości światów nie uznano by ich za nic nadzwyczajnego, ale na ubogiej w metale Tran-ky-ky wskazywały one na zaginioną cywilizację, niesłychanie bogatą. Były tam noże, wszelkiego rodzaju przedmioty codziennego użytku, połamane ozdobne naczynia do picia, a nawet metalowe guziki i szpile. Hunnar wziął do rąk kilka tych ostatnich. Do tej chwili nie widział szpili zrobionej z czegoś innego niż kość.

– Nieprawdopodobnie bogaci albo nieprawdopodobnie rozrzutni – mówił półgłosem, pochylając lampę tak, by od światła na powierzchni zdobionej stali zatańczyły srebrzyste wzory. – Będziemy rano kopać w bardziej uporządkowany sposób.

– Kto mógł tutaj mieszkać – zastanawiał się na głos Ethan.

– Nie tranowie i nie Saia. – Rycerz skupił uwagę na metalowej butelce, pokrytej zachwycająco zawilgą, wspaniałą ślimacznicą z drutu. – Ta okolica jest zbyt jałowa i za mało w niej lodu dla nas, a dla Saia jest za zimna. Ale to nie jest dzieło duchów. – Kocie oczy usiłowały przebić wietrzną ciemność. – Ktoś tu mieszkał...

Następnego dnia pozaznawali różne części pagórka, kierując się tym, jak obiecujące okazały się zdobycze nocy. Od prowadzących wykopaliska grup popłynął stały strumień odkrytych pod ziemią nowych artefaktów. Niektóre wykonane były ze znanych materiałów, jak drewno i kość, ale większość była z przeróżnych stopów, w tym kilku takich, których ani September, ani Williams nie potrafili zidentyfikować.

Było to zaskakujące, ale nauczyciela najbardziej intrygowały przedmioty z drewna. Kiedy Ethan zapytał go, dlaczego, ten odparł:

– Ponieważ oznaczają one, że ten teren opuszczono stosunkowo niedawno, w skali geologicznej. Chociaż prawdą jest, że zimne powietrze na jakiś czas konserwuje materiały drewniane, nie jest jednak ono tu suche jak na pustyni. Ziemia też nie jest całkowicie pozbawiona mikroorganizmów i czynników bakteryjnych, chociaż są rozproszone i nigdzie nie są zbyt liczne, a ich działanie również prowadzi do rozpadu drewna. To drewno jest stanowczo w za dobrym stanie, żeby miało leżeć zagrzebane w ziemi przez jakiś dłuższy czas.

Zdecydowali się zatrzymać na kilka dni i wykopać wszystko, co im się uda. Ale nowe odkrycie wkrótce pokrzyżowało ich plany.

Dwa patrole zwiadowców wróciły z poszukiwań przejazdu przez góry. Ich załogi opowiadały jakieś niesamowite historie, tak ozdabiając je gestykulacją, różnymi barwnymi zwrotami i wyrażeniami, że Ethan i jego przyjaciele z ogromnym tylko trudem mogli się w tym rozeznąć.

Kiedy tak debatowali, próbując wyjaśnić niezrozumiałe dla nich terminy, Ta-hoding i jego załoga rozpoczęli gorączkowe przygotowania do drogi. W tym momencie Ethan dopadł Hunnara i nie pozwolił mu odejść, dopóki ten nie wytłumaczył, co właściwie się stało.

– Suaxus, mój giermek, był na pierwszej łodzi – powiedział rycerz, usiłując opanować wyraźne podniecenie. – Znaleźli przejazd przez góry. Tylko że to nie są góry.

– Coś gadasz bez sensu, przyjacielu Hunnarze – skwitował September.

– Przejechali przez tę przełęcz i wyjechali po drugiej stronie pasma. Wydaje się, że tam wiatr wieje silniej, czy może równiej, czy jedno i drugie. Ale to, co tu jest ukryte pod ziemią, tam zostało ujawnione. – Odwrócił się i wskazał na częściowo rozkopane zbocze pagórka. – To nie są góry, to są budynki.

Wyrwał im się i zanim Ethan zdążył zastanowić się, o co go jeszcze zapytać, oddalił się do jakichś ważnych zajęć. Tylko Williams przyjął te wieści ze spokojem.

– To ma sens, nie mówiąc już o tym, że tłumaczy wyższość artefaktów, jakie odkryliśmy. – Kliper lodowy mknął już w kierunku świeżo odkrytej przełęczy. – Na wielu światach Wspólnoty istnieją podobne zasypane miasta, Ethanie. Te same wiatry, które kiedyś pogrzebały jakąś starożytną metropolię, mogą ją po wiekach odkryć.

– Zakładając, że znaleźliśmy właśnie coś takiego – kto ją zbudował?

Nauczyciel przyglądał się Ethanowi, wydymając wargi.

– Kto wie? W oczywisty sposób nie tranowie, również nie Saia, którzy ponoć tak wiele wiedzą o tej krainie. Jeżeli będziemy mieli szczęście, może się dowiemy. Może to jakiś lud, który nie przetrwał na Tran-ky-ky, ale zostawił Złocistym Saia legendy o innych światach.

Przełęcz okazała się dużo szersza i mniej wyboista, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Szczelina między pagórkami biegła tak prosto, że zaczęli podejrzewać działalność innych niż naturalne sił. Ethan zastanawiał się, czy gdyby zaczęli kopać, nie trafiliby w końcu na bruk? Kiedy przejechali przez zbocza, skręcili na wschód w kierunku łądu; urwisko zostało za ich plecami. Nie musieli jechać daleko. Wprawdzie tutaj również nagromadziły się stosy ziemi i skał, ale spomiędzy nich w kierunku nieba wyciągały się wyraźnie widoczne fragmenty murów, które Ethanowi przypominały częściowo zwietrzały cmentarz; istotnie, wiatr odsłonił szkielety umarłych budynków. Grunt wznosił się pod niebo nie gładkim zboczem, jak po drugiej stronie, ale płaskimi stopniami.

– Widzicie? – zawołał Williams, zwracając ich uwagę na odmienną kamieniarkę i zdobnictwo

każdego poziomu. – To nie jest jeden budynek, jak założyli zwiadowcy, ale kolejne budowle wznoszone na starych. Kiedy starsza budowla została zasypana, stawała się fundamentem dla następnego budynku, wznoszonego na tym samym miejscu. Jedno miasto na gruzach drugiego, starszego. – Zamaszystym gestem pokazał na wschód. – Patrzymy na ciąg starożytnych miast, a nie na zbiorowisko monumentalnych budowli. Możemy tylko próbować się domyślać, jak daleko się ono rozciąga. Ponieważ przez całą drogę od Moulokinu jechaliśmy równolegle do podobnych wzniesień, nie jest wykluczone, że pod każdym z nich leżą pogrzebane podobne miasta. Każde wzniesienie może być częścią jakiejś jednej metropolii, długiej na co najmniej kilkaset kilometrów.

Załoga zwinęła żagle i zakotwiczyła kliper, żeby go wiatr nie ruszył. Ci, którzy akurat nie mieli warty, przeleźli przez burtę, żeby podziwiać monumentalną architekturę.

– Jednego nie rozumiem. – Williams usiłował potrzeć oko, przypomniał sobie jednak o masce i odchylił ją, żeby móc się podrapać. – Byłoby rzeczą naturalną, że położone najwyżej struktury będą najbardziej wyrafinowane pod względem zdobnictwa i techniki wykonania, ale z tego co widzę, pod względem architektonicznym budowle są identyczne od góry do dołu, od miasta do miasta.

– A ja chciałbym wiedzieć, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. – Ethan gramolił się ostrożnie na drugą stronę osypiska drobnych, ale śliskich kamieni. – Coraz bardziej jestem pewien, że to nie tranowie. Popatrzcie tylko na te łuki, na te okna. – Złapał równowagę na częściowo zagrzebanym, prostokątnym bloku, który musiał ważyć kilka ton i pokazał w górę zbocza na prawo. – A tamten budynek, niemal całkiem odsłonięty. Dach jest zbyt płaski, żeby nie gromadził się na nim śnieg, i wyłożony czymś, co mi wygląda na szkło. Świetlik na Tran-ky-ky? Nie przy tej jakości szkła, jakie produkują transie. Jeden dzień przyzwoitego wiatru i rozprysnęłoby się na kawałeczki. Chyba, że jest to coś więcej, niż zwykle szkło, oczywiście.

– Może mimo wszystko budowniczymi byli Saia i po prostu o tym zapomnieli, mój chłopcze – zaryzykował September. – Wybiórcza pamięć o takich sprawach pozwoliłaby im nie wstydzić się, że dopuścili, by tak wiele wiedzy przeciekło im przez palce.

Odkrywali jeden budynek za drugim: mieszkania, magazyny, miejsca spotkań publicznych, a nawet coś, co przypominało amfiteatr. Otwarty stadion na Tran-ky-ky!

Ani tranom ani ludziom nie trzeba było trzydziestu lat doświadczenia czy stopni naukowych, żeby dojść do wniosku – wtedy musiał tu być klimat zupełnie odmienny od obecnego.

Kiedy wyjaśnili sobie już ten problem, Williams zostawił archeologię Eer-Meesachowi i pozostałym, sam zaś, wykorzystując prymitywne instrumenty nawigacyjne i inne, nie zawsze w tym celu skonstruowane, ale za to użyteczne przyrządy, w jakie wyposażony był każdy kombinezon ochronny, poświęcił się nocnemu badaniu gwiazd. Od tego fanatycznego zainteresowania astronomią nie potrafił odwieść go żaden, nawet najbardziej zawile uformowany metalowy puchar, czy tajemniczy napis wykuty w kamieniu. Próżniowo bezchmurne niebo, trańskie mapy nawigacyjne i stare opowieści wydawały się tylko umacniać go w niezłomnym postanowieniu, by kontynuować te samotne, nocne badania. Ethan domyślał się, czego nauczyciel próbuje dowieść.

A jednak nie do końca miał rację.

Kiedy Ethan w końcu postanowił znaleźć potwierdzenie dla swoich podejrzeń, nauczyciel był właśnie głęboko pogrążony w rozmowie z Ta-hodingiem.

– Nie chciałbym wam przerywać, Millikenie, ale wyjaśnij mi, skąd to nagłe zainteresowanie astronomią? Nie dziwiłbym się, gdybyś bez końca grzebał się w tych gruzach, ale ty zamarzasz nocami na pokładzie. Usiłujesz znaleźć dowód na to, że kiedyś klimat tutaj był dużo cieplejszy, czyż nie?

– Nie tylko tutaj, na tym płaskowyzu. – Williams po prostu powiedział to, co wydawało mu się oczywiste. Ethan w życiu nie spotkał mniej sarkastycznego człowieka. – Na całej Tran-ky-ky. Dowodzą tego pozostałości materialne, tkwiące w tej zasypanej metropolii, a także wyniki tych kilku obliczeń, które byłem w stanie przeprowadzić. Co ważniejsze, dają one wskazówkę, kto budował te kolejne miasta.

– Nie trzymaj mnie w napięciu, Millikenie. Kto to był? Tranowie, Saia, czy jakiś teraz już wymarły lud? Założyłbym się, że właśnie ci ostatni, a kiedy klimat się oziębził, budowniczo wie wymarli. Saia żyli w tym samym czasie i dlatego przechowali w swoich legendach żywe wspomnienia o nich.

– Można by przyjąć taką tezę, chociaż sędzę, że jest nieprawdziwa. – Williams poprawił kalkulator w rękaw. – Te miasta wzniesli razem tranowie i Saia.

Ethanowi nie udało się powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Zwariowany pomysł, Millikenie. Jest tu za zimno dla Saia, a przecież gdyby kiedyś zbudowali te miasta, z pewnością by o tym pamiętali. Poza tym teren jest zbyt niegościnnie nawet dla tranów, a zakładając, że kiedyś klimat był cieplejszy, z kolei dla nich byłoby tu za gorąco.

– Nie rozumiałeś, o co mi chodzi. To dlatego... – Williams przerwał, zaczerpnął tchu, jak przed skokiem na głęboką wodę. – To nie jest tylko kwestia tego, że kiedyś było gorąco, a teraz jest zimno, Ethanie. Sędzę, że orbita Tran-ky-ky wykazuje zaburzenia o dającym się obliczyć okresie.

– Nie bardzo to rozumiem.

– Spróbuję ci wyjaśnić. Każdy kompetentny astronom, mając właściwe dane faktograficzne już po tygodniu badań zauważyłby to. Ale jedynym astronomem, który odwiedził tę leżącą na końcu świata planetę, był ten cymbał, który przyleciał tu z ekspedycją badawczą, tą, która planetę pierwsza zlokalizowała. Rząd Wspólnoty interesował się w pierwszym rzędzie tym, czy jest to nadająca się do zamieszkania planeta o stałym klimacie oraz przyjaznej florze i faunie. W archiwach Tran-ky-ky odnotowane będą długoterminowe zmiany, ale nie ma powodu podejmować żadnych działań w oparciu o nie, dopóki nie zacznie się następny okres.

– Jaki następny okres?

– Ciepłej pogody. Oszacowałbym ten cykl z grubsza na ileś tam standardowych lat zimna, a po nich krótszy okres cieplejszej pogody, kiedy planeta zbliża się do słońca. Powiedzmy cykl rzędu

dziesięciu tysięcy lat. Przejście od zimnego do ciepłego klimatu następuje stosunkowo gwałtownie, ponieważ w miarę jak Tran-ky-ky zbliża się do swojej gwiazdy, jej prędkość orbitalna rośnie, a kiedy przechodzi znowu w strefę zimną, maleje. To wyjątkowa sytuacja i nie jestem pewien szczegółów, ale jak sądzę, to właśnie ma miejsce. Zastanów się, co to może oznaczać dla planety. – Jego niewidzący wzrok skupił się na wydarzeniach dalekich w czasie i przestrzeni. – Podczas gorącego okresu lodowe oceany gwałtownie się topią. Poziom morza podnosi się, zalewając takie państwa-miasta jak Sofold i sporą część Asurdunu. W rzeczywistości Sofold zbudowany jest na szczycie podmorskiej góry, a szczyty górskie Poyolavomaaru stają się prawdziwymi wyspami. – Nagle spuścił oczy zawstydzony. – To właśnie tak intrygowało mnie w kanionie moulokińskim.

Ethan cofnął się myślą i przypomniał sobie jak dziwna wydawała się nauczycielowi budowa geologiczna kanionu i jak on sam miał wrażenie, że miejsce to coś mu przypomina, choć nie wiedział co.

– To nie jest kanion rzeczny, chociaż bardzo go przypomina. Jest to raczej wyschły kanion podmorski, taki, który przecina szelf kontynentalny i zagłębia się aż do strefy abisalnej dna oceanu. Urwiste zbocza tego płaskowyżu, wzdłuż których tak długo jechaliśmy, to w rzeczywistości stary szelf kontynentalny. A teraz – powiedział z satysfakcją – gotów jestem znowu zabrać się do kopania. Ale nie w gruzach miast tylko dokładnie tutaj, pod statkiem.

– Czekaj no chwilkę. Co ty się tu pod statkiem spodziewasz znaleźć? I co miałeś na myśli mówiąc, że tranowie i Saia razem zbudowali tę metropolię?

– Powiem ci za parę dni, mój chłopcze – powiedział Williams przedrzeźniając Septemбера.

Dokładnie rzecz biorąc wystarczyły dwa dni. To, co nauczyciel odkrył, było dużo mniej efektowne, za to dużo ważniejsze niż wszystkie obiekty, na jakie natrafili dotąd w zasypanych budowlach. Rozłożył swoje znaleziska na stole w centralnej kabinie, gdzie mogli je zobaczyć zarówno tranowie, jak i ludzie.

– Patrzcie – zaczął Williams – tam mamy jajeczka owadów. – Pokazał na stosik spiralnych, małych, białych koralików. – Spróbujcie któreś otworzyć. Skorupki są twarde jak stelamid. Musiałem użyć promiennika, żeby przekonać się, co jest w środku. Jajeczka zwierzęce. – Pokazał na podobne obiekty, tylko że większe i wielokolorowe. – Nasiona, jak sądzę. Wskazał na całą gamę czarnych i brązowych kształtów, w większości kulistych. – Promiennik nastawiony na delikatne cięcie z trudem je opalił. Kiedy temperatura się podniesie, a oceany stopnieją, będzie padał obfity deszcz. Tak drastyczna zmiana nie tylko spowoduje gwałtowny rozwój roślin na lądzie, ale pozabija pika-pinę i pika-pedan. Niektóre z tych roślin są w stanie przetrwać okres zimna. Świadczą o tym te żółtawe trawy i rzadkie, druciaste krzaki, które mijaliśmy przez ostatnie dni. Właśnie te trawy i te nieznane nam gatunki, zamknięte w nasionach, po podniesieniu się temperatury opanują lądy. Zarośla pika wycofają się w okolice biegunów, czekając na powrót epoki zimna. Widzieliśmy, jak szybko potrafią rosnąć. Kiedy wróci zimno, w bardzo krótkim czasie rozrosną się od biegunów i może jakichś izolowanych nisz przybrzeżnych, w których są w stanie przetrwać i znów staną się dominującym gatunkiem roślinności.

Żałuję, że nie mam tu porządnego laboratorium. Te jajeczka... W jakiś sposób są zdolne przetrwać

trzydzieści tysięcy lat, zanim ziemia ogrzeje się i je uwolni. Jest to ważne, ponieważ w tym czasie w poszukiwaniu pożywienia wędrują całe grupy zdeorganizowanych ludzi. Złociści Saia nie stanowią odmiany tranów, ani też tranowie nie są odmianą Saia. – Pokazał na Hunnara, na Elfę, na Ta-hodinga. – Wy i Saia to ten sam lud.

Któryś z oficerów parsknął z oburzeniem.

– Saia to tropikalna wersja tranów. Kiedy zaczyna się era zimna, tym, którzy przeżyją gwałtowną zmianę klimatu, z czasem wyrasta gęste futro. Pojawiają się też dany, a pazury u nóg rozrastają się tworząc szify umożliwiające poruszanie się po lodzie. – Usiadł za stołem pełnym żywych skamienielin. – Pomyślcie, jakie szkody może taka katastrofalna zmiana klimatu wyrządzić rozwijającemu się, ale wciąż prymitywnemu społeczeństwu. Głód, śmierć z zimna, niemal natychmiastowe wyniszczenie znajomych źródeł pożywienia. Podróże morskie skasowane, przez co zerwane zostają połączenia pomiędzy kontynentami i wyspami.

Drastyczny spadek populacji – co tłumaczy duże różnice pomiędzy rozmiarami tych odkopanych miast, a obecnymi społecznościami trańskimi.

To wszystko wyjaśnia, Hunnarze, dlaczego twoi pobratymcy nie pamiętają niczego o swoich przodkach z ciepłych czasów. Ta oszołomiona garstka, która przeżyje koniec ciepłej cywilizacji, musi poświęcać dosłownie każdą wolną minutę na przetrwanie. Jak rozpalić ogień, jak ugotować jedzenie – to są te ważne wiadomości, które należy przekazywać dygocącym z zimna dzieciom. Nie historię. Przy takiej częstotliwości cyklu zimnociepło nigdy nie mieliście jako rasa szansy na złapanie oddechu.

– Nie było lodu... zamiast oceanu wszędzie płynna woda? – Na twarzy Hunnara malowały się równocześnie groza i niedowierzanie, zupełnie jak gdyby ktoś udowodnił, że świat jest płaski.

– Nie było lodu – powiedział powoli Ethan. – I prawdopodobnie nie było też żadnych wiatrów, o których warto by wspomnieć. Deszcz zamiast śniegu i cząsteczek lodu; dobra-woda-spadająca-z-nieba – przetłumaczył niezręcznie, przypomniawszy sobie, że tranowie nie mają słowa określającego deszcz.

– Nie było lodu. – Wydawało się, że Hunnar nie jest zdolny wyjść poza tę niewiarygodną koncepcję. – Można było przelecieć całą drogę w dół, aż do samego środka świata.

– Woda utrzymałaby cię, Hunnarze, chociaż nie tak dobrze jak lód. – Ethan wolał nie wdawać się w wyjaśnienia, na czym polega pływanie.

– Tym więcej powodów, żeby się nad tym naradzić. – September sprowadził ich znowu do teraźniejszości, oderwał od spekulacji na temat przeszłości i przyszłości. – Jeżeli tę informację udałoby się przekazać paru biurokratom w odpowiednich działach Wspólnoty, oznaczałoby to zmianę tak wielką i ważną, że... nie potrafię chyba tego wyrazić słowami, co oznaczałoby to dla twoich pobratymców, Hunnarze.

Mniej więcej oznaczałoby to, że kiedy następnym razem twój świat się ogrzeje, rozwinięcie sobie

śliczne, kwitnące społeczeństwo i zaczniecie się rozrastać na dobre, a zacznie się znowu ochładzać, technologia Wspólnoty przyjdzie wam z pomocą, byście sobie dali radę. Zakładając naturalnie, że Wspólnota do tego czasu będzie jeszcze istnieć. Nie będę stawiał horoskopów dla żadnego rządu. Wszystkie one mają niepokojącą cechę samodestrukcji.

I będziecie mogli rozwinąć prawdziwe planetarne społeczeństwo, po raz pierwszy zyskać ciągłość rozwoju rasowego i historii, którą wasz świat wam rozwaliał za każdym razem, jak tylko się zaczynała.

Ale nic z tego nikomu nie przyjdzie, jeżeli nie prześlemy tych informacji władzom Wspólnoty i nie pokażemy im, że jest tutaj cały świat, który aż piszczy, żeby nadać mu status planety stowarzyszonej i okazać trochę należnego uznania.

ROZDZIAŁ 16

Minęło kilka dni, zanim dokopali się do sali zgromadzeń. Ta imponująca, nakryta kopułą sala zagrzebana była pod olbrzymim osypiskiem. Niepewny grunt sprawił, że Ethan i kilku innych wcale nie mieli chęci tam wchodzić, mimo że nienaruszony strop wydawał się dobrze trzymać. Ponieważ jednak Williamsa i Eer-Meesacha nikt nie potrafił powstrzymać, za nimi, choć niechętnie, do tego najobszerniejszego, zabudowanego ze wszystkich stron wnętrza, jakie dotąd odkryli Tran-ky-ky, weszli i pozostali.

Pod zbudowaną z kamienia i metalu kopułą tak solidną, że utrzymała ogromny ciężar ziemi, skał i budynków, odnaleźli wspaniałe mozaiki i ryty naścienne, które ostatecznie dowiodły większości przyjętych przez Williamsa założeń.

– Nie we wszystkim miałeś rację, mój przyjacielu. – Eer-Meesach przesunął sękatym palcem po płaskorzeźbie na jednej ze ścian. – Ta żółtawa trawa nie wyparła pika-piny, to raczej jest jej tropikalna odmiana, tak jak Złociści Saia są tropikalną odmianą tranów.

Williams przyglądał się rzeźbom i powoli potakiwał.

– Prawdopodobnie skoncentrowane w pika-pinie substancje odżywcze przenoszone są w kierunku lądu i pomagają ożywić pogrążone we śnie zimowym stepy.

– Ale co to jest? – Stary czarodziej pokazał na obfitość drobnych rzeźb, wśród których nie było dwóch jednakowych. Resztki starodawnych farb jeszcze czepiały się nagiego kamienia.

– Czy nie przypominasz ich sobie z krainy Saia? – zapytała Elfa. Odwróciła się do Ethana. – Jak ty je nazywałeś?

– Kwiaty. – Podeszedł do ściany omijając głazy i pokruszone kamienie, którymi zasypana była podłoga. – A więc pika-pina kwitnie, zanim ustąpi miejsca trawie. Millikenie, może każde stworzenie, które fruwa, pływa czy szifuje po Tran-ky-ky ma swoją zimową i tropikalną odmianę. To stworzenie tam, na tamtej ścianie, czy to nie jest stawanzer?

– Nie – powiedział z naciskiem stojący w pobliżu Hunnar. – Te dziwne rzeczy, które ma z przodu...

– Skrzela! – zawołał Ethan. – Stawanzer rzeczywiście przypomina trochę wyrzuconego na plażę wieloryba. Te zanikające na czas zimy skrzela nie pokazują się, dopóki ocean nie zmieni się w wodę. Przy takiej masie stawanzerowi nie udałoby się wędrować po lądzie.

– Jestem pewien – dodał Williams – że to stworzenie potrafi istnieć w postaci ziemnowodnej przez czas konieczny do ukończenia przemiany potrzebnej do życia pod wodą.

– Bardzo bym chciał zobaczyć te, jak mówicie, „szele” – Hunnar wyjął zza pasa nóż i podał go Williamsowi rękojeścią do przodu. – Idź, zabij stavanzera, a ja pomogę ci ich szukać w jego wnętrzu.

Obecni w sali ludzie i tranowie wybuchnęli śmiechem, który niósł się po ruinach budząc całkiem swoje echa.

W tydzień później na *Slanderscree* pełno było ładunku równie nietypowego, co różnorodnego. Znajdowały się tam całe setki kilogramów rzeźb, artefaktów, fragmenty mozaik i murów. Taka ilość dowodów na kapryśny przebieg historii Tran-ky-ky, tak społecznej, jak i klimatycznej, będzie mogła przekonać do Prawdy najbardziej nawet zatwardziałego biurokratę czy Landgrafa. Kiedy załoga mocowała w różnych miejscach na pokładzie ostatnią część ładunku, September i Ethan znowu pograżyli się w dyskusji nad przyszłością tranów i ich historią.

– Zapewne wszyscy tranowie żyli kiedyś razem w postaci Saia na kilku kontynentach, chłopcze – mówił olbrzym. – Rozwijali nową cywilizację tak długo, dopóki zimno jej nie zlikwidowało i nie zmusiło ich do rozproszenia się po wysepkach, co gwarantowało większe szansę przetrwania. Im bardziej surowy jest klimat, tym na ogół większe terytorium jest potrzebne, żeby się ludzie mogli utrzymać przy życiu. Teraz, kiedy mamy dowody, że oni wszyscy potrafili żyć razem i wspólnie pracować ze sobą, powinno być łatwiej namówić ich, żeby to znowu zrobili. – Zakończył tę uwagę dźwięcznym chrząknięciem.

* * *

Po wielu dniach, kiedy znowu znaleźli się w pokrytej oparami krainie i przedstawili Złocistym Saia zgromadzone dowody, ci przyjęli to, czego nie dało się zakwestionować, w sposób typowy dla siebie, to znaczy pozornie nie pokazując emocji. O ich prawdziwym podnieceniu świadczyły jednak wypowiedzi. Oto mieli przed sobą dowody prawdziwości swoich legend spojone w jedno z wiedzą, dotąd nawet nie przeczuwaną. Williams i Eer-Meesach, wysłuchawszy bazarzy Saia, zdołali uzupełnić te części historii, których milczące kamienie i mury nie były im w stanie opowiedzieć.

W przeciwieństwie do trudnego podjazdu w górę kanionu, powrót był głównie sprawą utrzymania statku na stałym kursie. Napęd nie stanowił już żadnego problemu, bo wiatr od płaskowyżu natarczywie popychał ich rufę. Kiedy dojechali na skraj lodu, kapitan zatrzymał statek, a Hunnar z niewielką grupką żeglarzy poszifował do Moulokinu. Oczekiwano, że wrócą z żurawiami, narzędziami i cieślami okrętowymi, którzy pomogą w zdejmowaniu kół i osi i przyspieszą instalowanie pięciu masywnych płóz z duramiks.

Pojawienie się Hunnara i marynarzy w pełnym krzątaniu mieście budowniczych okrętów wywołało spore zaskoczenie. Ani pani Landgraf K'ferr, ani minister Mirmib, ani nikt z tych, którzy wiedzieli, dokąd udała się *Slanderscree*, nie spodziewał się już nigdy zobaczyć jej załogi. Przekonani byli, że duchy zmarłych zamieszkujące wielką pustynię na wysokościach owładną zdrowymi ciałami żeglarzy, by móc wędrować po widmowej krainie w bardzo cielesnej postaci.

Pospieszne, niezbyt precyzyjne wyjaśnienia Sir Hunnara, jakiego to odkrycia dokonali na płaskowyzu, wywołały w rezultacie jeszcze więcej zamieszania. W końcu rycerz zrezygnował z tłumaczenia tego, czego sam do końca nie rozumiał.

Następnego dnia w towarzystwie dużej grupy rzemieślników z miejskich stoczni wrócił do ugrzęzłej na lądzie *Slanderscree*.

Eer-Meesach udzielił nowo przybyłym lepszych wyjaśnień, a ci, uspokojeni co do losu starych przyjaciół i nowego dziedzictwa, zabrali się do pracy, żeby wielką tratwę przysposobić znowu do żeglugi po lodzie.

– A co z flotą Poyolavomaaru? – z wahaniem zapytał Ethan przywódcę moulokińskich ekip roboczych.

Krzepki tran zostawił ostateczną instalację duramiksowej płozy swoim kolegom.

– Zatrzymali się jeszcze na dziesięć dni po waszym odjeździe do krainy Złocistych Saia, Sir Ethanie, a potem też odjechali. Od tamtej pory niewiele statków zawinęło do Moulokinu, nie mieliśmy więc żadnego raportu, że ich widziano, chociaż dwóch kapitanów wspominało o licznych śladach płóz, ciągnących się na północny wschód.

– W stronę Poyolavomaaru. – Pomimo dowodów Ethan jakoś nie był w stanie uwierzyć, że szalony Rakossa i Ro-Vijar z Asurdunu tak szybko ustąpili.

– Tak jest. Nie widział ich również żaden z naszych statków, które już wróciły; dwa z nich zapuściły się na poszukiwania jeszcze dalej, żeby zyskać pewność, że naprawdę odeszli. Można, jak sądzę, bezpiecznie powiedzieć, że nie znalazłszy was, zabrali się stąd, żeby szukać gdzie indziej.

– Wątpię. – Ethan rozejrzał się ciekaw, czy ktoś podziela jego opinię.

Teeliam Hoh przyglądała się, jak rzemieślnicy z powrotem montują na swoim miejscu przednią prawą płozę, a z kolei kierownik przyglądał się Teeliam. Dziewczyna błędziła myślami daleko od delikatnej operacji przebiegającej za burtą. W końcu powiedziała:

– Jak długo Tonx Rakossa pozostaje przy życiu, nie dopuści, żebym ja żyła. A dopóki ja żyję na wolności, nie pomyśli o niczym innym.

– Może pokłócili się z Ro-Vijarem – wysilił się na żart Ethan – i Rakossa przegrał.

– Mam nadzieję, że nie.

– Co? Przecież powiedziałaś...

Wpatrzyła się w niego zimnym, kocim spojrzeniem, mrocznym jak wody pod lodowym morzem.

– Gdyby miała zginąć, zanim się spotkamy, gdyby ją zabił ktoś nieznan, daleko stąd, nie pozwoliłoby mi to zrealizować rozkosznych dla mnie planów zabicia go własnymi rękami. – Mówiła

spokojnie, jak gdyby omawiała najzwyczajniejszą w świecie sprawę.

– Oczywiście. Powiniennem być o tym pomyśleć.

Nie przestawała się w niego wpatrywać z głową lekko przechyloną na bok.

– Wydaje ci się, że nas znasz, prawda, Sir Ethanie?

– Że was znam? – Ethan rad był, że maska i gogle zniekształcają wyraz jego twarzy. – Teeliam, żyję wśród was już od ponad roku.

– A więc rzeczywiście sądzisz, że nas znasz. Poznałam to po twoich gestach, po sposobie, w jaki rozmawiasz ze swoimi towarzyszami z tego dalekiego kraju, Sofoldu. Ale nie rozumiesz nas. Zdradziły to też twoje ruchy i sposób wyrażania się, kiedy mówiłam o zabiciu tego czegoś. Jesteś... – przerwała, lekko się uśmiechnęła – dużo za bardzo cywilizowany, w tym sensie, w którym, jak mi się zdaje, używacie tego słowa. Chociaż tak wiele połączyło cię z tranami, takimi jak wspaniały Sir Hunnar czy moja przyjaciółka Elfa, wciąż nie są oni częścią ciebie, a ty nie jesteś częścią ich. Są częścią mnie i tego świata. Tego nigdy nie zmienisz. – W jej głosie słychać było nie tylko dumę, ale cień arogancji.

– Może i nie. – Jak przystało na dobrego komiwojażera miał wystarczająco dużo rozumu, żeby nie sprzeczać się z oporną klientką. – Mogę tylko próbować pomóc, jak umiem najlepiej, tranom, którzy stali mi się tak bardzo bliscy.

W odpowiedzi Teeliam mruknęła coś wymijająco i gdzieś poszifowała. Ethan nie potrafił powiedzieć, czy wyraziła głębokie przekonanie ogółu, czy też jej szorstkość i gwałtownie rzucone wyzwanie były efektem czynów Rakossy. Być może samo wspomnienie o nim wywoływało niechęć wobec każdego, kto w danym momencie był zadowolony lub optymistycznie nastawiony. Albo każdego, kto był rodzaju męskiego.

A jednak słowa te zmusiły go do zastanowienia. Może jest w nich odrobina prawdy. Jak dobrze znał któregokolwiek trana? Elfę, Hunnara i wielu innych zaliczał do swoich przyjaciół, ale musiał przyznać, że były chwile, kiedy ani on nie potrafił rozszyfrować sposobu ich rozumowania, ani oni jego. Czy to możliwe, że skazani są na wieczne istnienie w postaci psychologicznych korespondentów, zdolnych porozumiewać się, ale tylko poprzez rozległe oceany obcości? W porządku, może rzeczywiście nie zna ich tak dobrze, jak mu się zdawało. Jeśli jednak miało to znaczyć, że nigdy ich nie pozna, był pewien, iż była to tylko zuchwała opinia kogoś, kto wszystko widział wyłącznie w barwach czarnych lub białych.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Pomimo uporu Teeliam kontakt ze Wspólnotą i uzyskanie członkostwa zmieniają tranów i ich świat. Doświadczyły już tego inne prymitywne ludy. Kilka z nich wydzwignęło się szybko na poziom wspólny ludziom i thranxom i uzyskało pełne członkostwo w obrębie rządu. Inni ciężko jeszcze nad tym pracowali. Ta wytrwałość w połączeniu z bezpiecznym i życzliwym nadzorem rządu i Zjednoczonego Kościoła pomoże każdemu mniej zaawansowanemu społeczeństwu przejść z możliwie najmniejszym bólem na etap nowoczesnej technologii lotów kosmicznych.

Bo że czasem to bolało, temu nie mógł zaprzeczyć, nawet przed samym sobą. Ale ten ból stanie się znacznie mniejszy, jak tylko powrócą do Dętej Małpy i przekażą wieści o swoim odkryciu odpowiednim władzom – to było teraz najważniejsze, ważniejsze nawet od przyłączania nowych państw do trańskiej konfederacji. Nie wątpił, że uda im się ominąć szerokim łukiem Poyolavomaar i wrócić do Asurdunu bez walki.

Nagle jego myśli straciły impet. Co mogą, co powinni zrobić, kiedy dojadą do dalekiej thranxludzkiej placówki? Komu złożyć raport? Wciąż jeszcze nie miał pewności, czy Jobius Trell uwikłany był w konszachty z Caloninem Ro-Vijarem. Istniała też taka możliwość, że Trell współpracował bezpośrednio z Landgrafem Asurdunu. Tego zdania był September, chociaż brakowało im niezbitych dowodów. Chociaż miał wątpliwości, nie był skłonny lekceważyć zdania olbrzyma. Nieraz już September napomykał, że bardziej jest obeznany ze stosunkami panującymi na wyższych stopniach władzy niż Ethan, że poddawanie analizie motywów i działań osób dzierżących władzę to dla niego nie pierwszoznaczna. Załóżmy, że Trell jako Stały Thranxludzki Komisarz poinformowany jest o wszystkich aspektach działania placówki. W Dętej Małpie niewielu było przedstawicieli korpusu pokojowego, a ci, którzy tam stacjonowali, bardziej mieli chroń tubylców przed thranxludźmi niż vice versa. Czy sprzymierzyli się oni bezpośrednio z Trellem albo z Ro-Vijarem? A co z obsługą celną, z kapitanem portu Xenaxisem, żeby nie wspominać już o komputerach i procesorach? Komu ze szczupłego kontyngentu, który stacjonował na placówce, będą mogli powierzyć ogół tak doniosłych odkryć? Kto nie tylko zarejestruje taką informację i będzie jej strzegł przed potencjalnie nieprzyjaznymi biurokratami, ale zechce również przekazać te wieści nie skorumpowanym czynnikom pozaplanetarnym, gdzie rozszerzą się one z taką szybkością, że ani Trell, ani nikt inny nie zdoła już ich ukryć?

Poszedł z tym problemem do Septembra. Olbrzym przysiadł na zamrożonym brzegu, jego białe włosy stapiały się z tłem morza i lądu w jedno. Ani drgnął, po prostu znieruchomiał wpatrywał się w przyprószoną śniegiem taflę bieli, w miejsce, gdzie spotykała się ona ze ścianą kanionu. Rzadko widywało się go w tak refleksyjnym, a nawet melancholijnym nastroju.

– Wciąż jeszcze w jaju? – To thranxowskie wyrażenie od dawna już zadomowiło się na rozrastającej liście potocznie używanych międzygatunkowych zwrotów.

– Hmm? O, hej, mój chłopcze. – Jest jakoś niesamowicie cichy, pomyślał Ethan, przenosząc uwagę na łód. – Nie, nie w jaju.

– O czym tak rozmyślasz?

– O moim bracie. A przynajmniej o człowieku, który kiedyś był moim bratem.

– Wspomniałeś już kiedyś o nim, dawno temu. – Ethan usiadł obok zwalistej postaci. – Powiedziałeś: „Miałem kiedyś brata.” Nie zrozumiałem, co miałeś na myśli, mówiąc „kiedyś”.

Usta Septembra rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Przyglądał się błazeństwu dwóch puchatych stworzonek o rozmiarach żuków. Wykonywały one coś w rodzaju miniaturowych popisów baletowych na lodzie, muskając go płynnym ruchem z grubsza w tym miejscu, gdzie zamrożona rzeka stykała się z brzegiem.

– Przypuszczam, że z formalnego punktu widzenia wciąż jesteśmy braćmi. Gdy się człowiek raz urodzi bratem, nie ma się jak od tego uwolnić. Nie widziałem go od dwudziestu, może dwudziestu pięciu lat. Od tego czasu odnotowałem spore osiągnięcia w procesie dojrzewania. Czasami zastanawiam się, czy on też, chociaż wątpię.

– Jeżeli nie widziałeś go, to skąd możesz wiedzieć, że jak mówisz, on nie wydorował?

– Nic nie rozumiesz, mój chłopcze. Piłonos... no cóż, on się po prostu urodził niegodziwy. – Minęło kilka długich minut. September przeniósł wzrok z łyżwiarskich popisów żuków na popisy chmur, ślizgających się w zawrotnym tempie po niebie. – Wdał się w parszywe, śmierdzące interesy dużo za wcześnie. A to tylko część historii.

– Jakie interesy?

Septembrowi niemal nigdy nie zdarzało się opowiadać o sobie, a jeżeli już, to zawsze przy tym żartował. Ethan trafił akurat na chwilę, gdy olbrzym skłonny był zarówno do rozmów, jak do wspomnień, a tak rzadko zdarzał mu się podobny nastrój, że Ethan zapomniał, w jakim celu go szukał i usiłował się dowiedzieć czegoś więcej o jego życiu.

– Za bardzo wdał się w... powiedzmy to krótko, wyszkolił się na emomana.

Ethan słyszał o mężczyznach, kobietach i thranxach, którzy sprzedawali emocje. Ich działalność była na granicy prawa, a to, co sprzedawali, najlepiej było pozostawić w ukryciu w co ciemniejszych oddziałach szpitali. Wspólnota gwarantowała tyle swobód, że emomanów nie można było pozamykać, nie potrafiła jednak zapobiec sporadycznym zabójstwom tych, którzy stawali się zbyt śmiali lub pozostawali za długo w jednym miejscu. Ponieważ uboczne skutki ich działalności były takie, jakie były, rzadko który zajmował się tym przez całe życie. Emoman (czy emomanka) nieczęsto się bogacili, ale ich profesja rekompensowała im to jednak w pewien sposób, a to zachęcało do jej uprawiania. Stąd wzięło się powiedzonko, że najbardziej prawdopodobnym kandydatem na klienta emomana był on sam.

– Była taka dziewczyna – ciągnął dalej September, mówił tak prędko, że słowa zlewały się, jak gdyby chciał się ich jak najszybciej pozbyć. – Byłem nią zainteresowany, za bardzo zainteresowany. Miałem wtedy niewiele lat. Piłonosa też interesowała... jako klientka i nie tylko.

Kłóciliśmy się, biliśmy się o nią. Sądziłem, że... w każdym razie Piłonos sprzedał jej coś, czego nie powinien jej być sprzedawać. Ona tego chciała... a galaktyka jest wolna. Ale nie powinien był tego robić. Ona była... najlepsze określenie to chyba „przytłumiona”, za bardzo się hamowała. To, co jej sprzedał Piłonos, spowodowało, że wszelkie hamulce puściły. Potem przedawkowała. I... – twarz mu się potwornie wykrzywiła – stała się czymś mniej niż człowiekiem, a czymś więcej niż trupem. Zmieniła siebie w towar. Nie w żadną mewkę czy coś przyzwoitego w tym rodzaju, ale w coś gorszego, gorzej niż podłego, ohyda jakiej... – przerwał, nie był w stanie mówić dalej.

Ethan zastanawiał się, czy powinien się odezwać. W końcu powiedział najspokojniej, najdelikatniej jak tylko potrafił:

– Może gdybyś ją odszukał teraz... mogła się zmienić, odrzucić to, w czym się pograżyła, i kto wie...

– Chłopcze, powiedziałem, że przedawkowała. Nie trzymała się instrukcji. Wciąż się to zdarza tym, którzy korzystają z produktów emomanów. – W jego głosie słyhać było bezbrzeżny smutek. – Kiedy Piłonos w końcu przestał ją zaopatrywać, wyszukała sobie innych, którzy się na to zgodzili. Nie mogę jej odszukać, bo ona nie żyje, chłopcze. Dla mnie i dla większości światów w każdym razie. Tak jakby ją coś wyzarło od środka. Nie fizycznie. Z tym może byłbym sobie potrafił poradzić. Jej ciało trzymało się wspaniale, dopóki jego też nie zniszczyła. Ale na tym etapie w głowie nie miała już nic. – Skupił znowu uwagę na lodzie. – Mam nadzieję, że ona nie żyje, Ethanie. Powinienem być oddać jej wielką przysługę i zabić ją własnymi rękami. Nie potrafiłem, ale jak ci już mówiłem, byłem wtedy bardzo młody. Wszystko, co robił Piłonos, było absolutnie zgodnie z prawem. Zawsze bardzo tego pilnował. I pewnie dalej pilnuje, bez względu na to, czym się teraz zajmuje.

– Ale czy nie mogłeś go powstrzymać, w sposób zgodny z prawem albo nawet niezgodny? Ten człowiek był twoim bratem. Nie wiedział, co robi z tą dziewczyną?

– Mój chłopcze, emomani kierują się własnym kodeksem postępowania, mają swoje własne zasady moralności. Zgodnie z jego sposobem myślenia nic złego jej nie robił. Ona to sobie robiła sama. Prawo Wspólnoty stoi po jego stronie. Nigdy nie dowiedziono, że specyfiki emomanów uzależniają, jak na przykład hipokrew. Oni bardzo dbają o zgodność z prawem. O moralność nie.

– Jak można działać zgodnie z prawem, a niemoralnie? – chciał się dowiedzieć Ethan.

September roześmiał się, popatrzył z politowaniem na swojego młodego przyjaciela.

– Mój chłopcze, niewiele wiesz o rządzeniu, prawda? Albo o prawie.

– Rządzenie... właśnie. – Ethan pospiesznie zmienił temat. Pograżył się zbyt głęboko w duszę drugiego człowieka i trafił tam na zapadliska, od których lepiej było trzymać się z daleka. – W jaki sposób powiadomimy odpowiednie władze Wspólnoty o naszych odkryciach, nie dopuszczając, żeby je ktoś zataił?

– A więc w końcu tak jak ja nabrałeś podejrzeń w stosunku do Trella, mój chłopcze?

– Chyba tak.

– To i dobrze. Nigdy nie ufaj oficjelowi, który się za dużo uśmiecha.

– On wie o wszystkim, co dzieje się w Dętej Małpie. Potrzebny nam jest ktoś, kto ma w swojej gestii zamknięty kanał do transmisji pozaplanetarnych.

– Nie ma nikogo takiego – burknął September. Wydawało się, że zapomniał o posępnej rozmowie sprzed kilku chwil i oddał się intensywnej pracy nad tym problemem. – Czekaj no. – Podniósł się, stanął nad Ethanem jak góra. – Powinno być takie biuro, które może wysyłać zamknięte wiadomości.

– Nie każ mi zgadywać, Skuo. Trell jest komisarzem i może...

– Zastanów się przez chwilę, chłopcze. Dęta Małpa jest na tyle duża, że przysługuje jej ojczaszek.

Ethan tylko sporadycznie bywał w kościele i był mniej pobożny niż inni, więc nie pomyślał o reprezentancie Zjednoczonego Kościoła. Nikt nie ośmielił się grzebać w zabezpieczonym komunikacie Kościoła, a już na pewno nie podrzędny urzędnik w rodzaju Trella.

– A teraz, skoro już pokonaliśmy tę drobną przepaść na drodze, wracajmy dowiedzieć się, czy nie możemy pomóc w składaniu statku do kupy, co, mój chłopcze?

Zostawili za sobą brzeg i ruszyli w stronę klipra lodowego, właśnie windowana była na swoje miejsce piąta i ostatnia duramiksowa płoza, płoza sterowa. Ethan ukradkiem zerknął na towarzysza. Na twarz Skuy powrócił wyraz niezniszczalnej pewności siebie, może nieco nadwerężony. Okazało się, że Skuę Septembra można było równie łatwo zranić, jak każdego innego człowieka. Jego wielka osoba miała po prostu więcej głębokich zakamarków, gdzie mógł ukrywać namiętności.

Z typową dla siebie bezceremonialnością Moulokińczycy powitali powracającą *Slanderscree* bez żadnych hałaśliwych demonstracji. Mieszczanie zajmowali się swoją codzienną robotą, a cieśle okrętowi, którzy pomagali przy wymianie kół na płozy, tak po prostu wrócili do swoich stoczni. Cała oficjalna delegacja składała się z ministra Mirmiba i jego dwóch doradców, którzy wyszli im na spotkanie do doku.

– Pani Landgraf K’ferr Shri-Vehm wita was ponownie w Moulokinie, moi przyjaciele. Nasz oddech jest waszym ciepłem. Dziś wieczorem zostanie wydana uczta, żeby uczcić wasz niespodziany, tym niemniej mile widziany powrót i wtedy będziecie mogli szerzej opowiedzieć nam o tej cudownej historii, którą dla nas odkryliście.

– Cudownej nie jest właściwym słowem – zwrócił się Ethan do ministra. – Znaczącej byłoby lepsze. Między innymi pokazuje ona, że ta wasza nowa konfederacja nie jest czymś tak mało prawdopodobnym, jak początkowo sądziliśmy, ponieważ kiedyś wszyscy tranowie żyli w obrębie dużo silniejszej unii.

– Unii, którą wciąż na nowo niszczył klimat bardziej osobliwy, niż potrafię sobie wyobrazić, a przynajmniej tak twierdzą pogłoski, które przekazali mi nasi cieśle – odparł Mirmib.

Jak się okazało, wieczorna uczta przeciągnęła się na kilka dni, podczas których załoga cieszyła się gościnnością Moulokinu. Ich opowieści wywołały wśród ludności miasta szerokie, żywe spekulacje i dyskusje. Niektóre historie pasowały jak ulał do miejscowych wierzeń, które potwierdzone w ten sposób z jednej strony zyskiwały na mocy, ale z drugiej osłabiało je silne powiązanie ze światem realnym.

* * *

Kiedy przyszedł moment, w którym jak zdecydowano, *Slanderscree* miała ruszyć w okreśną drogę

powrotną do Asurdunu, Moulokińczycy wreszcie wyzbyli się swojej niedbalej rezerwy. Porzucili zajęcia, stłoczyli się wokół portu i dawali głośno i z entuzjazmem wyraz spontanicznym życzeniom bezpiecznej podróży i pomyślnych wiatrów dla swoich nowych przyjaciół i sojuszników. Kiedy ostatnie okrzyki warty patrolującej zewnętrzną bramę złączyły się z wiatrem wiejącym z kanionu, kliper lodowy pomknął po zamrożonym morzu.

Zamiast jechać równolegle do urwiska, Ta-hoding ruszył kursem na północ. Mieli przeciąć bezkresny wał ciśnieniowy w innym punkcie, żeby uniknąć spotkania z pozostałymi ewentualnie w tyle siłami Poyolavomaara; mogły na wszelki wypadek pilnować ich pierwszego przejazdu przez tę nierówną barierę z potrzaskanych kawałków lodu.

Ethan stał na pokładzie sterowym i przyglądał się, jak kanion kryjący Moulokińczyków zostaje za nimi w tyle. Ta-hoding żywo człapał dookoła koła sterowego, radosny jak kocię. Jego sternicy również wyglądali na szalenie zadowolonych nie wiadomo z czego. Kiedy poprosił kapitana, żeby wyjaśnił, czemu ma taki rozanielony wyraz twarzy, ten odpowiedział:

– Czemu nie mielibyśmy być szczęśliwi, przyjacielu Ethanie? Żeglujemy mając pod płozami gładki, czysty lód, zamiast nieprzewidywalnych skał i ziemi. Wiem teraz, że jeżeli rozkażę ludziom na maszcie przesunąć reję o jeden jahn na prawo, *Slanderscree* zareaguje dokładnie tak – i naszkicował w powietrzu jej reakcję zamaszystym ruchem długiego ramienia. Już nie musimy zgadywać, jaki będzie wynik naszych manewrów. Już nie musimy...

– Hej tam, na pokładzie! – dobiegł ich okrzyk obserwatora z głównego masztu. – Żagiel o pięć kijatów na lewo!

– Pewnie jakiś kupiec, kierujący się do miasta. – Ta-hoding z natężeniem wpatrywał się we wskazanym kierunku. Na horyzoncie nie było widać najmniejszej plamki.

– Hej tam, na pokładzie! – Na nagłą nutę, która brzmiała we wrzasku obserwatora, wolni żeglarze poszifowali do poręczy. – Jeszcze cztery żagle z tym pierwszym... nie, pięć! Jeszcze więcej!

– Czy sądzisz może, przyjacielu Ethanie... – Zatroskane mu Ta-hodingowi zdanie zamarło na ustach. Jego jowialny humor zniknął.

Po jednej z lodowych ramp z głównego pokładu wpadł na pokład sterowy Hunnar z szeroko rozpostartymi danami. Opuścił ramiona i dany, wytracił szybkość i zahamował w deszczu okruchów lodu, potem podjechał niecierpliwie, żeby dołączyć do kapitana i Ethana.

– Zawracaj, kapitanie. – Jego głos był posępny. – Może to być niezwykle wielka grupa kupców podróżujących razem dla bezpieczeństwa, ale lepiej nie ryzykujemy.

Jak gdyby na potwierdzenie ich najgorszych podejrzeń rozległ się znowu głos obserwatora.

– Osiem, dziewięć... widzę co najmniej piętnaście, a może jeszcze więcej!

– To musi być flota Poyolavomaaru. Czekali przez cały ten czas, mając nadzieję, że wrócimy. A niech to!

– Ta dziewczyna Teeliam miała rację. – Hunnar wbił spojrzenie w horyzont za lewą burtą. – Kto mógłby lepiej wiedzieć, czego pragnie ten szaleniec, niż ta, która była ofiarą jego żądź? Zawracaj, kapitanie.

Ale Ta-hoding już zdążył wyrzucić z siebie całą rzekę rozkazów do wszystkich w zasięgu jego głosu. Kiedy zakończył, znowu zaczął wpatrywać się w tym samym kierunku, co Hunnar i Ethan.

– Trudno powiedzieć, co się może wydarzyć. – Pulchny kapitan miał zatroskany wyraz twarzy. – Nie możemy zakręcić w prawo, bo to by nas zaniósło prosto w urwisko. Żeby posuwać się pod wiejący z kanionu wiatr, musimy mieć za sobą wiatr zachodni. A przecież oni już się tak ustawili, żeby to wykorzystać. Nie mamy wyboru, musimy wziąć kurs na nich, chwycić wiatr zachodni od prawej burty i zawrócić do Moulokinu. – Wbił wzrok w Hunnara. – Możemy wjechać w ich tratwy na szpic, zanim zdołamy zawrócić.

– Zajmij się swoim statkiem, przyjacielu kapitanie. Ja się zajmę innymi sprawami. – Hunnar podniósł rękę do góry i zjechał znowu na główny pokład, już obmyślając sposób odepchnięcia potencjalnych napastników.

Nie mająca akurat warty załoga wylała się na pokład. Niektórzy z żeglarzy przecierając oczy ze snu przypasywali miecze i zapinali zbroje. Ethan nie przestawał wpatrywać się w horyzont, kiedy dziób klipra zaczął zataczać łuk i kierować się prosto na pędzące w ich kierunku tratwy Poyów. Ale wtedy ich przeciwnicy zbliżyli się już na taką odległość, że obserwatorzy w olinowaniu byli w stanie rozróżnić oznakowania i bandery. Słaba nadzieja, że statki mogą stanowić część jakiejś olbrzymiej floty kupieckiej, rozwiła się.

Krępy, zasuszony tran wszedł na pokład sterowy i stanął obok Ethana. Balavere Longax, najbardziej szanowany, najwyższy rangą wojownik Sofoldu, pokazał na lewo uzbrojonym w pazur palcem. Pazur był dziobaty i tępy, przypominał kawałek pooranego bruzdami skalenia, osadzony na czubku szarej gałęzi.

– Piechota – burknął. – Wolniejsza od tratw, ale zwinniejsza. Próbują nas odciąć, zanim uda nam się chwycić pełny wiatr z zachodu. – Pomacał zwisający mu u pasa miecz, broń dużo młodszą niż on sam. Odwrócił się i zawołał w kierunku głównego pokładu: – Uwaga na łuczników! Trzymajcie się swoich tarcz, mężowie i niewiasty Sofoldu!

Kusznicy, niosąc kusze, które ponad rok temu zaprojektował Milliken Williams, żeby pomóc w obronie Sofoldu przed napadem Sagyanak Nagłej Śmierci i jej Hordy, zajęli pozycje wysoko w olinowaniu *Slanderscree*. Balavere bacznie przyglądał się pędzącej piechocie, która skręcała teraz lekko w stronę tratwy.

– Musimy się przez nich przebić, ale oni nas nie zdołają zatrzymać. – Zerknął na stojącego z tyłu Ethana i niespodzianie szeroko się uśmiechnął. – Ich łucznicy skoncentrują swój ogień tutaj, mój przyjacielu, będą usiłovali zestrzelić naszych sterników. Najlepiej przenieś się na dół.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to myślę, że zostanę tutaj. – Zaszokowała go własna

pewność siebie. Nieco ponad roczny pobyt na tym surowym świecie znacznie go zmienił. Kontakt ze Wspólnotą niewątpliwie zmienił tranów, kontakt z tranami już zmienił co najmniej jednego człowieka. Poklepał się po mieczu, który mu zwisał u pasa. Jego ciężar był swojski, przyjemny, ale to ręczny promiennik podniósł do góry i sprawdził.

– Niewiele już ładunku pozostało – powiedział Balavere’owi, mrużąc oczy, żeby odczytać maleńki licznik poprzez maskę i gogle lodowe. – Przypuszczam, że tak samo kończą się już ładunki Skuy i Millikena. Ale pierwszy łucznik, który za bardzo się przybliżył, otrzyma sporą dozę nowoczesnej technologii.

– Zapomniałem o waszych nożach, które walczą długim światłem – powiedział generał. – Dobrze. Zostań więc i pomóż pilnować, żeby nas nie unieruchomili. – Odszedł porozmawiać z Ta-hodingiem.

– Nie za bardzo martwią mnie ich strzały – po chwili Ethan usłyszał słowa generała. – Mogliby nam bardziej zaszkodzić, gdyby ten Rakossa miał dobrych doradców. On sam, jak sądzę, nie jest zdolny do stosowania wyszukanej taktyki. Ich tratwy żeglują w zdyscyplinowany sposób i nie próbują nas odciąć za wcześnie. Mogą próbować zablokować nam linami płożę sterującą.

– Czy sądzisz, że jeszcze nigdy nie brałem udziału w walce? – Chociaż tak niespokojny i zatroskany, Ta-hoding nie miał zamiaru pozwolić, żeby Balavere czy ktokolwiek inny mówił mu, jak ma postępować ze swoim statkiem. – Trzymajcie wszelkie liny z dala od naszej rufy, a ja dostarczę nas wszystkich bezpiecznie do portu. – Wymamrotał trańskie przekleństwo. – Jeszcze tylko kilka godzin i byłibyśmy ich prześcignęli. Tylko...

Przerwał mu okrzyk z głównego masztu.

– Dziesięć statków osiemnaście kijatów na lewo! Tymczasem klipier zatoczył już łuk i znalazł się w położeniu, w którym zachodni wiatr dmuchał mu żagle. Zaczął nabierać szybkości, ale na pokładach najbliższych tratw poyoskich widać już było poszczególnych żeglarzy. Nowe zagrożenie.

– A więc odcięli nas – zauważył Balavere.

– Jeszcze nie. – Ta-hoding wyryczał kilka nowych rozkazów. Nad nimi rozległo się bolesne trzeszczenie i zaniepokojony Ethan niespokojnie podniósł wzrok. Ruchome reje zostały tak skręcone, że żagle ustawiły się niemal równoległe do kilu tratwy.

– Sądzisz, że wytrzymają takie obciążenie? – Balavere również wpatrywał się w górę, w pajęczynę grającego na wietrze olinowania. Przedni maszt zajęczał, wydawał się odchyłać odrobine od pionu.

– Gdybym tak nie sądził, to czy byłbym wydał taki rozkaz? – odparł Ta-hoding. – Jeżeli byśmy tego nie spróbowali, rzeczywiście wpakowalibyśmy się prosto w te dziesięć tratw.

Nie przestając przyspieszać *Slanderscree* zataczała ciasny łuk w kierunku kanionu. Kiedy dla piechoty na lodzie i dla dziesięciu tratw na flance stało się jasne, że ich łup ma zamiar prześlizgnąć się obok, zamiast wjechać w nich, łucznicy wypuścili deszcz strzał w kierunku klipra. Jedna z nich

wbiła się jak na urągowisko w tarczę ze skóry hessavara, którą dano Ethanowi. Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem uchylił się za poręcz, kiedy następna gwizdnęła mu tuż nad głową. Małej grupce piechoty Poyów udało się nieco wyprzedzić swoich towarzyszy. Teraz szifowali równolegle do klipra. Kilku zdołało nawet wślizgnąć pod kadłub, gdzie byli niewidoczni. Zgodnie z tym, czego domyślał się Balavere, na plecach napastników zwinięte były grube liny z pika-piny. Na pokładzie sterowym pojawił się Hunnar, który robił wrażenie zmęczonego, ale nie zmartwionego.

– Będziemy musieli wysadzić ludzi za burtę. – Jakaś strzała wylądowała u jego stóp i dygocąc wbiła się w pokład. Żaden z tranów nie zwrócił na nią uwagi. – Nasi łucznicy nie są w stanie wystrzelać ich wystarczająco szybko, zanim wjadą pod spód.

– Jeżeli któryś z tych, których wysłamy, zostanie w tyle, zginie natychmiast – odparował Balavere. Pokazał na rój piechoty poyoskiej, z każdą chwilą coraz liczniejszy. – Nie możemy pozwolić sobie na stratę wielu ludzi z naszego oddziału.

– Nie możemy dopuścić, żeby zablokowali nam sterowanie! – Młody wojownik stawiał czoło staremu.

Jakieś zamieszanie gdzieś od przodu na moment powstrzymało sprzeczkę. Pomimo niebezpieczeństwa Ethan podniósł się, żeby wyrzucić nad dziobem. W ich kierunku, gdzieś z okolic kanionu, mknęła brązowo-szara strzała.

– Wygląda to na wycieczkę z miasta. – Hunnar stał tuż obok niego i patrzył z satysfakcją na rosnącą szerokość srebrzystej rzeki, wylewającej się z ujścia kanionu. – Nasi nowi bracia i siostry przybywają na pomoc.

Flota Poyolavomaaru była tuż za nimi, piechota przygotowywała się, żeby uwikłać mechanizm sterujący *Slanderscree* w zielone liny, ale przybycie sił Moulokinu uchroniło Balavere'a i Hunnara przed dalszą dyskusją. Moulokińczycy wdarli się w nie przygotowane na ich atak zastępy Poyów. Wiatr z kanionu zniósł się teraz z wiatrem zachodnim, więc moulokińscy żołnierze mieli po swojej stronie przewagę szybkości i zdolności manewrowania.

Połowa piechoty Poyolavomaaru padła pod tym początkowym uderzeniem, a wtedy grot formacji moulokińskiej rozszczepił się, żołnierze skręcili na lewo i na prawo i pomknęli z powrotem do swojego kanionu. Niektórzy z nich zawracając dostali się w ogień z najbliższych tratw poyoskich i zginęli, większość jednak wkrótce znalazła się na flankach *Slanderscree* po lewej i prawej burcie i wymieniała zwycięskie okrzyki z załogą na pokładzie.

Kanion zmienił się w swojską, ziejącą w ścianie urwiska szparę. Kliper lodowy zwolnił, borykając się z potężnym wiatrem, który pędził od kontynentu i spadał w dół kanionu, ale podobnie zmalała szybkość ścigających. Jednak resztki piechoty Poyolavomaaru sprawiły im wiele kłopotów w czasie tych ostatnich kilku chwil. Przed silnym wiatrem osłaniała ich bryła *Slanderscree*, byli więc w stanie ją prześcignąć. Tym niemniej dzięki eskortującym ich Moulokińczykom i celnym strzałom kuszników rozmieszczonych na rufie ogromnej tratwy żaden wrogi, niosący linę żołnierz nie był w stanie przybliżyć się na mniej niż dwanaście metrów do będącej słabym punktem sterowej płozy.

Znaleźli się już między niebosiężnymi ścianami kanionu i powoli posuwali się w głąb łądu, a tuż za nimi sunęła flota poyoska. Raz jedna z mniejszych tratw znalazła się niemal w zasięgu strzału z łuku. Osadzone na niej były dwie niewielkie katapulty, po jednej z każdej strony pojedynczego masztu. Obydwie zaczęły miotać na drewniany kliper bukłaki napełnione płonącym olejem.

Obsługujący katapulty Poyowie nie uwzględnili jednak potężnego wiatru od dziobu. Te niebezpieczne, płonące wory nie tylko nie doleciały do wycofującej się tratwy, ale wiatr uniósł je i przeniósł za tratwę z katapultami. Halsująca za nią piechota rozpraszała się gorączkowo, kiedy skóry rozpryskiwały się na lodzie i płonący olej rozlewał się na wszystkie strony.

Drugi statek Poyów wpadł na kawałek lodu, który stopił się na chwilę pod wpływem gorącego oleju i kiedy jego płozy straciły przyczepność, niezgrabnie obrócił się skosem. Za nim stłoczyły się jeszcze dwie tratwy i robiły, co mogły, żeby tylko nie zde rzyć się ze swoim towarzyszem, który wymknął się spod kontroli kapitana.

Wszystko to sprawiło niezmierną radość Moulokińczykom i żeglarzom, którzy do zamieszania panującego za nimi dodawali pogardliwe wrzaski i szczególnie wyrafinowane przekleństwa trańskie. Balavere pozwolił sobie na krzywy uśmiech.

– Jeżeli wszystkie ich ataki okażą się równie nieskuteczne, nie będziemy mieli z tymi tam kłopotów.

– To jasne... to znaczy teraz to już jasne, czemu Moulokińczycy nie wiedzieli o obecności poyoskiej floty – powiedział z namysłem Ethan. – Każda neutralna tratwa kupiecka prawdopodobnie albo została schwytana, albo odstraszona, a te dwie, o których minister Mirmib mówił, że jeszcze nie wróciły ze zwiadu, pewnie już nigdy nie wrócą do domu.

Na słowa Ethana uśmiech Balavere'a zniknął. Generał bacznie przyjrzał się rozgrywającej z tyłu scenie. Ścigający ich Poyowie rozplątali się i zaczęli mozolnie halsować pod wiatr.

– Wciąż jeszcze za wiele muszą zapłacić, przyjacielu Ethanie. Mam nadzieję, że kiedy bezpiecznie znajdziemy się za murami Moulokinu, wreszcie zrezygnują na dobre.

Wzrok Ethana błędzący po statku zatrzymał się na dwóch postaciach stojących przy wejściu do głównej kabiny: Teeliam i Elfa.

– Nie sądzę, Balaverze. Jak długo ten Rakossa utrzymuje się przy władzy, nie sądzę, żeby miał zrezygnować. Możemy tu spędzić długi, bardzo długi czas.

ROZDZIAŁ 17

Slanderscree i jej moulokińska eskorta wśliznęła się do środka przez masywną bramę w zewnętrznym murze. Na wieść o ich powrocie i o ataku Poyów w mieście zaczęła się pełna mobilizacja. Na murach aż roilo się od uzbrojonych tranów. Inni czekali w luźnej acz zdyscyplinowanej formacji na łodzie pomiędzy dwoma murami, a kursujące tam i z powrotem tratwy dostarczały zapasów z samego miasta. Ta-hoding wyhamował klipper lodowy, zwinął większość żagli.

– Czemu się tu zatrzymujemy? – zapytał Ethan.

– Sir Hunnar przekazał mi, że życzy sobie wysiąść, przyjacielu Ethanie.

Ethan przeszedł do poręczy i zobaczył, że rycerz i większość załogi klipra wyroiła się na drabiny i schodzi na lód. Naturalnie, chcą pomóc w obronie muru; Ethan pobiegł się do nich przyłączyć. September był już na łodzie, poruszał się niezdarnie bez łyżew. Kiedy Ethan podchodził do drabiny, Williams podniósł wzrok.

– A ty nie pójdziesz, Millikenie?

– Nie, Ethanie. – Nauczyciel nie patrzył na niego. – Wiesz, że nie na wiele mogę się przydać podczas walki.

– Widziałem cię podczas starcia, Millikenie. Radziłeś sobie równie dobrze jak wszyscy.

Nauczyciel uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Lepiej, żeby któremuś z nas został częściowo naładowany promiennik. Pewnie, że potrafię nim walczyć. Ale kiedy się wyładuje, będę wam tylko zawadą. Szermierka mieczem to nie dla mnie, Ethanie.

Ethan, który nie mógł zdecydować się, czy Williams wysuwa słuszny argument strategiczny czy też się tylko wykręca, powiedział:

– Pewnie masz rację, Millikenie. Może z Eer-Meesachem wymyślicie coś, co nam pomoże.

Na twarzy nauczyciela odmalowała się ulga.

– Zrobimy oczywiście co w naszej mocy.

Ethan przeszedł przez burzę, schodził po drabinie objijając się o kadłub tratwy, nad nim rozlegało się głuche stuk, stuk szifów jakiegoś żeglarza. Wiedział, że jego przyjaciel Williams nie jest tchórzem. Miał absolutną rację upierając się, żeby na pokładzie został jeden promiennik. I nie najlepiej radził sobie z mieczem.

Stanął na lodzie i bezzwłocznie wykonał siad płaski, ku wielkiemu rozbawieniu stojących w pobliżu Moulokińczyków. Elfa zsunęła się po drabinie przed nim. W ręce miała kuszę. Z jednego biodra zwisał jej miecz, z drugiego kołczan bełtów. Uśmiechnęła się na jego upadek, ale się nie roześmiała.

W obecnej sytuacji było całkiem niewykluczone, że ktoś Ethanowi wkrótce poderżnie gardło, a on tymczasem siedział sobie na lodzie, zatapiał wzrok w trańskich, przypominających topazy oczach i pozwalał sobie na całkiem niedopuszczalne myśli. I to tu i teraz, zbeształ sam siebie, o setki kilometrów od najbliższej placówki thranxludzkiej cywilizacji, o całe parseki od najbliższego cywilizowanego świata. A gdzie dałoby się znaleźć lepsze miejsce na niecywilizowane myśli?

– Dziękuję ci, Elfo – powiedział, kiedy podała mu rękę i pomogła się podnieść. I przynajmniej tym razem nic go nie obchodziło, jak sobie Sir Hunnar te słowa zinterpretuje.

Patrząc ze szczytu muru w dół kanionu mógł obserwować, jak poyoskie tratwy i żołnierze ustawiają się ciągłą linią w poprzek lodu. Z szeregów poyolavomaarskich łuczników klęczących na lodzie i z olinowania wielu tratw zaczęły wylatywać strzały. Wszystkie żagle zostały zwinięte, kotwice lodowe pomagały utrzymać na miejscu tratwy napastników w wiejącym z kanionu wietrze. Niepotrzebne było militarne wyrobienie, żeby zorientować się, że tej pozycji absolutnie nie da się utrzymać. Te strzały Poyów, które wystrzelili oni z wystarczającą mocą, żeby doleciały na szczyt muru, wiatr spowalniał w takim stopniu, że najwyżej mogły kogoś zadrasnąć. Z drugiej strony wystrzeliwane z wiatrem moulokińskie strzały i bełty kusz leciały tak daleko i nabierały takiego rozpędu, że przebijały skórzane tarcze. Oficerowie na poyoskich tratwach szybko się zorientowali, jak beznadziejna jest ich obecna pozycja. Podnieśli kotwice i pozwolili, by wiatr odepchnął tratwy w dół kanionu poza zasięg ognia. Wkrótce wzdłuż muru rozległy się okrzyki:

– Padnij, padnij!

– To musi oznaczać katapulty – wyjaśniła stojąca w pobliżu Ethana Elfa. Ethan był intensywnie świadom jej obecności. Co prawda tranowie się nie pocili, ale wydzielali silny zapach piżma, charakterystyczny dla każdego osobnika. Zapach Elfy był chyba najbardziej charakterystyczny ze wszystkich.

– Trzeba mieć nadzieję, że ich precyzja w miotaniu kamieni będzie równa precyzji, z jaką miotali worki z olejem. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu bitewnym, ukazując delikatne, szpiczaste kły.

Ten dziki, zębaty uśmiech wystarczył, żeby Ethanowi wyleciały z głowy wszystkie absurdalne marzenia, które snuł przez ostatnie pół godziny. W tej samej chwili uświadomił sobie, że napięcie, które go nie opuszczało w tym czasie, mniej miało wspólnego z walką niż sądził. Teraz się trochę odprężył.

Rozległo się kilka dalekich, ciężkich łupnięć, stłumionych przez wiatr. Ethan zaryzykował i wyjrzał przez mur. Na lodzie poniżej leżało kilka głazów wielkości człowieka. Potężny kamienny wał ledwie że był wyszczerbiony. Reakcją obrońców były okrzyki bojowe i śmiech, doprawiony pieprznymi uwagami. Coś głośno zaszumiało i nieco mniejszy głaz przeleciał przez mur i wylądował na lodzie za nimi. Po kilku minutach Ethan uświadomił sobie, jak bezskuteczny jest ten nowy atak. Nawet gdyby Poyowie miotali kamienie z doskonałą celnością i gdyby każdy z nich trafił w mur, musieliby mieć z dziesięć lat na to, żeby przerwać mury tak masywne, że bez żadnego trudu mogły opierać się bombardowaniu kamieniami o tak skromnych rozmiarach. A poza tym poyoska flota nie mogła wozić ze sobą niewyczerpanego zapasu amunicji, a przy pomocy swoich narzędzi z kości i prymitywnego metalu nie była w stanie powycinać nowych pocisków ze zwartych skał bazaltowych.

W zatłoczonym kanionie nie było miejsca na wystarczającą ilość katapult, żeby przeprowadzić obrońców z murów. Mieli oni mnóstwo czasu, żeby zauważyć każdy nadlatujący kamień i usunąć mu się z drogi w tych rzadkich przypadkach, gdyby któryś miał lądować akurat na samym parapecie.

Kiedy Moulokińczycy przywieźli z miasta własną artylerię i zaczęli za pomocą katapult miotać gnane wiatrem głazy na tratwy napastników, desperacja poyoskich żołnierzy była niemal namacalna. Znowu cofnęli się jeszcze dalej w dół kanionu i po prostu tam siedzieli. Tymczasem moulokińscy żołnierze i żeglarze ze *Slanderscree* zorganizowali sobie nieoficjalne zawody, komu z nich uda się wykoncypować najbardziej hańbiącą obelgę, którą będzie można rzucić na napastników. Mimo to widać było, że tratwy Poyów nie zbierają się do odjazdu. A więc miało to być oblężenie.

– Sądzę, że jeszcze przez jakiś czas nie będą ponawiali prób, mój chłopcze. – Wysmagana wiatrem twarz Septembra zarumieniała się, przez co wyglądał jak gdyby wyprodukował sobie we wnętrzu swój osobisty zachód słońca. Nie było wątpliwości, że dobrze się bawił w czasie tej krótkiej bitwy. Ethan w głębi duszy podejrzewał, że olbrzym jest zawiedziony brakiem walki wręcz. Z jednej z krzepkich pięści zwisał mu jego przeogromny topór bojowy.

– Te ich strzały wiatr tak spowalniał, że można je było ręką wylapywać w locie – skomentował siadając i opierając się plecami o ścianę. – Nie mogą uszkodzić muru tymi swoimi kamieniami, a nie znają się na tyle na balistyce, żeby trafić każdym kamieniem w szczyt muru.

– Jak myślisz, czego teraz spróbują?

– Gdybym to ja był na ich miejscu, chłopcze i gdybym był na tyle głupi, żeby to kontynuować, podjąłbym próbę sforsowania bramy. Ponieważ nie ma szans, żeby pozełgowali pod ten wiatr z taranem, musieliby tu własnymi rękami przywlec jakąś kłodę czy coś takiego i spróbować bramę przepalić olejem.

– Moulokińskie liny i tak powstrzymają każdą tratwę i nie pozwolą jej przejechać, Skuo.

– Masz rację, mój chłopcze. Oznacza to, że musieliby tu doprowadzić tyle piechoty, żeby zająć mur i opuścić te liny. Nie widzę, żeby mieli na to szansę. Możemy ustawić łuczników i kuszników, żeby zestrzeliwali ich przed bramą, a na każdego żołnierza, któremu uda się przedrzeć do środka, możemy postawić naszych pięćdziesięciu. Taka próba oznaczałaby czyste samobójstwo. Nie znaczy to, że jej nie podejmą. Znane są przypadki, że ludzie próbowali podobnych sztuczek.

– Mogą nas tu jednak trzymać zakorkowanych w Moulokinie w nieskończoność.

– Tak jest. – Olbrzym zaczął bawić się kolczykiem w swoim prawym uchu. – Właściwie nie mam nic przeciw temu. Podoba mi się Moulokin. Ale nie pozwoli nam to zawieźć naszych ważnych odkryć do ojczaszka w Dętej Małpie. Ważniejsze jest to, co się stanie jak zablokują cały handel. Kupcy i nabywcy statków będą woleli udać się gdzie indziej, niż walczyć o dostęp do Moulokinu. Oficerowie Rakossy pewnie o tym wiedzą, nawet jeżeli on sam nie potrafi myśleć o niczym, jak tylko żeby dostać Teeliam w swoje ręce. Nie sądzę, żeby nasi moulokińscy przyjaciele mieli się załamać, ale o bardzo wielu wojnach decydowały czynniki ekonomiczne, a nie militarne.

– Co do mnie – tu pomacał stylisko olbrzymiego topora – mam nadzieję, że Poyowic popadną we frustrację i pokuszą się o jeszcze jeden atak frontalny. Chociaż bardziej jest prawdopodobne, że popadną we frustrację i chyłkiem się wymkną, statek za statkiem, do swoich domów i ognisk w tychże.

– Tymczasem możemy równie dobrze rozsiąść się wygodnie i korzystać z gościnności naszych gospodarzy, dopóki Poyowie nie zdecydują, w którą stronę popędzi ich ta ich frustracja.

Założył obydwie masywne dłonie za głowę i przymknął oczy. Po kilku minutach zasygnalizował Ethanowi że nie śpi, otwierając jedno oko.

– Barbarzyńcy przeciw nam, barbarzyńcy po naszej stronie, a my trzej, ponoć cywilizowani ludzie, bez żadnej możliwości wpływania na nich w te czy we w te. Pomyśl o tym, chłopcze.

A potem naprawdę zasnął, niepomny na hałas jaki czyniło tysiące żołnierzy, którzy gawędzili wszędzie naokoło niego.

* * *

– Z całkiem należnym szacunkiem, o panie, nie możemy atakować. – Poyoski oficer miał niewyraźną minę, kiedy jego nieobliczalny władca piorunował go wzrokiem i żałował, że nie znajduje się z powrotem na pokładzie swojej własnej tratwy, zamiast tutaj, w królewskiej sali recepcyjnej.

– Oduine ma rację, o panie – powiedział inny z zebranych kapitanów. – Gdyby trzeba było poruszać się pod normalny wiatr, byłoby to wystarczająco niekorzystne. Ale ten wiatr, który tutaj wieje prosto w twarz, zatrzymałby nawet boga! Jak tylko im się zachce mogą zrobić wypad i zadać nam wielkie szkody. Ich broń ma katastrofalnie większy zasięg niż nasza. A te osobliwe, niewielkie strzały – podniósł w górę sofoldyjski bełt – są wystrzeliwane w większą mocą, niż zdolni są wykrzesać z siebie nasi najlepsi łucznicy.

– I ich katapulty również strzelają z wiatrem, panie – dodał inny oficer. – Byłem w grupie, która weszła wiele dni temu do miasta, w poszukiwaniu tej przeklętej, wielkiej tratwy. Mur przed nami jest głęboki na pełne pół suntta i lity, jak te skały wokół nas. Nie znam takiej broni oblężniczej, która zdołałaby go przerwać.

Tonx Ghin Rakossa, Landgraf Poyolavomaaru, siedział rozwalony na fotelu przy drugim końcu trójkątnego stołu i w milczeniu spoglądał na swoich dowódców. Pozwolił, żeby milczenie to przeciągało się, aż wielu z nich zaczęło nerwowo wiercić się na swoich krzesłach.

– Czy są jeszcze jakieś dobre wiadomości, które chcielibyście mi przekazać, moi żołnierze?

Żołnierze patrzyli po sobie, po ścianach, po krzesłach, wszędzie, byle nie na mówiącego cichym głosem groźnego Landgrafa. Większość z nich pogardzała swoim dziedzicznym władcą, tylko kilku podzielało jego perwersyjne marzenia. Od kiedy narwany Rakossa zasiadł na tronie po podejrzanym śmierci swojego starszego brata, nie ustawały pogłoski o braku lojalności, ale Poyowie lubili trzymać się tradycji. Ani wtedy nie było otwartej rebelii. Ani nie było jej teraz. Nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że Rakossa przyniósł ich państwu-miastu bogactwo (choć metodą bardzo wątpliwą). Wielu tranów miało poczucie winy, że przyjmują majątek zdobyty sposobem tak bezdusznym, ale nie znalazł się nikt, kto by się zdobył na odmowę, kiedy oferowano mu jego udział.

Rakossa odezwał się ze spokojnym opanowaniem, a teraz pochylił się do przodu i zaczął na nich wrzeszczeć.

– Czy wy sądzicie, że jesteśmy ślepi jak gilirun o dwóch ciałach, który podróżuje po lodzie po omacku? Czy wyobrażacie sobie, że stojąc twarzą do schronienia tej nie powiem jakiej kobiety i tych natrętów nie z tego świata, i tej tłuszczy opasłych kupców, nie potrafimy poczuć, jak silnie wieje nam w twarz wiatr? – Oparł się znowu, jego głos przycichł do przymilnego mruczenia. – To nie nam nie udało się zablokować linami płozy sterującej pożądanego statku.

Jeden z oficerów podniósł do góry inny bełt kuszy. Czubek i drzewce poplamione były na brązowo.

– Panie, to wyciągnięto mi z pleców dziś rano. – Od strony innych kapitanów dobiegł pomruk poparcia.

– My sami odnieśliśmy ranę, T’hosjerze – powiedział Rakossa. Nie mógł pozwolić sobie na nieostrożność. Choć ci wojownicy byli tacy ciemni i głupi, nie miał nikogo innego, kto by mógł urzeczywistnić jego marzenia. Nieświadomi jego wizji żołnierze wciąż jeszcze mogli być niebezpieczni.

– Nasi żołnierze byliby zablokowali sterującą płozę tej tratwy, o panie – powiedział T’hosjer z naciskiem – byliby ją wysłali prosto na skały. Byliby ją zablokowali tak, że zajęłoby to czterdziestu ludziom dziesięćdziesiąt, żeby ją rozplątać... gdyby nie to! – I tu rozłamał z gniewem bełt na dwoje.

– To prawda, panie, gdyby nie tamto i gdyby nie to! – Podoficer na warcie przy drzwiach przepchnął się przez zebranych. Stał przed Landgrafem, wszedł na jedno z krzesel i uderzył prawą nogą w blat stołu. Jego potrójne szify wbiły się w blat.

Czarna krecha, szeroka zaledwie na kilka milimetrów, zaczynała się tuż pod włochatym kolaniem i biegła do tyłu po łódce potężniejszej niż ludzka.

– To zrobili ci przybysze z innego świata.

Kilku innych kapitanów pochyliło się do przodu i badawczo przyglądało się nadzwyczaj symetrycznej ranie. Wypalone zostało futro i skóra.

– Oni mają dziwną broń, która strzela kawałkami słońca – mówił podoficer. – Te kawałki są długie, cienkie i potrafią przebić najgrubszą tarczę. Miałem pod swoim dowództwem kobietę, nazywała się Zoueadaa. Dobra wojowniczką, nie lękała się niczego. Poszifowała tak blisko, że niemal mogła już za rzucić swoją linę na olbrzymią płożę tej tratwy. Ja sam widziałem, co się stało potem, bo byłem najbliżej. Jeden z tych przybyszów z obcego świata wycelował w nią maleńki kawałek metalu. Zobaczyłem błysk ognia, niebieski zamiast czerwonego, który przez moment był jaśniejszy niż słońce. – Wśród oficerów podniósł się pomruk zgrozy. – Przeszedł on przez tarczę Zoueadaa, przez jej bojowy kubrak pod spodem, przez jej pierś, wyszedł przez plecy i uderzył w lód, który się pod nim stopił w głęboką kałużę. Po bitwie wyprawilem się dzisiaj na ocean, żeby odzyskać jej miecz i zbroję, i odciąć jej z pyska lok dla jej rodziny. – Podniósł prawą łapę do góry, wyprostował pazur wskazujący. – Gdyby ten palec był wystarczająco długi, mógłbym go przesunąć na wylot przez jej ciało przez tą dziurę, którą wypaliła świetlna broń. Dziś rano sam byłem nie dość uważny i trafiło mnie to. – Przesunął dłonią ostro po czarnej kresce na nodze. – Nie istnieje czysty sposób walki przeciw broni, która powoduje, że własna noga zaczyna pachnieć jak gotowane mięso. – Wyrwał szify ze stołu, zszedł z krzesła. – Czy możemy walczyć z tymi, którzy mają magiczne konszachty ze słońcem? Od kilku niezadowolonych kapitanów dobiegły gniewne potakiwania. Rakossa pozwolił im szwargotać przez sporą chwilę, potem powiedział spokojnie:

– Idioci.

Rozmowy urwały się, chociaż w spojrzeniach pozostał ledwo że skrywany bunt. Rakossa podniósł się.

– Czy wiedzieliście, że każdy z was to głupiec i idiota? Wasze matki karmiły was wodą! – Podniósł łapę. – Zanim zaczniecie paplać i sprzeciwiać się jak dzieci, powiem wam coś jeszcze. Już wygraliśmy tę bitwę.

Tę bezsensownie śmieszna wypowiedź powitały dziwne spojrzenia. Wszyscy, nawet poplecznicy Landgrafa wiedzieli, że nie jest on najbardziej zdrowym na umyśle tranem w Poyolavomaarze. Zastanawiali się, czy nie przekroczył granicy dzielącej go od regionu humoralnych nieboszczyków, który to rozwój sytuacji wielu powitałoby z radością. Było jednak inaczej.

– Wygraliśmy, ponieważ te nienawistne nam kreatury wróciły tutaj, gdzie na nie czekaliśmy. Nie mieliśmy pewności, że tak zrobią. Nie mogliśmy krążyć wokół tego ogromnego ładu, żeby znaleźć miejsce, w którym mogły zjechać z ucziwego lodu, a potem na niego powrócić. Myśleliśmy, że mogą odlecieć po niebie, jak nam mówił Calonin Ro-Vijar. Ci obcy potrafią to robić. Ale zapewnił nas też, że prawdopodobnie tego nie zrobią. To zakończenie popchnęło oficera, który odezwał się pierwszy, do zadania pytania.

– A gdzie jest dzielny Landgraf Asurdunu?

– Tak – zawołał inny. – Gdzie się podziewa teraz, kiedy musimy walczyć krwią, a nie słowami?

– Przynajmniej masz na tyle rozumu, że zauważasz nieobecność naszego cennego przyjaciela i sojusznika. A teraz wysilcie jeszcze nieco bardziej swoje mózdzki. Gdzie on mógł się udać? Pomyślcie przez jedną chwilę! – Rozkoszował się nagłą konsternacją, jaka pojawiła się na ich twarzach. – Zastanówcie nad tym, co wam już powiedzieliśmy o przybyszach z obcego świata, latających w powietrzu.

Ktoś w końcu powiedział oszołomionym głosem.

– Udał się po pomoc do przybyszy z obcych światów dla nas samych.

– Jedyne rozsądny wśród was. – Rakossa postanowił zapamiętać go sobie i na przyszłość awansować, pod warunkiem, że będzie zachowywał się z należną pokorą i szacunkiem w stosunku do jego królewskiej osoby.

– Ro-Vijar ma sojuszników wśród przybyszy z obcych światów, tak samo jak ma ich ta przeklęta kobieta. Kiedy stało się jasne, że kliper lodowy i jego ładunek znajdują się gdzie indziej, a nie w mieście kupców, wysłaliśmy Ro-Vijarą na jego własną propozycję z powrotem do jego kraju. Gwarantuje nam, że przywiezie pomoc od tych przybyszy. Kiedy powróci, zjawi się tu wraz z bronią bitewną tak straszną, że te słabosilne noże ręczne przybyszy z tamtej tratwy będą się wam jawić jak drewniany miecz obok stalowego!

Usiadł i pozwolił swoim oficerom przetrwać ten kawałek informacji.

– Tymczasem – wtrącił – kupcy i przybysze nie mogą się wydostać. Jeżeli ośmielą się zaatakować na otwartym lodzie, cofniemy się tam, gdzie nie będą już mieli przewagi wiatru i posiekamy ich na morzu, pomimo ich dziwnej broni. Jeżeli znowu znikną, znajdzie się ich, kiedy Landgraf Asurdunu wróci z pomocą. Nie umkną nam! – Uderzył twardo łapą w stół. – Wte dy znajdziemy się w posiadaniu nie tylko tego wielkiego statku lodowego, ale całego bogactwa tego nadętego kupieckiego miasta, które doszczętnie ze wszystkiego obedrzemy, a następnie spalimy do nagiej ziemi.

Kabina rozdzwoniła się od radosnych okrzyków. Rakossa rozparł się, uśmiechnął wewnętrznie. I znowu ich miał. Zachowywanie lojalności takiego pospólstwa było niemiłą grą, ale wielcy ludzie tacy jak on, z konieczności musieli ją opanować. Tak, będzie miał na własność tę wielką tratwę razem z jej pięknymi, wysokimi płozami, wykonanymi z metalu przybyszy z innego świata. Będzie miał na własność te tajemnicze krótkie łuki jego załogi, jak również jej krew. Jego żołnierze, którzy zaczęli za dużo myśleć jak na odpowiedzialnych obywateli, będą teraz mieli okazję zapomnieć o czcnych rozmyślaniach i zatopić się w uciechach ciała i bogactwa Moulokinu. Jego imię i imię Poyolavomaaru zyska sobie jeszcze nieco szerszą sławę w tej części świata.

Była jeszcze jedna, ważniejsza rzecz, która stanie się jego łupem. Bardziej istotnym niż podbicie Moulokinu i gwałt na mieście, niż zdobycie największego statku lodowego na całej Tran-ky-ky, niż władza i prestiż, jakie przyniesie mu nadchodzące zniszczenie. Jego oczy zwęziły się, podwójne powieki niemal się zamknęły, przez co Landgraf Poyolavomaaru zaczął wyglądać nieobecnie, sennie. Będzie miał na własność swoją konkubinę, Teeliam.

Niech sobie jego oficerowie i ludzie zdobywają bogactwa tego miasta. On pożądał dużo mniejszego łupu. Nie potrafił żyć wiedząc, że jego własność mu się przeciwstawia.

Pełne podniecenia brzęczenie rozmów naokoło przycichło do monotonnego poszumu, a on wyobrażał sobie po raz tysięczny, co jej zrobi, kiedy jego łapy znowu dotkną jej skóry.

Więcej już uciekała nie będzie.

* * *

Jeden z podwładnych Mirmiba pokazywał właśnie Ethanowi i Septembrowi przedmieście Moulokinu. Znajdowali się daleko, po południowo-zachodniej stronie miasta, gdzie gęste kępy szpilkowych drzew porastały płytki boczny kanion, wrzynający się w łąd. Oglądając się za siebie widzieli jak po porcie o kształcie misy pomykają tam i z powrotem małe tratwy. Dym unosił się z kamiennych kominów. Łagodne powiewy tłumiły dalekie odgłosy ze stoczni i miasta. Blokada floty Poyolavomaaru i możliwość gwałtownej śmierci wydawały się bardzo dalekie.

– Te drzewa – pokazywał urzędnik z dumą – zaliczają się do największych i najstarszych w kanionie. Nie wycinamy ich bez zastanowienia, ale zachowujemy, żeby zastosować w szczególnych projektach, na przykład jako główne maszty na wyjątkowo wielkich tratwach. Służą także jako osłona przed rzadkimi huraganami, które przelatują z płaskowyżu nad miasto.

Urzędnik opuścił ramiona i zwolnił; posuwał się teraz po lodowej ścieżce jak ślimak, żeby dostosować się do dwóch mężczyzn, którzy ciężko stąpali po zboczu obok niego. Ale w końcu nie odwiedzili tych tartaków i składów drewna, które leżały dalej w górę kanionu. Gdzieś z tyłu rozległ się okrzyk. Niespokojnie wyglądający młody taran szifował za nimi pod górę. Zatrzymał się gwałtownie z wywieszonym językiem, sapiąc jak biegacz, któremu zabrakło tchu. Przez cały monolog, który następnie wygłosił, dziko wymachiwał rękami, zwykle w kierunku portu.

– Więcej... więcej przybyszów z obcych planet się pojawiło. – Ethan i September wymienili spojrzenia, milczeli. – Oni mówią... – Przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza i popatrzył nieufnie na obu ludzi – oni mówią, że jesteście renegatami wśród swego własnego ludu, niegodziwcami, którzy przybyli, by posiać zło wśród nas. Że tranowie z Poyolavomaaru wyrządzają tylko przysługę wszystkim tranom, usiłując was uwięzić i że my, Moulokińczycy, powinniśmy was natychmiast wydać.

– Rozumiem. – September patrzył bez przejęcia na posłańca z puchatą grzywą. – A co mówią na to Mirmib i Pani K'ferr?

Posłańiec uśmiechnął się w szczególny, trański sposób.

– Mówią wiele rzeczy, których nie należało by mówić w obecności młodych kociąt. Wierzą wam. My wszyscy tu w Moulokinie wierzymy wam. Ci, którzy potrafili sprzymierzyć się ze zdradzieckimi Poyami, nie mogą być niczym jak tylko kłamcami, niezależnie od ich mocy i pochodzenia. Szybsza tratwa czy mocniejszy miecz nie przydają prawdy słowom obcego.

– Sądzę – powiedział September z aprobatą – że wy tutaj będziecie cennym nabytkiem dla Wspólnoty. Czy przypadkiem widziałeś sam tych ludzi podniebnych?

– Widziałem.

– Czy jeden z nich był nieco niższy ode mnie i zachowywał się z ogromnym poczuciem własnej ważności?

– Nic nie wiem o sposobach zachowania was, ludzie z innych światów – odparł posłaniec uczciwie. – Wysłano mnie tylko po to, żebym was poinformował. Ale było tam trzech ludzi z niebios, a ten którego może opisałeś, wydawał dwóm pozostałym rozkazy. Przybyli w statku precudownym i czarodziejskim. On nie ma żadnych płóz – mamrotał ze zdumieniem – ale unosi się nad lodem na wysokości mojej piersi.

– To lodolot – wyjaśnił Ethan i dodał – mogą spokojnie tym przelecieć nad murem, jeżeli będą chcieli. Ale trzech?

– Trell nie zdecydowałby się opuścić Asurdunu bez jakichś ochroniarzy – powiedział rozsądnie September. – Pewnie to ludzie z korpusu pokojowego. Będą wypełniali rozkazy Stałego Komisarza, nie zadając żadnych pytań, chyba że ich przekabacimy. A jeżeli Trell powiedział im, że jesteśmy niebezpiecznymi przestępcami czy czymś takim, nie będziemy mieli szansy, żeby podejść do nich bliżej. Ale sam lodolot mnie nie przeraża. Tyle to Trell by się domyślił. Chodźmy zobaczyć, co jeszcze ze sobą przywieźli.

Trell rzeczywiście zabrał ze sobą dużo więcej niż lodolot. Ethan i Skua stali na murze przegradzającym kanion. W dali widzieli maszty i zwinięte żagle flotylli Poyów. Znacznie bliżej, unosząc się o dwa metry nad lodem, znajdował się prostokątny metalowy kształt o obłym dziobie. Licząc od tyłu trzecia część tego obiektu była nieregularna i zbudowana z tego samego metalu o odcieniu antymonu co kadłub; pokryta była guzami i wypukłościami, które powodowały, że wyglądała jak jakieś chore zwierzę. Przednie dwie trzecie były normalnie obudowane metalem i sklepieniem ze szkłotopu, które to sklepienie było teraz cofnięte. Od lodolotu dochodził stały, łagodny pomruk.

Przy sterach siedział jeden odziany w kombinezon ochronny mężczyzna. Trell stał za nim. Nieco na lewo i jeszcze bardziej z tyłu trzecia postać siedziała w giętkim fotelu. Fotel doczepiony był do jakiegoś przyrządu, który składał się z wąskiej, zwężającej się rury o długości dwóch i pół metra, osadzonej w gnieździe z nieprzeźroczystej ceramiki, szkłotopu i włókien metalowych. Ethan miał wrażenie, że serce mu zamiera w piersi. Ta abstrakcyjna rzeźba to było działo laserowe. Skromnego kalibru, ale wystarczająco skuteczne, żeby obrócić każdą trańską fortyfikację w kupę stopionej skały. Operator działa siedziała swobodnie w fotelu, przeczesywała palcami swoje długie rude włosy i czekała na polecenie komisarza.

Bliskość lodolotu powodowała, że wzmacniacze głosu nie były konieczne.

– Ethan Frome Fortune, Skua September, Milliken Williams!

Ethan natychmiast rozpoznał głos Trella.

– Gdzie jest Milliken?

– Gdzieś poszedł z czarodziejem. Wszystko jedno, mój chłopcze. – September ryknął z muru. – Tu jesteśmy, Trellu.

– Zaangażowaliście się – zaczął z pompą komisarz – w niedozwoloną, zakazaną i nielegalną działalność wśród tubylców tego świata klasy V, nie posiadającego statusu.

– Usiłujemy pomóc im w utworzeniu czegoś w rodzaju rządu planetarnego – wrzasnął w odpowiedzi Ethan – żeby mogli dokonać przeskoku do klasy II. To godziwa działalność. Sam tak mówiłeś, Trellu.

– Nie macie oficjalnego zezwolenia – odpowiedział słodko Trell. – Jako stały Komisarz podzielam waszą troskę. Ale nie mogę sankcjonować prowadzenia tak delikatnej działalności bez zezwolenia.

– Jesteśmy chętni do współpracy – odparował September. – Daj nam zezwolenie.

– Nie jestem do tego upoważniony, panie September. Jestem tylko administratorem, a nie politykiem. Jeżeli wrócicie ze mną do Asurdunu, pomogę wam wypełnić właściwe formularze i zgłosić prośbę przez odpowiednie kanały.

– To zajmie całe lata – Ethan nie próbował ukryć sarkazmu. – Sam wiesz, jak działa biurokracja. Żaden z nas nie jest uznanym dyplomatą czy misjonarzem, jesteśmy tylko i wyłącznie prywatnymi obywatelami. Nigdy nam nie wydadzą zgody.

– O tym nie mnie decydować. Ale musicie postępować drogą oficjalną! Jako Stały Komisarz upoważniony jestem do tego, żeby zmusić was do przestrzegania prawa. Żadne prawo nie zezwala amatorom na wtrącanie się w sprawy tubylców.

– Ty nazywasz to wtrącaniem się. My to nazywamy inaczej.

– Ewidentnie, panie September. Jednak – i tu pokazał głową na czekające działo – obojętnie jakimi kłamstwami omotaliście waszych miejscowych sojuszników, nie oprą się nowoczesnej broni. Po raz ostatni zaklinam was, żebyście wrócili nie opierając się do Asurdunu...

– Gdzie może nam ktoś flaki wypruje... przypadkiem – wtrącił September.

– ...żeby kontynuować wasze usiłowania za pośrednictwem odpowiednich władz.

– A jeżeli nie?

Trellowi udało się przybrać bolesny wyraz twarzy.

– Jeżeli będę zmuszony zastosować nowoczesną broń przeciw prymitywnemu ludowi, zostaniecie

potraktowani bardzo surowo.

– On mówi – powiedział półgłosem September – że jeżeli my i Moulokińczycy stawimy opór, może rozpirzyć całe miasto w kawałki i zwalić winę na nas. Jeżeli całkiem zwyczajnie nas nie zabije, to każe nas wsadzić na pierwszy statek wylatujący z tego systemu. To będzie koniec wszelkich usiłowań, żeby zorganizować tranów i wyprowadzić ich z tego samodestrukcyjnego feudalizmu. Sam wiesz, jak daleko dojdzie każda oficjalna prośba.

– Co mówicie, przyjaciele? – Obejrżeli się do tyłu i zobaczyli Hunnara, który wyczekująco stał za nimi. Ethan przerzucił się z symbomowy, w której rozmawiał z Septembrem, z powrotem na trański i powtórzył większość ich rozmowy rycerzowi i Mirmibowi, który do nich podszyłował.

Hunnar zważył w łapie kuszę, którą wziął ze zbrojowni *Slanderscree*.

– A co się stanie, jeżeli puszczę bełt temu głównemu człowiekowi w pierś? Czy nie umrze on równie szybko, jak każdy tran?

– Dokładnie tak samo szybko – przyznał September. – Ale musielibyśmy całą trójkę zabić równocześnie. – Rzucił okiem za mur. – Niemal niewykonalne. Jeżeli jeden z nich przeżyje, usuną się z zasięgu strzału i obrócą całe miasto w perzynę, a co gorzej, wrócą do Dętej Małpy i doniosą, co tu się stało. Wtedy Moulokin zostanie umieszczony na liście miast wyjętych spod prawa, pełnych wojowniczych ludzi, a Ro-Vijar i Rakossa przejdą do potomności jako najwspanialszy przywódca na całej Tran-ky-ky. Za duże ryzyko, chyba że jako ostatnia deska ratunku. To jak skok przez rozpadlinę: wszystko albo nic. Poza tym Trell nie jest głupcem. Wie, że mamy kilka promienników. Prawdopodobnie lodolot ma teraz osłonę przeciwlaserową. Wszystko, co byśmy w nich teraz wystrzelili, zostanie po prostu odchylone w lód.

– Mamy jeszcze jedną broń, którą możemy walczyć, Skuo. – Ethan przeniósł spojrzenie z człowieka na trana. – Nowa historia całej rasy.

September tylko pogardliwie parsknął.

– Nie jestem pewien, czy Trell należy do ludzi, którym by to robiło większą różnicę, mój chłopcze.

– Nie sądź go zbyt pochopnie, Skuo. Sam kiedyś powiedziałeś, że zwykłeś działać w oparciu o przekonanie, że wszystko jest albo czarne, albo białe. Pozwól mi najpierw nad nim popracować. Zanim spróbujemy techniki wszystko albo nic.

September wyglądał na niezdecydowanego.

– Może nie mam racji, ale sądzę, że on może być tego rodzaju wykształconym funkcjonariuszem, który lubi kraść, dopóki można tego dokonywać quasi-legalnie. Jest różnica pomiędzy profesjonalnym zabójcą, a niemoralnym oportunistą.

– Wspaniale nawijasz, chłopcze.

– To mój fach. Pozwól mi przynajmniej spróbować z nim porozmawiać. Jeżeli mnie zlekceważy, no cóż – wzruszył ramionami i popatrzył na kuszę, którą Hunnar trzymał na podorędziu – zawsze zdążymy wtedy wypróbować bardziej bezpośrednie metody.

– A czemu by go nie zabić – zaproponował Hunnar beztrąsko – kiedy przyjdzie prowadzić pertraktacje?

– Po pierwsze, Hunnarze, nie jesteśmy tego rodzaju ludźmi – odpowiedział surowo September. – Po drugie, Trell przyjdzie sam. Może to brzmieć paradoksalnie, ale bezpieczniejszy będzie zostawiwszy za sobą ochroniarzy, którzy będą obsługiwali lodolot i działło. Zabij go, a przegramy.

– A więc zgadzamy się. Przyjacielu Ethanie, próbuj swoich słów. – Ton Hunnara nie zostawiał żadnych wątpliwości, jakie według niego ma Ethan szansę. Ethan stanął na skraju muru.

– Czy spotkasz się z nami przy bramie? Mamy ci do opowiedzenia bardzo wiele spraw, o których nie wiesz, Trellu.

– Spotkam się z wami – doszła do nich odpowiedź – pod warunkiem, że będę mógł przyprowadzić ze sobą ochroniarzy!

Septembrowi szczęka opadła. Jeżeli Trell był obrany z rozumu do tego stopnia, że zostawi lodolot bez obsługi...

Nie był. Kiedy z mozołem nieco uchylono wysoką, drewnianą bramę, przez otwór przeszedł Trell, dwóch olbrzymich tranów i Calonin Ro-Vijar, który wyglądał jak ogromny, uśmiechnięty kocur. Trell przybył doskonale przygotowany. Na nogach miał łyżwy, podobne do tych, które sporządzono dla Ethana i jego przyjaciół.

– A więc wy obydwaj z Trellem byliście w tym razem przez cały czas – powiedział Ethan.

– W czym? – Trell miał minę równie niewinną jak człowiek, który twierdzi że jego garota to tylko chusteczka do nosa. – Jest rzeczą naturalną, że jako Landgraf Asurdunu Ro-Vijar interesuje się wszystkim, co może mieć wpływ na narody jego świata.

– Jak na przykład osobiste zyski?

– Wszyscy tu jesteśmy ludźmi interesu i kupcami. – W głosie Ro-Vijara wcale nie słyhać było urazy na zamierzoną obelgę Ethana. – Jako kupiec odczułbym wielkie zadowolenie, gdyby całą tę sprawę dało się rozwiązać spokojnie, tak żeby nikt nie umarł. Powinniście postąpić, jak wam nakazuje wasz przywódca, i powrócić z nim do placówki.

– To mogłoby rozwiązać sprawy między przybyszami z obcych światów. – Hunnar opierał się w pobliżu o mur i badawczo przyglądał się ostrzu swojego miecza. – Kiedy ludzie odjadą, pozostaną jeszcze do rozwiązania sprawy między narodami.

– Jak sobie życzysz, tak może się stać. – Ro-Vijar wykonał niemal niedostrzegalny gest w kierunku rycerza i Hunnar zeszywniał z gniewu.

– To bez znaczenia – powiedział pospiesznie Trelle. Pokazał na pas Ethana. – Jeżeli jesteś ciekaw, to lodolot nie ma osłony przeciwlaserowej. Nie potrzebujemy takiej osłony na tym świecie. Ale znajdujemy się tuż poza zasięgiem waszych promienników. Nie mają one nawet w dziesiątej części takiego zakresu, jak to działa. Gdybym musiał was zabić, zrobiłbym to z niechęcią, ale jeżeli nie zgodzicie się spokojnie wrócić ze mną i będziecie obstawali przy tych nielegalnych działaniach, z żalem, ale dokładnie tak zrobię. A teraz, o czym to chciałeś mi powiedzieć? – W jego głosie słychać było niecierpliwość. W cieniu muru było zimno, a kombinezon ochronny Trelle nie dokładnie pasował na niego.

Ethan skinął na Sir Hunnara. Rycerz podszedł do drzwi pokoju wbudowanego w podstawę muru. Kilku żeglarzy ze *Slanderscree* wymaszerowało na zewnątrz. Nieśli worki, utkane z pika-piny. Ostrożnie wyjęli ich zawartość i rozłożyli ją na lodzie przed Trellem. Noże, talerze, płaskorzeźby, wszelkiego rodzaju relikty wydobyte z zasypanej metropolii, którą odkryli w głębi łądu. Żałując że nie ma z nimi Williamsa, który potrafiłby przedstawić bardziej naukową i szeroką interpretację znalezisk, Ethan wdał się w ich analizę. Na jego opowieść wyraźniej zareagowali trańscy ochroniarze i Ro-Vijar niż Trelle.

Nie znaczyło to, że komisarz nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia artefaktów, które przed nim rozłożono. Ukląkł, badawczo przyjrzał się jakiemuś dziwacznemu narzędziu, wykonanemu przez tubylców ze stali wspanialszej, niż kiedykolwiek widział.

– Przyznaję, że czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Ale znaczy to tylko tyle, że ci wasi Moulokińczycy to wspaniali rzemieślnicy.

– Sam w to nie wierzysz, Trelle. Nie trzeba być ekspertem, żeby zorientować się, jakie to wszystko jest stare. Przy pomocy Wspólnoty tranowie mieliby szansę zachować swoje osiągnięcia i dziedzictwo od jednego ciepłego okresu do drugiego.

– Ci Złociści Saia, o których mówisz... Ethan kontynuował z entuzjazmem.

– Tropikalna wersja tranów, których widzimy wokół siebie, ci, którzy w wulkanicznych regionach uchowali się przy życiu po poprzednim ciepłym okresie. Rośliny i zwierzęta z tamtej epoki przetrwały tam także. Żywy dowód na to, Trelle, co ci powiedziałem. Podczas ciepłych okresów tranowie żyją na kontynentach razem w dużych społecznych organizacjach. Jeżeli udostępnisz im technologię łączności, będziesz miał prawdziwy ogólnoplanetarny rząd. Tylko okresy potwornego zimna zmuszają ich do przekształcania się w państwa-miasta, rywalizujące między sobą o nadające się do zamieszkania terytoria.

Czy nie rozumiesz, Trelle? Stawką jest tutaj dużo więcej niż tylko status planety stowarzyszonej dla tranów. Za kilka tysięcy lat będą mieli pełny status i zatrzymają go, jeżeli zagwarantuje im się bazę kulturową, która nie będzie druzgotana przez epoki lodowe za każdym razem, jak tylko się zacznie rozwijać na dobre. – Przerwał i mówił dalej z powagą, o jaką sam siebie nawet nie podejrzewał. – Jeżeli zabierzesz nas z powrotem do Asurdunu, wsadzisz na najbliższy statek odlatujący z planety i o wszystkim zapomnisz, skażesz całą rasę, setki milionów istot rozumnych na egzystencję w cyklicznym kryzysie, na śmierć głodową, na śmierć, której całkowicie można uniknąć. Będziesz osobiście odpowiedzialny za pozbawienie ich należnego im dziedzictwa.

– Przynajmniej masz prosty wybór, Trellu – powiedział September zgryźliwie. – Parę kredytów na twoim własnym koncie przeciw przyszłości całego świata. Oczywiście jeżeli wybierzesz to pierwsze, nie będziesz pierwszym, który tak zrobi.

Ethan widział, że komisarza oblewa pot. To całkiem inna sprawa zebrać z handlu z tymi kłótliwymi, prymitywnymi ludami jak śmietankę nieco nielegalnych zysków, a całkiem inna robić tak kosztem całej ich cywilizacyjnej przyszłości. Trell był akurat na tyle moralny, akurat na tyle cywilizowany, w rzeczy samej na tyle był Stałym Komisarzem, żeby go ten problem postawił w prawdziwie kłopotliwym położeniu.

Wyczuwając jego niezadowolenie Ethan rozpaczliwie poszukiwał jakiejś dodatkowej broni semantycznej, którą mógłby wymierzyć w Trella.

– Zachowaj pan swoje stanowisko, komisarzu. Będzie pan mógł nadal pobierać legalny procent, może tylko nieco mniejszy, od miejscowego handlu. Niech pan pomyśli, jak rozkwitnie handel, kiedy tranowie zorganizują go na bazie planetarnej. My już wprowadziliśmy ich na tę drogę tutaj, w Moulokinie.

– A jeżeli to nie jest jeszcze dość kuszące, niech pan weźmie pod uwagę sławę, której za kilka skradzionych kredytów nigdy pan nie kupi. Przejdź pan do pamięci w annałach Koś cioła jako komisarz, który zorientował się w cyklicznej naturze cywilizacji tego świata i jej wadze i podjął pierwsze kroki, żeby pomóc tym klimatycznie upośledzonym ludom. Ile jest wart przypisek do nieśmiertelności, Trellu?

– Ja nie... nie jestem pewien... – Obludne zachowanie Trella zniknęło razem z jego pewnością siebie. Przyszedł spodziewając się, że usłyszy błagania lub urąganie, zamiast tego skonfrontowano go z artefaktami i nową historią świata. Wstrząsnęło nim to nieźle, potrzebował czasu, żeby odzyskać równowagę.

– Muszę to przemyśleć, zastanowić się nad tym naprawdę starannie. My... – Przerwał, odwrócił się gwałtownie do Ro-Vijara. – Chodźmy i porozmawiajmy, przyjacielu Landgrafie.

Ro-Vijar tylko przytaknął i ruszył w towarzystwie Trella do uchylonej bramy. Komisarz obejrzał się na Ethana.

– Dam wam odpowiedź za niecałą godzinę.

– Wszystko o co prosimy, to żebyś rozważył bijącą w oczy prawdę – powiedział Ethan. – Damy ci odpowiedź w tym samym czasie.

Wydawało się, że Trell nie dosłyszał tego ostatniego, pogrążył się w myślach tak głęboko, że wiadomości z zewnątrz do niego nie docierały.

– Jak sądzisz, co on zrobi, przyjacielu Ethanie? – zapytał Hunnar, kiedy drewniana brama zamknęła się ze zgrzytem za odchodzącą czwórka.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Zwykle potrafię powiedzieć, kiedy sobie ugadałem klienta...

kiedy kogoś o czymś przekonałem... ale Trell jest tak ogłuszony, że nie potrafię odcyfrować nic z jego twarzy.

– Ja też nie wiem, mój chłopcze. Trell próbuje podjąć decyzję, czy nieśmiertelność warta jest doczesnych rozkoszy. To starV człowieczy dylemat: czy żyjesz dla dnia dzisiejszego, czy zarabiasz sobie na miejsce w raju? Problem w tym, że nie możemy podeprzeć się groźbą piekła. Dowiemy się za godzinę.

– A zakładając, że odmówi, Skuo... co my zrobimy?

September milczał. Za odpowiedź wystarczył sam jego wyraz twarzy.

ROZDZIAŁ 18

Lodolot zawisł w powietrzu przy burcie królewskiej tratwy floty Poyolavomaaru. W centralnej kabine rozmawiali Trell, Ro-Vijar i Rakossa. W pobliżu stało dwóch ludzi z korpusu pokoju, gawędząc ze sobą niedbale i nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia stojących naokoło tranów.

– Przyjacielu Caloninie – mówił ze znużeniem Trell. – Który już raz ci to powtarzam, a ty ciągle nie chcesz zrozumieć. Nie mam już w tej sprawie wyboru. Wydarzenia potoczyły się tak, że wymknęły się spod mojej kontroli.

– Masz rację – odparł z napięciem Ro-Vijar. – Nie rozumiem, dlaczego powiadasz, że nie masz żadnego wyboru. Dlaczego nie użyjesz tej świetlnej broni, żeby obrócić w spopieląły żużel tych trzech przybyszy z obcego świata i nie rozsypiesz ich prochów po oceanie?

– To już nie jest tylko kwestia trzech ludzi. – Trell siedział w zbyt obszernym, trańskim fotelu i poruszał niespokojnie dłońmi. Nerwowo pocierał palcem o palec, drapał je, zaplatał i składał. – Wszystko, co oni mówili o przyszłości twoich pobratymców, jest całkowicie słuszne, zakładając, że w sposób poprawny zinterpretowali odkrycia których dokonali. Skłonny jestem zaakceptować i jedno, i drugie. Poza tym chętnie zobaczę swoje nazwisko na taśmach historycznych. Tobie to się też spodoba.

– Twoja historia nie jest moją.

– Będzie.

– To się jeszcze zobaczy.

– Żaden z nas nie popadnie w nędzę z powodu takiego rozwoju wydarzeń, Caloninie. Ty nadal będziesz Landgrafem Asurdunu. Port Dętej Małpy rozrośnie się, żeby sprostać nasilającemu się handlowi z resztą Tran-ky-ky, a wtedy i Asurdun odniesie korzyści, i ty.

– Ile waszych lat będzie musiało upłynąć?

– Niewiele, niewiele – obstawał przy swoim Trell.

– A co z innymi, nowymi portami?

– Może powstanie jeden czy dwa – zgodził się Trell. – Ale Asurdun wciąż będzie stał na ich czele.

– Niezbyt interesuje mnie to, co będzie się działo po mojej śmierci, przyjacielu Trell. Zainteresowany jestem wyłącznie tym, co się wydarzy jutro, może jeszcze pojutrze.

Trell spojrział przelotnie na postać stojącą w cieniu.

– A jeśli chodzi o ciebie, Rakosso z Poyolavomaaru? Czego ty pragniesz?

Rakossa dał krok naprzód i znalazł się w świetle.

– Mamy dość bogactw, by zaspokoić nas na wszystkie nasze dni w przyszłości. Mamy wysokie stanowisko i władzę. Jak chodzi o to, co stanie się z naszym imieniem, kiedy umrzemy, nie dalibyśmy za to złamanego k'nitha. Nie dbamy nawet o to, co stanie się jutro, a tylko o to, co dzisiaj. Czego pragniemy? Pragniemy sprawiedliwości! Ci kupcy, którzy ośmielają nam się sprzeciwiać...

– Tak, wiem, wiem. – Trell westchnął głęboko, zirytowany dziecinnymi obsesjami, od jakich nie potrafili uwolnić się ci prymitywni ignoranci. – Calonin wyjaśnił mi sprawę twojej konkubiny. Pragnienia masz równie ograniczone jak wizje, Rakosso.

– Sądziś, że jesteśmy od ciebie gorsi, przybyszu z obcego świata. Nasza wizja – powiedział to w taki sposób, że Trellovi jakoś śmiesznie zaczęły po karku ciarki chodzić – może nie być tak ograniczona, jak ci się wydaje.

– To znaczy?

– Staramy się przewidzieć wszystko – wyjaśnił Rakossa tępo. – To w ten sposób udało nam się przetrwać tak długo na dworze, na którym wszędzie naokoło nas pełno jest intryg i przebiegłych wrogów. Oni też sądzą, że jesteśmy obłąkani i szaleni, że zaślepiają nas niemądre żądze. Ale obsesja nie oznacza zaślepienia, a my nie jesteśmy opętani obsesją do tego stopnia, żebyśmy nie byli w stanie przewidzieć prawdopodobnych przyszłości. Przewidzieć możliwości.

Prawa dłoń Trella zaczęła przesuwając się ostrożnie w kierunku kieszeni w kombinezonie, żeby otworzyć wewnętrzną uszczelkę i wsunąć się do owerola pod spodem.

– Najpierw mówisz, że nie dbasz o nic poza dniem dzisiejszym. Teraz twierdzisz, że patrzysz w przyszłość. Jesteś niekonsekwentny, jeżeli nie naprawdę szalony, Rakosso.

– Oto jak strzeżemy naszych pragnień dnia dzisiejszego, przybyszu.

Trellovi przemknęło nagle coś przez myśl. Nie przestając przesuwając dłoni w stronę kieszeni, zwrócił oszołomione spojrzenie na Ro-Vijara, który odsunął się i stał już pod przeciwległą ścianą.

– Caloninie, co ma...!

Pierwsza strzała trafiła Stałego Komisarza tuż nad odsuniętymi do góry goglami. Ześlizgnęła się po czaszce i dlatego nie zabiła go od razu. Kolejne strzały nie ześlizgnęły się już. Zarówno Ro-Vijar jak i Rakossa uskoczyli z linii ognia, Ro-Vijar za drzwi, w stronę których tak się niedbale przesunął, Rakossa za stół i w cień. Przezorność Trella pozwoliła mu na oddanie tylko jednego strzału. Jego

promiennik przebił dach kabiny. Żeglarze, którzy poukrywali się na krokwiach nad i za drzwiami i oknami, wykonawszy swoje zadanie, powrócili natychmiast do swoich normalnych zajęć. Wszyscy poza kilkoma, którymi kierował Rakossa. Ciało trojga nieżywych ludzi, jako że oficerowie korpusu pokoju również padli, niemal nie dawało się rozpoznać przez obfitość strzał, które z nich sterczały.

– Czy konieczne było aż tyle? – zapytał Ro-Vijar popatrując na trupy z nieco niewyraźną miną.

– To ty sam, Landgrafie Asurdunu, powiedziałeś nam, że nie jesteś pewien, jak rozmieszczone są ich życiowe organy. My nie ryzykujemy. Czekaj!

Procesja zatrzymała się, niesiony przez nią przerażający ładunek płamiał czyste drewno pokładu. Rakossa podszedł i stanął obok bezwładnej postaci Trella. Wsunął dłoń w gęstwę strzał i podniósł za włosy głowę o pustych oczach. Wpatrzył się w nią płonącymi, czarno-żółtymi ślepiami.

– Czy wciąż jeszcze sądzisz, że jesteś o tyle sprytniejszy od nas, Trellu z dalekich światów? – Wyszczerył do Ro-Vijara zęby w krwiożerczym uśmiechu. – Dziwne. Nie odpowiada. Może udało nam się go przekonać. – Puścił głowę, która opadła i podskakiwała na rozluźnionych więzadłach stawów, jak gnijące jabłko na powierzchni strumienia. Żeglarze wynieśli ciała.

– Czy jesteś pewien, że potrafisz obsługiwać tę wielką broń przybyszy? – zapytał Calonnina.

– Usiłowałem jak najsubtelniej, na wiele sposobów nakłonić Trella podczas naszej podróży, żeby mi to pokazał, ale był za sprytny. Kiedy jednak stanęliśmy przed ludźmi na murze, przyglądałem się z natężeniem, jak ta kobieta przygotowuje maszynę. Jestem pewien, że była gotowa chronić Trella, więc broń powinna być gotowa do strzału. Zapamiętałem tę procedurę najlepiej, jak potrafiłem.

– Wspaniale. A co się stanie teraz, kiedy już zabiliśmy przywódcę przybyszy z obcego świata?

– To był tylko przywódca małego miasteczka, które oni utrzymują na naszym świecie – wyjaśnił z namysłem Ro-Vijar drapiąc się po uchu w miejsce, gdzie jakaś uparta pchlica od kilku dni nie dawała mu spokoju. – Gdybyś miał zginać ty albo ja, rycerze i szlachta osadziliby na tronie nasze potomstwo lub kogoś ze swoich. Podejrzewam, że przebiega to bardzo podobnie u tych podniebnych ludzi. Wybiorą jednego spośród siebie, żeby zastępował Trella, dopóki gdzieś zza nieba nie przyślą na jego miejsce nowego przywódcy.

Obojętne, kogo przyślą, nie będzie on miał pojęcia, co tu się działo. Ci ludzie z placówki, którzy mnie znają, uwierzą w tę wersję zabójstwa jego i jego towarzyszy, którą im podam, jako że nie ma nic innego, w co mogliby uwierzyć.

– I zachowasz bezpiecznie swoje stanowisko, jako jedyny łącznik pomiędzy tymi ludźmi z nieba a tranami.

– To prawda, przyjacielu Rakossa. – Ro-Vijar odpędził od siebie leciutkie uczucie niepokoju. Znał do pewnego stopnia potęgę, jaką dysponowali ci przybysze. Ale co z ich możliwościami, o których nic nie wiedział?

Trell krwawił i umierał z równą łatwością jak każdy tran, kiedy przebiły go strzały. Żaden

przybysz z obcego świata nie pojawił się, żeby go obronić czy pomścić. Wydawało się prawdopodobne, że żaden się nie pojawi. Czuł się teraz dużo, dużo lepiej.

– Będę sterował całym handlem. Zgodnie z przyrzeczeniem otrzymasz rekompensatę za dzisiejszą pracę.

– I tratwę. Nie zapominaj o tratwie.

– Tak, ta wielka tratwa lodowa będzie również twoja. – Ro-Vijar ze spokojem odstąpił mu prawo do klipra lodowego. A czemu nie? Był przecież lodolot podniebnych ludzi, który nie potrzebował żadnych płóz, żeby jechać po lodzie czy lądzie szybciej niż jakikolwiek statek lodowy. Były bez wątpienia i inne urządzenia, które będzie mógł nabyć czy ukraść człowieczym handlarzom. Winą za wszelkie takie kradzieże będzie mógł obarczyć kogo innego. Na przykład Poyów. Wszyscy wiedzieli, jacy są zdradzieccy, bezlitośni. Po co mu jakiś statek lodowy, niechby i największy?

– Podejmiemy starania, żeby ci trzej przybysze, którzy są w mieście, poddali się – powiedział Rakossie. – Oni mają te niewielkie łuki świetlne.

– A czy my teraz nie mamy własnych trzech łuków, a na dodatek tej wielkiej podniebnej tratwy?

– Prawda, przyjacielu Rakosso. Ale nie mamy doświadczenia w posługiwaniu się nimi. Najlepiej unikać kłopotów, jeżeli tylko się da.

– Jeżeli się poddadzą, będziemy mieli sześć zamiast trzech. Będą pytali o Trella. Muszą zginąć.

– To oczywiste – zgodził się ze spokojem Ro-Vijar. – Dobrze, że się zgadzamy.

* * *

Ethan oparł się o mur. Przyglądał się, jak kilku moulokińskich żołnierzy gra w grę, która w tysiącach odmian znana jest w całej galaktyce. Na starożytnej Ziemi tego typu gra nosiła nazwę sunka, kalaha i jeszcze paręnaście innych. Jeden z żołnierzy właśnie dodał do swojej kolekcji siedem kamyków swego przeciwnika, kiedy rozległ się potwornie swojski odgłos dartego papieru.

Po drugiej stronie bramy w szczycie muru pojawiła się dziura. Miała z grubsza trzy metry długości i trzy i pół głębokości, była niemal idealnie okrągła poza paroma miejscami, gdzie w głąb sterczało kilka poszarpanych kamieni. W obrębie tego koła zniknęło wszystko: kamień, żołnierze i broń. A właściwie nie tyle zniknęło, co stało się częścią stopionych szczątków leżących na dnie dziury albo pełnej popiołów chmury unoszonej z wiatrem z dół kanionu. Tam, gdzie zimne powietrze Tran-ky-ky stykało się z przegrzaną skałą, nad dziurą tworzyła się mgła. Ethan nie widział, jak z dala wylatuje piorun, nie musiał. Spojrzał gorączkowo za mur i przekonał się, że lodolot wciąż unosi się na swoim miejscu tuż przed najbliższą tratwą Poyów. September położył mu dłoń na ramieniu i patrzył razem z nim.

– Mój chłopcze, przy sterach nie siedzi żaden człowiek.

Lodolot ruszył w ich stronę, poruszając się niezgrabnie, podskakując i szarpiąc i Ethan mógł

potwierdzić obserwację olbrzyma. W lodolocie było kilku tranów, ale żadnych ubranych w kombinezony ludzi.

– Poznaję Ro-Vijara. To on obsługuje działą.

Lodolot zatrzymał się tuż poza zasięgiem promienników. Landgraf Asurdunu podniósł się zza działą.

– Nie formułuję zdań tak ładnie, jak przybysze z dalekich światów. Poddacie się teraz albo przysięgam, że każdy mężczyzna, kobieta i kocię w Moulokinie umrze.

Ethan zawołał poprzez lód.

– Gdzie jest człowiek Jobius Trell?

– Trell odszedł ścieżką przeznaczoną dla wszystkich zdrajców, czy to z innych światów, czy z tego. On wam teraz nie może pomóc.

Kilku tranów poszifowało do przodu. Nieśli między sobą trzy pierzaste ciała, które bezceremonialnie rzucili na lód. Trupy były na tyle blisko, że Ethan i inni rozpoznali bez trudu bezwładną postać byłego Stałego Komisarza Tran-ky-ky i dwu towarzyszących mu osób z korpusu pokojowego.

Zza jego pleców dobiegł niespokojny głos.

– Cóż to ma znaczyć, przyjacielu Ethanie?

Nie próbował uchylać się od odpowiedzi na pytanie ministra Mirmiba.

– Oznacza to, że nasi wrogowie przejęli teraz kontrolę nad bronią dużo potężniejszą niż nasza. Zabili ludzi, którzy sprowadzili tę broń. Miałem wątpliwości, czy człowiek Trell użyje tak potężnej broni przeciw wam i waszym pobratymcom. Nie mam żadnych takich wątpliwości co do Rakossy i Ro-Vijara.

– Nie możemy się poddać. – Mirmib równocześnie był nieugięty i zmartwiony. – Nie możemy ich wpuścić do miasta.

– Wiem – zastanawiał się Ethan. – Może gdybyśmy my trzej wydali się w ich ręce...

– Zaraz, zaraz, mój chłopcze. Może to i Ro-Vijar obsługuje ten przekonujący argument, ale wszystkim tam kieruje ten facet Rakossa.

– Teeliam oddałaby się w ich ręce, żeby uratować miasto. Już kiedyś próbowała to zrobić.

– Użyjże swojej głowy, chłopcze. Nie pozwoliliśmy jej przedtem tego zrobić z tych samych powodów, z jakich nie pozwolimy na to teraz. Rakossa dostał w swoje łapy coś, co może zrównać z ziemią całe miasto. Próbuje zapanować nad całą gromadą rozgniewanych i niepewnych żołnierzy,

którzy splamili swoje ręce krwią. Czy sądzisz, że pozwoli Ro-Vijarowi pozostawić tutaj kogokolwiek przy życiu, żeby mógł opowiedzieć następnemu komisarzowi, co naprawdę się wydarzyło? Mowy nie ma. Musimy walczyć.

– Użyj twojej własnej głowy, Skuo. – Ethan był tak sfrustrowany, że odezwał się ostrzej, niż miał zamiar. – Nie możemy walczyć z działem laserowym.

– Udajmy, że się cofamy. Odstąpmy, może nawet wpuścimy ich do samego miasta. Możemy się rozdzielić, część z nas skieruje się do głównego kanionu i ukryje się we mgłach, a potem zejdzie w dół i spróbuje zająć działo licząc, że może na moment osłabiać czujność. Zginie kilka tysięcy, ale lepiej to, niż żeby wybili całą ludność.

– Mam lepszy pomysł, panowie.

Ethan i September odwrócili się i zobaczyli, że zasapany Williams podchodzi w górę ostatnią rampą, prowadzącą na szczyt muru.

– Gdzieś ty do diabła był, Millikenie? – warknął September.

– Sądziliśmy, że najlepiej będzie jeżeli jeden promiennik zostanie w rezerwie – odparł Milliken, ignorując ton potężnego mężczyzny. Pracowałem razem z Eer-Meesachem i kilkoma miejscowymi rzemieślnikami nad pewnym pomysłem – ciągnął dalej – od momentu kiedy flota Poyolavomaaru zaczęła swoją blokadę. W tej chwili, kiedy ze wszystkich naokoło aż tryskała świadomość zagrażającej im przegranej, nieśmiałość Williamsa robiła wrażenie samokontroli.

– Nie jestem za bardzo dumny z mojego własnego pomysłu – powiedział September. – Posłuchajmy, co ty wymyśliłeś.

– Czy już zapomnieliście o bitwie pod Sofoldem? Czy zapomniałeś, Sir Hunnarze?

– Ładny pomysł, Millikenie, ale tym razem nie zadziała. – September ostro pokazał w kierunku czekającej flotyli tratw. – W Sofoldzie nie było żadnego działu laserowego, a Sagyanank jeździła po lodzie na tratwie, a nie latała na lodolocie.

– Jestem tego świadom – odparł Williams, w głosie jego pojawił się ledwo dosłyszalny ton wyrzutu. – Nie sądziłem, że będziemy mogli tu powtórzyć bitwę sofoldzką.

– No to po co nas pytać, czy ją pamiętamy? – zastanowił się w pomieszeniu Ethan.

Williams wdał się w wyjaśnienia.

* * *

– Czekaliśmy już wystarczająco długo. – Rakossa stanął na dziobie swojego statku i wołał do Ro-Vijara na lodolocie. – Niech umierają, skoro chcą umierać, a jak nie chcą, to też niech umierają. Nasi żołnierze pragną wypuścić z nich ciepło. Obiecaliśmy im Moulokin i będą go mieli. Jeżeli w tym momencie opadła cię słabość i niepewność, jak jakiegoś przybysza z obcego świata...

– Calonin Ro-Vijar słyszy swojego przyjaciela Rakossę. Minęło dość czasu. Stanie się, jak sobie życzysz.

Landgraf Asurdunu odwrócił się, wcisnął się w za ciasny fotel i powtórzył sekwens działań, który zapamiętał obserwując wcześniej tę człowieczą kobietę. Coś zatrzeszczało i z końca broni wyskoczyła wąska wstęga rozżarzonego błękitu. Uderzyła w lewy bok masywnej, drewnianej bramy w miejscu, gdzie zamocowana była zawiasami do kamiennej wieży. U podstawy wieży pojawiła się ziejąca dziura. Powoli, z towarzyszeniem jakby zmęczonego, jęklivego huku, wieża zawaliła się, pociągając za sobą połowę bramy.

Z tratw podniosły się pozbawione radości wiwaty zebranych tam w oczekiwaniu żołnierzy, którzy patrzyli, jak z taką łatwością wali się przed nimi dotychczas niedostępna brama. Waląca się wieża pociągnęła za sobą liny z pika-piny i otworzyła drogę do wewnętrznego kanionu.

Ro-Vijar musiał ponawiać próby, ale w końcu udało mu się wyregulować nastawienie działa tak, że wycelował je w drugą połowę bramy i jeszcze stojącą, podtrzymującą ją wieżę.

– Mogę obrócić w gruz cały mur, jeżeli chcesz popatrzeć – zawołał do Rakossy.

– Nie. Kamienie, które po nim zostaną, przyczynią więcej kłopotów moim statkom niż sam mur. Tracimy czas. Zrób tylko odpowiednie wejście, a my zrobimy resztę.

Ro-Vijar, który z każdym wybuchem nabierał wprawy w posługiwaniu się bronią, wystrzelił znowu. Druga wieża została podcięta, zapadła się i na wszystkie strony rozleciały się odłamki nie stopionego kamienia. Kilka dodatkowych wybuchów oczyściło lód w zupełności. Następnie Ro-Vijar wydał starannie szereg instrukcji młodemu giermkowi, który siedział przy pulpicie lodolotu. Teraz osobliwa, podniebna tratwa już nieco bardziej gładko ruszyła do przodu. Rozwijając żagle flota Poyolavomaaru zaczęła jechać za nią. Ro-Vijar podniósł do góry lufę działa, strzelił znowu w szczyt muru i wyrąbał w jego zwieńczeniu następną imponującą, okrągłą dziurę. Po tym strzale szeregi tarcz i broni zaczęły znikać z muru.

– Porzucają mur! – zawołał z podnieceniem jeden z oficerów na tratwie Rakossy. – To będzie dzień długo opiewany w tawernach miejskich i w komnatach.

Rakossa nie skomentował tego. Tak jak powiedział temu człowiekowi Trellovi, nie dbał o historię nic a nic. Niedługo już będą w samym mieście. Modlił się z całej duszy, żeby Teeliam się nie zabiła. Powinna mieć na tyle rozumu, żeby sobie zadać śmierć albo kazać komuś, żeby jej ją zadał, ale w przeszłości czepiała się wytrwale życia. Może zostanie przy życiu w nadziei, że zabije jego, jak często mu obiecywała. Mała idiotka, mała idiotka. Tak słabo grała w tę grę. Im szybciej wkroczą, tym mniej będzie miała czasu do namysłu. Im mniej będzie miała czasu do namysłu, tym większe jego szansę, że znajdzie ją żywą. Nie miał życzenia zabawiać się z trupem.

Jego tratwa przejechała gładko przez dziurę w murze. Inne tratwy tłoczyły się tuż za nim, żołnierze zasypywali strzałami cofających się Moulokińczyków.

Ostatni z nich znikali właśnie za złudną osłoną drugiego muru, kiedy tratwy Poyów wyjechały zza

ostrego zakrętu w kanionie. Flota zwolniła, czekała aż Ro-Vijar obróci tę ostatnią przeszkodę w popiół i żużel.

Ro-Vijar nie spieszył się. Potężny wiatr kołysał lodolotem pomimo stabilizatorów kompensujących, a Ro-Vijar nie wiedział, jak przy tym huraganie powinien ustawić regulację. Wszystko jedno. Jego pierwszy strzał przeszedł wysoko nad murem. Powarkując pod nosem Landgraf Asurdunu zmniejszył kąt nachylenia lufy. Bełty kusz i płomyczki niebieskiego światła z ręcznych promienników ludzi usiłowały sięgać do lodolotu i aż śmiech brał patrzeć, ile im brakowało. Gdzieś u góry rozległ się głuchy grzmot. Burza mogła ostudzić ich entuzjazm, ale nie opóźni wejścia do miasta. Popatrzył z zaciekawieniem w niebo – zobaczył kilka chmur, bez wątplenia będących zwiastunami nadciągającej burzy. Grzmot rozległ się ponownie, potem trzeci raz. To był osobliwy grzmot, głębszy, a przecież bez takiego pogłosu. A potem pas nieba u góry zwęził się po brzegach i Ro-Vijar zaczął wrzeszczeć na spanikowanego giermka.

– Żagiel na wiatr! Cofaj się! – Zapomniał w tym ostatnim, krótkim momencie, że statek przybyszów nie ma żagli.

Tratwy były tak gęsto stłoczone, że nie miały możliwości szybko zawrócić. Grzmoty odbijały się echem po kanionie, niektóre głośniejsze, niektóre cichsze, teraz następowały już jeden po drugim. Ro-Vijar przeskoczył przez burtę lodolotu, wylądował na lodzie z takim impetem, że pękł mu jeden z szifów. Wiatr dał mu w plecy; Landgraf pomknął w stronę pierwszego muru z najwyższą prędkością, z jaką mógł go tam ponieść wiejący w dół kanionu wicher.

O całe setki metrów wyżej Malmeevyn Eer-Meesach, czarodziej i doradca Landgrafa Wannome i Sofoldu, nadzorował realizację planu Millikena Williamsa. Założono ostatnie ładunki prochu strzelniczego w otwory, tak mozolnie wywiercone w szczytach skał. A potem czarodziej i jego pomocnicy wycofali się, a z obu stron zaczęły obrywać się górne części kanionu. Bloki bazaltu i granitu, ważące po sto ton i więcej, zwały się majestatycznie do przepaści. Uderzały tak mocno, że lód się rozpryskiwał, chociaż nie popękał w głąb do samego dna zamrożonej na kamień wąskiej zatoki. Jeden gigantyczny głaz, czarna góra lodowa, która musiała ważyć ze sto pięćdziesiąt ton, wylądował z grzmiącym „bum” na lodzie. Odbił się raz, przeturlał i obrócił tylną połowę poyoskiej tratwy w drzazgi. Wrzeszcząc jak opętani żeglarze porzucili swój statek w bezrozumnej panice, nie starając się nawet uniknąć uderzenia przy pomocy manewrowania tratwą.

Tylko kilku tratwom znajdującym się na samych tyłach floty udało się zawrócić pod żaglami na tyle szybko i z wystarczającą dyscypliną, żeby się wycofać. A potem dwie tratwy utknęły w przejściu przez zrujnowany pierwszy mur i zatarasowały jedyną drogę ucieczki.

Rozległ się teraz innego rodzaju ryk i masa zacieężnych żołnierzy i żeglarzy ze *Slanderscree* wypadła szifując przez bramę, żeby nawiązać kontakt bojowy z resztkami pozbawionych morale i rozproszonych oddziałów poyoskich, których nie wybiła przejmująca grozą potęga obrywających się skał. Poyowie nie myśleli o niczym innym, tylko o ucieczce. Wspinali się po skałach, wdrapywali w pośpiechu na rozwalone tratwy i okaleczonych towarzyszy, byle uciec. Moulokińczycy i Sofoldyjczycy ścigali ich z krwiożerczą rozkoszą. Strzały, kusze i włócznie szybko ustąpiły miejsca mieczom, toporom i nawet bardziej intymnym metodom destrukcji.

Ethan rozpoznał jedną postać na samym froncie tej rzeźni: Teeliam Hoh, dająca upust morderczej pasji z większym entuzjazmem niż wszyscy wojownicy razem wzięci. Wiedział, że będzie tam też September, ślizgający się tu i tam na swoich łyżwach i wyrzynający wroga u boku Sir Hunnara i reszty tranów. Ethan nie podzielał ich apetytu na mord. Podziękował tranowi, który go podholował i przejechał na bok, gdzie spod wielkiego głazu widać było metaliczny połysk. Na ile mógł się zorientować, olbrzymi kamień musiał uderzyć w lód, odbić się raz i uderzyć lodolot od burty. Poduszkowiec nie był przygotowany na takie zderzenia, jego kompensatory wysiadły i spadł na lód. Z licznych rozdarć na burtach lodolotu wyglądała plątanina przewodów, cząsteczkowe moduły pamięciowe leżały jak martwe żuki na lodzie. Kilka mniejszych skałek obróciło laserowe działo w złom. Żeby lepiej widzieć, wspiął się na chłodny bok głazu.

Stojąc na jego szczycie mógł patrzeć w dół kanionu, który nie przypominał już gładkiej, białej rzeki, ale pejzaż składający się z samotnych, ciemniejszych kształtów spoczywających na równinie przysypanej mniejszymi okruchami skał. Uniósł wzrok wyżej. Mniejsze odłamki wciąż jeszcze obrywały się i spadały ze szczytu urwiska, które nie było już gładkie i regularne, ale głęboko poźłobione na długość tysiąca metrów po każdej stronie. W świetle ludzi i thranxów środki wybuchowe należały do najstarszej broni i wciąż jeszcze okazywały się użyteczne.

Williams wszedł na urwisko na przeciw Eer-Meesach. Na dole, pomiędzy kamykami, wyrzynały się nawzajem mrówki. W pobliżu stał jeden z moulokińskich chemików, który mu pomagał.

– Zaiste cudowną dla nas wyczarowałeś rzecz, czarodzieju Williamsie.

– Nie jestem czarodziejem, a już z pewnością nie wynalazłem ani nie wyczarowałem tego prochu. Miałem nadzieję, że wyciśniemy więcej z tych naboju. Jeżeli uda nam się znaleźć czystsze azotany, jestem pewien, że wyprodukujemy proch lepszej jakości. – Mówiąc to coś obliczał.

Moulokińczycy przyglądali mu się, przejęci równocześnie czią i lękiem. Przeciętą istotę często większą grozą przejmuje dystans pomiędzy naukowcem, a destrukcyjnym niekiedy wynikiem jego prac, niż same wynalazki. Williams zauważył jaki wyraz twarzy mają tranowie. Ogarnęła go groza, kiedy uświadomił sobie, że sprawia mu to przyjemność.

* * *

Było późne popołudnie i temperatura opadała już razem ze słońcem, kiedy znużeni wojownicy moulokińscy poszifowali z powrotem do kanionu. Pomiędzy dwoma ścianami krew zamarzła w obfitych ilościach, przez co wąska zatoczka przybrała wygląd żyły kwarcu posypanej brunatnymi kryształkami wanadynitu.

– Wiele trzeba będzie czasu i wysiłku, żeby oczyścić nasz kanion tak, żeby statki mogły nim znowu podróżować. – Pani Landgraf K'ferr wygląda wspaniale w swoim stroju bojowym, pomyślał Ethan.

– Odbudujemy uszkodzony mur zewnętrzny – odezwał się jeden z jej oficerów stojących w pobliżu – wyższy i mocniejszy niż uprzednio, za pomocą tych samych kamieni, które pomogły zmiażdżyć naszych wrogów.

– To prawda. Otrzymamy pomoc od naszych przyjaciół z Sofoldu. – K’ferr popatrzyła z sympatią na kilku obładowanych bronią żeglarzy ze *Slanderscree*, którzy właśnie wracali z łupami po masakrze. – Żałuję tylko – ciągnęła dalej zasmucona – że nie mogę pogratulować waszemu Sir Hunnarowi Rudobrodemu, przyjacielu Ethanie. Ze wszystkich, którzy dziś walczyli, najdzielniejszy był on.

Ethan wpatrywał się w kanion, którym wracali maruderzy.

– Może on jeszcze tam gdzieś został, by wyciąć ostatnich Poyów w pień.

– Obawiam się, że nie, mój chłopcze. – September podjechał na łyżwach, żeby się do nich przyłączyć. – Byłem tam na zewnątrz na oceanie razem z nim. Nie podniósł się.

Za ich plecami rozległo się zawodzenie. Ethan żałował, że tranowie nie potrafią mdleć. Nie musiałby wtedy patrzeć na wyraz strasznej udręki, jaki na słowa Septembra pojawił się w oczach Elfy Kurdagh-Vlata.

September odłożył swój ciężki, pokrwawiony topór, wyciągnął promiennik zza pasa i rzucił go Ethanowi. Ethan przyjrzał się uważnie, co wskazuje niewielki licznik, kiwnął głową i oddał go z powrotem olbrzymowi.

– Mój również zdechł, Skuo. Nie wiem, jak z tym, który ma Milliken, ale sądzę, że zużył go do nawiercania dziur na ładunki.

– No, to miejmy nadzieję, że nie będą nam potrzebne po drodze do Dętej Małpy, mój chłopcze. Zabierzemy ciało Trella i tych dwojga z korpusu pokojowego ze sobą. Zastanawiałem się, co powinniśmy powiedzieć władzom portu. Nie ma co wdawać się w jakieś skomplikowane wyjaśnienia. Atak nieprzyjaznych tubylców, z gatunku wędrownych bandytów. – Ethan powoli skinął głową, wpatrując się w trzy szramy po lewej stronie szyi olbrzyma. Ktoś załatał kombinezon ochronny jakimś lokalnym materiałem. Ponieważ September nie wspominał o ranie, Ethan zignorował ją.

– Przyjmą tą wersję, bo nie będą mieli wyboru, chłopcze.

Podobnie jak przyjmą artefakty i nową interpretację tego świata, jaką niosą one ze sobą. Następnemu komisarzowi, jakiego tu przyślą, nie w głowie będzie podbieranie nielegalnych zysków, skoro będzie go czekało zorganizowanie całej cywilizacji. Ale na wszelki wypadek i tak powiemy najpierw ojczaszкови.

– Jak już Kościół ruszy w tej sprawie swoim teologicznym palcem, biurokracja weźmie swoich ludzi pod ściślejszą kontrolę

– zgodził się z nim Ethan. – Biedny Trel. Sam doprowadził do tego morderstwa.

– Przykro mi, mój chłopcze. Nie mam dla niego cienia współczucia. Zbyt wiele razy widziałem, jak podobne rzeczy dzieją się na różnych prymitywnych światach. A on popełnił ten stary błąd, że zapomniał, że prymitywne ludy potrafią być równie podstępne i zdradzieckie, jak najbardziej

znudzony i wyrafinowany technokrata.

– Mówiłeś, że kapitan portu i inni przyjmą naszą wersję wydarzeń, bo nie będą mieli jej z czym porównać. A jeżeli Ro-Vijarowi udało się uciec? – Odwrócił twarz od niosącego lodowe kryształki podmuchu, pędzącego wzdłuż kanionu i popatrzył na dalekie, zamrożone morze. – Nie wyprawiałem się specjalnie na poszukiwanie jego ciała, ale nie zauważyłem go pomiędzy poległymi.

– Jeżeli nie leży pod jednym z tych głazów, będziemy musieli uporać się z jego łgarstwami, kiedy wrócimy do Asurdunu – powiedział September. – Nasze słowo przeciw jego. Skłonny jestem podejrzewać, że Xenaxis weźmie naszą stronę.

– To nie to mnie martwi, Skuo. Ro-Vijar jest na tyle sprytny, że zadowolony jest zachowaniem status quo na Asurdunie. Na przykład opowie jakąś historyjkę, jak to się z nami w ostatniej chwili sprzymierzył. Xenaxis może mu nie uwierzyć, ale nie ma upoważnienia, żeby samemu ścigać sędownie jednego z miejscowych przywódców.

– Nie pomyślałem o tym, chłopcze. Ciężko będzie coś udowodnić, jeżeli zacznie się z nami zgadzać, zamiast nas atakować. Odłóżmy to zmartwienie na drogę powrotną do Dętej Małpy. Mamy przed sobą daleką drogę. Może będziemy mieli szczęście i go prześcignemy.

* * *

Daleko na lodowym oceanie pięć sponiewieranych tratw zatoczyło łuk i się zatrzymało. Z północnego zachodu słychać było grzmoty, tym razem naturalne i kapitanowie pięciu tratw wiedzieli, że trudno im będzie posuwać się w kierunku domu, jeżeli burza nie przejdzie bokiem. Co więcej, załogi nie tylko były uszczuplone, ale z tych, którzy pozostali, wielu było zbyt ciężko rannych, żeby obsługiwać żagle. Mała grupka żeglarzy i oficerów zebrała się na rufie jednej z tratw. W środku utworzonego przez nich kręgu stała samotna postać.

– Nie możecie mnie tutaj wysadzić – upierał się Landgraf Asurdunu. Po raz pierwszy, odkąd opuścili Moulokin, ogarnęło go przerażenie. Spojrzał przez burtę na łód oświetloną niesamowitym, niebiesko-białym światłem przez bliźniacze księżycy Tran-ky-ky. – Przecież nie mam żadnego jedzenia ani broni.

– Wystarczająco daleko wieźliśmy cię, Ro-Vijarze z Asurdunu. – Rakossa przebiegał palcami po świeżej bliźnie, biegnącej wzdłuż ramienia. – Może uda ci się wrócić cało do Moulokinu i twoich przyjaciół nie z tego świata.

– To nie są moi przyjaciele! Sam o tym wiesz. – Trwoga przydała mocy protestom Ro-Vijara. – Czyż nie pomogłem ci trzech z nich zabić, a wśród tej trójki jeden był do pewnego stopnia moim przyjacielem?

– Aaa. Więc możesz zdać się na łaskę litościwego ludu Moulokinu.

Z kręgu żeglarzy, których niewielu było bez bandaży, dobiegły nieprzyjazne śmiechy. Jeden z nich dźgnął wściekle Ro-Vijara, zeleźce jego włócznie przebiło kamizelkę Landgrafa; z rany pociekł

strumyk krwi. Ro-Vijar kurczowo zacisnął dłoń na miejscu ułcucia. Przypominał teraz bardziej przerażone kocię niż przywódcę potężnego państwa-miasta. Przełazi przez poręcz na jedyną zwisającą z burty drabinę z pika-piny.

– Zaklinam cię, Rakosso, nie czyn tego temu, który zaprzyjaźnił się z tobą! Błagam o litość.

– Okazujemy ci przecież litość – powiedział z paskudnym uśmiechem Rakossa – nie zabijając cię powoli w tej chwili. – Splunął na zwisającego na drabinie Ro-Vijara. – To przez ciebie straciliśmy większość naszej floty, wszystkich naszych najbardziej walecznych mężczyzn i kobiety. Kiedy powrócimy do domu, będzie nam trudno z powodu tej klęski zachować należny nam z prawa tron. Ale co najgorsze – NAJGORSZE, ta kobieta jest tam bezpieczna! – Cały dygotał z wściekłości, futro mu się zjeżyło od uszu do stóp. – Bezpieczna, wśród przybyszów z obcego świata, których „niezwyciężoną” broń za twoim podpuszczeniem obdarzyliśmy naszym zaufaniem.

– Kto mógł przewidzieć, że użyją takiej magii, żeby pogrzebać nas pod szczytami kanionu?

– Męczą nas już twoje tłumaczenia, Landgrafie-który-już-nim-nie-jesteś.

Kilku żeglarzy zbliżyło się groźnie do poręczy. Ro-Vijar pospiesznie ześliznął się z drabiny. Kiedy wciągano ją z powrotem na pokład, stał dygocąc na lodzie i wpatrywał się w równie zimne twarze, wychylające się jedna obok drugiej nad poręczą.

– Nie możecie mnie tak zostawić! Nie możecie! Dajcie mi broń! Włócznie... chociaż nóż!

– Dzielnie walczyłeś słowami, Ro-Vijarze z Asurdunu. Walczże nimi teraz.

– Potomku k'nithów! – zawodził Ro-Vijar. – Twoja matka parzyła się z korzeniem! Pojadę za tobą całą drogę do Poyolavomaaru, a stamtąd do Asurdunu, gdzie zgromadzę flotę, która zetrze z powierzchni świata twoje ohydne miasto! Umrzesz śmiercią bardziej straszliwą, niż potrafisz to sobie wyobrazić!

Rakossa wykonał gest obrzydzenia.

– Nie ma takiej śmierci, której nie potrafimy sobie wyobrazić. – Odwrócił się do stojącego obok niego giermka. – Nie chcielibyśmy zmuszać mieszkańców oceanu do wysłuchiwania tej irytującej paplaniny. – Położył łapę na lancy giermka. – Najlepiej będzie zabić go od razu i oszczędzić wędrowców po lodzie. – Pociągnął. Giermek nie wypuścił lancy.

Rakossa patrzył na rannego żołnierza wzrokiem pełnym niedowierzania.

– Obdarujemy cię inną włóczęnią, podoficerze, chyba że sam pragniesz zabić to coś na lodzie. – Kiedy giermek nie odpowiedział, Rakossa pociągnął znowu, tym razem silniej. I znowu tran nie wypuścił swojej broni.

– Czy chcesz się do niego przyłączyć? – W głosie Rakossy pojawił się cień niedowierzania. – Daj nam swoją lancę, giermku albo mv tobie...

– Nic mu nie zrobisz – powiedział napięty głos. Rakossa zakręcił się na pięcie, żeby stanąć twarzą do tego, który wypowiedział te niewiarygodne słowa. Przecież na pewno zna tego oficera. To był ten, który nie wiwatował tak głośno jak inni, kiedy Rakossa po raz pierwszy oznajmił, że ma zamiar ścigać przybyszów z obcego świata po ich ucieczce z Poyolavomaaru. I chyba widział go podczas narady...?

– Noszę imię T’hosjer, syn T’hosa z Czterech Wiatrów, rodu, który służył Poyolavomaarowi od wielu pokoleń. – Światło księżyca przydawało jego rysom posępności, świeciło w wysmukłym mieczu, który oficer przyłożył do piersi Landgrafa.

– Niech tak będzie, T’hosjerze, nie jesteś już oficerem. – Rakossa podniósł głos. – Nie jesteś nawet giermkim; jesteś niczym! – Podniósł łapę, żeby odepchnąć czubek miecza na bok. T’hosjer pochylił się do przodu i dźgnął go w pierś tuż nad mostkiem.

Rakossa zamarł. Rozejrzał się po otaczającym go kręgu, zobaczył zacięte twarze żeglarzy i oficerów, rannych i tych, których bitwa oszczędziła. Nikt się nie odezwał.

– Co to jest? Czy wyście wszyscy poszaleli?

– Nie, Rakosso z Poyolavomaaru. Myśmy odzyskali zdrowe zmysły. – T’hosjer pokazał wolną łapą na drobną, ostro rysującą się na lodzie figurkę Ro-Vijara. – Zwalasz całą winę za to, co się stało, na niego. To nie jest jego wina. My z Poyolavomaaru zawsze szcyciliśmy się tym, że wojny o transakcje handlowe prowadzimy sami, bez pomocy czy wtrącania się innych. Ty udałeś się po pomoc do tych, którzy nawet nie są tranami, przyjmowałeś rady od tego, który nawet nie pochodzi z Siedmiu Szczytów. Z tego to powodu mój brat, T’hosjer, i wielu przyjaciół z czasów kocięstwa leży martwych na progu obcego miasta, które nie chciało nam uczynić żadnej krzywdy, z sercem przebitym strzałą albo mieczem, z ciałami rozbitymi przez głazy.

– Walczyłeś z równą zaciętością co inni – powiedział oskarżycielsko Rakossa.

– Walczyłem za miasto Siedmiu Szczytów, za Poyolavomaar mój dom, za moich przyjaciół i towarzyszy. Walczyłem, ponieważ alternatywą była ucieczka. A oficer Poyolavomaaru nie ucieka i nie zostawia swoich przyjaciół, by walczyli i umiera li bez niego. Nie przylgnie do nas niesława po tej przegranej, bo walczyliśmy na oślep. – Z otaczającego kręgu żołnierzy dobiegł pomruk potakiwań. – Oślepiły nas twoje słowa i pozycja, jaką odziedziczyłeś. Uczestniczyliśmy w twoim szaleństwie. To, a nie przegrana w walce jest wstydem, jaki będziemy nosili ze sobą aż do naszej śmierci. Dawno już powiadano, że jesteś obłąkany, Rakosso z Poyolavomaaru. Ci, którzy się nie zgadzali lub wysuwali zbyt silne argumenty, znikali zbyt często podczas tych minionych lat.

– Jesteśmy waszym Landgrafem – powiedział ze złością Rakossa. – Stoimy przed wami jako wasz prawy władca i pan!

– Nie jesteś już niczym władcą czy panem. Od tej chwili – powtórzył słowa, które Rakossa wypowiedział przed chwilą – jesteś niczym.

Rakossa przyglądał się bacznie kręgowi żołnierzy o rozplómonionych oczach, mężczyznom i

kobietom.

– Tysiąc metalowych PLED żołnierzowi, który zabije tego zdrajcę! – Nikt się nie poruszył. – Dwa tysiące! – Cisza. – Poślubię i uczynię współwładczynią kobietę, która tego tu zabije!

Na to od grupy dobiegły pierwsze odgłosy – miaukliwe śmiechy kilku kobiet-żołnierzy. Jedna powiedziała:

– Żeby przeżyć takie okropności, jakimi doświadczyłeś swoją konkubinę, Teeliam Hoh? Nie wierzyłam w pogłoski, które rozchodziły się na temat tego, co z nią wyprawiasz. Teraz myślę, że może przedstawiała one sprawę zbyt skromnie.

Rakossa wciąż jeszcze nie mógł pojąć, co się działo.

– Oficerowie, przygotujcie się do stawiania żagli. Żołnierze, żeglarze, na stanowiska.

– Za burtę. – T’hosjer dźgnął nieco mocniej mieczem. Przez szare futro krew pociekła szybciej. – Dołącz do swego sojusznika i przyjaciela.

Oszołomiony Rakossa przepelźnął przez poręcz.

– Pojedziemy za wami. Dopilnujemy, żebyście wszyscy zostali nadziani na różny nad gorącym ogniem w kuchniach. Każemy wypruć flaki waszym towarzyszkom i kociętom na waszych oczach!

T’hosjer przechylił się przez poręcz, upewnił się czy już-nie-landgraf Poyolavomaaru opadł na lód. Potem odwrócił się wyczerpany do oficera, który został kapitanem tratwy i powiedział tylko dwa słowa:

– Do domu.

Kiedy członkowie kręgu rozchodzili się na swoje stanowiska i wymieniano sygnały z pozostałymi czterema tratwami, T’hosjer wsunął miecz z powrotem do pochwy przypasanej do prawej nogi.

– A co z Moulokinem? – zapytał jeden z żeglarzy. – Czy nie ruszą oni szukać pomsty?

– Kiedy odzyskamy nieco naszej dumy, wrócimy do tego kanionu budowniczych statków i zawrzemy z nimi pokój, co powinno było nastąpić dawno temu. Zajdą zmiany w sposobie, w jaki Poyolavomaar odnosi się do swoich sąsiadów.

Żałosna resztką niegdyś wielkiej floty zaczęła nabierać wiatru w żagle i ruszyła na północny wschód. T’hosjer przeszedł na rufę. Dwie postaci zostawały coraz dalej w tyle, ciemne plamy na lodzie.

– Co widzisz, T’hosjerze, kapitanie? – To była ta wojowniczką, która śmiała się z dziwacznych, rozpaczliwych oświadczeń Rakossy.

– Sądzę, że zabrali się za to, jak tylko przygotowaliśmy się do odjazdu – powiedział jej.

Przymrużył oczy wpatrując się z natężeniem w oświetloną księżycem dal. – Wydaje mi się, że górą jest Ro-Vijar z Asurdunu, ale coraz trudniej się zorientować. – Odchrząknął i odwrócił się, a dwie okładające się postacie zmieniły się w jeszcze jedną zamazaną plamę na niebiesko-białym oceanie.

* * *

W kanionie Moulokin kilka postaci poruszało się na mrozie pod wiatr. Rozpraszali się pomiędzy głazami i umarłymi, zbierali osobiste rzeczy żołnierzy z Moulokinu, oraz broń i zbroje wrogów, która jeszcze nie stała się łupem zwycięskich żołnierzy.

Jedna postać ani drgnęła. Siedziała na drewnianej pokładnicy, która odłupała się od jakiejś rozbitej tratwy, ze wzrokiem zatopionym w to miejsce, gdzie czarne skały ustępowały miejsca lśniącemu, lodowemu morzu. Odkąd słońce opadło za zachodni skraj kanionu, wyśpiewywała coś wysokim, zawodzącym głosem, jakieś ni to warczenie, ni to rytm, ni to coś, czego żaden człowiek nie umiałby zdefiniować.

Spomiędzy stosu kamieni, które powyrywała z zewnętrznej ściany energetyczna broń przybyszy z obcego świata, odezwał się do niej jakiś inny głos, jakby zmęczony i nieco poirytowany.

– Z całym należnym szacunkiem, pani Elfo, błagam, żeby okazała pani litość rannemu żołnierzowi i zaniechała tego upiornego wycia.

Elfa ostro odwróciła głowę, jej oczy usiłowały przebić mrok.

– Kto... kto woła córkę Landgrafa?

– I okaż nam jakąś pomoc – dodał głos ignorując jej pytanie.

Dwie postaci utykając wyszły zza olbrzymiego głazu. Jedna bezzwłocznie opadła do pozycji siedzącej, druga wywróciła się na pierwszą, przeturlała na bok i leżała dysząc na lodzie.

– Mam złamaną nogę i rozdarty dan, a ten moulokiński żołnierz jest okrutnie ranny. Zaszyłem mu brzuch, jak potrafiłem najlepiej, ale nie jestem żadną szwaczką ani lekarzem.

– Hunnar? Hunnar Rudobrody? – Elfa ześlizgnęła się po kawałku wyłamanej maszty i poszifowała brawurowo w kierunku dwóch postaci.

* * *

Rakossa z Poyolavomaaru nie miał lekkiej śmierci. Te same moce, które dodawały sił zamieszkującym go demonom, nie pozwoliły mu zginąć. Otulił się nieco szczelniej wokół torsu zbyt małą oponczą i pochylił pod wyjący wiatr. Niech będzie przeklęty ten trędowaty robak, Ro-Vijar, za szkody jakie mu wyrządził, zanim umarł! Rozdarcia na danie Rakossy były zbyt poważne, żeby mógł w niego złapać wiatr, a lewa ręka zwisała mu bezwładnie z ramienia. Ale były Landgraf Asurdunu był w gorszym stanie. Rakoszę ogrzało wspomnienie, jak pod jego palcami pękał kark Ro-Vijara. Asurduńczyk ostatecznie okazał się słaby, słaby, bo wydelikaciły go luksusy nie z tego świata. Kiedy wrócimy do Poyolavomaaru i odzyskamy tron, myślał pełen jadu, skończymy z tymi przybyszami raz

na zawsze. Ależ osłupieje T'hosjer i ci inni zdrajcy, kiedy Rakossa pojawi się znowu w Poyolavomaarze. Jakże on, Rakossa, będzie się cieszył z tej konfrontacji! Jego sprzymierzeńcy pozostali bezpiecznie na dworze, a jego pochodzenie jako Landgrafa było niepodważalne. Miał prawo do tronu, sama jego obecność uczyni kłamcami tych zdrajców. Żeby ratować swoją cenną skórę wielu prostych żołnierzy, którzy przeżyli, zaczną nagle mieć wątpliwości co do każdej historii, jaką wymyśli ten T'hosjer. A wtedy z przyjemnością będzie się przyglądał, jak przypiekają się powoli nad lekkim żarem, aż futro im poczernieje, a naga skóra zaczną schodzić.

Ale najpierw musi się tam dostać.

Zbocza płaskowyzu zbliżały się powoli pomimo jego wyteżonych wysiłków, żeby podróżować bez użycia danów. Oddalił się już na bezpieczną odległość od mściwego Moulokinu i w takiej odległości od miasta nie powinien spotkać żadnych żołnierzy. Pod osłoną urwiska znajdzie może sobie jakieś schronienie przed nocnym wiatrem i prawdopodobnie jakąś rozproszoną pika-pinę czy inną roślinę do jedzenia. Powinny tędy niedługo przejeżdżać statki handlowe. Okrzyknie jakiś, który będzie opuszczał Moulokin. Nie miał żadnych wątpliwości, że bez trudu zdoła przedstawić siebie jako jednego z ocalałych po bitwie żołnierzy, bo słowa zawsze były jego najbardziej skuteczną bronią. Chociaż nie był ubrany w strój moulokiński, to skoro przywdział ubranie Ro-Vijara, nie będzie też po nim widać, że jest niebezpiecznym Poyem. Bractwo lodowych żeglarzy było jakie było, więc pewnie potraktują go łaskawie i zawiozą do rodzinnego portu kupca. A jak się już tam znajdzie, kiedyś w końcu kupi, ukradnie lub wyłudzi tratwę, która zanieśie go do domu, do Poyolavomaaru i do zemsty.

Coś poruszało się po lodzie na południu. Zamarł i nie poruszył się, dopóki nie zobaczył, że to nie żaden wędrowny drapieżca, tylko statek i to na dodatek maleńki. Za mały jak na statek kupiecki, prawdopodobnie jechali na nim lodowi zbieracze, przeszukujący urwiska za jadalnymi roślinami i zwierzętami. Prości myśliwi i zbieracze, którzy teraz już mogli swobodnie uprawiać swoje zajęcie na zewnątrz bezpiecznego miasta. W opończy Ro-Vijara nie powinien natychmiast zostać uznany za wroga. Jeżeli nie będą z Moulokinu, może pozostać przy swoim pierwotnym planie. Jeżeli pochodzą z tego miasta, będzie mógł wcisnąć im jakąś straszliwą opowieść o katastrofie statku i własnej niedoli. Tak czy tak zdobędzie ich zaufanie na wystarczająco długi czas, żeby ich się pozbyć, chociaż nie włada jedną ręką. Nawet nie śmiał marzyć, że tak szybko będzie miał tratwę. Wcale nie wykluczone, że uda mu się dojechać do Poyolavomaaru przed tymi zdrajcami. Jakżeż by to było miło, stanąć na nadbrzeżu i powitać T'hosjera, kiedy ten przyjedzie!

Mała tratwa zbliżyła się. Rakossa opadł na lód. Niech myślą, że jest bardziej okrutnie cierpiący, niż był, lepiej uspić wszelkie podejrzenia, jakie mógłby budzić. Kamienne szify wyhamowały w pobliżu. Słychać było, że ktoś wychodzi na lód. Doszły do niego odgłosy powolnego szifowania, potem ucichły. Czekał cierpliwie, ale nic nie wskazywało, żeby ktoś się poruszał poza wszechobecnym wiatrem, skaczącym po lodzie i pojękującym, jak zboląta stara panna.

Najlepiej, żeby zobaczyli, że żyje. Odezwał się słabym chrypieniem.

– Błogosławieni, którzy przychodzą z pomocą rannym w ciężki czas.

Szifowanie znowu się zaczęło, ale nie przybliżyło się do niego. Zamiast tego wydawało się go

powoli okrążyć.

– Błogosławieni, którzy parają się sprawiedliwością, że nagradzają wytrwałych.

Ten głos był mu wół znajomy, pomimo że zniekształcał go wiatr. Przekreślił się, żałując że nie ma miecza. Jeden rzut oka na swojego jak miał nadzieję wybawcę i jego szeroko rozstawione, żółte ślepie niemal wyszły mu z orbit.

– TY!

Po raz pierwszy od kilku dni po oceanie zaczęły nieść się krzyki. Trwały tak, stopniowo słabnąc, przez trzy dni, zanim całkowicie ucichły.

Nikommu nie wpadło do głowy kwestionować czynów Teeliam Hoh, kiedy w swojej maleńkiej tratwie wjechała z powrotem do portu moulokińskiego w wiele dni po Wielkiej Bitwie i nikt nie ośmielił się pytać o źródło straszliwego zadowolenia, które płonęło na jej twarzy. Stała się wielce szanowanym członkiem domu pani K'ferr i przeżyła długie i owocne życie w Moulokinie. Miała wiele sympatycznych flirtów i romansów, ale nigdy się z nikim nie sparzyła, bo każda znajomość urywała się, kiedy tylko jakiś mężczyzna stawał się na tyle bliski, że mógł zobaczyć to, co na zawsze utrwaliło się w jej oczach.

* * *

– Co będziesz teraz robił, przyjacielu Ethanie? – Hunnar zakołysał się niezgrabnie na kulach, kiedy *Slanderscree* przechyliła się lekko na lewo.

Opuścili Moulokin kilka dni temu przyrzekając, że przy pierwszej sposobności wrócą i ukończą oficjalną dokumentację o przymierzu pomiędzy Sofoldem, a miastem w kanionie. Tymczasem Moulokińczycy mieli się rozjechać, żeby szerzyć ewangelię Unii Lodostanów i konfederacji wszystkich tranów wśród leżących naokoło państw-miast i miasteczek.

– Wciąż jeszcze nie skończyłem mojej roboty. – Ethan powiedział to ponuro. – Przynajmniej tak myślę, że nie skończyłem. Dostyc się potężnie spóźnię na następny, wyznaczony mi przystanek.

Skua September stał w pobliżu, kaptur kombinezonu odrzucił do tyłu, cieszył się dwudziestopięciostopniowym mrozem i wiatrem, który wiał mu w twarz. Oparł jedną stopę na poręcz, utrzymywał równowagę wplątawszy masywną rękę w olinowanie z pika-piny i popatrywał na ocean lodowy. Mieli przed sobą wiele saczów podróży, zanim dojadą do Dętej Małpy.

– Naprawdę wracasz do tej swojej roboty, mój chłopcze?

– Na tym się znam najlepiej. Jak będę miał szczęście, może za parę lat awansują mnie na kierownicze stanowisko.

September wydał z siebie mało uprzejmy odgłos.

– Kie'wnicze, co to znaczy, przyjacielu Ethanie? – Hunnar był zaciekawiony.

– Będę kierował innymi przy robocie, którą teraz sam wykonuję, nadzorował ich. Kiedy przybędzie tutaj następny komisarz i zacznie się nabór tranów na stanowiska agentów Wspólnoty, będzie udzielał podobnych pełnomocnictw. Byłbyś dobrym kandydatem na jedno z takich ważnych stanowisk, Hunnarze.

– On nie będzie kandydatem na żadne stanowisko – powiedziała Elfa Kurdagh-Vlata, kładąc zaborczą łapę na ramieniu rycerza. Hunnar miał złamaną nogę, więc nie mógł się odsunąć, nie żeby chciał. – Po śmierci ojca jako mój małżonek zostanie współwładcą w Wannome.

– To też całkiem niezłe stanowisko kierownicze – przyznał Ethan z uśmiechem. Widać było ten jego uśmiech przez maskę kombinezonu. Za przykładem Septembra odchylił ją i aż dech mu zaparło, kiedy uderzyło go mroźne powietrze.

Wstrząs szybko minął. Wiatr wiał z szybkością nie większą niż ze dwanaście kilometrów na godzinę. W połączeniu z łagodną temperaturą dzień wydawał się zaiste tropikalny. Patrzył, jak białe morze przesuwa się pod duramiksowymi płozami klipra. Mógłby zrzucić z siebie w ogóle kombinezon i położyć się na słońcu pod osłoną centralnej kabiny.

Zastanawiał się, jakie ma inne opcje, poza tą oczywistą. Na przykład, co z daleką, bogatą Colette du Kane? Przez te ostatnie miesiące zyskał już niemal tyle pewności siebie, że mógłby z tą masywną, opanowaną kobietą rozmawiać jak równy z równym. Była to możliwość, którą powinien ponownie rozważyć.

Zwłaszcza jeżeli stracił pracę.

– Czy wrócisz tu jeszcze, Sir Ethanie? – zapytał Hunnar z nadzieją.

– Chciałbym.

– Ja też, mój chłopcze.

Mężczyźni zostawili Hunnara i Elfę pogrążonych w intymnej rozmowie, i nie tylko, i przeszli przez pokład.

– Dużo tu zdobyliśmy przyjaciół, Skuo.

– Och, tylko z tego powodu to bym nie wracał, mój chłopcze. – Olbrzym uśmiechnął się tym dobrze poinformowanym uśmiechem, który powodował, że wyglądał na wpół na diabła, a na wpół na proroka. – Mam przyjaciół rozproszonych po całej Wspólnocie, na większej ilości światów, niż jestem w stanie spamiętać. Faktem, jest, że powinienem poodwiedzać inne miejsca. Jest taka dziewczyna na Alaspinie, jest archeologiem i wydaje jej się, że na coś tam trafiła. Już od dwóch lat chce, żebym tam zajechał i pomógł jej w jakichś dużych wykopaliskach. Ponieważ jak dotąd na Alaspinie byłem tylko raz, tak mi się zdaje, że mógłbym tam wpaść i znowu ją odwiedzić.

– Jeżeli nie dla przyjaciół, to dlaczego chciałbyś wrócić?

– Dlaczego, mój chłopcze? – Uśmiech Septembra stał się jeszcze szerszy. – Widziałeś te rzeźby i

inskrypcje, i mozaiki w tym górskim mieście i słyszałeś, jak nasz nauczyciel Milliken snuje hipotezy o odmiennej ekologii, przy której dominującym kolorem będzie zieleń zamiast bieli. Tak, pewno że chciałbym wrócić. Za jakieś dziesięć tysięcy lat, czy coś koło tego, kiedy ten świat znowu będzie przelatywał w pobliżu swojej gwiazdy, a epoka zmieni się z zimnej na ciepłą. Chciałbym znowu pożeglować po tych samych oceanach w prawdziwej łodzi, chociaż stara *Slanderscree* ma swoje dobre strony. – Poklepał ją z uczuciem po drewnianej poręczy. Pomyśl jeszcze raz o tych rzeźbach, chłopcze. Dziesięć tysięcy lat od teraz, ale by tu było miło się znaleźć. Bo jak się szybko rozmrożą te zamrożone nasiona, będzie tu kwitło kilka setek miliardów kwiatów naraz.

KONIEC tomu 2